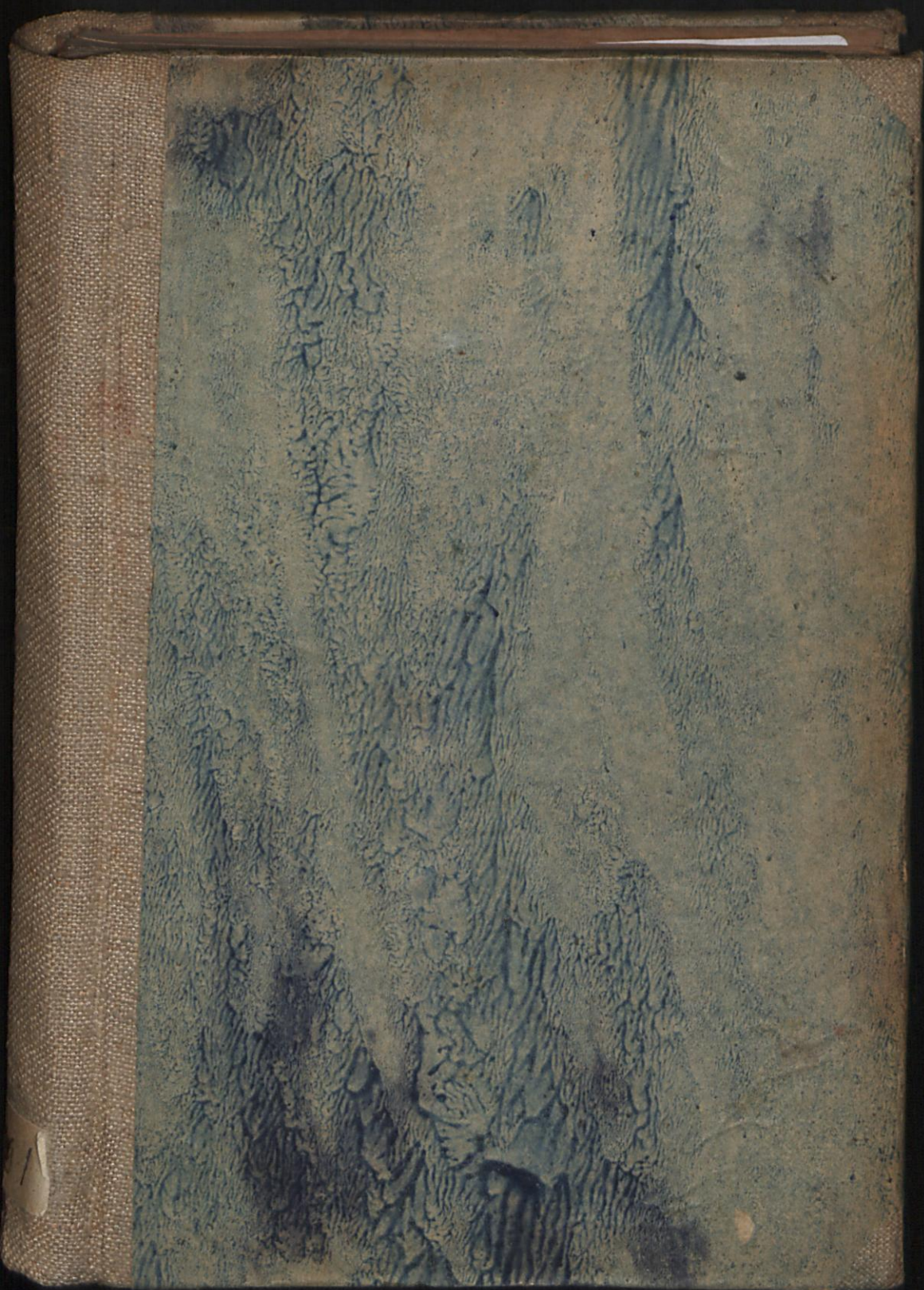




Książnica Zamojska



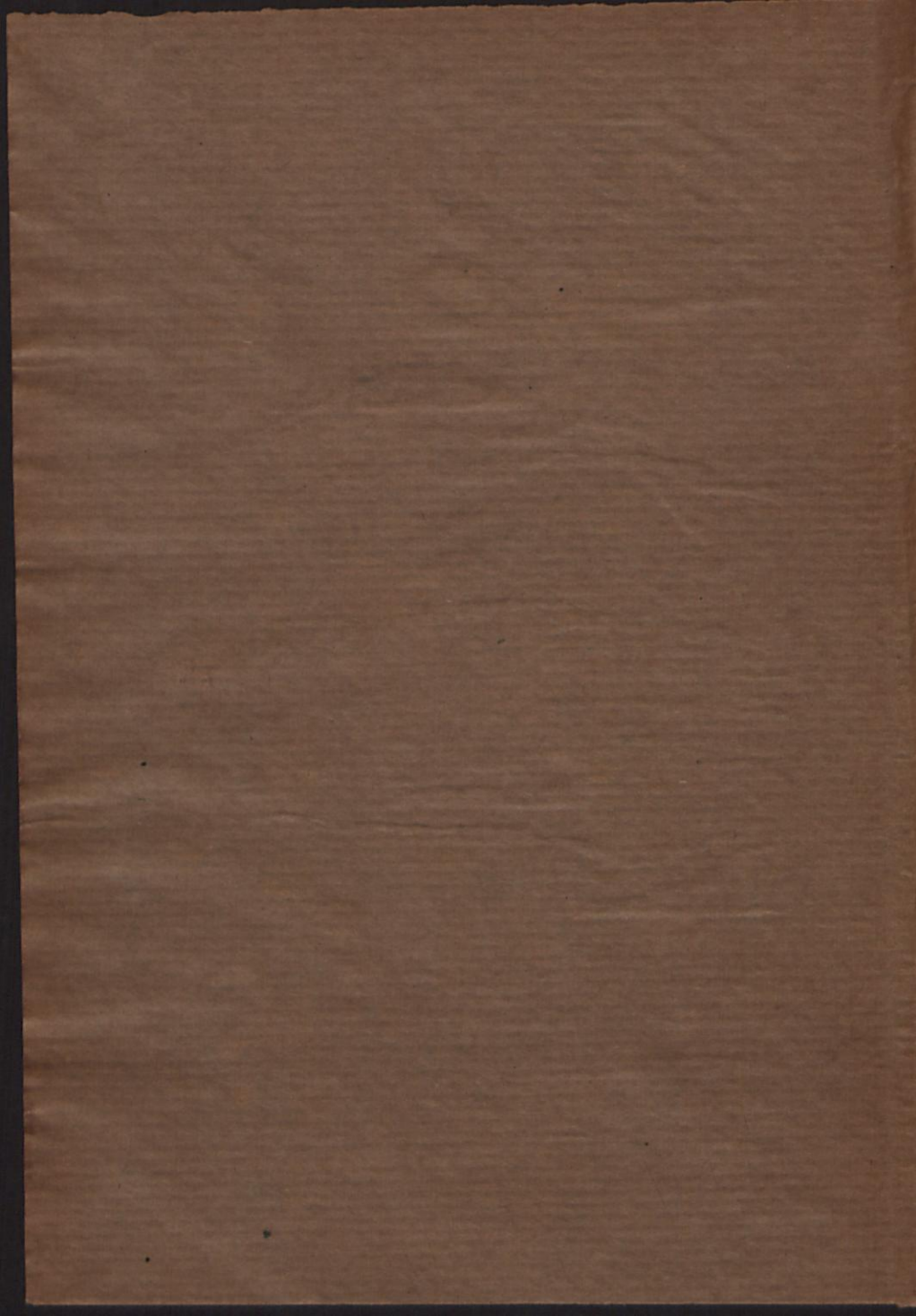
10184559

ul. Kamienna 20

22 - 400 Zamość

868





WZORY DO SZACOWANIA ORAZ NOWE
METODY POMIARU DRZEWOSTANÓW



Tegoż autora:

- I. MODRZEW POLSKI (*Larix Polonica*) jego znaczenie ze stanowiska leśnego oraz analiza pniowa.

Wydanie drugie — Zamość 1922.

- II. O naturalnym zasięgu buka, jodły, świerka i innych drzew na wyżynach Małopolskiej i Lubelskiej, oraz o ich znaczeniu dla gospodarstwa leśnego.

Zamość 1922.

INŻ. WŁADYSŁAW JEDLIŃSKI
Profesor Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego

WZORY DO SZACOWANIA ORAZ
NOWE METODY POMIARU
DRZEWOSTANÓW



ZAMOŚĆ
ZYGMUNT POMARAŃSKI I SPÓŁKA



11

634

1922

Wykonano w tłoczni Sejmiku Powiatowego w Zamościu.



WSTĘP.

Wypośredkowanie miąższości drzew, stojących na pniu, możliwe jest: albo zapomocą rozmaitych pomiarów indywidualnych, albo na podstawie pewnego szacunku wzrokowego, nieopierającego się na żadnych zgoda pomiarach indywidualnych, a w najlepszym razie wnioskującym o wymiarze miąższości jedynie na podstawie pomierzonej pierśnicy. Metody pierwszego rodzaju nazywamy metodami pomiarowemi, metody zaś, opierające się mniej lub więcej na szacunku, metodami szacunkowemi.

Zastosowanie jakiejkolwiek metody pomiarowej do wypośredkowania miąższości drzew stojących połączone jest z dużym nakładem pracy, czasu i kosztów, zapewnia jednak zwykle wysoki stopień dokładności. Metody szacunkowe natomiast prowadzą wprawdzie do celu znacznie prościej i szybciej, ergo pociągają mniejsze koszty, jednakże połączone są one nieraz z pewną niedokładnością, nieodpowiadającą w niektórych wypadkach celowi wypośredkowania miąższości.

Przedmiotem sprzedaży już coraz częściej jest drzewo w stanie leżącym, a nie stojącym; wobec tego

wypośredkowanie miąższości drzewa stojącego ma zwykle jedynie na celu pozyskanie podstaw dla pewnych orientacyjnych kombinacji gospodarczych — za wyjątkiem prac naukowych.

Akt sprzedaży materiałów drzewnych odbywa się najczęściej na podstawie ponownego dokładnego pomiaru danego drzewa po jego ścięciu. Wiadomą jest rzeczą, że pomiar drzewa leżącego stanowi czynność daleko prostszą, tańszą i dokładniejszą, niż pomiar drzewa stojącego. Wobec powyższego, nie ulega chyba żadnej wątpliwości, że w bardzo licznych wypadkach przy wypośredkowaniu miąższości drzew stojących, metody pomiarowe ustępować będą na plan drugi przed metodami szacunkowymi. Zależać nam przy tem będzie, aby stosowana metoda szacunkowa dawała gwarancję dostatecznej, dokładności, odpowiadającej danemu celowi wypośredkowania miąższości. Dlatego w pewnych wypadkach stosować będzie można metody czysto szacunkowe, podczas gdy w innych wypadkach nie będzie można pomiaru całkowicie pominąć. O ile metoda szacunkowa wymaga pewnych pomiarów, to odnosić się one mogą chyba tylko do grubości, która najprościej i najdokładniej pomierzyć się daje, a nie do wysokości i kształtu drzewa. Objęcie pomiarem także i wysokości, a nawet może i kształtu (względnie grubości na rozmaitych wysokościach) zamieniłoby metodę szacunkową w metodę pomiarową.

Jeśli metoda szacunkowa ma gwarantować pewien stopień dokładności, to bez pomiaru grubości (piersnicy) wypośredkowanie miąższości nie będzie mogło się obejść;

wypośrodkowanie miąższości drzewa stojącego jest bowiem rozwiązaniem równania o trzech niewiadomych (grubość, wysokość i kształt), z których bodaj jedną należy ustalić, a mianowicie tę, która w wybitnym stopniu stanowi o wymiarze miąższości.

Jedyną dotychczasową metodą szacunkową tego rodzaju, służącą do wypośrodkowania miąższości drzew stojących, jest metoda Denzina, która miąższość strzały (o) oblicza na podstawie pomierzonej pierśnicy (s) jako $o = 10 s^2$, jeśli s w metrach, albo $o = \frac{s^2}{1000}$, jeśli s w cm. To znaczy, że metoda Denzina oparta jest na założeniu, że wymiar miąższości strzały jest proporcjonalny do powierzchni przekroju na wysokości piersi.

Wobec tego, że rzeczywista miąższość strzały $o = \frac{\pi}{4} s^2 df$ (gdzie d — wysokość drzewa, f — liczba kształtu strzały), to metodą Denzina miąższość strzały obliczoną zostaje ściśle wtedy tylko, kiedy $10 s^2 = \frac{\pi}{4} s^2 df$, czyli jeśli $\frac{\pi}{4} df = 10$, a wysokość kształtu $df = \frac{40}{\pi} = 12.74$. W każdym innym wypadku obliczenie miąższości metodą Denzina prowadzi do wyników mniej lub więcej nieścisłych, różniących się nieraz od rzeczywistej miąższości nawet o 40%. Do tego przekonania doszedł już Denzin niedługo po zaproponowaniu szacowania miąższości podług wzoru $o = \frac{s^2}{1000}$, gdy sam przystąpił do stosowania swojej metody. Jest to zupełnie zrozumiałe, gdyż uwzględnianie w równaniu o trzech niewiadomych

jednej tylko niewiadomej gwarantować mogłoby wystarczający stopień dokładności wtedy tylko, kiedy reszta niewiadomych niewiele wpływałaby na wymiar miąższości, co jednakowoż w rzeczywistości niema miejsca.

Z tego wynikałoby, że korzystanie z metody Denzina przy wypośrodkowaniu miąższości drzew jest zupełnie niemożliwe, jeśli bodaj skromne wymagania, co do dokładności, mają być zaspokojone. Nie chcąc się jednak zrzekać tak prostego wzoru do szacunkowego wypośrodkowania miąższości, Denzin zaczął badać porównawczo te okoliczności, których nieuwzględnienie powoduje powyżej wspomnianą niedokładność. W badanych przez siebie drzewostanach, a zatem w warunkach pewnego ukształtowania się strzał, czyli przy danym biegu przyrostu kształtu, skonstatował Denzin, że za pomocą wzoru jego $\left(o = \frac{s^2}{1000}\right)$ miąższość szacuje się dość dokładnie pod tym warunkiem, że wysokość drzewa wynosi:

u sosny	30 m.
u świerka, buka i dębu	26 m.
u jodły (jako u drzewa o najpełniejszej strzale)	25 m.

O ile wysokość drzewa różni się od powyższych wymiarów, to do miąższości, obliczonej podług $\frac{s^2}{1000}$ dodać należy na każdy dalszy metr wysokości:

u sosny, świerka i jodły po	3 $\frac{0}{0}$,
a u buka i dębu	5 $\frac{0}{0}$.

Natomiast, jeśli wysokość do powyższych wymiarów nie dochodzi, należy odjąć na każdy metr różnicy:

u sosny	3‰
u świerka i jodły	4‰
a u buka i dębu.	5‰

W ten sposób doszedł Denzin do wzoru

$$o = \frac{s^2}{1000} [1 \pm (d - d_n) \text{ o.op}]^*$$
, który daje już
możność wypośrodkowania miąższości z wystarczającą
dokładnością.

Wobec wprowadzenia jednak do rachunku poza
piersnicą także i wysokości drzewa, metoda szacunkowa
Denzina straciłaby swoją prostotę; pozatem wymagałaby
ona pomiaru piersnicy i wysokości, a więc tyle trudu
i czasu, że nie posiadałaby już prawie zupełnie cech
metody szacunkowej, nie dając przytem tej dokładności,
którą się osiąga zapomocą najprostszych metod pomia-
rowych, wymagających mniej nawet zachodu (metody
liczb kształtu, metody tablic miąższości, metody wyso-
kości prawidłowej).

Stosowanie w praktyce drugiego wzoru Denzina
wobec tego zupełnie nie jest racjonalne i celowe.

Również nieracjonalne są także inne dotychczas
istniejące szacunkowe metody wypośrodkowania miąż-
szości drzewa stojącego (jak n. p. francuska metoda
Algana — $o = s^2 \frac{d}{3}$, w tem s — średnica w metrach na

*) We wzorze tym oznacza: d — wysokość rzeczywistą, d_n —
wysokość normalną na terenie badanym przez Denzina, odpowiadającą
wzorowi pierwotnemu $o = \frac{s^2}{1000}$, a wreszcie p — wyżej wykazany od-
setek powiększenia wzgl. zmniejszenia o , obliczonego jako $o = \frac{s^2}{1000}$.

wysokości drzewa 1.5 m—, która to metoda służy do szacowania miąższości drewna użytkowego, dającego się wyrobić z poszczególnych jodeł), gdyż wymagają one — tak samo zresztą, jak metoda Denzina — prócz pomiaru średnicy także i pomiaru wysokości.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Metoda szacunkowa.

Obmyślona przezemnie, niżej podana, metoda szacowania miąższości strzały świerków i jodły ma na celu danie wzoru możliwie najprostszego, opartego jedynie na wymiarze pierśnicy. Za punkt wyjścia, pod względem formy, wziąłem pierwotny prosty wzór Denzina $o = 10 s^2$, wzgl. $o = \frac{s^2}{1000}$, uzupełniając go pewną formułą, która poniżej zostanie przedstawioną.

Badania biegu przyrostu rozmaitych drzewostanów doprowadziły do przekonania, że — pomijając pewne indywidualne nieregularności — między wysokością, grubością, a kształtem poszczególnych drzew, istnieje pewien wyraźny przyczynowy stosunek. Określiwszy przeto stosunek wysokości i liczby kształtu poszczególnych drzew danego drzewostanu do ich pierśnicy, możnaby w równaniu o trzech niewiadomych, któremu odpowiada wypośrodkowanie miąższości drzewa stojącego, wyrazić zarówno wysokość, jak i liczbę kształtu, albo nawet już samą wysokość kształtu przez odpowiadające im wy-

miary grubości. Zaznaczyć należy, że stosunek wysokości kształtu do rozmaitych wymiarów pierśnicy musiałby być określany oddzielnie w każdym drzewostanie. Teoretycznie biorąc, musieliśmy w granicach danego drzewostanu dla każdego stopnia grubości wypośrodkować stosunek wysokości i liczby kształtu, a lepiej jeszcze wysokości kształtu do pierśnicy, porównując miąższość strzały, obliczoną podług wzoru $o_1 = 10s^2$, z miąższością rzeczywistą, obliczoną jako $o_2 = \frac{\pi}{4} s^2$ df. Otrzymana tym sposobem różnica w wynikach doprowadziłaby ostatecznie do określenia wymiaru niezbędnej poprawki miąższości, obliczonej pierwotnie jako $o = 10s^2$, dla rozmaitych stopni grubości.

Chcąc się przekonać, czy powyższy sposób rozumowania odpowiada także wymaganiom praktyki (proceder wypośrodkowania miąższości musi być prosty, niewiele trudu, czasu i kosztów wymagający i zapewniać taką dokładność, jaka odpowiada danemu celowi wypośrodkowania), musieliśmy w licznych drzewostanach wykonać na dużej ilości drzew dokładny pomiar i obliczenie miąższości, a otrzymane wyniki zużytkować do powyższych porównań.

Nie rozporządzając w tej chwili jeszcze materiałem cyfrowym, zebrany przy odpowiednich pomiarach rozmaitych rodzajów drzewa na terenie Polski, postanowiłem zużytkować nadające się do tego wyniki licznych pomiarów indywidualnych, wykonane przezemnie w roku 1907 w drzewostanach świerkowych i jodłowych w Karpatach na Bukowinie. Pomiaru te dokonane były

celem porównania dokładności rozmaitych pomiarowych metod wypośrodkowania miąższości strzały, głównie metody sekcyjnej z pomiarem całej strzały podług średnicy zrównanej. Zebrany przezemnie na Bukowinie cyfrowy materiał porównawczy obejmuje 4470 drzew, pochodzących z licznych drzewostanów rębnych i do rębności dochodzących, a wchodzących w skład 6 nadleśnictw, częściowo podkarpackich, częściowo zaś, już głęboko w Karpatach położonych. Wszystkie te drzewa po ścięciu pomierzone zostały najdokładniej w sekcjach dwumetrowych.

Porównanie tak obliczonej rzeczywistej miąższości z miąższością, obliczoną jako $10 s^2$ wykazało:

1) że naogół między miąższością strzały świerków i jodeł — co najmniej w karpackich warunkach siedliskowych — a pierśnicą 30 cm istnieje stosunek odpowiadający równaniu $o = 10 s^2$; to znaczy $\frac{\pi}{4} d f = 10$, (w czem f oznacza liczbę kształtu strzały);

2) że niemal taki sam stosunek między pierśnicą a miąższością zauważyć się daje u drzew grubości 24—30 cm (dokładności bowiem, dochodzące najwyżej do 7%, przy metodzie szacunkowej, a nie pomiarowej, mogą być słusznie pominięte);

3) że wszystkim innym pierśnicom odpowiadają, w rzeczywistości (nawet przy pominięciu wymiarów wysokości i kształtu) inne wymiary objętości, niż obliczamy je podług wzoru $o = 10 s^2$; a mianowicie przy pierśnicach niżej 24 cm obliczamy miąższość podług wzoru tego za wysoko, a dla wszystkich średnic wyżej 30 cm natomiast za nisko;

4) że w granicach jednego i tego samego drzewostanu różnice te są równomiernie tem większe, im bardziej wymiar pierśnicy odbiega od 30 cm; to znaczy, że — obliczając miąższość jako $o=10 s^2$ — popełniamy błędy, których wymiar zależny jest przede wszystkim od wymiaru średnicy;

5) zauważyłem pozatem, że także wymiar wysokości stanowi o wymiarze błędu, że jednakże wpływ wysokości na wynik obliczenia miąższości jest daleko mniejszy, niż wpływ pierśnicy.

Jest to zresztą rzeczą zrozumiałą, jeśli się weźmie pod uwagę, że wpływowi średnicy na objętość odpowiada stosunek arytmetyczny. Oprócz tego odnośne badania wykazały, że liczba kształtu strzały, stanowiąca poza pierśnicą i wysokością o miąższości drzewa, jest u drzew iglastych (a głównie u jodły i świerka) tem mniejsza, im większa jest pierśnica i im większa jest wysokość; następnie, że wpływ pierśnicy na wymiar liczby kształtu jest stały, począwszy od czasu, kiedy drzewo doszło do grubości około 20 cm.

Natomiast wpływ wysokości jest stosunkowo tem większy, im mniejsze naogół są wysokości; wysokości wyżej 20—22 m. już nieznacznie wpływały zmniejszając na liczbę kształtu.*) Z tego powodu liczba kształtu w późniejszym wieku stosunkowo daleko wolniej się zmniejsza, zwiększa się niż grubość.

Chcąc fakt ten uwzględnić przy obliczaniu miąższości strzały, musielibyśmy wymiary miąższości, otrzy-

*) Są to wyniki prac niemieckich, austriackich i szwajcarskich stacyj doświadczalnych.

mane podług wzoru $o = 10 s^2$, powiększyć przede wszystkim proporcjonalnie do wymiaru pierśnicy drzewa. Ponadto powiększenie to musiałoby być tem znaczniejsze, im większy jest wymiar wysokości drzew jednako-wej grubości, a to ze względu na fakt, że wysokość i grubość wpływają na liczbę kształtu w tym samym kierunku.

Potwierdzenie tego wniosku znajdujemy także w fakcie, że wysokość kształtu, która, poza powierzchnią na wysokości piersi, stanowi o wymiarze miąższości, jest tem większa, im znaczniejsza jest grubość drzewa. To znaczy, że poprawka wymiaru miąższości, obliczonej podług $o = 10 s^2$ jedynie w zależności od powierzchni przekroju pierśnicowego, musi być tem znaczniejsza, im większa jest pierśnica.

Z powyższego wyciągnąłem wniosek następujący: dla wyprowadzenia metody możliwie najdokładniejszego szacowania drzew i drzewostanów jedynie na podstawie indywidualnie pomierzonych pierśnic, wystarczy przydzielić poszczególne drzewostany każdego odmiennego rodzaju drzewa (świerk i jodła) do kilku klas wysokości (2—3) i w ramach każdej klasy wysokości usuwać grubsze nieścisłości, jakie połączone są z obliczeniem podług wzoru $o = 10 s^2$, zapomocą ustalonych przezemnie wzorów, opartych tylko na wymiarze pierśnicy. Przyjawszy dla drzewostanów świerka i jodły, spotykanych na terenie Karpat bukowińskich, 2 klasy wysokości i porównyując ze sobą wymiary miąższości drzew odmiennej grubości w granicach tej samej klasy wysokości, doszedłem do następujących wzorów do szaco-

wania miąższości na podstawie tej samej tylko pierśnicy, a mianowicie:

1) dla świerka I klasy wysokości.

a) przy pierśnicach od 24—30 cm.

b) przy pierśnicach wyżej 30 cm.

c) przy pierśnicach niżej 24 cm.

$$o = 10 s^2 = A; o = A + \frac{A}{5} \frac{100}{130-s}; o = A - \frac{A}{20} \frac{100}{130-s}$$

II klasy wysokości.

$$o = 10 s^2 = A; o = A + \frac{A}{10} \frac{100}{130-s}; o = A - \frac{A}{10} \frac{100}{130-s}$$

2) dla jodły I klasy wysokości.

$$o = 10 s^2 = A; o = A + \frac{A}{4} \frac{100}{130-s}; o = A - \frac{A}{15} \frac{100}{130-s}$$

II. klasy wysokości.

$$o = 10 s^2 = A; o = A + \frac{A}{8} \frac{100}{130-s}; o = A - \frac{A}{8} \frac{100}{130-s}$$

Klasę wysokości określa się wzrokowo, co po kilku pomiarowych wypośrodkowaniach miąższości drzewostanów nie następuje żadnych trudności.

Granice między I a II klasą wysokości stanowią następujące wymiary:

1) dla świerka

pierśnica s, w cm.	wysokość b w m.
14	15
20	18
30	26
40	29
50	31
60	33
70	34

2) dla jodły

pierśnica s w cm.	wysokość b w m.
14	14
20	16
30	25
40	28
50	30
60	31
70	32

(Do II klasy wysokości zaliczyłem drzewa o wysokościach niższych od podanych wymiarów).

Powyższe wzory do szacowania miąższości składają się — o ile chodzi o drzewa wyżej 30 cm. i niżej 24 cm. pierśnicy — z 2 części, z których druga część $\frac{A}{n} \times \frac{100}{130-s}$ stanowi moją poprawkę do miąższości, obliczonej jako $10s^2 = A$.

Wobec tego, że wymiar tej poprawki ustalony został przez porównanie ze sobą miąższości licznych drzew jako średnia, zacierająca do pewnego stopnia specjalne indywidualne cechy drzew poszczególnych, wzory powyższe (tak samo zresztą jak tablice miąższości i tablice liczb kształtu) bardziej nadają się do szacowania miąższości drzewostanów, niż drzew poszczególnych, oderwanych niejako z całości (drzewostanu), którą daleko łatwiej i pewniej jest wzrokowo przydzielić do jednej z przyjętych klas wysokości. W takim razie, przydzielwszy dany drzewostan do pewnej klasy wysokości, obliczyć należy podług odpowiadającego danej klasie wzoru miąższość pojedynczego drzewa każdego poszczególnego stopnia grubości, poczem przez mnożenie otrzymanych cyfr przez ilość drzew w każdym stopniu grubości dochodzi się do miąższości poszczególnych stopni grubości, a — zsumując wszystkie te iloczyny otrzymuje się miąższość całego drzewostanu.

Biorąc jednak pod uwagę, że powyższe wzory nie mają stanowić podstawy do bezwzględnie ścisłego pomiarowego wypośrodkowania miąższości, lecz tylko ułatwić mają ich szacowanie z dostateczną dokład-

nością, służyć one mogą do szacowania miąższości tak drzewostanów jak i poszczególnych drzew stojących.

Poniższe cyfry (tabela 1) wykazują przykładowo stosunek miąższości rzeczywistych rozmaitych stopni

T a b

s cm.	Miąższość podług Denzina $\sigma = 10s^2 = A$	Moja po- prawka do tego $\frac{A}{10} \times \frac{100}{130-s}$	Miąższość podług mo- jego wzoru t. j. $2+3$ wzgl. $2-3$	Miąższość rzeczywista m^3	Różnica	
					4-2	w % w sto- unku do 2
1	2	3	4	5	6	7
20	0.40	0.04	0.36	0.34	0.04	10
24	0.58	—	0.58	0.55	—	—
30	0.90	—	0.90	0.94	—	—
40	1.60	0.18	1.78	1.80	0.18	11.25
50	2.50	0.31	2.81	2.82	0.31	12.40
60	3.60	0.51	4.11	4.12	0.51	14.16
70	4.90	0.81	5.71	5.58	0.81	16.53
80	6.40	1.28	7.68	7.40	1.28	20.00

grubości świerka do miąższości, obliczonych na podsta-
wie wzorów wyżej podanych, jak i na podstawie wzoru
Denzina w granicach drzewostanu, przydzielonego do
II klasy wysokości.

Mięszkości rzeczywiste poszczególnych stopni grubości pomierzyłem — jak już wyżej wspomniałem — w licznych drzewostanach po ich ścięciu.

e-l a 1.

Różnica		Różnica		df rzeczy- wista	$\frac{\pi}{4} df$	$10 + \frac{10}{n} \frac{100}{130-s}$
4—5	w ⁰ / ₁₀ w sto- sunkudo 5	2—5	w ⁰ / ₁₀ w sto- sunkudo 5			
8	9	10	11	12	13	14
+	+	+	+			
0.02	5.88	0.06	17.64	10.97	8.61	9.09
+	+	+	+			
0.03	5.47	0.03	5.47	12.72	9.98	10.00
—	—	—	—			
0.04	4.25	0.04	4.25	13.24	10.39	10.00
—	—	—	—			
0.02	1.11	0.20	11.11	14.28	11.21	11.11
—	—	—	—			
0.01	0.35	0.32	11.35	14.39	11.30	11.25
—	—	—	—			
0.01	0.24	0.52	12.62	14.56	11.43	11.43
+	+	—	—			
0.13	2.33	0.68	12.18	14.49	11.38	11.67
+	+	—	—			
0.28	3.78	1.00	13.51	14.71	11.55	12.00

W rubryce 5 wykazane są rzeczywiste wymiary miąższości najczęściej w świerkowych drzewostanach karpackich i podkarpackich II klasy wysokości na Bu-



kowinie spotykanych; cyfry te przedstawiają jednocześnie średnią z otrzymanych wyników w czterech porównywanych ze sobą drzewostanach świerkowych II. klasy wysokości. Rubryka 2 zaś wykazuje miąższości, obliczone podług Denzina, natomiast rubryka 3—moją poprawkę do pierwotnego wzoru Denzina, a rubryka 4—miąższości, obliczone podług mojego wzoru.

Jak wykazują cyfry w rubrykach 7 i 11, różnice między wynikami obliczenia miąższości podług Denzina, a wynikami obliczenia podług mojego wzoru są bardzo podobne do różnic między wyliczeniem podług Denzina, a rzeczywistymi miąższościami. Natomiast różnice między wynikami obliczenia podług mojego wzoru, a miąższościami rzeczywistymi są — jak wykazuje to rubryka 9 — bardzo nieznaczne, a przy metodzie szacunkowej nie wchodzące w rachubę.

Wobec tego, że każda miąższość rzeczywista, metodą sekcyjną pomierzona, odpowiada równaniu $o = \frac{\pi}{4} s^2 d f$, to, znając wymiary miąższości (o) i pierśnicy (s), łatwo jest obliczyć wysokość kształtu $d f$ oraz $\frac{\pi}{4} d f$ każdego stopnia grubości. A że we wzorze moim $o = 10 s^2 \pm \frac{10 s^2}{n} \times \frac{100}{130-s} = s^2 \left(10 \pm \frac{10}{n} \times \frac{100}{130-s} \right)$ przeto w zestawieniu go ze wzorem $o = \frac{\pi}{4} s^2 d f$, wyrażeniu $\frac{\pi}{4} d f$ odpowiada $10 \pm \frac{10}{n} \times \frac{100}{130-s}$ *). Porównanie rubryki 13 i 14

*) W przykładzie $n = 10$. . . świerk II kl. wysokości.

Tabela 2.

Piersnica s w cm	Miażdżność podług $\sigma = 10s^2 = A$ w m	Moja poprawka		Całkowita miąższość podług mojego wzoru		Różnica		Wzrost odset- ka Δ 8
1	2	3	4	5	6	7	8	9
		$- \left(\frac{A}{20} \times \frac{100}{130-s} \right)$ względnie $+ \left(\frac{A}{5} \times \frac{100}{130-s} \right)$	$\pm \left(\frac{A}{10} \times \frac{100}{130-s} \right)$	I kl. wy- sokości w m	II kl. wy- sokości w m	między 5 i 6	w % 6.	
20	0.40	0.02	0.04	0.38	0.36	0.02	5.55	
24	0.58	—	—	0.58	0.58	—	—	
30	0.90	—	—	0.90	0.90	—	—	
40	1.60	0.35	0.18	1.95	1.78	0.17	9.04	1.99
50	2.50	0.62	0.31	3.12	2.81	0.31	11.03	1.62
60	3.60	1.03	0.51	4.63	4.11	0.52	12.65	1.71
70	4.90	1.63	0.81	6.53	5.71	0.82	14.36	1.00
80	6.40	2.56	1.28	8.96	7.68	1.28	15.36	

wyказuje wyraźnie, że mój wzór uwzględnia niemal w tym samym stosunku, jak dokładny pomiar sekcyjny, wpływ wszystkich czynników, oddziaływujących na miąższość strzały we wszystkich stopniach grubości.

Do tych samych wniosków doszedłem, wypośredkując miąższość podług mojego wzoru w świerkowych drzewostanach odmiennej klasy wysokości, oraz w drzewostanach jodłowych, badanych na Podkarpaciu i w Karpatach bukowińskich.

Stosunek między średnimi wymiarami miąższości świerków I klasy wysokości, do drzew tej samej grubości II klasy wysokości, obliczonych podług moich wzorów, ilustruje tabela 2.

Rubryka 8 wykazuje różnice stosunkowe między wymiarami miąższości I a II klasy wysokości, obliczonych podług moich wzorów. Przeto ewentualna pomyłka przy określaniu klasy wysokości, powoduje niedokładności w obliczaniu miąższości każdego stopnia, grubości średnio w granicach od 5.5% do 15%. Jest to niedokładność która pogodzićby się wprawdzie nie dała z żadną metodą pomiarową, natomiast dla szacunkowego wypośredkowania miąższości uważać ją należy za najzupełniej dopuszczalną *).

Analogiczne porównania, co do jodły doprowadziły mnie do podobnych wniosków,

*) Powyższe odsetki błędu oznaczają nieścisłości, popełniane przy wypośredkowaniu miąższości drzewostanów, a nie drzew pojedynczych. Indywidualne cechy kształtu drzew pojedynczych błęd ten mogą jeszcze podnieść (nieraz nawet do 20 proc.).

Przyjmując większą ilość klas wysokości, możnaby oczywiście zmniejszyć odsetek możliwego maksymalnego błędu przy obliczaniu miąższości drzewostanów. Jednakże wyrównanie większej ilości klas wysokości ponad 3 napotyka na rozmaite trudności.

Podobne wzory możnaby ułożyć do szacowania miąższości strzał innych rodzajów drzewa.

W każdym razie omawiany sposób szacunkowego wypośrodkowania miąższości, usuwający rozpatrzone we wstępie niedokładności pierwotnej metody Denzina, gwarantuje wyniki, zbliżone do wyników metod pomiarowych (choćby do wyników metody tablic miąższości). Wobec tego można go bez wątpienia stosować w tych wypadkach, gdzie chodzi o szybkie, a dość pewne orjentowanie się w miąższości strzał.

Tyle o metodzie mojej jako o metodzie szacunkowej.

CZEŚĆ DRUGA.

1. Metoda pomiarowa.

Powyższe wzory moje daleko większe znaczenie posiadają, jako podstawa do ścisłego pomiarowego sposobu wypośredkowania miąższości drzewostanów, niż, jako metoda do szacunkowego określania miąższości. Najwięcej bowiem czasu przy stosowaniu jakiegokolwiek bądź metody pomiarowej wymaga pomiar piersznicy poszczególnych drzew, składających się na dany drzewostan, podczas gdy pomiar wysokości już niewiele zadaje pracy. Dlatego też, w porównaniu np. z metodą tablic miąższości, metoda moja nie stanowiłaby już o dużem oszczędzaniu czasu, gdyż tylko pomiar wysokości byłby zaniechany, a zamiast tablic miąższości byłyby stosowane moje tablice, wykazujące miąższości dla rozmaitych stopni grubości, rozmaitych rodzajów drzewa i rozmaitych klas wysokości.

Przyjrząwszy się bliżej odsetkom błędów, wykazanym w rubryce 9 pierwszej z powyższych dwóch tabeli, oraz odsetkom błędów, wykazanym w rubryce 8 drugiej

tabeli, widzimy, że nieścisłość w wypośrodkowaniu miąższości podług moich wzorów (przy szacowaniu miąższości zresztą wcale nieznaczna) jest dwójakiego rodzaju:

1) techniczną niemożliwością jest, aby wzory były bezwzględnie dokładnymi, skoro istnieją jeszcze prawa przyrostu drzewostanów, dotychczas niedostatecznie zbadane;

2) nieścisłość, wynikająca z ewentualnego fałszywego określenia klasy wysokości.

Pierwsze źródło błędów jest zwykle bardzo nieznaczne — jak wykazuje to tabela 1, — z drugiego zaś źródła wypływają błędy już nieco poważniejsze. Między błędami jednego i drugiego źródła zauważyć się jednak daje pewna proporcjonalność, z której wyprowadza się myśl stosowania omawianych wzorów nie do szacowania, lecz do najdokładniejszego pomiaru miąższości drzewostanów jednym z następujących sposobów.

Przy wypośrodkowaniu miąższości podług drzew modelowych lub przeciętnych, bądź całego drzewostanu, bądź poszczególnych stopni lub klas grubości, każde drzewo modelowe względnie przeciętne — będąc reprezentantem pewnej grupy drzew — teoretycznie odpowiadać powinno ilorazowi

$$\frac{O}{N} = \frac{\text{miąższość drzewostanu lub grupy drzew}}{\text{ilość drzew}}$$

to znaczy przeciętnej miąższości. Określając przeto rozmiary drzew modelowych wzgl. przeciętnych i wybierając je ostatecznie w lesie, miąższość drzewostanu wzgl. grupy drzew, do której wypośrodkowania służyć

mają te drzewa, powinna — teoretycznie mówiąc — już z góry być wiadomą. Jest to oczywiście — praktycznie biorąc — wewnętrzną sprzecznością, bo gdyby miąższość już była wiadomą, to zbytecznem byłoby jej wypośrodkowanie. W praktyce przeto wyboru drzew modelowych i przeciętnych i wypośrodkowania ich rozmiarów (grubość, wysokość, kształt) dokonywa się, nie na podstawie wymiaru miąższości tej grupy drzew, którą mają one reprezentować, lecz na podstawie powierzchni przekrojów pierśnicowych, odpowiadającej danej miąższości.

Postępowanie takie zawiera w sobie pewne źródło niedokładności, podobne do tego, które powoduje wyżej w tablicy 1, rubryka 11, wykazana niedokładność metody Denzina. Wypośrodkowanie rozmiarów drzew modelowych wzgl. przeciętnych w takim razie oparte bowiem jest na założeniu, że z biegiem przyrastania powierzchni przekroju $\left(\frac{\pi}{4}s^2\right)$ wysokość kształtu (df) pozostaje bez zmiany, (że założenie takie nie jest ściśle, wykazuje rubryka 12 tabeli 1). Metoda Denzina oparta jest na pewnej stałej, ściśle określić się dającej wysokości kształtu ($df = 12.74$), przy wybieraniu drzew modelowych wzgl. przeciętnych natomiast df również pozostaje cyfrą stałą, arytmetycznie jednak niewiadomą, której wpływ — powodujący niedokładności w wypośrodkowaniu miąższości drzewostanu wzgl. grupy drzew — zostaje skutek wypośrodkowania miąższości na podstawie indywidualnego dokładnego pomiaru drzew przeciętnych co prawda poważnie zmniejszony, ale niezupełnie usunięty. Że nietrafny wybór drzewa mode-

lowego lub przeciętnego powoduje wobec tego niedokładności w wypośrodkowaniu miąższości drzewostanu, jest zrozumiałem.

Z porównania cyfr 13 i 14 rubryki tabeli 1 wynika, że zmienność wysokości kształtu (df) względnie $\frac{\pi}{4}$ df we wzorach moich uwzględnioną zostaje zgodnie z faktem, że wyższemu wiekowi czyli znaczniejszym grubościom odpowiadają wyższe wysokości kształtu. Dlatego większą dokładność, niż przy obecnym sposobie wybierania drzew modelowych względnie przeciętnych na podstawie samego wymiaru powierzchni przekroju, osiągnąć można, określwszy rozmiary drzew modelowych lub przeciętnych w oparciu na miąższości danej grupy drzew (stopnie lub klasy grubości), wypośrodkowanej tymczasowo w myśl wzorów moich.

Jak z porównania tabeli 1 i 2 wynika, nawet przy nietrafnem określeniu klasy wysokości danego drzewostanu, faktyczna zmienność wysokości kształtu zostaje uwzględnioną, pomimo że wyniki obliczenia miąższości (n. p. u świerka) o 5.5% do 15% stają się mniej ścisłymi, niż przy dobrem oszacowaniu klasy wysokości. Z porównania tego dalej wynika, że stosunek wzajemny błędów, popełnionych w poszczególnych stopniach grubości jest prawie jednakowy przy trafnem i nietrafnem określeniu klasy wysokości.

Stąd wynika, że niedokładność wzorów moich, wykazana w tabeli 2, a wypływająca z nietrafnego określenia klasy wysokości, mogłaby być usunięta, gdy-

by dla całego drzewostanu odpowiednia ilość drzew modelowych wzgl. przeciętnych została ustaloną na podstawie tymczasowego wypośrodkowania miąższości drzewostanu podług wzoru mojego.*) Następnie miąższość tych drzew przeciętnych zostałaby po ścięciu dokładnie pomierzona metodą sekcyjną, poczem — pomnożywszy średnią miąższość jednego drzewa przeciętnego przez ilość drzew w drzewostanie otrzymanoby ścisłą miąższość tego drzewostanu.

W ten sposób źródło błędów, wykazanych w tabeli drugiej, byłoby zupełnie usunięte, podczas gdy źródło nieznacznych błędów, tkwiących w samej metodzie (patrz tabela 1, rubryka 9), częściowo tylko przestałoby oddziaływać. Niedokładność w ostatecznym wyniku zredukowana byłaby — jak to już z cyfr i ich porównania wynika — do wymiarów minimalnych, nieprzekraczających 2—3%, a równających się w przybliżeniu różnicy między średnim stosunkowym błędem, popełnionym w myśl tabeli 1, rubryka 9, przy obliczaniu miąższości wszystkich drzew poszczególnych grubości podług wzorów moich, a tą nieścisłością, z którą połączone jest obliczenie podług mojego wzoru miąższości drzewa tego stopnia grubości, który obejmuje dane drzewo przeciętne. Takie wypośrodkowanie miąższości drzewostanu, jako metoda, jest wypośrodkowaniem podług drzewa przeciętnego dla całego drzewostanu.

*) Drzewa te byłyby drzewami o przeciętnej miąższości danego drzewostanu $\left(\frac{O}{N}\right)$ a nie o przeciętnej powierzchni przekroju

Stosowanie w praktyce wzorów moich do pomiaru miąższości drzewostanu na zasadzie drzewa przeciętnego dla całego drzewostanu przedstawiałoby się następująco: wyliczenie drzewostanu, dające ilości drzew rozmaitych stopni grubości ($N_1, N_2, \dots$ razem N), obliczenie tymczasowe miąższości poszczególnych stopni grubości podług wzorów moich [$O_1, O_2, \dots$ razem O] (zamiast dotychczas przy najdokładniejszych metodach pomiarowych dotychczasowego obliczenia powierzchni przekrojów pierśnicowych poszczególnych stopni grubości), obliczenie miąższości drzewa przeciętnego ($\frac{O}{N}$), wyczytanie z tablicy tej pierśnicy, której odpowiada ta miąższość przeciętna podług mojego wzoru, wyszukanie w lesie kilku drzew o pierśnicy tym sposobem wypośrodkowanej, ścięcie tychże, dokładny pomiar sekcyjny, obliczenie średniej miąższości jednego drzewa przeciętnego i poprawienie tymczasowo na początku obliczonej miąższości drzewostanu w stosunku różnicy między średnią miąższością jednego drzewa przeciętnego, a odpowiadającą jemu miąższością podług mojego wzoru

Obliczenie tymczasowe miąższości, jako podstawa dokładnego pomiaru drzewostanu, nie tylko teoretycznie ma więcej racji (jak wyżej wskazano), ale nawet praktycznie jest ono łatwiejsze i prostsze, niż wyliczenie powierzchni przekrojów, które jak dotąd — służyć mają do określenia pierścieni drzewa przeciętnego względnie modelowego. *)

*) Drzewo o przeciętnym wymiarze powierzchni przekroju uchodzić może za drzewo przeciętne pod względem miąższości przez nie

Ale także i pozostała jeszcze część niedokładności, pochodzącej ze źródła pierwszego (tablica I), możnaby niemal zupełnie usunąć, łącząc w danym drzewostanie nie wszystkie, lecz tylko po kilka stopni grubości w jedną grupę (klasę grubości), obliczając wyżej naszkicowanym sposobem podług moich wzorów oddzielnie miąższość każdej poszczególniej klasy zapomocą drzew przeciętnych. Różnice między miąższością rzeczywistą, a miąższością, wynikającą z zastosowania moich wzorów, pozostające do wyrównania zapomocą drzew przeciętnych, są — rozumie się — tem mniejsze, im mniejszą ilość stopni grubości obejmują poszczególne grupy drzew, których miąższość oddzielnie zostaje wypośredkowana.

Najwyższy stopień dokładności pomiaru miąższości drzewostanu byłby osiągnięty wtedy, kiedy dla każdego stopnia grubości oddzielnie zostałyby ustalone i pomierzone drzewa modelowe i kiedy miąższość każdego stopnia grubości została wypośredkowana powyższą metodą, niezależnie zupełnie od drzew odmiennych grubości. Takie postępowanie miałoby jednak znaczenie bardziej teoretyczne, niż praktyczne, gdyż — przy wy-

reprezentowanego drzewostanu lub pewnej grupy drzew wtedy tylko, kiedy także jego wysokość i liczba kształtu, albo każda z nich oddzielnie, albo conajmniej łącznie, jako jego wysokość kształtu, równają się przeciętnym wymiarom wysokości i liczby kształtu, wzgl. wysokości kształtu drzewostanu lub grupy drzew. Taki stosunek ma w rzeczywistości miejsce tylko wówczas, gdy w drzewostanie, naogół równym, dla każdego stopnia grubości ustalone zostanie inne drzewo przeciętne, to znaczy, kiedy nie tworzymy klas grubości.

pośrodkowaniu miąższości drzewostanu podług stopni grubości — określenie pierśnicy drzewa modelowego, na zasadzie powierzchni przekroju, jest równie dokładne, jak na podstawie miąższości.

Potrzebom praktyki najbardziej odpowiadałoby łączenie po 3—6 stopni grubości w jedną klasę i obliczenie miąższości każdej klasy oddzielnie zapomocą mojej metody. Przy łączeniu stopni grubości w klasy, grubości 24 cm. i 30 cm. zawsze stanowić powinny granicę między klasami, gdyż we wzorach moich grubości te również stanowią granicę nieco odmiennych wyliczeń miąższości.

Naogół metoda moja — tak samo jak np. metoda Hartiga — nie pozwala na łączne wyrobienie rozmaitych sortymentów ze wszystkich drzew przeciętnych (jak to ma miejsce przy stosowaniu metody Uricha lub Draudta, opartej na równej liczbie drzew w każdej grupie). O ile jednak łączne wyrobienie rozmaitych sortymentów ze wszystkich drzew przeciętnych byłoby koniecznem, wtedy po odpowiedniem łączeniu równych ilości drzew rozmaitych (ale najbliższych sobie) stopni grubości w oddzielne grupy usunęłoby także i tę ostatnią niedogodność.

CZĘŚĆ TRZECIA.

2. Metoda pomiarowa.

Poza powyższemi empirycznie ułożonemi wzorami, do dokładnego wypośrodkowania miąższości pewnych*) drzewostanów służyć mogą także wzory, dające się wyprowadzić z poniższych rozważań nad prawami biegu przyrostu drzew, połączonych ze sobą w drzewostanie do wspólnego życia i rozwoju.

Wiadomo jest, że zarówno bezwzględny wymiar przyrostu miąższości poszczególnych drzew danego drzewostanu, jak też i bieg tegoż przyrostu, zależne są od warunków siedliska i sposobu gospodarczego traktowania drzewostanu, który znajduje swój ostateczny wyraz w zwarcu. Wiadomo też jest — jak to wykazały prace prof. Guttenberga — że zależność przyrostu od czynników siedliska objawia się w dwojaki sposób, a mianowicie inaczej wtedy, kiedy odmienność przyrostu powodują mniej lub więcej sprzyjające warunki gleby, a inaczej, jeśli przyczynę tej odmienności stanowią różnice w czynnikach klimatycznych (głównie w trwaniu

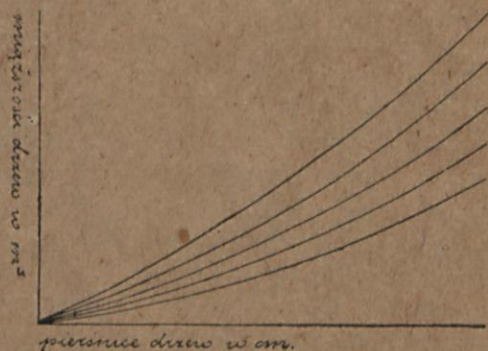
*) Mianowicie w drzewostanach zwartych, zagospodarowanych i naogół równowiecznych, patrz ostatni ustęp niniejszej rozprawki.

okresu wegetacyjnego). W pierwszym wypadku bezwzględny wymiar przyrostu ulega wprawdzie mniejszej lub większej zmianie, bieg przyrostu zaś, to znaczy wzajemny do siebie stosunek wymiaru miąższości poszczególnych drzew w rozmaitych stopniach wieku, pozostaje taki sam, podczas, gdy w drugim wypadku zarówno bezwzględny wymiar przyrostu jak też i jego bieg w ciągu pewnego okresu zmieniają się zasadniczo.

Jeśli wobec tego w tej samej strefie klimatycznej, w drzewostanach tego samego rodzaju drzewa i hodowanych jednym i tym samym sposobem, porównamy bieg przyrostu drzew poszczególnych drzewostanów na siedliskach o odmiennych warunkach gleby, skonstatujemy pewną proporcjonalność w prostej zresztą figurze linii, przedstawiających bieg przyrostu miąższości drzew w granicach tego samego drzewostanu. Gdybyśmy potrafili w jednym tylko z porównywanych ze sobą drzewostanów obliczyć miąższość drzew rozmaitych grubości zapomocą wzoru, w którym jako jedyna niewiadoma figuruje pierśnica (podczas gdy z praw przyrostu wynikający proporcjonalny stosunek między grubością i wysokością, a grubością i kształtem znamionują pewne liczby stałe) i gdybyśmy tym sposobem otrzymany szereg cyfr. oznaczających miąższość drzew rozmaitych grubości w granicach danego drzewostanu porównali z takim samym szeregiem cyfr odpowiadających innym drzewostanom tego samego rodzaju drzewa i tym samym sposobem hodowanym, ale to z szeregiem cyfr, wypośredkowanych zapomocą dokładnego pomiaru, dojdziemy do przekonania, że linie, wykazujące te rozmaite szeregi

cyfr, są jako całość do tego stopnia do siebie podobne że wystarczy jakimkolwiek bądź sposobem ustalić stosunkową różnicę (w odsetkach) między cyframi, wykazującą w rozmaitych szeregach bezwzględny wymiar miąższości, tylko dla kilku (2—5) stopni grubości, aby z tej różnicy móc wnioskować w bezwzględnym wymiarze miąższości wszystkich innych grubości tego samego drzewostanu. Czyli innemi słowy, znajomość biegu przyrostu drzew w danym drzewostanie służyłaby mogła do wypośrodkowania miąższości drzew tej samej pierśnicy w innych drzewostanach, hodowanych jednak tą samą metodą w tej samej strefie klimatycznej, choćby w odmiennych warunkach siedliskowych (gleba). Wymagałoby to ustalenia tylko kilku (2—5) punktów krzywej, odpowiadającej miąższości drzewostanu, którą pragniemy wypośrodkować.

Wzajemny stosunek krzywych, odpowiadających miąższościom poszczególnych drzew różnych drzewosta-



nów tego samego rodzaju drzewa, w tej samej strefie klimatycznej położonych i tak samo zagospodarowanych, natomiast znajdujących się na odmiennych bonitacjach siedliska, przedstawia szablonowo rysunek, umieszczony na stronie 34.

Należy jeszcze zaznaczyć, że wnioskowanie o wymiarze miąższości drzew poszczególnych grubości, podlegającego pomiarowi drzewostanu, z cyfr wzoru podstawowego danego typu drzewostanu, mogłoby być znacznie ułatwione przez zastosowanie wykazu tak zwanej linii miąższości Kopeckiego. Czyli innemi słowy, jeśli miąższością poszczególnych grubości drzew, jako rzędnym przeciwstawimy, jako odcięte, nie stopnie grubości, lecz odpowiadające im powierzchnie przekroju, wtedy, jako linię, znamionującą bieg przyrostu danego drzewostanu otrzymamy linię zupełnie prostą, a nie wygiętą.

Powyższe porównania cyfr, otrzymanych z pomiaru indywidualnego, prowadzą ostatecznie do pewnego wzoru, ułatwiającego wypośrodkowanie miąższości drzewostanów o oddmiennym przyroście. Rozumie się, że porównań takich najłatwiej dokonać można w drzewostanach czystych, równowiecznych, zwartych i albo wcale nie-trzebionych, albo trzebionych tylko odnośnie do drzew przytłumianych i opanowanych, a wreszcie, że niezbędnem jest rozróżnianie rozmaitych zasadniczych sposobów gospodarstwa. Każdemu sposobowi gospodarstwa odpowiadać będzie odmienny podstawowy wzór, nieuwzględniający możliwych różnic w warunkach siedliskowych, a cechujący jedynie bieg przyrostu miąższości

drzew, wchodzących w skład danego typu drzewostanowego.

W swoim czasie na Bukowinie zebrany obfity materiał cyfrowy użytkowałem do porównań w myśl powyższych rozwiązań i doszedłem do następujących wzorów, cechujących zasadniczy bieg przyrostu miąższości drzew rozmaitych grubości w zwartych drzewostanach świerkowych i jodłowych na Podkarpaciu i w Karpatach Bukowińskich. Wzory te, jako podstawowe, ważne są oczywiście tylko dla badanych typów gospodarstwa.

Stosunek miąższości drzew poszczególnych stopni grubości wyraża:

a) w drzewostanach świerkowych:

$$\text{wzór } O = \frac{s^2}{1000} + \frac{s^2}{1000} \times \frac{s-30}{250-3s} = A + A \frac{s-30}{250-3s}$$

b) w drzewostanach jodłowych:

$$\text{wzór } O = \frac{s^2}{1000} + \frac{s^2}{1000} \times \frac{s-26}{250} = A + A \frac{s-26}{250}$$

(O = miąższość drzewa w m^3 , s = piersznica drzewa w cm. $A = \frac{s^2}{1000}$ w tem s w cm.).

Wzory te, wyprowadzone sposobem empirycznym, podają miąższość poszczególnych stopni grubości, w następujących wymiarach, przyczem wykazany jest także stosunek do wzoru Denzina:

a) drzewostany świerkowe.

Wzrost drzew
podług
Dziurka
w m³.

Międzyść podług mojego wzoru podstawowego w m³

10	0 = 0.10	0 = 0.10	0 = 0.10	$\frac{20}{280}$	$\frac{20}{280}$	$0.10 - 0.10 \times 0.0714 = 0.10 - 0.0071 = 0.0929$
20	0 = 0.40	0 = 0.40	0 = 0.40	$\frac{10}{310}$	$\frac{10}{310}$	$0.40 - 0.40 \times 0.0323 = 0.40 - 0.0129 = 0.3871$
30	0 = 0.90	0 = 0.90	0 = 0.90	0	0	$0.90 - 0.90 = 0.0000$
40	0 = 1.60	0 = 1.60	0 = 1.60	$\frac{10}{370}$	$\frac{10}{370}$	$1.60 - 1.60 \times 0.0270 = 1.60 - 0.0432 = 1.6432$
50	0 = 2.50	0 = 2.50	0 = 2.50	$\frac{20}{400}$	$\frac{20}{400}$	$2.50 - 2.50 \times 0.0500 = 2.50 - 0.1250 = 2.6250$
60	0 = 3.60	0 = 3.60	0 = 3.60	$\frac{30}{430}$	$\frac{30}{430}$	$3.60 - 3.60 \times 0.0698 = 3.60 - 0.2513 = 3.8513$
70	0 = 4.90	0 = 4.90	0 = 4.90	$\frac{40}{460}$	$\frac{40}{460}$	$4.90 - 4.90 \times 0.0869 = 4.90 - 0.4258 = 5.3258$
80	0 = 6.40	0 = 6.40	0 = 6.40	$\frac{50}{490}$	$\frac{50}{490}$	$6.40 - 6.40 \times 0.1020 = 6.40 - 0.6528 = 7.0528$
90	0 = 8.10	0 = 8.10	0 = 8.10	$\frac{60}{520}$	$\frac{60}{520}$	$8.10 - 8.10 \times 0.1154 = 8.10 - 0.9347 = 9.0347$
100	0 = 10.00	0 = 10.00	0 = 10.00	$\frac{70}{550}$	$\frac{70}{550}$	$10.00 - 10.00 \times 0.1273 = 10.00 - 1.2727 = 11.2727$

Z powyższych dwóch szeregów cyfr, oznaczających zasadniczy bieg przyrostu miąższości zwartych drzewostanów (świerk i jodła) w klimatycznej strefie Podkarpacia bukowińskiego na IV klasie siedliska podług Mockera, wynika, że:

1) w drzewostanach świerkowych:

a) miąższości obliczamy ściśle zapomocą wzoru Denzina dla drzew o pierśnicy 30 cm tylko na tej klasie siedliska;

b) natomiast na tej samej klasie siedliska u drzew cieńszych otrzymujemy miąższość za wysoką, a mianowicie u drzew grubości 20 cm o 3.23% , a u drzew grubości 10 cm o 7.14% ;

c) miąższość drzew grubości wyżej 30 cm otrzymujemy podług Denzina stale za niską, a mianowicie na tej samej klasie siedliska

u drzew 40 cm grubości o . . .	2.70%
" 50 " " " . . .	5.00%
" 60 " " " . . .	6.98%
" 70 " " " . . .	8.69%
" 80 " " " . . .	10.20%
" 90 " " " . . .	11.54%
" 100 " " " . . .	12.73%

2) w drzewostanach jodłowych:

a) obliczamy miąższość podług Denzina ściśle u drzew o pierśnicy 26 cm na IV kl. siedliska podług Mockera;

b) na tej samej klasie siedliska u cieńszych drzew za wysoko, przy grubości 20 cm o 2.40⁰/₀, a przy grubości 10 cm o 6.40⁰/₀:

c) u grubszych drzew natomiast za nisko, a mianowicie:

u drzew grubości 30 cm o	1.60 ⁰ / ₀
" " 40 " "	5.60 ⁰ / ₀
" " 50 " "	9.60 ⁰ / ₀
" " 60 " "	13.60 ⁰ / ₀
" " 70 " "	17.60 ⁰ / ₀
" " 80 " "	21.60 ⁰ / ₀
" " 90 " "	25.60 ⁰ / ₀
" " 100 " "	29.60 ⁰ / ₀

A zatem w szeregach cyfr drzewostanów jodłowych wzrastają cyfry daleko szybciej, niż w świerkowych. Tłumaczy się to tem, że jodła strzałę swoją wcześniej i szybciej wypełnia, niż świerk.

Wyżej przedstawione rozważania nad biegiem przyrostu drzew w granicach tworzonych przez nie drzewostanów, prowadzą mnie ostatecznie do zaprojektowania następującej prostej metody pomiarowego wypośredkowania miąższości drzewostanów.

W drzewostanach, hodowanych w granicach tej samej strefy klimatycznej i tym samym sposobem gospodarstwa, należałoby przy okazji wyrębu zapomocą dokładnego pomiaru drzew w stanie już leżącym zestawić szeregi cyfr dla licznych drzewostanów tego samego typu, odmiennych jednak bonitacji siedliska cyfr, oznaczających miąższości poszczególnych stopni grubości, które wchodzi w skład danego drzewostanu. Jeden z tych

szeregów przyjąć należy za podstawowy, ujawnszy w nim wzajemny stosunek miąższości poszczególnych stopni grubości wyrazem formułkowym, podobnym do moich dwóch powyższych, opartych zasadniczo na prostym wzorze Denzina, jednakowoż z niezbędną do niego poprawką. Reszta ustalonych szeregów cyfr okaże się proporcjonalną do pierwszego szeregu, pomimo że poszczególne pozycje danych szeregów będą wyższe względnie niższe, niż w przyjętym szeregu podstawowym.

Aby wypośrodkować miąższość pewnego drzewostanu tego samego typu i w tej samej strefie klimatycznej położonego, postępować należy podług jednego z poniższych dwóch sposobów.

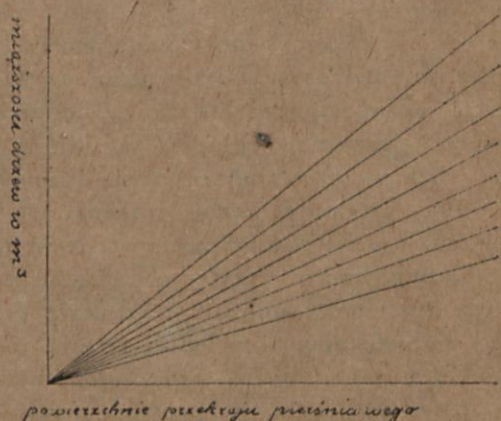
Podług pierwszego obliczamy tymczasowo miąższości poszczególnych stopni grubości według ustalonego wzoru podstawowego (podobnie jak przy wypośrodkowaniu miąższości drzewostanów świerkowych i jodłowych zapomocą wzorów moich, podanych w drugiej części niniejszej rozprawki), których suma odpowiada całkowitej miąższości składającego się z nich drzewostanu, poczem ustalamy liczbę stosunkową proporcjonalności między krzywą miąższości rzeczywistych i tymczasowo podług wzoru przyjętych. Ustalamy ją zapomocą indywidualnego pomiaru bądź drzewa przeciętnego dla całego drzewostanu, albo lepiej drzewa modelowego kilku (2 — 5) stopni grubości. Proporcjonalność tę oznaczamy w odsetkach cyfr, wyprowadzonych ze wzoru podstawowego. Zmniejszając lub zwiększając (podług wzoru) tymczasowo przyjętą (w każdym drzewostanie tego samego typu zresztą bez różnicy) miąższość drze-

wostanu w stosunku odsetka, wypośrodkowanego bez znacznego trudu na drzewach modelowych, otrzymamy rzeczywistą miąższość danego drzewostanu*).

Poprawkę tę przeprowadzić możnaby także sposobem graficznym.

Zastosowanie drugiego sposobu polega na zastąpieniu wyliczeń przez wypośrodkowanie graficzne, oparte na linii miąższości Kopeckiego.

Przy okazji wyrębu drzewostanów tego samego typu, ale hodowanych w odmiennych warunkach siedliskowych, mierzymy miąższości drzew poszczególnych stopni grubości w granicach danego drzewostanu. Na grafikonie (w dużej skali) wykreślamy otrzymane miąższości, jako



*) Zbieraniem szeregów cyfr, odpowiadających rozmaitym typom drzewostanu, zająć się przedewszystkiem powinny stacje doświadczalne.

rzędne, do powierzchni przekrojów na wysokości piersi, jako odciętych (a nie do pierśnicy). Połączenie punktów, tym sposobem ustalonych, będących częścią linii miąższości całego szeregu drzewostanów, doprowadza do systemu linii zupełnie równych, których wzajemny stosunek szablonowo uwydatnia rysunek umieszczony na str. 42.

Przystępując do wypośrodkowania miąższości drzewostanu, wystarczy na drzewach modelowych kilku stopni grubości pomierzyć i obliczyć odpowiadające im miąższości i porównać je z linjami miąższości na grafikonie dla danej strefy, poczem cyfry linii odpowiadającej danemu drzewostanowi, służą bezpośrednio do graficznego wypośrodkowania miąższości rzeczywistych.

Tak postępując, doszlibyśmy do ścisłych, prostych, bardzo niewiele czasu, trudu i kosztów wymagających, a na naukowych podstawach opartych metod wypośrodkowania miąższości drzewostanów. Zaoszczędzilibyśmy sobie także tak częstego powtarzania mozolnego i kosztownego pomiaru i obliczenia miąższości drzewostanów tych samych typów.

W porównaniu z metodą, zaproponowaną w drugiej części tej rozprawki, sposoby wypośrodkowania miąższości będące treścią trzeciej części, nie wymagają żadnego wyróżnienia klas wysokości. Sposoby te — jako metody pomiaru — są wypośrodkowaniem miąższości drzewostanów albo podług drzew modelowych dla stopni grubości (głównie wtedy, gdy stosowany zostaje sposób graficzny), albo podług drzew przeciętnych dla całego drzewostanu (wtedy, gdy rzeczywista miąższość cyfrowo zostaje wprowadzona).

Z drugiej strony zastosowanie metod, zaproponowanych zarówno z drugiej, jak i w trzeciej części niniejszej rozprawki, wymaga uprzedniego dokładnego zbadania biegu przyrostu drzew w drzewostanach, z uwzględnieniem strefy klimatycznej, rodzaju drzewa, sposobu ich hodowlanego traktowania. Zastosowanie tych metod możliwem przeto jest w lasach gospodarczo hodowanych, naogół równowiecznych i zwartych, nie jest natomiast możliwem w pierwoborze i w lasach stale bez systemu przerąbywanych.

MODRZEW POLSKI

jego znaczenie ze stanowiska leśnego oraz analiza pniowa.

Zamość 1922. Wydanie II.

W roku 1918 ukazała się praca pod powyższym tytułem. Ze względu na charakter wydawnictwa, w jakim została opublikowana, dotąd była ona niemal zupełnie nieznana leśnikom...

Prof. Jedliński, opierając się na obserwacjach botanicznych profesorów Raciborskiego i Szafera, zajął się zbadaniem modrzewia polskiego ze stanowiska leśnego, starając się poznać wymagania jego względem siedliska, zachowanie się jego względem swych gatunków w drzewostanie, wpływ tych gatunków na rozwój drzewa, budowę strzały, produkcję masy, wrzście wartość i trwałość drewna. Ostatecznym celem rozprawy było znalezienie odpowiedzi na pytanie, czy hodowla modrzewia polskiego w większych rozmiarach jest pożądana ze stanowiska gospodarstwa leśnego, względnie jakie sposoby hodowli winny być zastosowane...

...Pierwsza część pracy poświęcona jest szczegółowemu podkreśleniu różnic morfologicznych, cechujących modrzew polski w porównaniu z modrzewiem europejskim, oraz omówieniu budowy jego korony, strzały, szypek i kwiatów, właściwości kory i drewna szczególnie twardego.

Biorąc pod uwagę warunki siedliska w jakich modrzew nasz utrzymał się w postaci drzewostanu na górze chełmowej, w następnych dwóch rozdziałach zastanawia się autor nad cechami biologicznymi tego drze-

wa. Porównywa wymagania rodzimego modrzewia z europejskim co do siedliska, zachowania się jego względem światła w drzewostanie czystym lub mieszanym, jakoteż w skupieniach obrzednich i zwartych. Omawia następnie wpływ modrzewia polskiego na glebę w drzewostanie czystym i mieszanym z gatunkami znoszącymi ocienienie, wreszcie jego wzrost w różnych formach skupienia i w stosunku do innych gatunków drzew, szczególnie do sosny.

Opierając się na badaniach i pomiarach, wykonanych na modrzewiach, które wzrosły w czystych i mieszanych drzewostanach, dochodzi autor ostatecznie do wyników, mających niezależnie od swej wartości teoretycznej znaczenie praktyczne dla hodowli jego gatunku w lesie.

Następną część swej pracy poświęca autor analizie pniowej, wykonanej na drzewie modelowym czystego drzewostanu modrzewiowego. Analiza ta, nadzwyczaj szczegółowa, dała bardzo ciekawe wyniki, dokładnie zilustrowane w 8 tabelach i 14 tablicach graficznych. Zaciekawia ona tem bardziej, że poraz pierwszy odnośnie do modrzewia polskiego z nią się spotykamy.

Z wyniku badań biologicznych i analizy pniowej wysuwa prof. Jedliński w ostatnim rozdziale swej książki wnioski leśno-gospodarcze.

Ze względu na przynależność modrzewia polskiego do gatunków światłożądnych, uprawie ręcznej zapomocą gęstego sadzenia należy dać pierwszeństwo przed samosiewem. O ile to jest możliwe, uprawa powinna być wykonana w doniczkach z gatunkami, znoszącymi ocienienie, przedewszystkiem z jodłą lub bukiem tak, aby w wieku rębności udział modrzewia nie przewyższał 60%.

Udział modrzewia polskiego w drzewostanach mieszanych, składających się z gatunków światłożądnych, jest mniej celowy, gdyż gatunki te nie są w stanie wywierać takiego wpływu na kształtowanie się modrzewia, jak gatunki, znoszące ocienienie.

W dalszym ciągu wskazuje autor, w jakich wypadkach należałoby zakładać czyste drzewostany modrzewiowe, jak wykonywać mieszaniny jednostkowe i kępiaste. Omówiwszy następnie rodzaje gleb, odpowiadających hodowli modrzewia polskiego, wskazuje autor tereny, na których takowa byłaby możliwa i pożądana. Autor pragnie wyjść poza szczupłe granice, w których modrzew polski obecnie występuje, i widzieć go wszędzie, gdzie warunki siedliska na to pozwolą, a zatem na Mazowszu, Kujawach, Podlasiu, na wyżynach Lubelskiej, Wieluńskiej i Łódzkiej, u podnóża Karpat, w samych Karpatach, a nawet na północno-wschodnich kresach naszych—w Grodzieńszczyźnie i Wileńszczyźnie.

Wskazówkami, dotyczącymi pielęgnowania drzewostanów modrzewiowych i kolei rębności, kończy autor swoją pracę.

Za uumiłowanie przedmiotu, sumienne opracowanie tematu, omawiającego jeden z najpiękniejszych — a niestety ginących — gatunków drzew naszych, należy się autorowi wdzięczność.

Książka prof. Jedlińskiego winna nie tylko znaleźć się w ręku każdego leśnika, lecz pobudzić do pracy nad hodowlą modrzewia polskiego, aby z czasem spełniło się życzenie autora, „by wróciła świetna przeszłość *Larix polonica* w Polsce i zaszumiały znów rozległe, potężne drzewostany, cenniejsze jeszcze nawet, niż wspariałe lasy jodłowe na Podkarpaciu“.

Jan Kłoska

(*Las Polski* — Nr. 2 — Luty 1922).

ERRATA

	zamiast	winno być
Str. 16 wiersz 9 od dołu — wysokość b (2 razy) —		wysokość d
„ 29 „ 2 od dołu — pierścieni —		pierściny

MARCELI HANDELSMAN

W PIĄTYM PUŁKU LEGJONÓW

DWA MIESIĄCE OFENSYWY
LITEWSKO-BIAŁORUSKIEJ



ZAMOŚĆ

ZYGMUNT POMARAŃSKI I SPÓŁKA

Kolegom moim

*Gustawowi Przychockiemu, majorowi artylerji,
Stanisławowi Szoberowi, szer. ochot. 201 p. a. p.
ofiarowuję.*

OKŁADKĘ RYSOWAŁ PORUCZNIK T. KAMIŃSKI

*WYKONANO W TŁOCZNI WACŁAWA PIEKARNIAKA
W WARSZAWIE* *IV. 1921*

Było to w początkach lipca. Bolszewicy zbliżali się coraz bardziej, wojska nasze cofały się, przychodziły wieści ciężkie: po Wilnie padło Grodno, Białystok już zagrożony. Powstała R. O. P. Naczelnny Wódz wzywał w jej imieniu ochotników. Już się formowała armja ochotnicza, powstawał z dwuchsetnych pułk pierwszy, do którego zapisywała się inteligencja, skupiona koło osoby Piłsudskiego. Niebezpieczeństwo najazdu staowało przed oczyma wszystkich, nawet przed oczyma Warszawy, która wreszcie zmieniła swój wygląd zewnętrzny.

W rozmowie z jednym z kolegów zastanawialiśmy się wówczas nad motywami, które popychały do szeregów 201 o. p. p. Nie potrafię dzisiaj odtworzyć nastroju tej rozmowy, w schemacie zaledwo przypomnę zasadniczy jej bieg myśli. Wojna z czerwoną armją rosyjską miała wtedy podwójne znaczenie. Była obroną Polski, zagrożonej przez nową postać Rosji, która, jak zawsze, obłudnie odmawiała nam prawa do bytu w formie

przez nas upragnionej i w zgodzie z dawnymi praktykami mikołajowsko-aleksandrowskimi przynosiła uszczęśliwienie tym razem sowieckie, według swojej recepty wszechrosyjskiej. Była obroną przed rewolucją socjalną, narzucaną z zewnątrz, która pragnęła i nas napiętnować swoim specyficznym systemem bosiackim, z wyłączeniem doszczętnym inteligencji nie należącej do rządzącego kościoła bolszewickiego, z wyniszczeniem za tym wszelkiej inteligencji u nas. Jako inteligencja, która przez długie lata jedyna w Polsce głosiła hasło niepodległości własnego państwa, mieliśmy obecnie obowiązek przypiecztowania krwią tej prawdy, mieliśmy obowiązek bezpośredniej walki za Ojczyznę. Mieliśmy nadto obowiązek obrony kultury przed najazdem barbarzyństwa, obowiązek stwierdzenia zdolności „inteligencji” naszej do życia, zaprzeczenia ceniom nawet podobieństwa do bezsilnej i nieudolnej t. zw. inteligencji rosyjskiej. I gdybyśmy w wojnie tej nawet ulec mieli, sam fakt walki na śmierć i życie — byłby dowodem nowym, dla następnych pokoleń ożywym na rzecz Polski niepodległej i własnej kultury naszej.

W kilkanaście dni później, kiedy wypadki na froncie zaczęły przybierać formę katastrofy, prze-

kazując obowiązki swoje miałem sposobność mówienia z prof. C., wybitnym specjalistą, w ostatnich czasach zaznaczonym w polityce kierunku narodowo-demokratycznego. Wyrażał on obawy, czy nie ubożymy sami kultury, czy rękami własnymi nie przygotowujemy gruntu, dla owej pustyni inteligencji, tak pożądanej przez bolszewików, czy zamiast iść do szeregów, nie powinniśmy i teraz w obliczu niebezpieczeństwa trwać przy swych ogniskach naukowych, czy nie wybieramy czasem decyzji łatwiejszej, i czy na wypadek najwyższego niebezpieczeństwa nie należało ratować warsztatów i zachowywać przy nich pracowników, zdolnych do ich użycia.

Postawiona między dwoma biegunami troski o przyszłość narodową inteligencja nasza setkami, tysiącami, zapisywała się do pułków, dziesiątkami znaczyła pola walk krwią swoją.

Idąc do wojska, jako historyk, myślałem o tym, ażeby, o ile wojnę przetrwam, zachować wierne wspomnienie przeżyć przeciętnego inteligenta polskiego w dobie wysiłku całego narodu, latem i jesienią 1920 r. Porwany chaosem okresu przygotowawczego, przerzucany z miejsca na miejsce, co dnia na nowo uczony od początku tych samych „zasadniczych“ rzeczy musztry formal-

nej, w warunkach życia koszarowego, nie pozwalających — mimo wyjątkowej uprzejmości oficerów, z którą się stale spotykałem — nie tylko na skupienie, lecz na myślenie elementarne, w warunkach istnienia zewnętrznego materialnego, urągających wymaganiom najprostszym skromnego nawet człowieka kulturalnego, nie mogłem notować przeżyć swoich i swych towarzyszków. Potym zostałem wyrwany rozkazem z koszar i wraz z oddziałem ochotników i ozdrowieńców wyjechałem na front. Jechaliśmy drogą okólną: z Warszawy przez Kraków, Przeworsk, Lublin, Siedlce, Platerów, szliśmy przez Bielsk, Białystok, Osowiec na Janów Grodzieński, gdzie po dwu tygodniach dogoniliśmy własny pułk. Sytuacja była zupełnie zmieniona; po rzekomej klęsce przyszły dni prawdziwego tryumfu, dni zwycięstw, które nam miały odtąd towarzyszyć do końca. Nastrój nasz zmienił się zasadniczo: podniecenie spowodowane powodzeniem wojsk naszych potęgowało się jeszcze bardziej w chwili bezpośredniego zetknięcia się z nimi. Los zgłotał nam szczęśliwe wejście w służbę frontową: 1 września, w dzień cudowny, przeszycony blaskiem słonecznym i błękitem nieba, po uroczystej mszy polowej rozdawał przed kościołem w Ja-

nowie gen. Rydz-Śmigły I-ej dywizji legjonowej pierwsze krzyże „Virtuti Militari“.

Powracałem pamięcią do ciężkich dni lipcowych, i nie odnajdowałem w sobie wspomnień dawnych. Zatarły się, zbladły, zmały, zanikły. Wtedy to odczułem z nadzwyczajną wyrazistością to, co wiedziałem teoretycznie oddawna, wtedy z całą ostrością zrozumiałem bezwartościowość Pamiętników, spisywanych w czasie późniejszym, nawet na podstawie dziennika współczesnego. Minęło zaledwie sześć tygodni, wprawdzie życia, bogatego treścią wewnętrzną i zewnętrzną, zaledwie kilkadziesiąt dni oddzielało mnie od decyzji, którą wydawała mi się najdonioślejszą, a ja nie byłem w stanie odtworzyć w szczegółach zdarzeń, które minęły, nie mogłem w sobie odbudować nastrojów, przeżyć tak niedawnych, zdawałoby się, a tak już odległych. W rękę miałem suchy tylko wykaz dat i miejscowości pobytu, który prowadziłem od początku. O wypełnieniu tego schematu treścią żywą nie mogłem marzyć. Zarzuciłem więc zamiar pierwotny.

Jeżeli podjąłem go obecnie, to podjąłem w postaci zgoła odmiennej i o innym zupełnie zakresie, w ramach, które wypełnić pozwala mi mo-

je doświadczenie wojenne oraz poczucie względności własnej obserwacji i ograniczonej możliwości przekazywania rzeczy, przez siebie widzianych, „sumienie“ historyka-obszrywatora, które w obliczu zadań wojennych nie przestawało pracować.

Dla obserwacji zajmowałem pozycję wyjątkowo korzystną i posiadałem warunki pracy ogromnie ułatwione. Jako szeregowiec, miałem dostęp do kolegów szeregowców. Żyłem, mieszkalem, jadałem, jak wszyscy. Te same kłopoty postojów i marszów wytrwarzają wspólną sferę zainteresowań, i otwierają dostęp do wnętrza ludzkiego, które raz otwarte pozostaje nim i wtedy, kiedy nie tylko życie codzienne, materialne — będzie przedmiotem rozmowy. Jako w pułku jeden z najstarszych, mogłem być powiernikiem trosk, choć nie byłem już bezpośrednim uczestnikiem rozrywek młodych towarzyszków broni. — Obdarzony zaufaniem dowódcy, powołany zostałem na stanowisko pułkowego referenta oświatowego, zyskałem możliwość rozszerzenia pola obserwacji z tytułu swego obowiązku, wszedłem w stosunki ze wszystkimi oddziałami. Mimo braku szarży traktowany przez oficerów po koleżeńsku, towarzyszyłem poszczególnym kompaniom w ich trudach marszowych i akcji, w ich pracach

i zabawach. Widziałem je w ogniu i podczas odpoczynku, poznawałem ich właściwości, przyzwyczajenia i nałogi, starałem się je zrozumieć i odczuć, i mam to przeświadczenie, że cel ten udało mi się osiągnąć. Każdy żołnierz ma ograniczoną sferę widzenia, i ja ją miałem w zasadzie ograniczoną, w każdym razie pole mego patrzenia rozszerzało się z jednego odcinka sekcyjnego na odcinek kompanji, baonu czy pułku, moja obserwacja i moja znajomość wypadków ogarnąć mogły bez porównania rozleglejszy horyzont. Od szeregu lat badając dzieje czasów napoleońskich, studiując źródła z tego okresu wojennego, listy, meldunki, raporty, pamiętniki, w pułku znalazłem żywe ludzkie dopełnienie tego, co wyczytałem w papierach starych. Zwracając się z serdecznym uczuciem do kolegów szedłem ku nim z głębokim zainteresowaniem, z pragnieniem wejrzenia w głąb ich dusz, jako ludzi, idących na śmierć za ojczyznę, jako cząstek wielkiej psychicznej całości, którą jest armja. Mam to przeświadczenie, że w głąb tej psychiki było mi danem wejrzyć.

Ten świat wewnętrzny żołnierza, z którym żyłem się całkowicie, i środowisko ludzkie, wśród którego miał on działać, staram się odtworzyć na kartach poniższych.

Nie są one wspomnieniami właściwemi woj-

skowo-wojennemi „cywila“, który na krótko wpadł nagle pośród żołnierzy, nie są zbiorem opisów zdarzeń i wypadków, poruszeń i akcji. Są próbą charakterystyki psychologicznej żołnierskiej, poza frontem nieznanej, która, mam wrażenie, za parę lat wydawać się będzie przyszłemu naszemu społeczeństwu pokojowemu tak samo egzotyczną, jak obecnie nienormalnym wydaje się stan bez wojny. — Rozumiem, że w charakterystyce dawałem się unieść sympatji i pewnej stronności na korzyść swych kolegów, na korzyść niektórych rodzajów służby w pułku, uważam jednak, że sympatja jest kluczem najlepszym, a może jedynym otwierającym dostęp do psychiki cudzej. A przecie nie wyklucza ona ostrości wzroku, raczej przeciwnie, widzianym obrazom nadaje koloryt odpowiednio ciepły.

Ten „ton“ serdeczny — to jedynie spłacany przezemnie w sposób nader skromny dług wdzięczności, który zaciągnąłem wobec dowództwa, oficerów i zwłaszcza wobec szeregowców 5 p. p. Leg. w niezapomnianych dniach wspólnie przebytej ofensywy litewsko-białoruskiej.

NASI PRZECIWNICY.

I.

Po raz pierwszy zobaczyłem bolszewików na stacji kolejowej w Lublinie. Opuszczaliśmy dworzec warszawski w chwili dla stolicy najgroźniejszej, w momencie największego zbliżenia przeciwnika, z 14 na 15 sierpnia, a w parę dni, wypełnionych całkowicie drogą, znaleźliśmy się w obliczu dowodów żywych upadku wroga. Nie zapomnę nigdy pierwszego wrażenia, które odtąd umacniało się we mnie. Na dworcu lubelskim stała spędzona, jak gdyby w jeden kąt stłoczona, masa twarzy i płaszców szaropiaszczystych. Bezbarwne, spłowiałe, nędzne i zatrwożone zwierzę ludzkie, wówczas jeszcze pełne strachu, wyczekiwanie rzeczy najgorszych i niedowierzające, że to najgorsze już minęło, schodzące z drogi i potulne, ciemne i bezsilne, a zwłaszcza wygłodniałe, stworzenie, mówiące głosem ludzkim, a do człowieka niepodobne, takim był ów straszny prze-

ciwnik, widziany z bliska — w dniu jego klęski. Takim pozostał do końca *).

Taktyka naszego dowództwa polegała na tym, ażeby nawet wtedy, kiedy walk zdecydowanych, czy stanowczych nie było, demoralizować przeciwnika, nękać go i niszczyć moralnie, doprowadzając do stanu zdenerwowania zupełnego, które może się wkraść w szeregi nawet wojsk najlepszych. Przez nieustanne wypadki nocne, przez zdobywanie miast i wsi, które się nazajutrz opuszczało, by wciągnąć wroga z powrotem tam, gdzie był wczoraj i gdzie wypędzony jutro znowu będzie musiał się zjawić za dni kilka, przez wycieczki małych oddziałów na wysunięte placówki nieprzyjaciela dniem i nocą, dowództwo nasze stwarzało pod Grodnem stan niepewności stałej dla wroga. Żołnierz bolszewicki w każdej chwili liczył, że znajdzie się wojsko nasze przed nim,

*) W ciągu dwóch miesięcy pobytu mego na froncie, znajdowałem się w obliczu armji, działających tylko na północy: we wrześniu pod Grodnem, pod koniec tego miesiąca i w październiku pod Lidą i nad górnym Niemnem. W ciągu tego okresu pułk nasz miał do czynienia, o ile oprzeć się na własnej obserwacji i na obserwacji innych, znajomych mi żołnierzy, tylko z armjami z poboru. Komunistycznych oddziałów nie było, nie było zatem formacji ochotniczych, na których podobno opierała się cała siła nacisku bolszewickiego. Sąd więc mój z natury terenu jest ograniczonym. O charakterze bojowym przeciwnika nie mogę również wyrokować, zbyt skromne jest moje doświadczenie osobiste i moja wiedza wojskowa. Ograniczam się zatem tylko do wrażeń.

a może i za nim, — i nie był w stanie zdobyć się na jakiś odpór energiczny.

Z przeciwnikiem podobnie zdemoralizowanym mieliśmy do czynienia pod Lidą. Zachodził go od strony północno-wschodniej, gdzieś głęboko na jego tyłach, odcinając wojska już wycofane na Mołodeczno, Mińsk i Baranowicze od mas bolszewickich, spieszących z południo-zachodu, a pędzonych od Grodna przez inne grupy nasze. Wróg cofał się pod naciskiem naszej armji, spieszył, by wydostać się z matni, której istnienia się spodziewał, i znajdował przed sobą zaporę. Bronił się, albo raczej przebijał, lecz w masach swych żołnierskich nie wierzył w możliwość powodzenia. Psychicznie już był zwyciężony, i szedł tylko pod naciskiem rozkazu.

Wreszcie i w fazie ostatniej, w okresie pościgu za cofającym się na południe przeciwnikiem, który, jak pisano, miał się umocnić nad górnym Niemnem, a który naprawdę niszczył przeprawy przez Niemen, Serwecz, Uszę, Dzitwę i wszelkie wogóle strumyki, wojska nasze tuż tuż nacierały na bolszewików, goniąc im po piętach, chwytając ich oddziały tylne, zamykając odwrót zabłądzonym, rozbijając panczerki i t. p. Wróg cofał się spokojnie, bez paniki, broniąc się i osłaniając swe tyły, wydobył znaczne części swych taborów, nie poddał się ucieczce bezładnej, trzymał zatym swego żołnierza jeszcze mocno, lecz żołnierzowi temu nie mógł wlać w duszę wiary w możliwość oporu.

Sytuacja jeszcze się pogorszyła od chwili rozpoczęcia rokowań w Rydze: żołnierz bolszewicki czekał wieści o rozejmie z drżeniem, zapowiadał codziennie zahamowanie działań wojennych i trzymał się tylko przeświadczeniem, że jeszcze parę dni wysiłku, a wszystko się skończy. Taki żołnierz już oczywiście przeciwnikiem nie był.

Demoralizacja wszczepiona przez naszą taktykę pod Grodnem dała rychło swoje owoce. Żołnierz bolszewicki źle wyćwiczony i świeżo spędzony z różnych części Rosji nie wystawiał posterunków i nie umiał bronić się przeciw nocnym napadom. Początkowo opierał się, wyzyskując czasem położenie geograficzne, zajmowane przez siebie wzgórza, dominujące nad nizinnymi mokradłami i terenami błotnistymi, przez które musieli brnąć ku nim żołnierze nasi. Później opór słabł: jedno hura! naszych oddziałów, zjawiających się w pobliżu stodół, które zajmowały bataljony bolszewickie, wymiana pojedynczych strzałów i cała „rota“ szła do niewoli, rzucając „wintowki“.

Walka pod Lidą była cięższa. Rosjanie szli wielką masą i usiłowali samą masą przedostać się przez stawianą im przeszkodę. Odcinając im odwrót, wojska nasze były same odcięte i z prawej i z lewej strony od łączności z innymi grupami, wisiały jak gdyby w powietrzu, mając i za sobą i przed sobą wroga. Nie dochodząc do Lidy już starły się z poszczególnymi oddziałami bolszewi-

ków, które po krótkiej walce składały broń. Lide zajęły po ciężkim boju, spychając nieprzyjaciela w kierunku jego punktu wyjścia. A po zajęciu miasta wytrzymać musiały przez pierwszą połowę nocy, do końca 28 września, nieustanne ataki i kanonadę armatnią bolszewików. Przekonawszy się o niemożności przełamania oporu, wróg od północy (29-go) przestał atakować, przestał wierzyć w możliwość walki. Żołnierze jego rzucali broń. Byli złamani, zaczęli się masowo poddawać. Bitwa się skończyła. Setki, potym tysiące jeńców płynęły do miasta. Poranne słońce, z trudem przebijające opalowe, już jesienne mgły, oświeślało dziwnym światłem wielki podwórzec zamku Gedymina, wypełniony tym samym szarym tłumem jeńców, których widziałem poraz pierwszy w Lublinie. A tymczasem, szły coraz to nowe rzesze jeńców, szły bez końca przez cały ranek i południe, dnia 29, szły wciąż, wlewając się we wewnętrzne zamku twórcy potęgi litewskiej, nawet wtedy, kiedy zerwani rozkazem dowództwa ruszaliśmy dalej w kierunku południowo-wschodnim, w pościgu za cofającym się nieprzyjacielem.

I tu poraz pierwszy natknęliśmy się na prawdziwego przeciwnika. Cofając się z żołnierzem rozbitym moralnie, bolszewicy nie wypuszczali z rąk swoich inicjatywy obrony, niszczyli mosty, wstrzymywali nacisk, mocno gryźli nadciągające wojska nasze, stopniowo słabnąc w oporze, w miarę posuwania się naprzód. Pierwszego za-

raz dnia spotkali nas nadciągających na Sielce mocnym ogniem maszynek i kartaczami, które w ciągu kilku godzin zasypywali wycelowany wprost na zerwane przez nich mosty trakt i skracającą wzdłuż Niemna w tym miejscu ulicę główną miasteczka, zajmowanego przez nas w nocy. Wycofali w ciągu doby ubiegłej swoje siły, które podobno trzema szeregami waliły i od Bielicy i od Lidy przez kilka dni z rzędu, wysadzili w powietrze mosty, zbudowane w ostatnich czasach z wielkim nakładem pracy — żelazny most kolejowy był jeszcze przez nas wysadzony za poprzedniego odwrotu — i opóźnili nasz pościg co najmniej o godz. 12.

Drugim ciężkim momentem było forsowanie przejścia przez Serwecz, równocześnie dokonywane w miejscu głównym wprost Korelicz przez 1 p. p. Leg., na lewo wprost Krasnego Siela przez 1/5 p. p. Leg. Zajmując dawne okopy jeszcze z czasów wojny niemieckiej, pustoszyli bolszewicy nadciągające kompanie dzielnego I pułku. Następnie cofając się, skutkiem równoległego oskrzydlenia z prawej strony i z lewej, gdzie mimo dojmującego zimna, i ostrego wiatru, 1 baon naszego pułku, zrzucawszy ubranie nago pod ogniem przeciwnika zdobywał rzekę, znaczyli powolny swój odwrót dziesiątkami rannych i zabitych, naszych i swoich, oraz setkami jeńców, pozostawionych w naszym ręku. Tamże zniszczyli osobiwy w tym miejscu most na Serweczu. Długa kilku-

wiorstowa tama pomiędzy moczarami, zakończona szerokimi i długimi mostami po obu końcach na dwu korytach rozlewających się w błotnistą dolinę — miała obecnie zniszczone częściowo oba dostępy. Od Korelicz most był zerwany po stronie bolszewickiej, na drugim końcu tamy pomiędzy nią a mostem otwierała się przepaść niezbyt zresztą głęboka.

Rzuconą obok mostu kładka z jednej deski, pozwoliła wojskom naszym po kilkugodzinnej przerwie pospieszyć za nieprzyjacielem i w porę dogonić go nad Uszą. Krótka stanowcza walka poprowadzona przez karabiny maszynowe 1/5 p. p. Leg. na wzgórzach, dominujących nad rzeką, potym uderzenie na most i bohaterski czyn ppor. Liszki, wyciągającego lont palący się, uratowały przejście i pozwoliły wojskom naszym dostać się dnia tego po marszu forsownym do Miru.

Nazajutrz—mieliśmy zająć przeprawę przez Niemen pod Mikołajowszczyzną. Po drodze wspa-
niały pojedynek pomiędzy naszą artylerją polową, ustawioną na wzgórzach wiodących do linii kolejowej i na samym torze szlaku Mińsk-Baranowicze, a pancerką, trafioną za trzecim strzałem, rozbijającym jej parowóz. Obsada jej mimo to ostrzeliwała naszą pozycję i nadciągające oddziały piechoty, zdążyła w powietrze wysadzić wozy z amunicją i całkowicie wycofała się z pociągu. Przeprawę pod Mikołajowszczyzną zajęliśmy; nieprzyjaciół jednakże zdążył się i tu wydobyć, zosta-

Handelsman: W piątym pułku Legionów.

wiając zaledwie kilkuset jeńców w naszych rękach.

Wreszcie ostatni łup — już po podpisaniu preliminarzy pokojowych—,zafasowany“ w drodze z pod Turca do Radoszkowic i Zabrzezia, cały pułk bolszewicki, tym razem już niezdolny do oporu i wysiłków, jak poprzednio. Żołnierz bolszewicki skończył swoje zadanie, z chwilą, kiedy dowiedział się, iż rozejm podpisano,—do momentu wejścia w życie rozejmu na posterunku trwać nie umiał.

Dla całego owego okresu walk jesiennych, przygrywki pod Grodnem i naszej ofensywy, zaczętej 15 września, a zakończonej ustaleniem się linii rozejmowej, symptomatycznym specyficznym zjawiskiem będzie nie bolszewik — walczący, lecz jeniec bolszewicki, liczący się na setki, dochodzące do tysięcy w pierwszym okresie, liczący się na tysiące i dziesiątki tysięcy pod Lidą i znowu w nieustannie rosnących setkach brany w fazie trzeciej. To też myśląc o bolszewikach dzisiaj, widzę zawsze owe niekończące się sznury coraz to nędzniejszych postaci od pierwszego zetknięcia w gorący dzień sierpniowy, aż do ostatniego spotkania w smutny wieczór zimowy w Lidzie: szli drogą dworcową, zziębnięci, zawinięci w swe szmaty, bezbronni, deptali błoto coraz czarniejsze, zasypywani gęstymi płatami śniegu, który nie bielił, lecz jeszcze bardziej szarzył ich postacie zszarzałe.

Widziałem ich bardzo wielu, rozmawiałem z wielu — spotykałem wyłącznie poborowych i wśród szeregowców i wśród szarż, pochodzących ze wszystkich stron, z Syberji, z północy, z Litwy, z Wołynia i Ukrainy. Brakło tam zupełnie żywiołu ochotniczego i elementów centralnowielkorosyjskich. Przeważali obcy: Białorusini i Ukraińcy na pierwszym miejscu, potem szli różni kresowcy — z Kaukazu np., dawni oficerowie Kołczaka i Denikina, dziś napółdobrowolnie, napółprzymusowo wciągnięci do służby, Kozacy i Lezgini, całe owo etnograficzne muzeum, nad którym po dawnemu pragną panować ci z centrum Rosji. Komunisty nie spotkałem ani jednego.

Nastrój żołnierza w niewoli musi być zawsze ciężki: nawet człowiek, walczący za cudzą sprawę, lecz człowiek z godnością — przez niewolę czuje się w swej godności upokorzonym. Inaczej wyglądał jeniec bolszewicki: z wyjątkiem Ukraińców, wszyscy inni pozbawieni szczypty osobistej godności, płaszczyli się i w podłości nawzajem siebie prześcigali. Każdy z nich „zaiskiwał i podlizczał“, mówiąc ich językiem, każdy zapewniał o tym, że siłą go wzięli do wojska, że on wojny nie chciał, że umyślnie się poddał i t. p. Może w tym i była prawda, lecz ta szczerość, nieraz cyniczna — miast współczucia, które wywołać pragnął ten urodzony „rab“ w człowieku wolnym, wywoływać musiała tylko pogardę. Nie zapomnę

wrażenia, jakie odniosłem w Białymstoku, jeszcze w sierpniu. Wojska nasze przed paru dopiero dniami zajęły miasto, walki odbywały się jeszcze w jego promieniu. Któregoś dnia sprowadzono na dworzec, gdzie na rampie stały w równym szeregu zdobyte polówki rosyjskie, artylerię bolszewicką, zagarniętą świeżo przez kawalerję naszą pod Sokólką. Od miasta zajeżdżała w pełnej uprzęży z nietkniętą amunicją, powożona przez własną obsadę baterja nieprzyjacielska: zajechała i ustawiła się w szeregu dział już tam stojących. A żołnierz rosyjski z najzimniejszą krwią zaczął upewniać, śmiejąc się w swej szczerości, że ma dosyć wojny i nie chce się dawać ani głodzić, ani zabijać. Rozumiałem pożytek tego nastroju dla nas, jako Polak; jako człowiek, chciałem plunąć w pysk temu niewolnikowi.

Niewolnikiem bowiem był on i w niewoli i na wolności. Z chwilą kiedy się dostał do nas, nie znajdował słów nienawiści przeciwko bolszewikom i żydom. A z tych jego ostrych wystąpień przeciw komunistom wyzierał nie tylko lęk przed nami, wyzierał nieprzeparty strach przed własnym komisarzem. Jeden bezbronny człowiek, komisarz, trzymał w garści cały pułk — i jego dowództwo i jego podkomendnych. Wszystko przed nim drżało: on kierował z poza pleców pułkownika, on rządził wszystkim. Nikt nie śmiał mu się przeciwzić. Na zapytanie, czemu pozwalacie się teroryzować pojedynczym ludziom, jeżeli

są wszyscy waszych poglądów, jeżeli posiadacie broń, jeżeli was głodzą i posyłają na śmierć, jeżeli komisarze dbają tylko o siebie, otrzymałem bardzo charakterystyczną odpowiedź. „Jakże możemy się zbuntować, przecież jeżeli zabijemy naszego komisarza, to oni — nie wiadomo tylko o kogo chodzi — to oni zemszczą się na naszych rodzinach, to oni zabiorą nam ziemię i t. d.“. Strachem niewolników niezdolnych do oporu, i zdecydowaniem przywódców, gotowych do wszelkiego gwałtu, trzyma się cała armja i cały system państwa carów czerwonych. Nie terror faktyczny, lecz terror psychiczny jest więzią nowego ustroju, który pod względem istoty swojej spójni, odziedziczony po szeregu stuleci, jest spadkobiercą bezpośrednim dawnego.

Jakim był prawdziwy stosunek bolszewików do nas, określić nie mogę. Szli oni wszyscy „w Aarszawu“. Tam miał być koniec udręki woj-skowej i niedojadania, tam miał być chleb, cukier i kobiety. Powodzenia ich, mimo pewnego zapału, trochę dziwiły ich samych. Późniejsza klęska wydawała im się zupełnie naturalną. Bali się „pańskiego“ wojska, przedewszystkiem dla tych wszystkich okropności, które u nich rozpuszczano o postępowaniu naszym z jeńcami. Łagodności żołnierza naszego dziwili się bardzo i mimo niewoli przyznawali się do niesłychanych łotrstw, dokonywanych na jeńcach przez siebie wziętych, zresztą całą odpowiedzialność za ten sadyzm zwa-

lajac na swoich komisarzy. Stopniowo, wśród bolszewików utrwalalo się przeświadczenie, że niewola u nas to ratunek dla pragnących utrzymać się przy życiu. Nasza propaganda robiła swoje. „Propusk w plen“, wyrzucany przez nasze aeroplany, zapewniający bezpieczeństwo tym, którzy w ciągu dni 10 oddadzą się do niewoli, działał magicznie: chowali go skrzętnie i okazywali z chwilą pochwycenia przez patrole nasze. Pod koniec wiedzieli również, że kto się sam oddaje do niewoli, podlega innym warunkom, niż zwykły jeńiec, i domagali się, aby notowano ten szczegół w ich papierach ewidencyjnych. Byli wśród nich i tacy, którzy naprawdę pragnęli dostać się do nas, uważając niewolę za etap, prowadzący do Wrangla. — Czystej krwi czarna sotnia, doskonali oficerowie w walce z nami w okresie ofensywy, z chwilą załamania się szczęścia wojennego przechodzili na naszą stronę, licząc na solidarność „białych ideałów“. Zarówno oni, mimo niezaprzeczanej dzielności bojowej osobistej, jak i szary tłum nędzarzy rosyjskich, którzy bali się wojny, jak piekła, posiadali jedną wspólną cechę, którą gotowem nazwać narodową: zupełny brak charakteru, tak jaskrawo odbijający od tego, co wiemy o przywódcach bolszewizmu, jedynych w Rosji ludziach o fizjonomji zdecydowanej, wikingach-przybyszach, dziś jak przed wiekami, na przeimocy opierających swą władzę nad bezsilną a obcą im Rosją.

II.

Pod Kuźnicą, Augustowem czy Sejnam, w Lidzkim, Nowogródzkim lub nawet Mińskim mieliśmy do czynienia z ludnością życzliwą, obcą białoruską lub własną, nieraz po bohatersku oddaną, jak zwłaszcza na pograniczu litewskim, i po miasteczkach. Ludność nieprzyjacielską poznaliśmy na poł. wschód od Sejn w kierunku Druskiennik i na wschód od Niemna mniej więcej poza Szumy.

„Ludność nieprzyjacielska“ — to jednak nie jest określenie właściwe, raczej ludność mówiąca językiem niezrozumiałym, językiem nieprzyjaciela, w którego obliczu znaleźliśmy się całkiem niespodzianie i dla niego i dla nas na brzegu Czarnej Hańczy.

Manewrującemu w ciągu długich godzin wzdłuż nieprzebytych lasów, pokrywających jedną zwartą masą całą przestrzeń na obu brzegach Niemna, przedzierającemu się przez gęstwinę drzew, które schodzą wprost nad przepyszne jeziora, nasuwało się porównanie, narzucało sformułowanie, które kiedyś powstało w myśli mojej po zwiedzeniu Muzeum Czartoryskich. „Jakże bogatą jest i ta kultura polska, i ta ziemia polska, jeżeli po przejściu tych wszystkich, którzy ją trzebili od wieku, pozostało tyle wspaniałości“.

Wsie litewskie, położone na tym pograniczu polskim i białoruskim, nawet od właściwego rdze-

nia litewskiego oderwane, raczej wyspy, czy forpocztę litewskie, w obcym leżące środowisku toną w sędziwych, a mocnych lasach. Przypomina się mićkiewiczowskie:

Drzewa moje ojczyste, jeśli niebo zdarzy

Bym wrócił was oglądać, przyjaciele starzy —

Czyli was znajdę jeszcze? Czy dotąd żyjecie?

Utopione w gęstwinie leśnej, oderwane od macierzy litewskiej, przejście od Litwy właściwej do Polski, są owe wsie ukraińskie i w typie swoim i w charakterze ludności przez to bardziej może litewskie niż sama Litwa, cecha, która w sposób podobny wyróżnia wszelkie kresowe wsie polskie ich polskością ostro zarysowaną, jaskrawą.

Wsie mroczne, długie, zagęszczone, ciągnące się podwójnym szeregiem zapadających się omszałych chałup wzdłuż biegnącej przez nie drogi, krzyże stare, napół spróchniałe, ule za ulami — oto wrażenie zewnętrzne. Czasem podwórze rozjaśnione świeżymi lśniącymi kwiatami, czasem nowa chałupa — jasna plama na zwykłym tle widoku wsi litewskiej. Mężczyzn mało, nie widać ich prawie. Drzwi chałup i wrota stodół szczelnie zamknięte: czuć za nimi ukryte życie, odwracające się od wojsk maszerujących. Zrzadka tylko przesunie się między domami cicha postać kobieca, która na wszelkie pytania ma jedno stereotypowe: „ne supranto“.

A jeżeli zajrzysz do chałupy, jeżeli znajdziesz w niej mieszkańców, jeżeli zagadasz po ludzku,

poprosisz o chleb, o mleko, o wodę nawet, spojrzą na ciebie z podełba oczy nieufne, jedyne jasne plamy na brudnym tle wnętrza i niesłychanie brudnej twarzy i padną te same słowa: „nie rozumiem“.

Chłop litewski chytry i niechętny zamknął się w zbroi swego języka, osłonił puklerzem rzeczywistości czy udanej nieznajomości polszczyzny i z całą konsekwencją, jak gdyby na rozkaz, wszędzie uprawiał ten system oporu biernego. Nie można się dowiedzieć nazwy wsi, nie można wydobyc odległości, nie można rozgadzać się. Z rzadka tylko, opierając się, odpowiadał chłop, kobiety milczały zawsze, zacisnąwszy usta, z których niedawno jeszcze wylatywało napewno jakieś przekleństwo, w naszą wymierzone stronę. Nie ustrzegł się Litwin obowiązku podwód, nie uniknął konieczności przeprowadzenia oddziału, który tego od niego zażądał, czynił to jednak z takim wyrazem twarzy, z taką zaciętością w oczach i ustach, że choć nic nie mówił, nie trudno było wyczuć, co myślał.

Czy jednak był po stronie Litwy, czy zdawał sobie sprawę, skąd się wzięła wojna i o co się toczy, czy pojmował choćby z gruba istotę zatargu, trudno odpowiedzieć. To pewna, że z całą jaskrawością ujmował tragizm sytuacji, który walką bratobójczą rozerwał nagle na dwa obozy wrogie — dwa narody, odwiecznie ze sobą związane. Pamiętną mi będzie rozmowa z chłopem litewskim w Ogrodnikach. Mówił mi, że on mieszka tu

w Ogrodnikach, a jego szwagier tam w Bereźnikach, tu jest, mówił, teraz Litwa, a tam Polska. Dawniej to było jedno, a teraz między Bereźnikami i Ogrodnikami ciągnie się granica; jest wojna. Czy to tak być powinno, czy to nie do jednego kościoła chodzimy, czy to nie jest klęską, że oracja są podzieleni i walczą?

Myśmy zresztą w kraju tym z Litwą nie walczyli, walka miała się rozegrać na ziemi czysto polskiej, do której Litwini rościli sobie pretensje. Bój o defilę między jeziorami Geret i Pomorze, zdobycie szosy prowadzącej przez wieś Giby i pośpieszny marsz na Sejny, gdzie zeszły się dwie grupy Knoll-Kownackiego i Popowicza, zamykające w saku znaczną grupę litewską, rozbitą i pod wieczór zupełnie już zdemoralizowaną, i biorące kilka tysięcy jeńców, z artylerią ciężką i polową, oto jedyna, krótka, a decydująca bitwa, w której mieliśmy poznać Litwinów. Jeszcze pod Kuźnicą słyszeliśmy, że Litwini są w Lipsku, że podobno są w Grodnie i że tam działają, jako sojusznicy bolszewików. Jeńcy bolszewiccy opowiadali o nich często, sprzecznie i rozmaicie. Pierwsze zetknięcie z nimi nastąpiło 19 września ¹⁾, od chwili oparcia się naszego o Czarną Hańczę. Słyszeliśmy, że są podobno doskonale uzbrojeni, że mają aeropla-

¹⁾ O tym, że rokowania z Litwinami z ich winy zostały 18-go zerwane, nie wiedzieliśmy oczywiście, patrz naszą „Księgę amarantową” 1920, 78 protokół konferencji 18 września i deklarację delegacji polskiej, anneks II, s. 79—80.

ny, samochody pancerne, że czynią wywiady. Zachowaliśmy wszelkie środki ostrożności: konie, tabory, artylerja zostały pochowane w lasach, ludzie rozstawieni tak, by uniknąć obserwacji. Niezbyt głębokie wywiady nasze pozwoliły określić ich pozycje pod Gibami i wymacać ich system obrony. Placówki były wszędzie rozstawiane, bardzo czujne i mocno nerwowe. Linje obronne, okopy były przeciągnięte i obsadzone. Czujność i nerwowość i tu były widoczne. Zaczęły dochodzić głosy, że okopy ich są gruntownie przygotowane, że są otoczone drutem kolczastym według systemu wielkiej wojny i że nawet mają druty z elektrycznością, przez nie przepływającą.

W walce i po walce przekonaliśmy się o słuszności częściowej informacji otrzymanych. Manifestacyjny atak z naszej strony miał być dokonany w samo południe 22 września ¹⁾, wprost na defile od szosy; po obu stronach jeziora i poza jeziorami, dalej na prawo i na lewo posuwały się spychające nieustannie wroga większe oddziały nasze. Litwini, zasłonięci placówkami wysuniętymi naprzód, wysuwaniem o jakie dwie wiorsty, które ściągnięto, byli ukryci za rowami, z przejściami głębokimi i ziemiankami na karabiny maszynowe, które otaczały płoty z drutu kolczastego. Rów ciągnął

¹⁾ Patrz tamże, 85 № 51 — nota rządu polskiego do Ligi narodów 21 września i telegram ks. Sapiehy do min. Purickisa, 22 września 86 № 53: „nos autorités militaires ont décidé de prendre des mesures efficaces”.

się w poprzek całego przejścia, zaczynając się na lewo nad samym jeziorem Geret. Za rowem, jako najbliższe ubezpieczenie, ciągnęły się mury cmentarza, na którym również wykopane były umocnienia osłonięte dla karabinów maszynowych. Za pierwszą linią szła na wzgórzach druga linja rowów, zbudowana analogicznie.

Podchodzących Litwini w pierwszej chwili nie dostrzegli. Podsuwające się oddziały nasze zdradziła dopiero ucieczka kobiet, pracujących w polu przed wsią, które widząc jakiś ruch na szosie z krzykiem porzuciły robotę. Momentalnie rozpoczął się ogień ostry i celny krzyżowy z karabinów maszynowych, wymierzony na 11 komp. 5 p. p. Leg., która w tym miejscu atakowała na wprost. Za karabinami maszynowymi poszły zwykle karabiny, po chwili odezwały się armaty litewskie. Zaczęto ostrzeliwać szosę, mierząc zdaleka, obrzucając szrapnelami nie tyle najbliższe fale, ile raczej waląc w drogę, po której, jak się słusznie spodziewali, posuwać się musiały posiłki dla atakujących. Strzelali celnie, trafiając wprost w drogę, choć nie w grupy, które szły szosą.

Ustawiona z prawej strony, od Zelwy artylerja nasza poczęła ostro odpowiadać. Po obu stronach bataljony I i II/5 p.p. Leg. posuwały się naprzód. Atakująca kompanja z wielkimi stratami swemi łamała w tyraljerze przeciwnika, zdobywając po dłuższym boju pierwszą linię obronną Litwinów, biorąc paruset jeńców i zmuszając do

odwrotu przeciwnika, który cofając się jeszcze strzelał szrapnelami poza Giby na szosę, którądy iść musiały tabory nasze. Po przełamaniu rozpoczął się pościg. W Sejnach zetknęły się wszystkie walczące pułki, zaczęło się sprowadzanie jeńców, trwające do późna w nocy, które dało łup kilkuty-sięczny.

Pierwszych kilkunastu jeńców mieliśmy jeszcze podczas wypadów nad Czarną Hańczę, teraz liczba ich wzrosła. Wygląd zewnętrzny i wrażenie ogólne było jednakowe i wtedy i teraz. Litwin doskonale umundurowany, świeżutki, kompletnie wyposażony miał dobrą minę i pewną nawet hardość w noszeniu się, wyglądzie i sposobie odpowiadania. Większość mówiła po polsku, niektórzy po polsku nie rozumieli, a byli i tacy, którzy udawali, że znają tylko swój język litewski. Badani dawali wyjaśnienia z godnością, bez owej uniżoności i upodlenia, tak charakterystycznego dla bolszewików, których byli prawdziwym kontrastem. Nie byli rozbici moralnie, byli zwyciężeni i dość obojętni na los, który ich czekał. Przeważnie chłopcy bardzo młodzi spokojnie przyjmowali wszystko, co ich spotykało, nie okazując ani strachu, ani nienawiści, po prostu przystosowywali się do sytuacji zmienionej.

Zapytałem po bitwie oficerów naszych o ich opinię co do armji litewskiej. Prawie wszyscy zgadzali się na jedno. Wojsko litewskie, mające zresztą u siebie według naszych informacji conaj-

mniej 40% Polaków, i z poborowych i z żołnierzy zmobilizowanych dawniejszych, z wielu swych właściwości było zbliżone do naszego. Uzbrojone doskonale i kompletnie przyodziane w mundury angielsko-amerykańskie nawet pod względem wyglądu zewnętrznego mało różniło się od naszego: żółty lampas na czapce upodabniał ich do naszej kawalerji, jedyna różnica — to na miejscu orzelka kokarda z pogonią litewską. Wojsko to dobrze wyćwiczone, wydyscyplinowane składało się z żywiołu równego i moralnie solidnego, a z żołnierza młodego nie tylko wiekiem. Jako wojsko młode posiadało wszystkie wady tego rodzaju formacji. Nerwowe — dawało się łatwo peszyć: nadmierna czujność i wrażliwość były źródłem łatwych alarmów, wpędzały żołnierzy w nastroje, których ono jeszcze nie umiało opanować. W zasadzie odważne i pewne, nie było jeszcze w stanie stawiać czoła zwłaszcza świetnym naszym pułkom legjonowym. Choć po rozbiciu uległo demoralizacji i zaczęło się rozpraszać na części, nie mające między sobą czucia, a zatym poddające się łatwo, było zdaniem wszystkich materiałem na żołnierza doskonałego.

Kłeska jednak zrobiła swoje. Przed Drusienikami, a zwłaszcza za Niemnem zaczęliśmy spotykać oddziały, zupełnie rozsypane, , błądzące po lasach i poszukujące takich jednostek u nas, któreby wzięły ich do niewoli. Przypominały się chwile z czasów kłeski bolszewickiej, kiedy to do

jednego z telefonistów zgłosiło się kilkunastu wygłodniałych bolszewików na drodze, prosząc: „barin, woźni w plen“. Jeden z naszych oddziałów łączności odbity od pułku, a liczący 18 żołnierzy, wziął wtedy gdzieś w lesie po wymianie strzałów obsługę karabinu maszynowego litewskiego wraz z maszynką i przyprowadził za swoim taborem. Zaczęli się zjawiać żołnierze litewscy, mówiąc, że ich własni oficerowie kazali im się poddawać, uprzednio rozpuściwszy ich pułk. Okazało się później, że ci sami oficerowie wraz z częścią swoich żołnierzy oddali się naszemu oddziałowi, a następnie wraz z nim walczyli przeciwko swoim sojusznikom — bolszewikom, z którymi mieli iść razem.

Stanowisko tych oficerów, ich stosunek do swego dowództwa i do samej wojny polsko-litewskiej jest bardzo charakterystyczny. Polacy, którzy służyli w wojsku rosyjskim, zostali rozkazem mobilizacyjnym włączeni do armji litewskiej. W polu sprawiali się dzielnie. Z chwilą rozbicia wojska pod Sejnami byli przekonani, iż przestała istnieć cała armja litewska. Uważali wszelkie dalsze ofiary za zbyteczne. Twierdzili i zapewniali, że znaczna część oficerów litewskich Litwinów jest przeciwna wojnie z Polską. Z sytuacji politycznej na Litwie nie zdawali sobie zupełnie sprawy. Z klęski litewskiej wyprowadzali daleko idące wnioski polityczne: w ich mniemaniu, skutkiem bitwy pod Sejnami miała być zasadnicza zmiana

systemu, powołanie do dowództwa ludzi, od władzy obecnie usuniętych, i oderwanie się Litwinów od sojuszu bolszewickiego. Wierzyli w rychłe porozumienie z Polską a obawiali się, że pójdziemy na Kowno, twierdząc, że z ich strony nie może być mowy o oporze, o obronie Kowna, lub Wilna, które niedawno przed tym zajęły ich wojska. Podobno większość korpusu oficerskiego stanowią ludzie, którzy z narodowością litewską mają niewiele wspólnego, Polacy lub Rosjanie.

Słyszeliśmy od ludności w Gibach, że Niemcy mieli przyjechać w samochodach na inspekcję okopów litewskich. Oficerowie - jeńcy jednakże przeciwko obecności Niemców w ich wojsku protestowali i twierdzili, że udział ich ograniczał się do początkowej fazy instruowania tworzącego się wojska litewskiego.

Czy to w poczuciu wspólności narodowej, czy też w poczuciu równości osobistej oficerowie litewscy zachowywali się w niewoli zgoła inaczej, niż dowódcy bolszewicy, i całkiem też inaczej od tamtych byli u nas traktowani.

III.

Dochodzę tu do istotnej sprawy stosunku naszego żołnierza do przeciwnika i jego poglądów na wroga.

O ile chodzi o Rosję, żołnierz ma dwie zupełnie różne sfery odczuwania i ujmowania zja-

wisk. Z jednej strony — bolszewicy, przywódcy i kierownicy Rosji dzisiejszej, z drugiej armja rosyjska i jej żołnierz.

Całe patryotyczne napięcie energii naszego żołnierza skupiało się przeciwko bolszewikowi. On dzisiaj był uosobieniem wojny, z której żołnierz polski wyrósł, w której się wychował, lecz której już miał dosyć. Bolszewik, system bolszewicki był dla żołnierza naszego symbolem wysiłków, wymierzonych przeciw Polsce, zamachów na jej całość i niepodległość, a po ostatniej ofensywie był groźbą przeciwko samemu jej bytowi. Walka z bolszewikami — to walka elementarna, odwieczna walka polsko-rosyjska, zlokalizowana obecnie w postaciach komunistów, armji Budienego, i komisarzy przy armjach. Nie widząc starej Rosji, a nie znając nowej, mając przed sobą agitację podwójną, rosyjską bolszewicką i naszą przeciwbolszewicką, znał żołnierz nasz jedno dla Polski niebezpieczeństwo, które pojmował, jako bolszewizm. Dla niego „bolszewizm“ nie zawierał w sobie żadnych pierwiastków społecznych, ani tymbardziej międzynarodowych. Był to system rządzenia Rosją, wymierzony przeciwko Polsce, oparty o komisarzy, o ile chodzi o sfery kierownicze, o komunistów i chińczyków, o ile chodzi o elementy czynu. Był to zatem system przede wszystkim przeciwpolski, którego właściwości zaznaczają się represjami nie tylko w Rosji samej, lecz i wszędzie na kresach dawnej Rzplitej,

gdzie działały armje rosyjskie. Był to system par excellence rosyjski, oparty o solidarność dwu naszych wrogów, Niemiec i sfer rządzących w Moskwie. Co więcej, był to system nawskroś militarystyczny, a jako taki źródło wiecznego jątrzenia i wojen wiecznych.

Rząd dzisiejszej Rosji wydawał się żołnierzowi naszemu źródłem wojny bez końca, był więc według niego nie tylko uosobieniem niebezpieczeństwa dla Polski, lecz i winowajcą osobistych niekończących się jego trudów wojennych, był nieprzyjacielem żołnierza narodowym i osobistym. Takim też będzie zasadniczy i praktyczny stosunek naszego wojska do wojny obecnej. Przy propagandzie, czy bez propagandy, żołnierz nasz widzi w bolszewizmie, jako rządzie Rosji, bolszewikach w wojsku, zatym komunistach, chińczykach i komisarzach — swoich osobistych śmiertelnych wrogów. To też prowadził i z rządem Rosji, i z jego podporami walkę bezwzględną. Tu tkwiło źródło nieustannie odradzającej się gotowości do ofiar i poświęcenia w czasach najgorszych odwrotu lipcowego, w momentach niekiedy naprawdę krytycznych, tu mieści się również wytłumaczenie nienawiści bezlitosnej dla komisarzy — żydów, dla czerwonej gwardji, a zwłaszcza dla chińczyków. Męstwo osobiste komunistów, i niesłychana, wprost żywiołowa jakaś wytrzymałość chińczyków nie rodziły uznania tak zwykłego w podobnych sytuacjach w stosunku mię-

dzy przeciwnikami równymi, lecz budziły zacięłość ślepa, chłopską i mściwość bez opamiętania, uczucia, które udzielały się od żołnierzy i oficerom. Pod tym względem nastrój był zupełnie jednolity. Wielokrotnie raniony chińczyk jeszcze się zrywał do walki. Nasz żołnierz, leżący obok rannego komunisty, czołgał się, krwawiąc drogę, do karabinu, by dobić wroga. Trzeba było używać niesłychanych perswazji, najczęściej podstęp, by uratować jeńca-chińczyka. Komisarzy żywych nasi nie brali zupełnie.

Natomiast, innym był stosunek do przeciętnego szeregowca bolszewickiego, a nawet i do oficera, najczęściej ochotnika w armii bolszewickiej, dawnego „dobrowolca” od Kołczaka i Denikina. Żołnierze nasi lekceważyli tę armję źle ubraną i źle uzbrojoną, a podszytą tchórzem, pogardzali nią i pewni byli zawsze zwycięstwa w razie spotkania. Niewoli u bolszewików lękali się jednak bardzo: bolszewicy obdzierali naszych ze wszystkiego do koszuli włącznie, i obchodzili się z nimi w sposób uwłaczający wszelkim elementarnym wymaganiom ludzkości. O krwawej niewoli obiegały w wojsku wieści najgorsze. To też pierwszym wysiłkiem każdego było wydostać się stamtąd; ucieczka nie była zbyt trudna, wobec słabego dozoru, nieustannego cofania się przeciwnika, i nadziei na pomoc i opiekę ludności miejscowej. Żołnierze nasi nieraz po parę tygodni ukrywali się u chłopów, ażeby powrócić do swo-

ich oddziałów, przyprowadzając, jak to było po Lidzie, jeńców bolszewickich.

Z chwilą wzięcia bolszewików do niewoli stosunek do nich się zmieniał. „Zamieniano“ z nimi wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość, lecz naogół postępowano z nimi dobrze. Żołnierz nasz nie przestawał odnosić się pogardliwie do Moskala, okazywał mu jednak jakąś pobłażliwość, traktując go, jako coś biednego, zasługującego na litość, której mu nie odmawiał, lecz odnosząc się doń, jako do istoty niższej. Człowiek, który jadał ziemniaki na surowo, nie był człowiekiem zupełnym — i nie mógł, zwłaszcza w niewoli, rościć pretensji do uznawania swego „człowieczeństwa“. Zresztą on takich pretensji nie wysuwał; był naogół wdzięczny za wszystko, co otrzymywał z rąk żołnierza naszego, a co przeważnie nie ustępowało zwykłemu jego zaprowiantowaniu z czasów pobytu w armji własnej.

Całkiem inny był stosunek do Litwy i Litwinów, a wojna z nimi spadła na nasz pułk nieoczekiwanie. O ile chodzi o Litwę, istnieje jeden punkt, na którym każdy żołnierz 5 pułku jest nieprzejednany: jest nim sprawa Wilna. Żołnierz nasz jest szczególnie do Wilna przywiązany. Trudno wyjaśnić źródła tej miłości: wspomnienie wiosennego wysiłku, który dał wspaniały tryumf nad wrogiem, entuzjazm ludności wyzwolonej z pod jarzma obcego, nieklamana szczerą i stale okazywana żołnierzom miłość sprawiły, że odtąd dla

każdego piątku Wilno stało się symbolem wszelkiego dobrego w życiu. Myśl, że Wilno może być od Polski odcięte, jest dla żołnierza naszego nieznośna. Dla odbicia ponownego tego miasta gotów on był do wszelkich ofiar. Po bitwie pod Sejnam panował lęk, że pójdziemy na Kowno, a tymczasem wszyscy chcieli iść na Wilno i liczyli, że droga poprowadzi przez Lidę; przecież przez Lidę szła ona poprzednio w r. 1919. Kiedy po kilku dniach marszu okazało się, że idziemy istotnie na Lidę, serca wszystkich zabiły żywiej: istniała pewność, że teraz Wilno nas nie minie. A kiedy z Lidy pchnięto nas na południe, radość ustąpiła miejsca smutkowi, lecz pocieszano się zarazem, iż najpewniej dywizja ochotnicza poszła nad Wilejkę. Na punkcie Wilna żołnierz nasz nie uznaje możliwości jakiegokolwiek dyskusji. Innych punktów spornych z Litwą nie zna. Ma natomiast do rządu litewskiego głęboki żal za „zdradę“, popełnioną jesienią tego roku, za ten przygotowany w porozumieniu z bolszewikami sztych w plecy, który mógł być dla armii naszej śmiertelny. Nie licząc na spotkanie i nie spodziewając się go zupełnie, chętnie gotów był żołnierz nasz stanąć do walki, by ukarać Litwę za jej postępowanie zdradzieckie, by również pomścić ciężką niewolę, w jakiej znajdowali się ci z naszych żołnierzy, którzy przypadkiem dostali się do rąk litewskich w chwili pełnienia służby na linii demarkacyjnej lub podczas odwrotu.

Pozatym wszystkim, istniał jeden jeszcze motyw, który zagrzewał żołnierzy do walki z Litwinami, motyw czysto osobisty, który zrozumieć można tylko w promieniu psychiki myśliwskiej. Jak prawdziwy myśliwy z wzruszeniem głębokim, a zarazem radością gorącą szykuje się do wyprawy na nieznanego mu dotąd zwierza, tak zabierali się żołnierze nasi do walki z Litwą. Był to przeciwnik, którego jeszcze nie znali. Trochę pokpiwali z niego z góry, przecie to był „bażant“, świeżo do służby wciągnięty, i nie znający ognia. Trochę liczyli na jego świetne wyekwipowanie amerykańskie. Byli go w sumie bardzo ciekawi, choć nie mieli żadnej na niego zaciekłości. Ciekawość w pierwszym spotkaniu zaspokoili, pozostał stosunek równy, prawie koleżeński do przeciwnika niższego, lecz żołnierza dobrego, choć zwyciężonego. Znaczna liczba żywiołu polskiego w tym wojsku i to przeświadczenie o jego wartości zasadniczej rodziły usposobienie zupełnie odmienne, niż dla bolszewików.

Wojsko nasze, w przekonaniu żołnierza naszego, o wiele wyższe od wojska litewskiego spotkało się z nim w boju równym i zwyciężyło. Nie było w tym winy Litwinów, była to konsekwencja naturalna wyższości naszej. Poszczególny żołnierz litewski nie ustępował jednak naszemu, zasługiwał na traktowanie równe, o ile w żołnierzu naszym nie była zbyt ostra pamięć niewoli świeżo przebytej u Litwinów. Taki żołnierz dawał Litwinom „szkołę“, załatwiając swoje pora-

chunki z Tarybą. Zresztą był to wyjątek — ogół doświadczenia więziennego na Litwie nie posiadał, i dostrzegał w Litwinie, nie sługę obcego najazdu, lecz dawnego spółrodaka, rzuconego na siebie agitacją i przymusem.

Szeregowiec nasz był dla szeregowca litewskiego jakgdyby kolegą innej broni, oficer nasz był dla oficera litewskiego jeńcą pełen kurtuazji, zapewniając mu wszelkie względy, nie przywiązane do jego obecnej sytuacji, lecz należne jego stopniom.

W tym stosunku samorzutnie ujawniał się polski instynkt państwowy żołnierza naszego, który jakgdyby wyczuwał istniejące w tym względzie rozkazy władzy wyższej, sobie naogół nieznane.

NASZ ŻOŁNIERZ.

I.

Nie odbywałem służby wojskowej w żadnej z armji zaborczych i nigdy nie mogłem zrozumieć tego szczególnego przywiązania do ich dawnych pułków, jakie pozostawało u ludzi najbardziej wrogo dla obcych państw usposobionych. Mijały nieraz lata całe, a oni z zainteresowaniem dziwnym powracali do wspomnień z czasu swego „ochotniczego“ pobytu w wojsku, do drobiazgów dawnego życia obozowego.

Źródła tego przywiązania stały się dla mnie jasne od pierwszych chwil pobytu pod znakami 5 p. p. Leg., który odrazu był moim pułkiem. Człowiek dotąd cywilny dostawał się do wnętrza wielkiej maszyny, wielkiego zorganizowanego środowiska ludzkiego i odrazu fizycznie i psychicznie stawał się częścią organizmu odrębnego, żyjącego życiem własnym. Organizm ten wchłaniał go w siebie i zaszczepiał mu swoje właściwości w złym i dobrym, swoje troski i kłopoty, swój pogląd na świat.

„Cywil“ wraca do dawnego życia, wraca jednak nie ten sam co dawniej, wraca odmieniony, znaczony na przyszłość całą piętnem, czy stygmatem także swego pułku. Stąd — przywiązanie do dawnego oddziału nawet wtedy, jeżeli służba była ciężka, stąd — głębokie szczere zainteresowanie, trwające lata, szczegółami nieraz najzupełniej blahemi służby dawniejszej.

Wojsko, jego wyraz najdoskonalszy i zarazem najwyższy, dostępny oczom przeciętnego żołnierza, pułk — to cały świat psychiczny, o odrębnej fizjonomji duchowej, — to społeczeństwo ludzkie, wyrosłe z równości, ze wszystkimi charakterystycznymi cechami nierówności. Wy różnicowała się ona z pierwotnego jednakiego poziomu na tle tych samych właściwości indywidualnych, co i we wszelkim innym społeczeństwie — historycznym: dzielności, chytrłości, bogactwa, czy mądrości, urodzenia czy wykształcenia osobistego z całym bardzo złożonym splotem najsprzeczniejszych charakterów (umysłowość odgrywa rolę tylko na samym szczycie).

Pułk jest całością o własnej swej psychice zbiorowej. Nazywają ją duchem organizacji, czasem złośliwie określają, jako ducha korporacji, esprit de corps, najczęściej nie ujmują jej w sposób właściwy, nie widzą nic poza formami organizacyjnymi. A tymczasem „dusza“ pułku, ta psychika zbiorowa jest istnością tak samo realną, tak samo uchwytą i trwałą, jak formy ze-

wewnętrzne organizacji a nawet trwalszą od nich. Rozpierzchli czy rozbici członkowie tej zbiorowości pielęgnują owego ducha, rozwijają go i umacniają w sobie, ażeby po zetknięciu ponownym nadać mu postać nową życia zewnętrznego (np. nastroje jeńców czy więźniów, Benjaminów lub Huszt) z jednej strony, a z drugiej nawet ludzie nowi, przybywający w warunkach zupełnie odmiennych, wcielani do formacji starej są od pierwszej chwili nie tylko ogarnięci przymusem zewnętrznym jej nakazów, są owiani tchnieniem, z pod którego wpływu, uroku czy nacisku nie są w stanie się wyzwolić. Nie znaczy to, by duch ten nie ulegał przetwarzaniu, by wybitne jednostki nie wywierały wpływu na psychikę całości, by rola mocnego dowódcy była znikomą, by życie, bogate życie wojenne przechodziło obok pułku, nie dając mu żadnej nowej treści. Lecz między terażniejszością a przeszłością pułku istnieje stała łączność psychiczna, która stanowi siłę każdego organizmu, a którą zazwyczaj zwie się tradycją.

Tradycja pułkowa to najmocniejszy fundament wartości, to zarazem i największy szkopuł do przewyciężenia, to owa treść wewnętrzna, od której uwolnić się nie można i o której zapominać nie wolno, to zarazem siła i słabość pułku.

Tradycja piątego pułku formowała się z najtrudniejszych wysiłków legionowych, sięgając początkiem swoim początków naszej siły zbrojnej. Wyrosła ze Strzelca, z walk I brygady w latach

1914/16, z zatargu o przysięgę 1917 r. i Szczypiorny, z obrony Lwowa 1918, z ofensywy wiosennej 1919 r., zdobycia Wilna, Dyneburga, z tryumfalnego pochodu za Dniepr, z bolesnego z pod Kijowa odwrotu, z energicznej kontrofensywy naszej, latem i jesienią r. 1920. Wyrosła z legjonów i z całą ideologią legjonową jest najsilniej zrośnięta. Oplata osobę Komendanta, z którego stworzyła kanon wiary swego żołnierza i z którego czerpie tworzywo dla swego rozwoju dalszego. Związana z każdą placówką zagrożoną w Rzeczypospolitej, rozwija się nadewszystko na Wschodzie w promieniu trosk i walk Lwowa i Wilna, z ich bohaterskiego przykładu biorąc dwa główne wskazania służby narodowej: wierność i wytrwanie, pewność i odwagę. — Doświadczona i doświadczana po dzień dzisiejszy stała się źródłem wiary we własną wartość, podniętą do ostrożności i przekonania głębokiego, że niema w Polsce pułku, któryby mógł się równać z 5 p. p. Leg. Żyje silna w psychice zbiorowej, znajdując swój wyraz najmocniejszy w specyficznych cechach: dowództwa, korpusu oficerskiego i pułku, jako całości.

Mówiąc o dowództwie, chciałbym podkreślić jedną tylko właściwość, którą możnaby jakgdyby nazwać poza osobową, lecz której od osób działających oddzielić nie sposób. Odziedziczona jeszcze po dowództwie I brygady, z którego komenda 5 pułku wyrosła, sprowadza się do dwu

zasadniczych pierwiastków, napozór sprzecznych ze sobą: nie oszczędzania żołnierza i troskliwości wielkiej o pułk. Żołnierz stale zajęty, bez chwili wytchnienia, nieraz męczony służbą, akcją czy marszem, zaprawiany w ten sposób do wysiłków wprost niesłychanych, nieznanych w pułkach innych, ma zawsze tę pewność, że nigdy nie będzie napróżno rzucony w niebezpieczeństwo i że w każdej krytycznej chwili, w każdym zagrożonym punkcie znajdzie się na jego czele dowódca doświadczony, który go wyprowadzi z trudności. W ten sposób powstaje zaufanie zupełne do kierownictwa, które nie zawodzi, i zupełne zaufanie do żołnierza, na którym zawsze polegać można, podwójnie ważna właściwość, nadająca pułkowi szczególną wartość bojową. Na straży owej tradycji stoi pułkownik, nietylko męstwem i spokojem uzdolniony do kierowania sławnym pułkiem, lecz zarazem zdający sobie sprawę z wartości swych podkomendnych i rozumiejący całą odpowiedzialność, odziedziczoną po komendantach dawniejszych.

Dzisiejszy korpus oficerski pułku, jak prawie we wszystkich pułkach naszych, składa się w ogromnej większości z młodzieży rycerskiej w wieku przeciętnie do lat 25 z pośród studentów szkół wyższych. Co do swej przeszłości są tu elementy najróżniejsze: dawni legjoniści, którzy w młodym wieku rozpoczynali służbę dla Ojczyzny i od niedawna dopiero doszli do stopni podpo-

rucznikowskich, często przedstawiani do awansu za męstwo z pośród szeregowców na polu walki, dawni oficerowie czy żołnierze austriacy i rosyjscy, dawni dowórczy, wychowawcy szkoły podchorążych. Z Królestwa, Galicji, Kresów Wschodnich i Lwowa dziś wszyscy oni stanowią całość jednolitą, związaną mocno ze sobą i z przeszłością pułku. Jeden naogół duch, jeden nastrój mimo odmiennych nawet zapatrywań politycznych, jedna jakgdyby myśl nadaje owemu korpusowi fizjonomję jednolitą. Istnieją sposoby najprzeróżniejsze, nawet najzupełniej zaszczytne pozbywania się z pułku tych, którzy doń nie pasują. Pozostają ludzie wzajem dostrojeni, sharmonizowani i rozumiejący jednakowo zadania swoje i zadania pułku, pozostają oficerowie dobrzy. Dobry, sumienny oficer — to prawdziwa gwarancja wartości żołnierza. Gospodarz dbały kompanji czy bataljonu, wódz swego oddziału troskliwy, przezorny, i ostrożny, kierownik mężny i waleczny, odpowiedzialny za życie i sprawność podwładnych szeregowców, takim jest przeciętny oficer pułku. A w granicach tych właściwości zamyka się szeroka skala odchyłeń indywidualnych od natur bujnych, niepohamowanych, gwałtownych do temperamentów flegmatycznych i rozważnych, od ludzi o odwadze wścieklej i impecie szalonym do typów o równowadze, spokoju i niewzruszonym panowaniu nad sobą, na obu krańcach jednakowoznaczonych zasadniczą właściwością —

męstwem, które imponuje i porywa. Duch jednolity, harmonja elementów i męstwo dowódców, to tyleż czynników organicznego moralnego scalenia się pułku.

Narzędzie pewne w ręku swego dowódcy, organizm jednolity, mocno z tradycją swą zrośnięty, pułk piąty jako całość, posiada dwie wielkie wyróżniające go cechy. On się nigdy nie załamał w boju, nie stracił ducha swego i nie poddał nastrojom odwrotu. Jeżeli się cował to na rozkaz i to rozkaz z wysoka idący, cofał planowo, z bólem w sercu i mocno zaciskając zęby. Bo kiedy wszystko cofało się gwałtownie, bo kiedy tu i owdzie cofano się bezładnie, panicznie, on nie znał nastroju paniki i wciąż jeszcze wyrывał się naprzód. Wtedy to ostatecznie utrwaliła się jego sława u innych pułków naszych.

Drugą wyjątkową zupełnie właściwością jest jego błyskawiczna szybkość przesunięć. Pułk przeciętnie w ciągu doby robi od 40 — 60 klm. chociaż szybkość ruchu nie jest zbyt wielka, i normalnie ogranicza się do 2 — 3 kl. na godzinę. Ruch jednak nie przerywa się w okresie czasu przeznaczonym na zdobycie pewnego celu marszu. Pułk posuwa się z niewielkimi 2 — 4 godzinnymi przestankami bez przerwy w ciągu 24, 36 lub nawet 48 godzin i osiąga w ten sposób rezultaty całkiem nieoczekiwane. Przerzucony z pod Kuźnicy, skąd wyruszył około 11 zrana 15 września, przez Dąbrówko, N. Budy, Sejenki, Stude-

niczną stanął w Podsterskim lesie i okolicy 16-go o godz. 5-ej, straciwszy z pięć godzin na czekanie na szosie, zupełnie zatarasowanej; 22 wieczorem po godz. 22-ej wyruszył z Sejn przez Ogrodniki, Druskieniki, Nierowę, Rondomańce, Marcinkańce, w Szumach stanął o godz. 1/24-ej dn. 25 września. 27 o 1-ej w nocy wyruszył z Gineli przez Radun, Zyrmuny pod Lidą był od 11 zrana 28, mimo że obszedł miasto, zniszczywszy tor pod Gudami i Obmaniczami. Szybkością ruchu daje rezultaty strategiczne i taktyczne, nakazane przez dowództwo; przeraża i zadziwia przeciwnika, imponuje obserwatorom wytrawnym (Francuzi nie chcieli wierzyć, że można odbywać tak wielkie marsze) i stwarza korzyści, które tak wybitnie wyróżniały akcję I dyw. Leg. w Lubelskim, Białostockim i na Białej Rusi. Wyjątkowa wytrzymałość całości związanej silnie, dobrze w częściach swych dostosowanej, zaprawionej do wysiłków ciężkich, niezwykłej do oszczędzania siebie daje tę możliwość impetu. Ruch ciągły pułku, brygady, dywizji, rozłożony na części nawet dosyć znaczne wywiera wrażenie przegrupowań powolnych, widziany w całości, na całym terenie działania, wydaje się ruchem olbrzymów, imponującym i w skutkach swych zbliżonym do wspaniałych marszów napoleońskich, np. kampanji 1805, lub 1806/7 r.

Takim jest pułk piąty: pewny, jednolity i szarmonizowany, wytrzymały, mężny, stalowo-nieugięty i błyskawicznie szybki jest on nieustan-

nym twórcą własnej swej legendy. A jeżeli jest takim, jako całość, to dlatego głównie, że budowniczym jego wartości, kontynuatorem tradycji i jej piastunem jest narówni z oficerem, prosty szeregowiec, szary legionista.

II.

„Szary legionista“ — przypominają się niedawne czasy legionowe, od których jakże daleko odbieглиśmy już obecnie. Pułk piąty nie jest tylko zbiorem ochotników, którzy na rozkaz swego wodza rzucili się w bój beznadziejny, jest on dzisiaj zwykłym pułkiem polskim. Obok starych „legunów“ poborowi, obok ochotników z momentów krytycznych zwłaszcza obrony Lwowa, zmobilizowani żołnierze austriacy i rosyjscy, obok chłopów robotnicy miejscy i młodzież wyższych klas gimnazjalnych, wesoły andrus z Woli w parze ze spokojnym rozważnym włościaninem z łomżyńskiego, „sakramencki“ baciak łyczakowski, nadający ton w pułku, obok powolnego, flegmatycznego dziecka grodzieńszczyzny, zacięty i uparty, a przeciągający wileńczyk i niezdarny żydek łódzki, klasyczna „oferma“ pułkowa, mimo różnaitości elementów i charakterów ludzkich, tworzą wspólnie typ starego piechura legjonowego.

Ma on swoje ułomności, ma zalety wielkie

i tę szczególną: urok osobisty, który całkowicie zasłania jego wady głębokie. Dufny w siebie i hardy wierzy, że mu wszystko wolno. Wojna dla jednych, przykład starych kolegów dla innych sprawiają, że wiara ta utrwala się ostatecznie. Bez zaradności niema życia w wojsku, bez samodzielności — nie może być mowy o przetrwaniu wojny. Co słabsze, odpada, pozostają jednostki nie tyle nawet fizycznie, ile psychicznie, mocniejsze i ostatecznie ustalają w sobie dwie zasadnicze „cnoty”: liczenie na siebie i obrotność. Żołnierz wie, że w potrzebie nikt mu nie pomoże, że z trudności nikt go nie wydobędzie. Część tłumu, do tłumowgo życia tylko wzwyczajony, dzisiejszy żołnierz polski, żołnierz wojny ruchomej jest zawsze rycerzem tyraljery. Wytwarza się specyficzna właściwość, wynik pomieszania sprzecznych pierwiastków. Żołnierz samotny czuje się źle, opuszczony i niepewny szuka więc zawsze zetknięcia z innymi, szuka pomieszczenia w jakichś ramach, czysto automatycznie tworzy nieraz z rozpieńczłymi kolegami sekcje, plutony, kompanje, automatycznie poddaje się rozkazom tego, kto w danej chwili z tytułu szarży, znajomości terenu czy wieku ten rozkaz wydawać pragnie, automatycznie skupia się w organizację, a zarazem nawet w najdoskonalszej organizacji nie liczy na nikogo, jak tylko na siebie. Słuchając rozkazu on rozkaz ten przekłada na swój język i dostosowuje do sytuacji, którą widzi przed

sobą. Rozkaz musi być wykonany, a jak będzie wykonany, to rzecz tego, co otrzymał rozkaz. Część tłumy — bez którego żaden żołnierz nie rozumie życia, nawet najbardziej osobistego, nawet wtedy, jeżeli do tłumowości powoli się przyzwyczajał, piechur nasz jest indywidualistą o inicjatywie osobistej wyrobionej. Wykona, co wykonać musi, co mu narzuca rozkaz lub obowiązek żołnierski, lecz starać się będzie o to, by wykonać z możliwie najmniejszym wysiłkiem, oszczędzając najbardziej siebie — i zwalając w miarę możliwości, a nawet ponad miarę, trud wszelki na sąsiada najbliższego pod ręką.

Każdy myśli o sobie, więc i on musi o sobie pamiętać, stąd — jego stosunek do rzeczy i ludzi. Zawsze głodny i zawsze dbający o żywność żołnierz idzie na polów, bezlitosny dla otoczenia, zwłaszcza dla cywilów. On musi mieć to, co mu się zdaniem jego słusznie należy, a jeżeli dzieje się tak ze szkodą innych, tym gorzej dla nich. Zresztą jeżeli sięga on po cośkolwiek, to nie dla tego, by zdobyć podstawę zysków dalekich. Żołnierz żyje tylko dniem dzisiejszym, nie myśli o jutrze, a tym bardziej nie myśli o przyszłości dalszej. Wojna i niebezpieczeństwo uczą go, że co chwila wszystko się zmienia, trzeba więc tylko żyć chwilą. Energja i zaradność sprawiają, że niema sytuacji bez wyjścia. Pocóż troskać się jutrem, skoro ono, jeżeli ma przyjść, i tak przyjdzie, skoro w razie trudności i tak znajdzie się zawsze sposób

na kłopoty, niedolę. Ten sam żołnierz dbający tylko o siebie, napozór egoista bezwzględny i brutal, kiedy chodzi o jego interesy, jest zdolny do delikatności rażąco sprzecznej z powyższymi jego właściwościami. Dobry dla innych, dla dzieci zwłaszcza, litościwy dla jeńców potrafi dawać dowody wyszukanej troskliwości, o którą niktby go nie posądzał. Zresztą, on się tego wstydzi, maską męskiej obojętności i samolubstwa czystego zasłaniając wszelkie objawy wzruszenia, wszelki wyraz swej uczuciowości. A jeżeli mimo to znajdzie się świadek czynów, nie licujących ze zwykłą brutalnością rubaszną żołnierską, „winowajca” w jakiś dziecinnie naiwny i dziecinnie chytry sposób spróbuje naprzód tłumaczyć się z tego, by potem w końcu z prostotą i szczerością przyznać się do „winy”.

Cechą najbardziej podkreśloną, na pozór również logicznie najmniej związaną z założeniami i charakterem jego jest poczucie koleżeństwa. Rozciąga się ono nie tylko na najbliższych towarzyszy broni, ogarnia nie tylko kolegów z jednego pułku, którzy poznając się po numerach wszędzie na terenie szerokim Polski momentalnie skupiają się w jedną rodzinę, obejmuje wszelką wogóle brać żołnierską. I tu tkwi źródło owej specyficznej solidarności żołnierskiej, która z wojska tworzy jeden świat i przeciwstawia go, jako całość, życiu cywilnemu. Na kolegę żołnierza liczyć można w granicach idących o wiele dalej

i głębiej, niż w życiu cywilnym. Pieniądzem, dla którego ma on najzupełniejszą pogardę nawet wtedy, kiedy o pieniądź zabiega, pieniądzem, jeżeli go posiada, zawsze wspomógł kolegę. Chlebem, jeżeli chleba brak, zawsze się podzieli. A uczyni to z taką prostotą, tak naturalnie i bez pozy, z takim życzliwym ruchem ręki i zachęającym wyrazem twarzy, jak gdyby robił rzecz najzwyczajniejszą, codzienną i raczej on był tym, który bierze, a nie tym, który jest autorem uprzejmości.

Koleżeństwo obowiązuje względem wszystkich, i starszych i młodszych, wytwarza szczególną więź, spaja mocno ludzi i oddziały wojskowe.

W warunkach specjalnych, wśród trudności służby, w walkach uporczywych, po ciężkiej chorobie wspólnie przebytej — koleżeństwo przeinacza się w przyjaźń, jaką tylko wśród żołnierzy spotkać można. Chłopiec młody, a jest nim prawie każdy żołnierz polski, oderwany od rodziny, pozbawiony normalnego życia domowego, z coraz to inną obcującą przedstawicielką płci pięknej, a i to zrzadka tylko, wtrącony w rozgwar życia obozowego szuka instynktownie w otoczeniu kogoś, z którym mógłby podzielić się dorobkiem swego własnego świata wewnętrznego. On się teraz dopiero rozwija, w jego duszy, w jego głowie rodzą się poraz pierwszy własne myśli, powstaje pogląd na ojczyznę, na życie, na szczęście, na siebie, zdobyty w ciężkim psychicznym znoju.

Potrzeba mu atmosfery serdecznej, której w wojsku nie znajdzie, a którą zastąpić musi świadomość, że i obok niego w takim samym trudzie towarzyszy jego doli i niedoli zdobywa także swój świat wewnętrzny. Kolega staje się druhem, egoizm osobisty rozciąga się i na kogoś innego; żołnierz przestaje myśleć tylko o sobie, a w trosce o przyjaciela staje się zdolnym do największej ofiary, bo ofiary z życia w jego obronie. Schodzą się ze sobą nie ludzie jednego pochodzenia, nie dzieci jednej warstwy, jednego t. zw. poziomu kulturalnego, schodzą się ludzie jednego pokroju, jednakowego tonu w odczuwaniu zjawisk życia, jednakowej wrażliwości. Znałem takich dwóch przyjaciół, z których jeden piękny typ uszlachetnionego marzyciela był prostym chłopem z pod Krakowa, trochę więcej niż analfabetą, drugi — był ochotnikiem z r. 1918, który porzucił gimnazjum lwowskie w momencie niebezpieczeństwa dla kochanego miasta i dotąd nie był w stanie powrócić do tej swojej szóstej czy siódmej gimnazjalnej.

Pozorna sprzeczność, jak gdyby dwoistość, występująca tak wyraźnie w charakterze piechura, zaznacza się nie mniej jaskrawo i w jego usposobieniu. Wytrzymały na trudy i odporny, jest on zawsze niezadowolony, na wszystko narzeka i stale szemrze: buty są ciasne, zupa niedobra, marsz za długi, nieprzyjaciel sakramencki, odpoczynek za krótki, i t. d. Żołnierz szemrze, bo ta-

ki jest jego zwyczaj, to należy jakgdyby do „dobrego tonu“ pułkowego. Zresztą przedmiotu istotnego do sarkania nie brak nigdy, tylko że żołnierz naprawdę tym się nie przejmuje.

Narzeka, bo narzeka, nie psuje mu to humoru dobrego. Zmienia tylko kierunek myśli. Jeżeli jest syty, maszeruje z zapalem i śpiewa, śpiewa nawet wtedy, jeżeli wróg jest gdzieś blisko. A jeżeli nie śpiewa, to kpi i dowcipkuje. Kpi z kolegi niezdary, jakich nigdy nie brak w pułku, wyśmiewa się dyskretnie ze swoich przełożonych w ich obecności i przy ich udziale, drwi z samego siebie, najszczerzej, lecz zarazem dla innych najmniej boleśnie. Jeżeli jest głodny, humoru nie traci. Rozmawia wtedy poważnie, zajmuje się polityką, na przeciwników swego poglądu, — który dziś jest innym niż był wczoraj i innym również, niż pogląd jutrzejszy, — rzuca gromy, gotów ich utopić w jednym kotle z bolszewikami. Kończy na kpinach ze siebie i swoich kłopotów. „Jest chleb, mówił któryś, jest Polska, niema chleba, to niema i Polski“, — a chleba już od 5 dni nie było. Kpi, śmieje się i gada. A gada zawsze, gada tym swoim osobliwym językiem żołnierskim, rubasznym, cynicznym, tak dosadnym i tak niesłychanie obrazowym.

Język żołnierza to naprawdę przedmiot godny specjalnego badania, dialekt, powiedziałbym, osobny, na który składają się wszystkie gwary polskie, wszelka wymowa polska i ta dodatkowa

czysto obozowa bezwzględność stylu. Bogactwo wyrażen, obfitość obrazów, szerokość rozmachu łączą się w pełną całość ze specyficzną „nieprzyzwoitością“, obrażającą słuch nieprzyzwyczajonych do tej mowy żołnierskiej. Jak całe życie żołnierza, tak samo i jego język ma w sobie zasadniczą dwoistość: rozporządzając dziesiątkami nieraz zwrotów dla okreslenia jednego pojęcia, na dziesiątki myśli używa jednego słowa najbardziej elementarnego i trywialnego. Znaczy ono działać i być bezczynnym, i jeść, i pracować, i chwalić, i ganić, i krzyczeć, i wyróżniać, i wogóle wszystko, co żołnierz chce powiedzieć, jeżeli chce być odrazu, a należycie zrozumianym.

Bogactwo słów i niesłychana jednostajność wyrażen w języku, jak w uspōsobieniu i charakterze żołnierza: oto dwie napozór sprzeczne strony tej mimo wszystko jednolitej postaci żołnierskiej, młodego i pełnego prawdziwego rozmachu życia, związanego z troskami pozafrontowymi, a rozwijającego się wśród walki i stałego niebezpieczeństwa, indywidualności silnej, stopionej w jedność z tłumem zorganizowanym.

Jego dwoista natura w całej pełni zarysowuje się przy robocie. Postawiony na posterunku, wysłany w patrolu, linią szeroko rozrzucona idący do ataku, jest on zawsze wierny sobie. Niepotrzebnie się nie wysunie, na wroga nie pójdzie, jeżeli tego nie będzie wymagała konieczność. Nie wyrywa się, nie pędzi na oślep przed siebie. Do-

świadczony a przesądny wie on, że pierwsza rzecz — to szczęście: co komu sądzone, tego nie uniknie; są tacy, co sześć lat walczą i są nietknięci, są tacy, co ledwo wyjdą w pole, a kula ich dosięgnie; są i znaki niechybne, zapowiadające nieszczęście, zły omen, skaleczenie przed bitwą, przeczucie. Rzecz druga — to konieczność pomagania losowi. Stary żołnierz się nie boi, jego nie oblatuje „cykorja“, on się jednak rozumie i na głosach kul i na huku armatnim i na kierunku strzałów, on wie, kiedy przypaść, kiedy biec przed siebie, jak uderzyć, a jak się zasłonić. Wie to wszystko, czego nie wie i wiedzieć nie może żołnierz młody. Stąd źródło szczególniejszego stosunku między nim, a tak złośliwie przez niego zwanym „powstańcem dwudziestego roku“.

Kiedy w ostatnich tygodniach odwrotu przyszła wiadomość, że kraj się wreszcie ruszył, że naród cały poczuł się w jedno z armją, że zaczynają, jak pisano, setkami tysięcy napływać ochotnicy do wojska, zrobiło to olbrzymie wrażenie we wszystkich pułkach. Żołnierz z poboru naogół z trudem rozumiał, jak to ktoś może „z ochoty“ iść do służby, na wojnę; w każdym razie i on był częścią armji jednolitej, w której duch moralny wzmógł się odrazu i w której wiele spodziewano się po owych ochotnikach. Wszędzie wyczekiwano ich przybycia z prawdziwą niecierpliwością i wzruszeniem, a tymczasem biło się coraz lepiej. Ochotnik z niemniejszym wzru-

szniem szedł w pole; nieco przez pryzmat Sienkiewicza wyobrażał sobie tę „najpierwszą linię“, dokąd się wydzierał, i przez poezję ujmował żołnierza i wojsko. Po obu stronach istniało nieporozumienie. Ochotnik był taki sam „bażant“, jak każdy inny, niewyćwiczony, a z pretensjami. Idąc na wojnę przed samym sobą pozował na „bohatera“, domagał się praw i przywilejów szczególniejszych z tytułu swej decyzji, na żołnierza z poboru, na starego żołnierza patrzył z góry, a sam brał karabin do ręki po raz pierwszy w tej samej chwili, kiedy go posyłano po raz pierwszy na wypad. Pożytku z niego w pułku na początku było mało, a kłopotu dużo. Z drugiej strony i rzeczywistość wojenno-wojskowa wyglądała zupełnie inaczej, niż w książce, zwłaszcza, że w wojsku traktują wszystkich jednakowo, z czym się on pogodzić nie chciał. Co więcej, stary żołnierz, czując wszystkie strony słabe kolegi nowego, a przede wszystkim jego ambitność, starał się ją wygrywać na korzyść swoją. On się już na ochotnika czy to do wywiadu, czy na szpicę nie wrywał. Więc „powstaniec“ musiał iść zawsze w pierwszym szeregu, nie tyle z męstwa niepomowanego, ile dla ambicji swojej. A przecież wiadomo, co znaczy ambicja u inteligenta. Nie ma niebezpieczeństwa, niema sytuacji, w którejby się przyznał do tego, że się waha, jeżeli wiedział, że inni patrzą. Szedł więc naprzód z głową podniesioną i panował nad odruchami nawet wtedy,

kiedy kule padały wprost na niego, kiedy koledzy się pochylali, kiedy żołnierze starzy ukrywali się w rowach, kiedy się cofali. Szedł naprzód, bo miał iść naprzód, bo tak mu kazała jego duma, choćby miał w duszy złość do towarzysza, którego, jako bohatera, inaczej wyobrażał sobie na „hinterlandzie“. Z obu stron nieporozumienia rosły i powstawał w wielu pułkach zatarg, w który aż musiała wkroczyć władza najwyższa wojskowa.

W pułku piątym zatargu nie było, nieporozumienia początkowe minęły szybko, przeciwnictwa obustronne się zatarły, żywioł ochotniczy, nowy i nieliczny życzliwie przyjęty, wsiąkł w szeregi dawne, wkrótce zrósł się z nimi. Nie zmienia to jednak faktu samego, iż „powstaniec dwudziestego roku“, pocziwy niedołęga o ambicji wygórowanej męstwa nie takim sobie wyobrażał wiarusa starego z pułku piątego.

Tylko że ten wiarus ma zawsze oblicze dwójakie. Ostrożny i rozważny, prawie „dekujący“ się „łazik“ nagle przetwarza się w boju. Męstwo dowódcy zaraża i jego odwagę. Idzie do ataku z wściekłością, nie dba o strzały przeciwnika, lekceważy padające na okół szrapnele, pędzi, pędzi coraz szybciej, impetem niweczy wroga. Ukryta cnota bojowa wyladowuje się w całej pełni. Przestaje widzieć niebezpieczeństwo, wierzy teraz tylko w swój los, w los dobry, szczęśliwy żołnierza piątego pułku. I czy to noc, czy chłód, pią-

chy, czy mokradła, wzgórze, czy rzeka, nic go nie jest w stanie powstrzymać. On biegnie naprzód: przed nim wszystko pierzcha.

Widziałem podoficera chorego prawdziwie na odwagę. Od zimy 1914, jako chłopak 16-letni, należał do legjonów, pochodził z Zagłębia Dąbrowskiego. Przez cały czas, przez lata długie kule go omijały. Wierzył w swe przeznaczenie. Po każdej walce rwał się z tym większym zapalem do nowych bojów. W wypadzie nocnym na Siedrę przy pierwszej salwie był raniony kulą karabinową. Ranny biegł jeszcze naprzód, upływ krwi osłabił go, padł na ziemię, zrozpaczony. Dla niego praca nocy była skończona. Nie pojmował, by można było „w głupim“ wypadzie stracić zdolność do walki dalszej. Prawie, że płakał. Odesłany do Warszawy, ledwo zaleczony bez pozwolenia władz i bez dokumentów uciekł z powrotem na front. Prowadzący swą kompanię na okopy litewskie pod Gibami por. Jaźwiecki, trafiony kulą w piersi biegł jeszcze w tym samym tempie kilkanaście kroków naprzód, jeszcze przez czas jakiś porywał swych żołnierzy, by następnie bez jęku i bez słowa paść na ziemię i skonać.

Skomplikowany charakter żołnierza występuje i w marszu i na postoju. Wystarczy, by kolumna zatrzymała się na chwilę, we dnie, czy w nocy, w upał czy w zimno. Żołnierz umęczony drogą i klnący schodzi w rów, rzuca się na ziemię, na mech, na błoto nawet, śpi. Pada rozkaz:

powstać! dowództwo zrywa go do ruchu, żołnierz śpi jeszcze. Pada rozkaz nowy. Reluton śpiący podnosi się, śpiąc jeszcze, zwłaszcza w nocy, z oczyma otwartymi idzie, posuwając się, jak automat, pochylając w tył i naprzód, kołyszając się zwolna. Pierwszy korzeń, pierwszy kamień, na którym się potknął, budzi go dopiero. Strzał pierwszy z oddali trzeźwi kolumnę. Świadomość powraca momentalnie, przytomność łśni w oczach wszystkich. Żołnierz klnie znowu i z energją szykuje się do pracy. Snu mu zawsze za mało, za mało wytchnienia, więc śpi, gdy nadarzy się sposobność.

Nagle, rozkazem wyższym pułk — zatrzymany na dni dwa, trzy, kompanje — rozstawione po chałupach lub stodołach, wypoczynek. Niema walk, niema marszów, niema zajęć żadnych. Zdawałoby się, że teraz żołnierz wypocznie, że rad będzie wypoczynkowi. Mija dzień — on znowu niezadowolony. Po dniu wytchnienia powróciły siły: ciąży mu bezruch, bezcelowość spokoju. Pragnie akcji, życia.

W takich jednak chwilach, ze zdwojoną niecierpliwością czeka gazet, dzienników, wypatruje listów z domu, poszukuje książki.

Oświata czy kultura — nie odgrywają zresztą roli w jego świadomości. Dla referenta oświatowego ma dużo pobłażliwości, traktuje go z lekką pogardą, życzliwiej wtedy tylko, jeżeli widział, że referent ognia się nie boi, i że nie uchyla

się od trudów wojskowych. Daruje mu wówczas tę, zdaniem swoim, zbyteczność, a przypomina go sobie w godzinę odpoczynku. Pragnie wiedzieć, co się dzieje. Jeżeli sam czytać nie umie, każe sobie czytać pisma. Przepada za krótką powieścią historyczną, najlepiej dziecinną, za nowelką wesołą z życia żołnierskiego. Pogadaniek słucha z początku z zainteresowaniem, męczą go zresztą rychło. Przestaje uważać, myślą wraca do brakujących mu teraz czynności wojennych, do tego, co stanowi oś jego zainteresowania i cel jego życia.

Treścią bowiem życia jego stała się wojna, nieprzerwane pasmo zmieniających się wrażeń, wysiłków wielkich, niebezpieczeństw i zwycięstw. Jest już wojną zmęczony, tęskni do pokoju, lecz w możliwość jego nie wierzy, a może — i nie pragnie go w duszy. I tu ta sama dwoistość, co wszędzie. Klnie on na wojnę, a żyć bez niej nie może, tęskni do ciszy, do jakiegoś życia normalnego, a wyrывa się do ruchu, do walki, do ryzyka. Opowiada o tym, co robi, jak wróci do domu, a z domu ucieka w pole, po tygodniu urlopu, stęskniony za pułkiem.

Ciągnie go tam przyzwyczajenie, natura wędrowca, ciągnie miłość rozmachu i przywiązanie do nadzwyczajności, ciągnie przeświadczenie o niebezpieczeństwie grożącym, honor żołnierza, który nie pozwala zejść z pola, nim zatknięty zo-

stanie ostatecznie sztandar pokoju zwycięskiego, trwałego.

III.

Dzisiejszy pułk piechoty w Polsce składa się z oddziałów różnej broni. Podzielony na trzy bataljony, po trzy kompanje normalne, posiada przy każdym bataljonie — jedną kompanję karabinów maszynowych i jeden pluton wywiadowców konnych. Pozatym przy dowództwie pułku znajduje się w charakterze rezerwy 4 k. k. m. i kompanja techniczna, oraz t. zw. kompanja sztabowa. Nadto pracują przy wojsku duszpasterz, służba zdrowia i służba łączności, ogarniające pułk i bataljony, komisja gospodarcza i t. d. Ogółem pułk liczy 18 kompanji normalnych, do których wliczone są mniejsze szczególne rodzaje służby, oraz dowództwo pułku i dowództwa bataljonów. Zarówno w kompanjach linjowych, jak i w większości kompanji specjalnych przeważa typ normalny piechura-szeregowca, jednakże przez wyspecjalizowanie pewnych czynności, przez zwyczajowe używanie pewnych kompanji niebataljonowych do służb stałych przy pułku i wyodrębnienie ich z ogólnego korpusu piechoty rozwija się w nich szczególna psychologia żołnierza i powstaje względem niego antagonizm zwykłego „piechociarza“.

Antagonizm ten może w najsłabszym stopniu istnieć w stosunku do kompanji technicznej, mimo że kompanja ta najrzadziej bywa w ogniu i że powodzi się jej stosunkowo najlepiej. Bierze się to stąd, że ten oddział saperów pułkowych, zresztą zawodowo niewykwalifikowanych, a raczej stopniowo wzwyczajanych do służby technicznej, jest wśród nierównych zresztą pod względem wykształcenia i bojowości kompanji jedną z najlepszych w pułku, że pod względem oświaty stoi najwyżej na 20% analfabetów (posiadała tylko dwóch analfabetów w pułku), że pod względem wytrzymałości żadnemu nie ustępuje. Kompanja techniczna używana do osłony dowództwa, do stałych zatym narówni z innemi placówek, w nieustannych, jak wszyscy, marszach ma swe zadanie szczegółowe, zresztą jak wszystko przez piechurę lekceważone, lecz mimo to oczywiste, widoczne, a częstokroć dla wszystkich nieodzowne. Kiedy inni po ciężkim marszu wypoczywają, nasi pułkowi saperzy zabierają się do roboty: urządzają przejścia, poprawiają mosty, budują nowe. Trzykrotnie widziałem ich przy robocie: pod upalnym słońcem wrześniowym, w chłodny dojmujący dzień jesienny, dniem i nocą w trudnych warunkach odnawiania przeprawy przez Niemen, i zawsze widziałem je-dnakowych. Kompanja techniczna się nie spieszy, ma zawsze czas, a na pozór nic nie robi. Kompanja techniczna nie traci wyrazu zwykłego,

nie przestaje bawić się i śmiać. Wszyscy się niecierpliwią, narzekają, wszyscy czekają, ona się nie daje wyprowadzić z równowagi — i w momencie dla wszystkich najmniej spodziewanym oddaje robotę gotową. A przecież ona wszystko robi sama. Drzewa rąbie, deski piłuje, materiał zwozi, kozły zbija, podpory w rzece ustawia, belki przerzuca i spaja, na nich pomost układa i umacnia, poręczę dorabia, przybija i utrwala; kiedy potrzeba, kładkę przerzuci przez rzekę szeroką, misterną kładkę z zachodzących na siebie desek pojedynczych; dopełni zerwane przesła mostu, ustawi nowy na pontonach. Przez godziny całe moknie w zimnej wodzie, a humoru nie traci, niezapomina o śpiewie, którym znaczyła się wszędzie, zwłaszcza wieczorem, obecność jej na postojach. Daleko po lasach rozchodziły się przed nocą po pieśni apelu i rocie sakramentalnej mocne męskie głosy, śpiewające melodie tęskne i rzewne, frywolne i niecenzuralne, poważne i wesołe.

Silniejszy znacznie antagonizm istnieje między zwykłą piechotą, a obsługą maszynek, tym silniejszy, że według przeświadczenia prostego szeregowca kompanijnego niema między nimi różnicy funkcji. A tymczasem, karabiniarz żadnych posług dodatkowych nie pełni, ryszunku w marszu na sobie nie nosi, chodzi luzem lub z lekkim karabinkiem na plecach, kiedy chce, siądzie przy maszynce na wozie i przejedzie dłuższy szmat drogi. Co gorsza, nie świetnej on używa opinii oso-

bistej u prostego piechociarza. A maszynkarz ma o sobie mniemanie najlepsze. Wie on, że w dzisiejszej walce rolę główną grają maszynki; one stanowiły o powodzeniach bolszewickich zeszłego lata, a odebrane bolszewikom i w ogromnej ilości włączone do naszych oddziałów one zdecydowały o zwycięstwie naszym. Wie on, że maszynki idą naprzód, by szerzyć śmierć, a zwłaszcza przerażenie w szeregach wrogów, i że za nimi dopiero uderza piechota, wyzyskująca sytuację stworzoną. Więc zasługę maszynek przypisuje sobie i na piechura prostego patrzy z góry, choć wczoraj był jeszcze w kompanii zwykłej i jutro może do niej powrócić.

Najgorszym jednak będzie stosunek do plutonów wywiadowczych, tym bardziej, że tu w zgodnym szeregu przeciwko nim stają wszystkie poza tym współzawodniczące ze sobą powyższe kategorie: piechociarze, K. T. i karabinarze. Pomiedzy poszczególnymi rodzajami broni w każdym wojsku istnieje odwieczny, powiedziałbym, antagonizm, stosunek najgorszy jednak i najostrzejszy panuje między kawalerją i piechotą. Uważa ona konnicę za rodzaj broni zbyt cenny, odmawia jej wszelkiej wartości, zarzuca jej zawsze winę swych niepowodzeń, podejrzewa o wszelkie przeciw sobie szykany, posądza o tchórzostwo zawodowe i o rabunki nałogowe i nie może jej darować powodzenia u kobiet. „Którędy przeszła konnica, tam niema co już robić piechota“ — myśli ka-

ždy niechur uczciwy. Część tego uczucia prze-
nosi on na swoją własną t. zw. dziką kawalerję.
Zresztą, określenie to ma nie tyle wyrażać stosu-
nek niepohamowany do ludności, lub męstwo wy-
jątkowe w obliczu wroga, ile raczej oznacza, że
plutony konne w piechocie nie należą do żadnej
określonej formacji kawaleryjskiej. Konie różnej
maści i różnej wartości od ciężarowych do praw-
dziwych wierzchowców, wszystko zdobyczne,
jeźdźcy różnej szkoły i najczęściej bez szkoły, bia-
ła czy czarna kita z końskiego ogona na czapce,
lanca przy boku, o ile było dużo konnicy nieprzy-
jacielskiej w okolicy, karabinek z fantazją na bok
przewieszony za plecami, lekki karabinek artyle-
ryjski, ujawniający odrazu swe pochodzenie, ła-
twa płochliwość rumaków, — ot jak wygląda ta
nasza „konna marynarka“. Piechota jej nie lubi,
w oczy i za oczy ją obgaduje. Zarzuca jej, że za
dużo myśli o sobie i o swoich spaśnych koniach,
za mało o nieprzyjacielu, zwłaszcza wtedy, kiedy
wróg znajduje się w pobliżu i że woli rekonesanse
na tyłach swych placówek, niż przed własnymi
linjami.

Wywiadowcy bronią się, jak mogą, płacąc
piechocie równą monetą, pełnią służbę łączników
i nieraz dają poznać całą swoją wartość. Przezna-
czeni do wywiadów pozwalają się czasem uno-
sić fantazji zbytycznej, porywając się na szarżę
szalone i niestety w skutkach swych tragiczne, jak
w bitwie pod Gibami.

Za wojskiem linowym, jakgdyby w drugim szeregu, stoją formacje pomocnicze, wśród nich zaś przede wszystkim służba zdrowia. „Opieka sanitarna w wojsku” — słowa te brzmią, jak ironja. Widziałem szpitale polowe w Lidzie po bitwie, widziałem zachowanie się sanitariuszy podczas ostrzeliwania, widziałem szpital już dosyć głęboko na tyłach i lekarzy wojskowych całkiem na tyłach. Jest w najnowszej książce *Clau de Farrère'a* *La dernière déesse* opis szpitala wojskowego na Malcie. By dostać się do sali chorych przejść trzeba przez trupiarnię. Ranny może spaść z noszy do trumny otwartej, lecz może uniknąć tego niebezpieczeństwa i mimo wszystko znaleźć się w sali szpitalnej ciemnej, nieoświetlonej i zimnej. Nie wiem, czy to ma być opis rzeczywistości, czy symbol zjawiska powszechnego. Nie leży w zamiarach moich akcentowanie niedomagań służby sanitarnej. Wiem jedno tylko, że mimo wysiłków wielu lekarzy i podlekarzy źle się dzieje z tą służbą w wojsku i że na poziomie ich męstwa i pracy nie stoi naogół nastrój „lapiduchów”.

Są oni prawdziwymi taborytami. Tabor lekki, towarzyszący bataljonom i pułkowi, i ciężki, znajdujący się na tyłach i tylko na postoju zbliżający się do swoich oddziałów, obejmuje całą gospodarczą i administracyjną część pułku, z kancelaryjami włącznie. Złożony z żołnierzy, zdyskwalifikowanych do służby czynnej, lub takich, któ-

rym udało się w ten lub inny sposób uniknąć służby w kompanji, posiada własną swoją fizjonomję i własne interesy. Są w taborze ludzie dzielni, którzy nieustannie wyrrywają się z powrotem do linii, są żołnierze starzy, którzy i tu w momentach krytycznych, jak podczas odwrotu z pod Kijowa, spółzawodniczą po bohatersku z szeregowcami kompanijnymi i nigdy nie rozstają się z karabinem, lecz „prawdziwy taboryta” — to ktos zupełnie inny. „Taboryta” bowiem — to żołnierz, nie wolny od trudów życia obozowego, lecz w znacznym stopniu zabezpieczony od bezpośrednich niebezpieczeństw i wysiłków bojowych, to człowiek roszczący sobie pretensje do praw i prerogatyw żołnierskich, a myślący jedynie o tym, by wykpić się od obowiązków wojennych. Zakkcentowały się w nim istniejące w każdym żołnierzu przywary, nie osłonięte powłoką, jaką nakłada na szeregowca linjowego stałe obcowanie ze śmiercią. „Taboryta” myśli tylko o sobie i urządza się w wojsku na stałe. Gębacz pierwszorzędny, kiedy przy ognisku rozpalonym opowiada przygody własne, cudowne, najczęściej zmyślone, w obliczu strzałów nieprzyjacielskich chowający się pod konie lub włączący pod wóz ze strachu, typowy „żołnierz chełpliwy” farsy starożytnej jest on zarazem maruderem wojny najzupełniej nowoczesnej. Oto — begun przeciwny tej całości psychicznej, która zwie się piechurzem współczesnym, a u której szczytów stoi małoletni obrońca Lwowa i Wilna.

IV.

Dowódca — bez strachu i zarzutu, pułk — bojowo cenny, w walce pewny, w bitwie szczęśliwy, w ruchach błyskawiczny, żołnierz ostrożny, a jednak niestrudzony i niezwalczony, choć wiecznie szemrający, w potrzebie bohaterski, nawet ze swym „odkuwaniem“ i taborytą, zasługującym na „virtuti taboritari“ — tak wygląda rzeczywistość dzisiejszego polskiego życia wojennego. Jakże bliskim tego obrazu jest wspomnienie z przed lat stu, sławny g r o g n a r d napoleoński!

BIAŁORUSINI I NASZ STOSUNEK DO NICH.

W ciągu długich marszów i przemarszów nad Narwią, Niemnem, Serweczem czy Uszą, w ciągu szeregu postojów, kwater po chałupach chłopskich i izbach żydowskich tego rozległego kraju, który zaczyna się od Bugu, a ciągnie pod Mińsk, starałem się o jedno, o zdobycie prawdziwego, a bezpośredniego wrażenia rzeczywistości otaczającej. Próbowałem nie pamiętać tego, com wiedział o Białej Rusi, jej przeszłości, o Białorusinach, wszelkie obce i nasze dowodzenia w sobie zatrzeć i przede wszystkim widzieć otaczające mnie życie. Nie będę twierdził, żebym uwolnił się całkowicie od aprioryzmu gotowych własnych formuł, ażebym zdobył całkiem nowy sąd o sprawach i rzeczach, skądinąd znanych. Jedno zdobyłem napewno, sąd w miarę sił moich bezstronny, oparty o obserwację bezpośrednią stosunków, które w ogniu wojennym przybierać muszą z konieczności nieraz koloryt bardzo zamazany.

I.

Przedewszystkim, czy istnieje geograficzna, powiedzmy krajobrazowo indywidualna Białoruś.

czy kraj pod tą nazwą znany może rościć sobie pretensje do miana całości geograficznej. Zdaje mi się, że nie. Za okupacji niemieckiej inteligencja białoruska wydała pocztówki obejmujące ziemie, które według obliczeń uchodzącego wówczas za Białorusina, niegdyś warszawskiego działacza rosyjskiego, prof. Karskiego, miały stanowić Białoruś. Białoruś ta posiadała dziwną postać, o granicach falujących, wdzierała się i gwałtownie cofała w Siedleckie, Wileńskie, na południe w tereny Ukraińskie, sięgała hen na wschód za Smoleńsk, dochodziła prawie pod Moskwę. Ta dziwaczna postać, odpowiadająca może mapie rozsiedlenia ludu białoruskiego i gwar, noszących cechy mowy tego ludu bez granic, uderzało oko, przyzwyczajone do czytania mapy geograficznej, zupełnie dowolnym połączeniem całkiem odrębnych jednostek geograficzno-politycznych. Mapa ta przypomina mi się obecnie, kiedy próbuję odtworzyć wrażenie kraju, odebrane bezpośrednio.

Na zachodzie prawie pod Grodno, kraj stanowi prawie jedną całość krajobrazową ze wschodnimi częściami dawnego królestwa: Podlasie nie było sztuczną jednostką. Po tej i tamtej stronie granicy b. Królestwa, w siedleckim i białostockim mamy wrażenie jednej całości ciągłej — pagórkowatej, z dużymi wydmami piaszczystymi, nikłym zalesieniem, jednakowym typem zagospodarowania rolnego. Nie są natomiast dalszym cią-

giem tego widoku, ani północna część Grodzieńszczyzny, czy południowa Wileńszczyzny, ani zwłaszcza zachodnie części Mińszczyzny. Kiedyśmy po wielu dziesiątkach godzin opuścili krainę jezior, lasów i ludności litewskiej, by znowu stanąć na ziemi, gdzie mówią językiem pośrednim między mową naszą, a rosyjską, wzrok nasz wraz z słońcem, które powstało, uderzył widok, czysto mazowiecki. Olbrzymia równina prawie bezbrzeżna, poprzerzynana szeregiem strumieni, niesłychana płaszczyzna piaszczysta, której swoiste, pod Warszawą nieznane zabarwienie nadaje specyficzny trakt rosyjski, zastępujący szosę, obszerne nieraz na wiorstę szerokie ujeżdżone piachy, będące w tym kraju jedyną arterją komunikacji. Od czasu do czasu trakt ten ginie w lasach, nie lasach litewskich, zdawałoby się, nieprzebytych, których ani przeszłość, ani nawet teraźniejszość wytrzebić nie była w stanie, lecz w porządnym lasach iglastych typu dobrze znanego pod samą nawet Warszawą. Między tym krajem, rolniczo bez porównania słabszym, i zgoła inaczej niż u nas zagospodarowanym, a zachodnią Białorusią — różnica istotna, między nią — a Białorusią, przylegającą do Litwy, przepaść prawdziwa, jedyne uderzające podobieństwo, które siłą wrażenia radować musiało serce każdego żołnierza Mazura, istnieje tu tylko w stosunku do naszej najścisłej ojczyzny mazowieckiej. Stąd wniosek, poparty doświadczeniem tych, którzy kraj ten

w innych jeszcze kierunkach przemierzyli, krajobrazowo, pod względem wyglądu swego zewnętrznego Białorusi niema. Jeżeli mimo to nie można ziemi tej odmawiać jedności, to jedność tę daje jej system rzeczny, rozbijający Białoruś na dwie odrębne całości, z których zachodnia aż po Mińsk włącznie związana jest przez Niemen i wschodnie dopływy Wisły z Litwą i Polską właściwą, a odcięta jest od wschodniej części mapy prof. Karckiego.

Istnieją ustalone kryteria językoznawcze, które nie bez pewnego wpływu polityki — nakazują język ludności tej tak różnorodnej krainy uważać za jedną całość. Kryteria te w bezpośrednim zetknięciu ustępują innym bardziej praktycznym, które służą też do innego ostatecznego określenia charakteru języka ludności tej ziemi. Dla człowieka, którego językiem ojczystym jest polski, lecz który posiada dobrze język rosyjski, istnieją następujące zasadnicze sposoby określania właściwości językowych Białorusinów: a) czy rozumie on język tubylca, b) czy może siebie dać zrozumieć, mówiąc po polsku, po rosyjsku, po polsku z domieszką rosyjskiego, po rosyjsku z domieszką polskiego. Po zastosowaniu tego kryterjum wypadnie na doświadczeniu, zdobytym conajmniej w 40 miejscowościach, gdzie mówiono tylko językiem miejscowym, przyjść do następujących konkluzji. Oczywiście, odpadnie zachodnia połać kraju, Białostockie, gdzie mówią jakąś gwa-

ra, którą w promieniu powyższych założeń wypaźnie uznać za podruszynkowany polski. Rozumie się tam dobrze miejscowego człowieka i mówi się z nim czysto po polsku. Wszędzie dalej istnieje jakas dziwna mieszanina gwar, która nie pozwala na samodzielne, praktyczne usystematyzowanie języka. Wrażenie ogólne jest takie, że każda wieś mówi językiem zupełnie innym. Zdarzały się wsie i rodziny w Mińszczyźnie, dla których polski był bliższym i w czynnym i w biernym stosowaniu, a bez porównania bliższe nam geograficzne osiedla są językowo o wiele bardziej związane z rosyjskim. Istnieją natomiast rozległe bardzo ugrupowania, jak np. Motewicze nad Niemnem, gdzie ani polski, ani rosyjski nie da się zastosować, gdzie chłop nie rozumie mieszaniny polsko-rosyjskiej, ani czystej mowy jednego z tych dwu języków, gdzie nie sposób zrozumieć tego, co on sam mówi, choć należy on do kościoła katolickiego. Na przewagę pierwiastków polskich czy rosyjskich w mowie wpływ zdaje się decydujący wywierały warunki gospodarczo-polityczne: bliskość i obfitość dworów polskich w okolicy, bliskość cerkwi i powiatu, służba w wojsku niegdyś rosyjskim, pobyt garnizonu rosyjskiego gdzieś w sąsiedztwie, bliskość miasteczka, które jest prawie wszędzie w swej części chrześcijańskiej dziś jeszcze w większości olbrzymiej czysto polskie (np. Bielica, Nowogródek i in.). Te czynniki wbrew łączności geograficznej czy to z polskością czy to

z rosyjskością komplikują jeszcze bardziej zasadniczą różnicę językową kraju, która sprawia, że właściwie nie może być mowy o jednym języku, lecz o szeregu języków na Białorusi. A przy niewyrobieniu literackiego języka białoruskiego, przy słabym rozpowszechnieniu prasy białoruskiej, przy dużym wpływie rosyjskim na twórczość literacką białoruską, zwłaszcza, np. w okresie bolszewickim, język literacki słabo docierający na wieś jest w małym stopniu czynnikiem ujednoliciającym mowę ludu, jest raczej pośrednikiem, ułatwiającym jej rusyfikację.

Mowa zatym „ludowa“ „tutejsza“ — nikt jej nie nazywa białoruską — w zasadzie najpoważniejszy pierwiastek łączności, sama nie posiada cech dostatecznie silnych, któreby prowadziły do zespolenia psychicznego ludności. Tym jedynie pewnym psychicznym momentem jest religia: częściowo katolicka, częściowo — prawosławna. Przynależność religijna decyduje o wewnętrznej przynależności do tej, czy innej grupy. Religia katolicka prowadzi do używania języka polskiego w całym wewnętrznym nawet życiu religijnym człowieka: chłop białoruski jest bardzo religijny, to też język jego modlitwy porannej i wieczornej jest dla niego rzeczą istotną, dzieci białoruskie, nie rozumiejące ani słowa po polsku, klepią Ojczenasz, Zdrowaś co dnia po polsku, polskim jest także oczywiście język służby bożej w kościele. Stąd katolik wszędzie jest „Polakiem“, prawosławny „Ru-

skim“. Religja dzieli Białorusinów nie na dwa jednak, a na trzy wielkie odłamy. Na zachodzie są „Polacy“, na wschodzie — „Ruskie“, każdy przywiązany mocno do swej religji i do swej grupy religijno-narodowej. Największy i najliczniejszy odłamek — to wsie, o ludności mieszanej, lub też wsie o ludności różnej, przylegające do siebie. Wśród takiej ludności stopniowo zaciera się ostre przywiązanie do swej grupy: małżeństwa mieszane są częste i do niedawna tam zwłaszcza, gdzie celowo niedopuszczano księży, lub gdzie nie było kościołów, ludność katolicka uczęszczała do cerkwi. Zacierała się różnica pomiędzy obu grupami: „mieжду nami niet razliczja“, jak mi mówił jeden z chłopów, katolik, we wsi prawosławnej, „my są jedne, tutejsze“. Obok materiału na Polaków i Rosjan, mamy tu materiał na prawdziwych Białorusinów, t. j. na odłamek, w którym poczucie „tutejszości“ będzie silniejsze od poczucia religijnego. W granicach pokoju ryskiego pozostali po naszej stronie tylko „Polacy“ i „tutejsi“ Białorusini, „ruskich“ z wyjątkiem północy od linii Wilno — Mołodeczno, prawie że niema.

Jeżeli Białorusi, jako całości indywidualnej nie znajdujemy, jeżeli Białorusinów, jako jednego narodu z świadomością narodową nie widzimy, to jednak nie możemy zamykać oczu na istnienie kwestji białoruskiej. Zagadnienie samodzielnego bytu narodowego, sprawa choćby teoretycznego stanowienia o swoim losie, pytanie co do własne-

go państwa, samodzielnego, federacyjnego czy autonomicznego w granicach takiego czy innego związku państwowego, ta kwestja z chwilą rozpadnięcia się dawnej Rosji musiała wystąpić na Białorusi. Podnosi ją młoda i nieliczna inteligencja białoruska, dziś jedyna szczerza przedstawicielka aspiracji narodowych Białorusi, a pochwyciły ją w swe ręce wszystkie czynniki międzynarodowe. Przedewszystkiem — Rosja. Odrodzona czy nie odrodzona Rosja niebolszewicka podejmuje tę kwestję, jako zagadnienie politycznie nieaktualne, o ile chodzi o samą Rosję, jako moment wysoce aktualny do wygrania na gruncie miejscowym i międzynarodowym przeciwko „imperjalistycznej“ Polsce. Rosja bolszewicka i w propagandzie i w traktacie ryskim ma w swoim ręku wyłączną reprezentację białoruszczyzny: idąc po staremu na odbudowanie terytorjalne dawnej Rosji Republika sowiecka niesie hasło federacji, w którym mieści się federacja republik rad, nie oddzielonych żadnemi urządzeniami i żadną granicą od republiki-macierzy, i rozporządza w ten sposób wysoce aktualnym argumentem przeciwko „pańskiej“ Polsce. Zresztą, trzymając Mińsk, może zeń stworzyć ognisko stałe przeciw-polskiej iredenty, przez nieustanne, zgodnie z odwieczną obłudną taktyką rosyjską, propagowanie wolności na eksport, przez poruszanie haseł narodowych poza granicami swemi. Wysunięta przeciw nam sprawa białoruska zostanie w ten sam

sposób pojęta na terenie międzynarodowym: ententa prowadząca politykę czystego egoizmu własnych państw, musi się liczyć z głosem sumienia swoich narodów, a nie dając im zaspokojenia w sferze działania bezpośredniego, tym chętniej stara się podsuwać dowody swego szlachetnego altruizmu na terenach dalekich i mało narodom jej znanych. Tym chętniej zwłaszcza staje ona dziś w obronie różnych narodów, jeżeli obrona ta może pozwolić na zaspokojenie własnych apetytów ekonomicznych (Anglja) i na stworzenie możliwości przeczekania do czasu odrodzenia potęgi Rosji (Francja). A przecież ponadto w każdej sprawie, osłabiającej autorytet Polski, grać będą rolę pierwszorzędną wpływy Niemiec, które nie mogą zapomnieć, iż była chwila, kiedy Mińsk mógł się stać punktem wyjścia dalszej politycznej i gospodarczej ekspansji wyłącznie niemieckiej. Jeżeli tak jest istotnie, Polsce nie wolno prowadzić na terenie białoruskim jedynie polityki korzyści doraźnych, nie wolno liczyć się jednostronnie z warunkami miejscowego życia, lecz musi ona zająć względem owej kwestji stanowisko jasne, zdecydowanie twórcze.

II.

Kwestja ta w chwili obecnej dwie posiada formy: jedną, wyżej skreśloną, polityczną, zasadniczą, drugą napozór politycznie drugorzędną

a związaną z nastrojami ludności Białorusi, nawskroś praktyczną. Pierwsza — jest dziełem polityków białoruskich, druga — wyrazem ludu białoruskiego, jednej bez drugiej rozwiązać nie sposób. I dlatego, żeby móc wypowiedzieć się w sprawie naszej polityki w tym kraju, nie wystarczy oprzeć się na zasadniczych elementach życia białoruskiego, trzeba starać się wejść także w zrozumienie nastrojów obecnych — całej ludności tej ziemi. Rzecz to nie łatwa: Białorusin bierny, wogóle nieufny, stał się nim bardziej jeszcze w czasie zmiennych kolei wojennych. Ostrożność kazała mu przed obu wojskami ukrywać swe myśli istotne, a zawsze zabraniała odsłaniać prawdziwe poglądy przed człowiekiem, ubranym w mundur. Sądzić naprawdę o tym, co ludność tego kraju myśli i pragnie, można raczej po tym, co z tych ludzi samo wybucha, co wbrew ich świadomej woli występuje w ich działaniach czy odruchach, niż po słowach i głoszonych opiniach. A jednak można ze znaczną nawet pewnością ustalić właściwy jej stosunek do zjawisk, które się wtedy przesunęły.

Oczywiście podstawowym jest stosunek do dawnej Rosji. Panowanie Mikołaja — to były czasy normalne, a jako takie po dzień dzisiejszy, mimo lekceważącej pogardy dla samego Mikołaja, uchodzą za czasy dobre, czasy pokoju szczęśliwego. Jedynym trwałym wspomnieniem tych czasów jest rubel carski: nowych rosyjskich pienię-

dzy chłop nie uznaje, nie przypisuje im wcale wartości pieniądza, na naszych polskich markach się nie zna, szacuje je mało, narówni z dawnymi niemieckimi, ma duże przywiązanie i zupełne zaufanie tylko do rubla, którego chowa religijnie, czekając przyszłości lepszej. Może sam nie umiałby określić owych czasów przyszłych, najpewniej wyobraża je sobie w starej postaci mikołajewskiej.

Ludność i po miastach i po wsiach jest fizycznie, a zwłaszcza moralnie umęczona wojną. Wieczne przemarsze, coraz to nowe wojska, coraz to inne tabory, ciężary, obowiązki, kwatery: chłop ani mieszczanin od lat niema swej chałupy, ani swego dworu, ni konia, ni wozu. Wszystko jest naprawdę własnością przejezdnych, którzy się zmieniają stale. Niema czasu na wytchnienie, na odbudowanie po okropnościach wojny okopowej (np. Korelicze i okolice doszczętnie zniszczone), na chwilowe zagospodarowanie. Przez czas jakiś wydawało się, że wszystko powraca do normy: krótkie lato 1919 i jesień tegoż roku zużyto tu i owdzie na roboty wiejskie, prócz ziemniaków sadzili buraki, trochę roślin pastewnych. Na wiosnę znowu zwała się wojna. Spadła zgłodniała szarańcza bolszewicka, rozpoczęły się nie tyle okropności wojny, ile raczej niepewność losu i wieczna zależność od wszystkich. Zmęczenie psychiczne — znowu się potęguje, to też jedynym powszechnym pragnieniem jest spokój. Bolszewicy pierwsi od początku października głosili, że

będzie pokój. Postępujące krok w krok za uciekającymi bolszewikami, wojska nasze dowiadywały się od miejscowej ludności, że takie to rozkazy zostały u bolszewików wydane — w sprawie wprowadzenia pokoju z dniem 5, 7 czy jakiegokolwiek października. Chłop powtarzał, co mu bolszewik mówił, i czekał pełen niepewności i niecierpliwości potwierdzenia wieści od nas. „Spokój“ — to słowo jest nie tylko na ustach wszystkich, jest w duszach wszystkich ludzi tego kraju, na wsi i w mieście, u chłopów, obywateli ziemskich, u żydów. Spokój, do którego wszyscy tęsknią, jest również i miarą sądu o wypadkach, które się rozgrywają na Białorusi, i źródłem stosunku do zjawisk, które się tu rodzą.

Stąd, naogół powszechnie negatywny stosunek do ubiegłego okresu bolszewickiego. Propaganda bolszewicka przyszła nie jako zapowiedź poprawy bytu chłopskiego, lecz jako nowy czynnik wstrząśnienia, tego wstrząśnienia chłop znać o b e c n i e nie chce. A tymczasem prócz zapowiedzi nowego niepokoju wewnętrznego, bolszewizm chłopom nic nie dawał, sprowadzając na wieś tylko nowe niezmiernie ciężary wojenne i klęski żywiołowe. I w zwycięstwie i w niepowodzeniach czerwona armja była katastrofą dla ludności: zabierano konie, podwozy pędzono setki wiorst, a potem podwodziarzy bez wozów i koni, bez zapłaty i żywności puszczano z powrotem. Setki chłopów wracało z pod Warszawy aż pod

Mińsk Litewski. Ziemiaki wykopano i odebrano zarówno chłopom, jak i mieszczanom. Zboże ścięto lub strącono. Siano zabrano. Metoda czerwono-armejska niczym w oczach chłopu białoruskiego nie różniła się od metody białarmej-skiej, tym tylko, że przyszła po tamtej, a zatem, jako ostatnia utrzymywała się tym żywiej w pamięci.

W promieniu bezwzględności rekwizycji czerwonych, wobec groźby nowego poboru, który z całą surowością przeprowadzono na Białorusi, rodzi się poczucie solidarności całej ludności tego kraju. Wbrew, naprzekór propagandzie, chłop nie daje się użyć przeciwko dworom, raczej przeciwnie. Znam symptomatyczny wypadek z dworem R., charakterystyczny dla stworzonej na Białorusi sytuacji psychicznej. Kiedy bolszewicy chcieli wziąć właściciela tego dworu p. D., cała wieś Czyżynowce zgłosiła się do komisarza, by się upomnieć o właściciela folwarku. Na argument, że oni są widocznie za polskim panowaniem, chłopci prawosławni, broniąc się przed tym zarzutem, twierdzili tylko, że oni nie pozwolą skrzywdzić pana D., który żył z nimi zawsze w dobrej zgodzie sąsiedzkiej, i uratowali „sąsiada”. Chowając konie swoje i bydło po lasach, chłopci, którym łatwiej było przeczekać bolszewików, zabierali na czas bolszewizmu bydło pańskie ze dworów, u siebie ukrywali zboże folwarczne, pomagając dworom, zresztą nielicznym, przetrwać ucisk czerwony. Po lasach również ukry-

wała się cała młodzież chłopska, którą, mimo pięknych odezw przeciwnopolskich, komisarze z trudem i siłą tylko zdobywali do swoich szeregów, i tam spotykała z młodzieżą mieszczańską i drobnoszlachecką polską. W miasteczkach wyraźne polityczne prześladowania spadały tylko na ludność polską; na widoku publicznym, skutkiem denuncjacji, nielicznych zresztą miejscowych komunistów żydów, była ta straż polska na wschodzie przedmiotem nieustannych rabunków, ofiarą stałych aresztowań, szykan wiecznych, a czasem wyroków śmierci. Natomiast, cała zamężniejsza ludność miejska bez wyjątku była przedmiotem ucisku gospodarczego: handel został zahamowany, znikły z obrotu chleb, cukier, sól, nędza zajrzała w oczy wszystkim, a kontrybucje spadały na barki tych, którzy się wyróżniali bogactwem względnym, przedewszystkim na żydów. Bolszewicy zapomnieli o dawniejszych sojusznikach, jakgdyby czując doczasowość swego panowania, prowadzili gospodarkę, która w pamięci ludzi miejscowych — zatarła całkowicie wspomnienie wszelkich okupacji poprzednich.

Na pobojuwisku pod Lidą znalazłem rozsypany dziennik jakiegoś oficera bolszewickiego: notatki zaczynają się pod Witebskiem, prowadzą pod Warszawę, stamtąd ciągną z powrotem aż za Grodno. Pamiętnikarz notuje stale dwa zjawiska: piękną pogodę i zły stosunek ludności do

wojsk bolszewickich, zły, choć władze bolszewickie nakazują jaknajłagodniej z nią postępować. Stosunek ludności i wiejskiej i miejskiej, mimo strachu przed komisarzem i czerwonym kozakiem, jest nie tylko zły, jest pełen pogardy. A ta pogarda jeszcze wzrosła w chłopie białoruskim, kiedy zobaczył w prochu leżące mrowie moskiewskie, kiedy co dnia oglądał pędzone setki, potem tysiące zgłodniałych, obdartych, wynędzniałych jeńców, których prowadziło paru „legjonistów“. Legjonistą bowiem zawsze jest żołnierz polski na Białorusi i dla chłopca-Białorusina, i dla żyda, i zwłaszcza dla mieszczanina — Polaka, który z dumą lubi opowiadać o swoim synku, służącym w legjonach. A jeżeli nie jest legjonowym wojsko polskie jest „pańskim“. Nie pomoże żadne tłumaczenie, nie pomogą tysiącni synowie chłopscy i nasi i nawet białoruscy w wojsku naszym. Jest ono pańskie i koniec. Dwa na to składają się pierwiastki: jeden odwieczny, historyczny, drugi całkiem nowy, agitacyjny. Polskim jest na Białorusi dwór. Właściciel folwarku, pan jest Polakiem. Stąd co polskie, to i pańskie, w złem i dobrem. Oto podstawa identyfikowania czynnika państwowo-polskiego ze społecznym, możliwość na tle antagonizmu społecznego podsycania nastrojów antypolskich. Bolszewicy w sposób świetny wyzyskiwali ten moment w swej agitacji, w broszurach, w odezwach, a zwłaszcza w plakatach barwnych, dla celów politycznych i przeciwpol-

skich podkreślając moment społeczny. Wojska nasze w ich urzędowej literaturze na Białorusi i wszędzie noszą specyficzną nazwę „legionow pana Piłsudskawo“.

Zasadniczo negatywny stosunek do bolszewików i ich upadłej potęgi był narazie obroną nawet przed tego rodzaju konstrukcją polskość, gdzie była ona identyczna z pańskością i ustrojem pańszczyźnianym. Ale po marszach rosyjskich przyszły polskie. Wojska nasze szły tym samym szlakiem, co bolszewickie, zajmowały te same przejścia, te same wsie i miasta, te same chałupy. Nie wróciły jeszcze z podwód bolszewickich a iść musiały konie chłopskie z wojskami naszymi. Nie zdążyli usunąć z izb czy ze stodół wiązek słomy, na których spali Moskale, a oddawać je musieli na kwatery naszym żołnierzom. Nowy łańcuch wojsk szerokim pasem stuwiorstowym uderzał na cofającego się wroga, a oderwany od swej naturalnej podstawy zaprowiantowania, przy niedostatecznych środkach komunikacyjnych, przy złych drogach musiał zabezpieczyć swe wyżywienie na miejscu, choćby oglądając kraj, przez który się posuwał. Gdzie idą masy ludzkie, posuwając się nieustannie naprzód, tam nie może obejść się bez nadużyć. Oglądano ten kraj legalnie, oglądano go i nielegalnie, zabierając tę resztę, która pozostała po bolszewikach. Nie wpłynęło to wprawdzie na nastroje przeciwbolszewickie, budziło jednak wspomnienie odezw bolszewickich

i rodziło niechęć cichą, tłumioną do nas. Chłop naogół rozumiał konieczność rekwizycji i ciężarów, które spadały na kraj, lecz zarazem buntował się z całej duszy przeciwko niesprawiedliwości losu, który jego właśnie obciążył obowiązkiem ponoszenia trudu wojny. I modlił się nieustannie o pokój. Wiadomość o rokowaniach ryskich przyjmował z niedowierzaniem, a zarazem z trudno tłumionym entuzjazmem, i zapewniał: „niech by to było prawdą, gotów jest na wszelką ofiarę ostać”.

W znacznie słabszym stopniu od wsi znosiły ciężar przemarszów miasteczka, choć i one były stale przeładowane obowiązkiem kwatunkowym. Żydzi na początku zaleknieci, przerażeni, nieraz nie bez powodu, i przyciszeni, wkrótce odzyskiwali równowagę. W małych nawet miasteczkach po pierwszym momencie zdobycia łatwiej utrzymać dyscyplinę i normalne życie, niż w okresie nieustannych marszów w polu. Prócz czynnych zwolenników komunizmu, naogół w obecnym okresie nielicznych, którzy wywędrowali za bolszewikami, ogół żydowski z ulgą odetchnął po ich wyjściu. Mówiono w Gródku, w Lebedziewie i w szeregu innych miasteczek, że od chwili wyjścia wojsk polskich, do chwili ustalenia porządku po ich ponownym wkroczeniu, w miasteczkach tych nie było żadnego handlu. Gdzie niema handlu, tam dokonywa się powolne dogorywanie żydów. Mimo chwilowych, przemijających momen-

tów strachu, wojsko nasze, zwłaszcza od chwili wprowadzenia w życie rozejmu, było dla żydów miejscowych symbolem przywrócenia upragnionego z wyklętego trybu życia, powrotu do czasów normalnych. Jeszcze niema regularnej, ruchliwej komunikacji pomiędzy poszczególnymi ośrodkami owej krainy, już jednak szykują się oni do niej, i w przeciwstawieniu do systemu bolszewickiego liczą na możliwość dawnych zysków w razie ostatecznego przez nas uporządkowania stosunków tamtejszych.

Białorusina w tej chwili (pisane w listopadzie 1920 r.) należy uważać za wahającego się, nieufnego, ze strachem patrzącego w przyszłość, skutkiem zupełnego оголоczenia kraju ze zboża, siana i kartofli, w żydzie żyje nadzieja odrodzenia pod panowaniem polskim dawniejszych form działalności gospodarczej, które czyniły go niezbędnym pośrednikiem na szlaku Wilno — Mołodeczno — Lida — Białystok.

Takie nastroje przepływały przez ludność Białorusi w ostatnich ubiegłych tygodniach lata i jesieni zeszłorocznej.

A na to wszystko przyszły dla przeciętnego Białorusina w szczegółach swych niezrozumiałe przepisy traktatu ryskiego. On wie jedno, że wojna ustała. Zatrzymała się cała linja. Zmianie nie uległ system kwaterunkowy, lecz warunki tego systemu zmieniły się dość istotnie. Wojsko zostało ujęte w mocne ramy życia garnizonowego. Nad

kwaterunkiem rozciągnięta surowa kontrola. Obowiązki podwodowe zostały ograniczone do minimum. Apropowizacja wojska oparła się o dowóz obecnie w znacznym stopniu ułatwiony. Pobyt wojska zamienia się w źródło dochodów, sam kwaterunek staje się jakgdyby korzystnym procederem, a wiara w pokój powoli się utrwala. Pozostają jedynie niezagładszone blizny gospodarcze, spowodowane okresem ubiegłym.

Natomiast, bez porównania mniej korzystnym jest ukształtowanie polityczne, którego Białorusini z resztą nie rozumieją, ukształtowanie stworzone przez przepisy tego traktatu. Linją graniczną została od polskiej Białorusi odcięta jej stolica Mińsk, ośrodek intelektualnego życia polskiego i białoruskiego. Pozostaje on w ręku bolszewików, którzy w traktacie występują w imieniu republiki białoruskiej. Oficjalnie zabdykowano na rzecz Białorusi „ruskiej“ z reprezentowania całej Białorusi, mając po tej stronie granicy rozległe ziemie białoruskie, różnolity element białoruski i konieczność załatwienia spraw tego kraju z uwzględnieniem wymagań istniejącej kwestji białoruskiej. Lecz zarazem, na szczęście, niema potrzeby natychmiastowego, gwałtownego, ostatecznego urządzania ziem odstąpionych, wobec stałych powikłań poza granicą traktatową i nieuregulowanych dotąd stosunków na terenie dawnego W. Księstwa Litewskiego.

III.

Polityka nasza w sprawie białoruskiej, zarówno jak nasze postępowanie na ziemiach białoruskich, musi w swym ogólnym zarysie i w praktycznym rozwinięciu łączyć się z całokształtem powyższych powikłanych stosunków. Mówiąc inaczej, zasadnicze i praktyczne ujmowanie przez nas zagadnienia białoruskiego w chwili obecnej i w negatywnym i w pozytywnym sensie musi uwzględniać nie tylko nasze wewnętrzne i czysto polskie założenia musi odpowiadać wymaganiom lokalnym z jednej strony, względem ogólnej sytuacji europejskiej — z drugiej.

W chwili obecnej, w momencie różnych możliwości rozwiązania zatargu litewsko-polskiego, w dobie istnienia nieustalonych jeszcze formacji, jak Litwa Centralna i Kowieńszczyzna, ogólne sformułowanie stanowiska polskiego w sprawie białoruskiej musi się raczej liczyć z negatywną stroną zagadnienia. Polska musi dziś w tej sprawie, jak w szeregu innych, posiadać taki program ogólny, który da się utrzymać i w zgoła zmienionej sytuacji politycznej, który dziś i jutro da się obronić argumentami nowoczesnej ideologii międzynarodowej, który Polska sama będzie w stanie przeprowadzić. Nie należy natomiast tworzyć czegoś, co by mogło jutro wymagać całkowitej odmiany stanowiska.

Współczesna opinia międzynarodowa i inte-

res ludności krajów, o które chodzi, muszą się zgadzać z interesem Polski, która budując na własnej sile rozwiązanie swoje, wnosi swoją inicjatywę do stosunków wschodu polskiego. Inicjatywa ta zgóry przesądzać powinna o możliwości przeciwstawiania jej równoległej inicjatywy rosyjskiej, która w postaci przeciwpolskiej przyjdzie z Mińska. Bijąc szerokością swego stanowiska, musi inicjatywa polska zapowiadać stan rzeczy, który uniemożliwi również wszelkie związki litewsko-białoruskie pod egidą Kowna, zawsze dążącego do nacjonalistycznej supremacji litewszczyzny na ziemiach zupełnie obcych litewskości. Musi ona być wolną od zarzutów szczerzej w tym względzie opinii radykalnej angielsko-francusko-amerykańskiej i polityki nieszczerzej opieki nad ludami, ciemnionymi rzekomo przez „imperjalizm“ polski, musi być obronną przed intrygą prusko-niemiecką, znajdującą łatwy posłuch wśród nielicznych zresztą czystych „niepodległościowców“ białoruskich, wiszących chwilowo przy Kownie. A co najważniejsza, musi być na tyle realną, iżby jej nie należało co dnia zmieniać i przystosowywać do coraz to nowych ukształtowań sytuacji na tym nowoczesnym, jak dotąd, Bałkanie, i dostatecznie przeciwną wszelkiej bałkanizacji naszego pogracza. Z konieczności zatym, polityka polska musi tu w chwili dzisiejszej być jedynie możliwie najogólniejszą i nie może przesądzać form konkre-

tnych przyszłego ustalenia stosunków, musi się utrzymać w ramach zapowiedzi, o c h a r a k t e r z e o b o w i ą z u j ą c y m, lecz na razie zapowiedzi tylko — typu odezwy wileńskiej naczelnego wodza z roku 1919.

Nie myślę tutaj mówić o formie administracji tego kraju, chciałbym tylko zaznaczyć, że zdaniem moim zarząd tych terenów wschodnich, winien być możliwie usamodzielnionym od kierownictwa centralnego i że winien się starać o pozyskanie spółudziału przede wszystkim przedstawicieli społeczeństwa miejscowego, zarówno polskiego, jak białoruskiego. Byłoby to podwójną gwarancją dla tego kraju: szczerości wykonania zapowiedzi ogólnej politycznej i faktycznego uwzględnienia jego interesów, byłoby jedynym sposobem ist o t n e g o przywiązania do Polski, zwłaszcza, jeżeli administracja konsekwentnie zajmie się w pierwszych szczególnie czasach dwiema dziedzinami życia.

Pierwsza dotyczy przywrócenia normalnego gospodarczego stanu kraju, przeważnie rolniczego. Troską zarządu tej ziemi winno być a) zapewnienie ludności zwłaszcza pasa, dziś pogranicznego, wzdłuż traktów i dróg wojennych, możliwości przetrwania zimy; b) zapewnienie obsiania i częściowego przynajmniej zagospodarowania wyniszczonych okolic oraz kraju całego. Zagadnienie to, z natury dzisiejszej naszej sytuacji gospodarczej bardzo trudne, na kresach wschod-

nich będzie łatwiejszym, niż by się to na pierwszy rzut oka wydawać mogło. Wiem o trudnościach, które w tej dziedzinie leżą już nie tylko w stosunku do ziem wschodnich, lecz również i na ściślejszych ziemiach polskich. Na pewną, niedostateczną oczywiście pomoc tych ziem dla kreśców liczyć można: jest to dla polityki naszego państwa nakazem dobrze zrozumianego interesu własnego i dlatego z wysiłkiem, choćby znacznym, musi się zdobyć tu w b. królestwie czy w b. dzielnicy pruskiej część środków na potrzeby zaprowiantowania i zagospodarowania Wschodu.

Z tego stanu rzeczy zdają sobie doskonale sprawę nasze czynniki miarodajne.

Państwo nasze jednak samo potrzeb ziem wschodnich nie będzie w stanie zaspokoić, dla uzyskania zaś reszty brakujących środków trzeba się będzie zwrócić po pomoc zewnętrzną, przede wszystkim amerykańską. W przekonaniu moim, tę pomoc z Ameryki będzie można z łatwością uzyskać, jeżeli Ameryka będzie miała pewność, że całkowity zasób przysłanych produktów pójdzie wyłącznie na potrzeby ziem zniszczonych. Niezbędnym warunkiem skutecznej pomocy będzie udział społeczny w samym zarządzaniu i rozporządzaniu zasobami, przesyłanymi z Ameryki: rozdzielcze prowiantowe komitety miejskie, polsko-białorusko-żydowskie, i powiatowe prowiantowo-gospodarcze polsko-białoruskie, pracujące samodzielnie, lecz pod kontrolą ogólnej administracji,

stworzone natychmiastowo ułatwią rokowania z Ameryką w sposób poważny. A powołane do życia w chwili obecnej i wyposażone w istotne zadania wagi pierwszorzędnej komitety te, rozumnie pokierowane przez administrację, stać się mogą szkołą życia publicznego dla mało wyrobionej ludności tego kraju, ułatwią poznanie jego potrzeb i wpłyną na większe zespolenie poszczególnych elementów tej ludności między sobą i na związanie jej z administracją.

Druga dziedzina obejmuje leżące całkiem odlogiem szkolnictwo i kulturę. I tu na plan pierwszy wysuwa się sprawa języka białoruskiego. Mimo trudności określenia tego, co należy rozumieć przez język białoruski, jakem to wyjaśnił wyżej, istnieje on, jako coś odrębnego od języka rosyjskiego. Obok tego faktu, istnieje, czy istniał fakt drugi: tendencja do rusyfikacji białoruszczyzny. Jeżeli zatem mówię o sprawie używania języka białoruskiego, to muszę podkreślić, że używanie języka „tutejszego“ musi się stać odbywać pod osłoną przed przemycaniem pod pozorem białoruszczyzny czystej mowy wielkorusyjskiej. Powinniśmy stanąć na stanowisku obrony białoruskiego przed rusyfikacją i zapewnić pierwszemu rozwój przy zupełnym wykluczeniu drugiego z całego ustąpionego nam terytorjum. Zachodzi zatem pytanie, w jakim zakresie i w jakich dziedzinach ma mieć zapewnione prawa język miejscowy. W sensie biernym winien

on mieć według mego mniemania prawo obywatelstwa w całej rozciągłości i w administracji i w sądownictwie państwowym obok języka polskiego, któremu przysługuje wyłączne prawo czynne: przez prawo bierne rozumiem język, w którym zwracają się obywatele do urzędów, zarówno na piśmie, jak i ustnie, przez prawo czynne języka w urzędach rozumiem język urzędowania organów administracyjnych i sądowych. W zakresie samorządu komunalnego, zarówno gmin wiejskich, jak i miejskich, które winny być natychmiastowo uruchomione, białoruszczyźnie przysługiwać będzie prawo równe z językiem polskim, przyczym obwieszczenia władz komunalnych winny być ogłaszane w obu językach. Do organów nadzorczych administracji należyć będzie troska o to, aby białoruszczyzna urzędowa była najbardziej zbliżona do gwar zachodnich i możliwie wolna od wpływów rosyjskich.

Troska o uwolnienie białoruszczyzny z pod wpływów języka i myśli rosyjskiej, związanie jej z polskością obciążać będzie w silniejszym jeszcze stopniu pracę kulturalno-oświatową. Najważniejszym zadaniem zresztą inicjatywy niepaństwowej, której jednak dzisiaj bez pomocy państwa nie sposób rozwiązać, będzie założenie wielkiego dziennika ludowego, rozsyłanego prawie za darmo, którego celem będzie wyrugowanie niedawnej prasy białoruskiej, w ogromnych ilościach rozrzucanej przez bolszewików. Spokojna infor-

macja ludowa, język, wolny od naleciałości wschodnich i alfabet łaciński winny być na całej przestrzeni aż po granicę traktatu ryskiego łącznikiem między tym krajem, a kulturą polską. W tej samej płaszczyźnie mieści się kwestja oświaty ludowej. Obok zagospodarowania powinna administracja ziem wschodnich dbać przede wszystkim o stworzenie wielkiej sieci szkół ludowych. Przy tworzeniu tych szkół wypadnie się oprzeć na trzech elementach: na zasiłku pieniężnym i dozorze państwa, na inicjatywie i zabezpieczeniu materialnym gminy i na pomocy organizacji kościelnych. Język białoruski w szkole ludowej musi mieć całkowite równouprawnienie z polskim. Szkoła ludowa polska lub białoruska zakładana będzie stosownie do decyzji gminy, która winna mieć prawo wyboru języka szkolnego, lecz zarazem musi dać dom szkolny, grunt dla nauczyciela i ponosić część kosztów jego wynagrodzenia. Państwo, które dbać będzie nietylko o przygotowanie fachowe nauczyciela, lecz i o istotną białoruszczynę jego wykładu w szkole, o języku nie-polskim, kontrolując szkolnictwo przez swój inspektorat, zbudowany na wzór inspektoratu w b. królestwie, musi dać przygotowanie nauczycielom w seminarjum dwujęzycznym i dopełnić utrzymania nauczycieli. Na terenie tych ziem białoruskich wypadnie również natychmiastowo utworzyć obok gimnazjów polskich kilka państwowych gimnazjów białoruskich, wzorowych, któ-

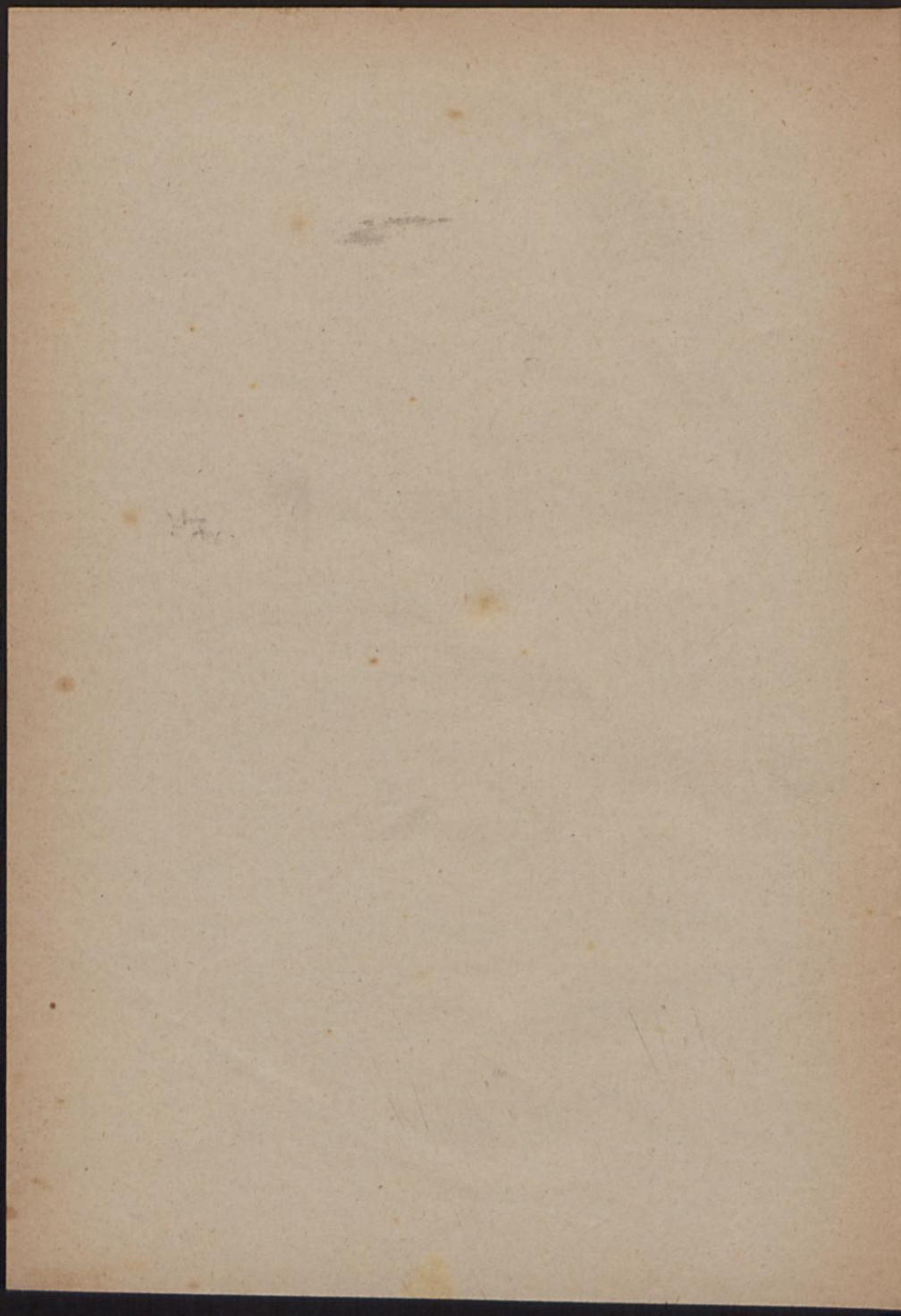
rych program i skład nauczycielski będą wymagały szczególnej pieczołowitości rządu. Z gimnazjów prywatnych — w moim przekonaniu — żadne nie może mieć języka wykładowego białoruskiego, ani tym bardziej rosyjskiego, zarówno bowiem pierwsze jak i drugie będą zwłaszcza przez żydów ukrytymi rozsądnikami wpływu rosyjskiego, z którymi wypadnie tutaj podjąć energiczną walkę w interesie polskim i szczególniej jeszcze w interesie kultury białoruskiej. Narzuconym przez carat i bolszewizm wpływom moskiewskim trzeba przeciwstawić wpływy polskie i stworzyć na Białorusi dla białoruszczyzny warunki swobodnego rozwoju w związku z kulturą zachodu.

IV.

Polityka nasza prowadzona w ten sposób liczyłaby się z realnymi stosunkami miejscowymi. Broniąc ludności Białorusi od narzuconych jej wpływów budowałaby fundamenty trwałego jej związku z Polską: w świadomości zbiorowej powstałoby bowiem i rosło poczucie istotnego interesu, jaki dla Białorusi istnieje w połączeniu z polskością, pierwiastek psychiczny, z którego początek swój weźmie możność późniejszego oddziaływania i na Mińszczyznę i na Kowieńszczyznę, na którym ugruntuje się wpływ Polski i dzięki któremu umocni się żywioł polski na Białorusi.

180

SZKOŁA NA MIARĘ



ED. CLAPARÈDE
PROFESOR UNIWERSYTETU GENEWSKIEGO

SZKOŁA NA MIARĘ

ODCZYT WYGŁOSZONY W AULI UNIWERSYTETU GENEWSKIEGO
Z RAMIENIA NIEZALEŻNEGO KOMITETU
REFORMY SZKOLNICTWA

Z ORYGINAŁU FRANCUSKIEGO P. T.
L'ÉCOLE SUR MESURE PRZEŁOŻYŁ
ZYG MUNT ZIEMBIŃSKI



WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

1928

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AEC. W WARSZAWIE
CZERNIAKOWSKA 225

SZKOŁA NA MIARĘ

*Różnice uzdolnień i reformy niezbędne wskutek tego
w organizacji szkolnictwa ¹⁾*

Szanowni Państwo!

Nie jednej godziny, ale co najmniej dwudziestu potrzebaby mi było na należyte omówienie tego rozległego zagadnienia, które mamy na porządku dziennym dzisiejszego wieczoru. Będę się przeto starał zwrócić tylko na nią uwagę wychowawców. Nasz Komitet reformy szkolnictwa wziął sobie za zadanie wskazać potrzebę pewnych zmian takich, które mogą być niezwłocznie uskutecznione. Odnośnie do uzdolnień indywidualnych nie sądzę, ażeby można było już dziś zaraz rozstrzygnąć pytanie, jaki system sprzyjałby najbardziej ich swobodnemu rozwojowi. Są bowiem takie reformy, których nie można dokonać bez poważnych studjów przygotowawczych. Pedagogja praktyczna powinna oswoić się z tą myślą, że nie dyskusje przy zielonem suknie pozwolą

¹⁾ Tekst niniejszego odczytu został opracowany dopiero po jego wygłoszeniu. Nie jest zatem dosłownem jego odtworzeniem.

wprowadzić do naszych szkół udoskonalenia prawdziwie odpowiadające potrzebom, ale poważne badania faktów psychologicznych, wiążących się z pożądanymi udoskonaleniami, a przede wszystkim doświadczenia, próby. Zanim się wprowadzi jakiś nowy system w całej rozciągłości i w sposób niedopuszczający już żadnych zmian, pod osłoną ustawy, do której trzeba się będzie stosować z chęcią czy poniewoli, należałoby zawsze poczynić z nim naprzód próby w rozmiarach pomniejszych lub w ograniczonym zakresie czasu i dopiero wtedy ujmować nowy system w formę prawa lub rozporządzenia, gdy wyjdzie zwycięsko z takich doświadczeń. Jeszcze lepiej byłoby zresztą nie ustalać nic wogóle w sposób niezmienny i posiadać organizację dostatecznie giętką, by mogła przyjąć w siebie każde nowe ulepszenie, wyciągnąć dla siebie korzyść z każdego doświadczenia, dającego wyraźne wyniki, poddać się każdej zmianie szczegółów, zbliżając ją do doskonałości. W ten sposób postępuje przemysł, w ten sposób postępuje nauka, w ten sposób postępują wszyscy ludzie sumienni. Czy nasze szkoły nie mogłyby pójść również tą drogą, która jest zarazem i drogą postępu i dążenia do prawdy?

Kwestja uzdolnień splata się z całym mnóstwem innych, to też rozwiązanie jej zależy części od odpowiedzi, jakie się da na te różne zagadnienia. W pedagogice wszystko się wiąże ze sobą. Muszę jednak odsunąć na bok w tej chwili

wszystkie te sprawy dalsze, ograniczając się wyłącznie do samej sprawy uzdolnień indywidualnych.

Wykład mój powinienby obejmować cztery części następujące: 1. Istnienie indywidualnych różnic w uzdolnieniach. 2. Konieczność liczenia się z tym faktem w pedagogji. 3. Sposoby uwzględniania go, pożądane reformy. 4. Sposób określania różnic; diagnostyka i selekcja. — Ze względu na brak czasu nie będę mógł uwzględnić części czwartej, to jest sprawy rozpoznawania uzdolnień.

1. Istnienie różnic indywidualnych

Zbyteczną niemal rzeczą jest dowodzić istnienia różnic w uzdolnieniach człowieka dorosłego i dziecka. Rzucają się one w oczy. Temu z łatwością przychodzą operacje umysłowe, tamten woli zajęcia fizyczne, ten jest artystą, inny matematykiem i t. d.

Na czem polegają te różnice? Ażeby na to odpowiedzieć, trzeba by poznać strukturę uzdolnień. A przede wszystkim, co to jest uzdolnienie? — Uzdolnienie jest to naturalna dyspozycja do tego, by się zachowywać w pewien określony sposób, rozumieć lub odczuwać pewne rzeczy lepiej od innych, lub też wykonywać pewne rodzaje czynności (uzdolnienie do muzyki, do rachunków, do języków obcych i t. p.). Jest to coś złożonego. Tak, na przykład, uzdolnienie do rysunku

mieści w sobie pewną sprawność ruchową, zdolność oceniania wielkości przestrzennych, pamięć wzrokową, pojmowanie perspektywy, zmysł estetyczny i t. d.; uzdolnienie literackie wymaga pamięci werbalnej, wyobraźni, trafnego sądu i t. d.; a za te i t. d. należałoby podstawić bezwątpienia jeszcze bardzo wiele cech umysłowych lub uczuciowych. Różnice uzdolnień polegają bądź na odmienności indywidualnej tych czynności elementarnych (typ wzrokowy, słuchowy, werbalny i t. p.), bądź na różnorodności ich połączeń.

Uzdolnienia zmieniają się w zależności od różnych czynników, w szczególności od płci i wieku. Nie będę tu poruszał palącej kwestji, czy uzdolnienia kobiet i mężczyzn są równoważne, ani też nie będę się zastanawiał nad tem, jak uzdolnienia zmieniają się w ciągu rozwoju psychicznego. Ograniczymy się do rozpatrywania uzdolnień, jako cech występujących odmiennie u każdego osobnika.

Trzeba przede wszystkim dobrze odróżnić uzdolnienie od zamiłowania (lub zainteresowania). Można mieć zamiłowanie do jakiegoś rodzaju roboty, nie posiadając uzdolnienia, jakiego ona wymaga. Jeśli są kiepscy malarze, wierszokleci, bezpłodni wynalazcy (spotyka się ich często w domach dla obłąkanych), to właśnie dlatego, że zamiłowanie może nie iść w parze z uzdolnieniem. I naodwrot, mogą być uzdolnienia bez zamiłowania. Z powodów natury uczuciowej uczeń może powziąć uprzedzenie do ja-

kiegoś przedmiotu nauki, do którego byłby naprawdę uzdolniony. Wypadki tego rodzaju są bardzo doniosłej wagi dla wychowawcy i zasługiwałyby na specjalne zbadanie. Jak dalece wrodzone uzdolnienie do korzystania z nauki może być zabite w uczniu przez niezręczność nauczyciela, który mu podawał pierwsze jej elementy w sposób odstręczający?

Nie należy zatem mieszać prawdziwego i pozornego braku uzdolnienia.

Między uzdolnieniami zachodzą różnice ilościowe i różnice jakościowe. Dwie osoby mogą się różnić między sobą tem, że jedna z nich jest rysownikiem, a druga poetą, albo też tem, że jedna jest lepszym rysownikiem lub poetą od drugiej. Szkoła uwzględnia różnice ilościowe uzdolnienia, bo przy egzaminach, przy konkursach, wystawia uczniom stopnie i przyznaje im miejsca kolejne (rangi) za ich prace. Wogóle jednak nie zdaje sobie sprawy z natury tych stopni uzdolnienia, uważając, że są one zależne wyłącznie od dobrej woli, od pilności ucznia, co jest prawdą tylko w pewnych wypadkach. Natomiast zapomina szkoła całkowicie o różnicach jakościowych uzdolnień, a to są różnice najważniejsze. O nich też przedewszystkiem chcę dzisiaj mówić.

Zastanówmy się przeto, jakie to rodzaje uzdolnień występują u naszych uczniów. Na pytanie takie niełatwo dać odpowiedź. Obserwacje bowiem, jakich nam dostarczają szkoły obecne, muszą być przyjmowane z ostrożnością, raz dlatego,

że szkoły nasze opierają się na zasadach sprzeciwiających się rozwojowi uzdolnień indywidualnych, powtóre dlatego, że nie możemy wiedzieć, czy braki w uzdolnieniach, które stwierdzamy, są prawdziwe, czy pozorne. (Naprzykład, jeśli trzy czwarte uczniów szkół średnich nienawidzi matematyki, to czy powodem tego jest brak u nich guza matematycznego, czy też okoliczność, że uczyniono wszystko, ażeby im tę naukę obrzydzić?)

Można jednak zauważyć pewną liczbę typów psychicznych dość ogólnych. Możnaby zatem przeciwstawić o b s e r w a t o r ó w, których umysł skierowuje się ku światu zewnętrznemu, i m y ś l i c i e l i, których inteligencja, przeciwnie, zwraca się ku sobie samej; i n t e l e k t u a l i s t ó w, którzy ciągle trzymają nos w książkach, którzy zadają pytania, i r e k o d z i e l n i k ó w, którzy lubią przedewszystkiem „majstrować“, coś stwarzać. I n t e l e k t u a l i s t ó w można podzielić dalej na umysły k r y t y c z n e i i m a g i n a c y j n e, lub też na i n t u i c y j n e (które mają dar subtelного wyczuwania) i l o g i c z n e (które wykazują dar myślenia geometrycznego).

Ostwald, jak wiadomo, dzieli ludzi na k l a s y k ó w (erudyci, wytrwali, o wydajności znacznej, ale powolnej) i na r o m a n t y k ó w (oryginalni, szybko reagujący). Z powyższemi dwoma typami można mniej więcej zestawić te dwa, które opisał dr. de Maday, dając im nazwy p r a c o w n i k ó w i b o j o w n i k ó w. De Maday,

który był oficerem armji węgierskiej w czasie wielkiej wojny, miał możność zaobserwować dwa typy żołnierzy, dość różne od siebie: *Pflichtsoldaten* i *Lustsoldaten* — żołnierzy z obowiązku i żołnierzy z zamiłowania. Jedni są dobrzy w okopach; znoszą cierpliwie ostrzeliwania i niepogody, zachowują spokój i karność. Drudzy są waleczni szczególnie w chwili ataku; wyładowują swój heroizm odrazu. Podobne cechy spotyka się u ludzi, którzy walczą w dziedzinie myśli: „pracownicy“ są powolniejsi, chłodniejsi, powściągliwsi, bojaźliwsi, ale zato bardziej sumienni, wytrwali, bardziej świadomi celu, do którego dążą; „bojownicy“ pracują dobrze tylko wówczas, gdy są podnieceni; wtedy są zdolni do znacznego wysiłku, ale ich praca nie trwa długo; są zmienni, działają tylko wybuchowo.

Pod innym kątem widzenia możnaby rozróżnić praktyków i artystów, pozytywistów i marzycieli. I jeszcze z innego stanowiska jednostki szybkie i powolne, albo także czynne i bierne.

Kolega nasz, profesor Ph. Guye, w pewnym odczycie, wygłoszonym przed kilku laty w Instytucie Rousseau'a, porównywał energję ludzką do energii fizycznej i wykazywał, że jest ona wypadkową dwóch czynników, czynnika pojemności, który przedstawia zespół posiadanych wiadomości, i czynnika napięcia, będącego tą stroną charakteru (wola, panowanie nad sobą), która pozwala człowiekowi zużytkować swe wia-

domości. Te dwa czynniki mogą się zmieniać niezależnie od siebie; gdy napięcie jest słabsze od pojemności, osobnik pracuje długo, ale ze słabem natężeniem; w przeciwnym wypadku, czynność odznacza się dużym natężeniem, ale jest krótkotrwała. Wynik obiektywny może być w obu razach ten sam, ale środki wiodące do niego są zupełnie przeciwne.¹⁾

Wszystkie te podziały krzyżują się między sobą tak, że możemy mieć niezliczone kombinacje charakterów. Często kombinacje te bardzo znacznie odbiegają od tego, czego by się można spodziewać. Ścisłość logiczna matematyka godzi się doskonale z usposobieniem marzycielskim, a bogactwo wyobraźni pisarza może się łączyć z pozytywizmem i realizmem umysłu. Dowodzą tego znakomite przykłady Henryka Poincaré i Emila Zoli, których zbadał w swoim czasie dr. Toulouse.

Którą z tych kombinacyj spotyka się w rzeczywistości najczęściej wśród naszych uczniów? Powinniby móc nam coś o tem powiedzieć nauczyciele, przed których oczyma przesunął się cały szereg pokoleń. Ale rzecz ciekawa, że nauczyciele nigdy prawie nie pomyśleli o tem, by obserwować systematycznie swych uczniów, a jeśli nawet to robili, to nigdy wyników nie ogłaszali...

Prawda, że szkolnictwo średnie uznaje przeważnie dwie wielkie kategorie umysłowości: humanistów i przyrodników; w naszych

¹⁾ Patrz *Intermédiaire des Éducateurs*, Genewa, maj, 1913.

zakładach naukowych istnieją sekcje klasyczne i sekcje techniczne, i nie można powiedzieć, żeby to rozróżnienie nie miało pewnych podstaw w rzeczywistości. Ale jakżeż ono jest grube i ileż rozmaitych uzdolnień mieści się w każdej z tych dwóch kategorii! Zresztą, trzeba przyznać, że podział dzieci pomiędzy dwa powyższe rodzaje szkół opiera się daleko bardziej na tradycjach i uprzedzeniach społecznych, aniżeli na prawdziwej dbałości o uwzględnienie skłonności dzieci. A przytem i w jednej i w drugiej sekcji dba się daleko więcej o erudycję, aniżeli o oryginalność!

Prócz różnic w poszczególnych uzdolnieniach specjalnych trzeba wspomnieć także o różnicach pod względem tego, co można nazwać uzdolnieniem ogólnem, albo *inteligencją globalną*, którą się określa, biorąc średnią wszystkich uzdolnień poszczególnych.

Wszystkie jednostki ludzkie nie są do siebie podobne pod względem inteligencji globalnej; jedne są bardziej inteligentne, inne mniej. Szkoła zna to uzdolnienie średnie, bo stara się je przecież ocenić przy pomocy pewnej liczby: „średniego stopnia z postępów“, i nic nie można zarzucić takiemu postępowaniu, chyba tylko to jedno, że ten stopień średni określa może więcej różnice pod względem pamięci i pilności, aniżeli pod względem właściwej inteligencji. Ale rzeczą godną pożałowania jest to, że szkoła sądzi, iż uczyniła już wszystko, gdy wystawi ten stopień, określi tę różnicę. To określenie jest dla niej punktem końco-

wym, gdy powinny być dopiero punktem wyjścia: tych uczniów mocnych, tych średnich i tych słabych nie traktuje rozmaicie, każe im posuwać się naprzód tym samym krokiem, a to szkodzi zarówno jednemu, jak i drugiemu. I nie zdaje sobie jakgdyby sprawy z tego, że wystawienie stopnia nie jest żadnym środkiem dydaktycznym. Niski stopień może wprawdzie czasami pobudzić do większej pilności zdolnego próżniaka. W żaden sposób jednak nie może zaradzić na brak inteligencji!

Łomint
Słowem, szkoła nie widzi różnic w uzdolnieniach, a jeśli nawet przypadkowo zajmuje się ich ocenianiem, to nie wyciąga dalszych wniosków ze swego postępowania!

2) Konieczność liczenia się z różnorodnością uzdolnień

Ale czyż w istocie zachodzi potrzeba liczenia się z temi różnicami indywidualnymi?

Szkoła nigdy tego nie robiła. Zawsze uważała za godnych swych starań tylko tych uczniów, którzy odpowiadają pewnemu typowi schematycznemu, stworzonemu na jej własny obraz i podobieństwo, typowi potwornemu i sprzecznemu z naturą—przeciętnego ucznia ¹⁾). Nigdy natomiast

¹⁾ Prawda, że czasami szkoła zdaje się przypuszczać w dziecku pewne właściwości nadludzkie, jak np. wrodzony zapal do rzeczy nudnych, zdolność do pracy niezmordowanej

nie zdawała sobie sprawy z różnorodności typów. I nigdzie może tak bardzo, jak w tem właśnie, nie okazała się wierną i ślepą spadkobierczynią przeszłości, bo wszak człowiek przeciętny, nijaki i ujednolajniony, bez żadnej plastyki, bo bez światła i cieni, był właśnie ideałem przeszłości. Natrafiłem w kącie swej biblioteki na starą książczynę, zatytułowaną *L'Art de connoistre les hommes* (Sztuka poznawania ludzi) przez Imć Pana De la Chambre, konsyljarza i pierwszego medyka królewskiego, wydaną w Paryżu w r. 1662, z przywilejem Jego Królewskiej Mości. Oto, co w niej czytamy w rozdziale zatytułowanym: Wszystkie skłonności naturalne są wadami:

„Jakkolwiek istnieją skłonności, które są same przez się dobre i które zasługują na pewną pochwałę, jako to skłonności, które się ma ku cnotom: niemniej jednak są to wszystko wady, które każą doskonałość przyrodzoną, jaka przystoi naturze ludzkiej... Doskonałość zaś człowieka w tem leży, ażeby był obojętny i ażeby, nie skłaniając

i t. p. Ale w praktyce nie odpowiada ona wcale potrzebom umysłowym jednostek oryginalnych i naprawdę wyrastających ponad poziom. Dlatego to większość wielkich ludzi zachowywała tak gorzkie wspomnienia o swych czasach szkolnych. Jeden z mych przyjaciół, profesor z Neuchâtel opowiadał mi, że był niegdyś często karany za to, iż, będąc bardzo mocnym w łacinie, czytał „naprzód” podczas lekcji tłumaczenia, zamiast „iść za innymi”, t. zn. dostosowywać swoje tempo do tego nieszczęsnego kolegi, który został wezwany do odcyfrowywania tekstu.

się ku żadnej z cnót w szczególności, do wszystkich był zdolny... Dusza z przyrodzenia swego wcale nie jest określona i powinna być zdolną do wszelkich uczynków... Skłonności, nawet gdyby się zwracały ku najwyborniejszym cnotom, są wadami, nie powinien przeto mieć żadnej z nich w szczególności, ale trzeba, żeby je posiadał ku wszystkim naraz.“

I dalej jeszcze w rozdziale: W s z y s t k o w i n n o b y ć w c z ł o w i e k u u m i a r k o w a n e : „Doskonałość człowieka nie wymaga ani imagacji zbyt żywej, ani sądu zbyt przewidującego, ani pamięci zbyt szczęśliwej: nie znosi nawet tych umysłów wyniosłych, które są skierowane stale ku rozważaniu rzeczy wielkich i trudnych.“

Taka koncepcja odpowiada również pojęciom niektórych dzisiejszych głosicieli zasady równości, którzy, marząc o społeczeństwie doskonale wyrównanem, chcieliby pod pretekstem sprawiedliwości pościnać wszystkie głowy, które wystają ponad poziom. Ideą ich, podobnie jak Imé Pana De la Chambre, jest przeciętność.

Gdybyśmy żyli w jakimś świecie czystych idei, to możnaby ostatecznie stawiać w obronie takiego ideału równie dobrze, jak i każdego innego. Na nieszczęście jednak — albo na szczęście — obserwacja wskazuje nam, że na tej ziemi, na której żyjemy, każda jednostka ludzka jest wydajna tylko o tyle, o ile się odwołujemy do jej zdolności naturalnych, i że byłoby próżną stratą czasu upierać się przy chęci rozwinienia w niej zdolno-

ści, których ona nie posiada. Nie byłoby to marnotrawstwem czasu i pieniędzy, gdyby się chciało za wszelką cenę wydobywać węgiel z terenu, który zawiera w sobie tylko żelazo, albo uprawiać zboże na glebie, która nadaje się tylko pod winnicę?

Filozof Bacon wypowiedział niegdyś zdanie bardzo głębokie, któreby należało wypisywać złotymi głoskami na frontach wszystkich naszych zakładów wychowawczych, tak publicznych jak i prywatnych: Naturze rozkazuje się, tylko będąc jej posłusznym. Tak, istotnie, trzeba być posłusznym naturze dziecka, jeżeli się chce z niej coś wydobyć; to jest warunek sine qua non. Hodowcy lub trenerzy zwierząt zdają sobie z tego sprawę od bardzo dawna: znawca koni nie każe biegać na wyścigach ciężkiemu perszeronowi, ani nie zaprzęgnie do wozu ciężarowego pełnej krwi anglika. Dyrektor cyrku wyzyskuje u każdego ze swych zwierząt to uzdolnienie, które jest najbardziej „wydajne“, które najbardziej odpowiada naturze danego zwierzęcia. Zużytkuje więc ręce małpy, trąbę słonia, uzdolnienie psa do biegu i t. p. Nie będzie ćwiczyć gęsi w sztukach na trapezie, ani zaprawiać konia do karkołomnych skoków. Wie on doskonale, że gdyby to robił, toby naraził swoje wysiłki na niechybne niepowodzenie.

Wychowawcy — nie możemy, niestety, powiedzieć „znawcy dzieci“ — powinniby wziąć sobie za wzór tych znawców zwierząt. Bo nasz system

programów ujednolajnionych prowadzi właśnie do tego, że się zmusza dzieci do pracowania najusilniej nad temi przedmiotami, do których nie mają uzdolnień naturalnych. Uczeń, nie posiadający zdolności do arytmetyki, spędza właśnie całe wieczory nad zadaniami, z których nic nie rozumie, a że nie można zrobić wszystkiego naraz, zaniedbuje wobec tego wypracowania francuskie, które może odpowiadają jego upodobaniom wrodzonym. Popychane, poszturgiwane, opychane, w tym biegu naprzelać, jakim jest każdy rok szkolny, dzieci nasze pod wpływem pewnej obawy bardzo naturalnej, skierowują wszystkie swe starania, jeśli nie całą swą energję, na takie przedmioty nauki, do których nie czują szczególnych skłonności. Oddają się niewdzięcznemu zadaniu uprawiania jałowej roli, pozostawiając odłogi taką, która rokowałaby najlepsze plony.

Winą dziecka może jest w tym wypadku zbytnia uległość, zbyt łatwe poddawanie się takiemu traktowaniu sprzecznemu z naturą. Zwierzę nie pozwala z sobą tak postępować; gdy się wymaga od niego tego, czego ono dać nie może, to gryzie, rzuca się, albo też uparcie nie chce rozumieć ządania, i wreszcie trzeba uwzględnić właściwości jego natury. Dziecko natomiast jest za bardzo... dobrem dzieckiem.

Ale wszystko, co tu mówię Szanownym Państwu, nie jest przecież niczem nowem. Prosiłbym też o wybaczenie mi wywalania drzwi, które powinny być otwarte, gdyby nie to, że drzwi te

wciąż jeszcze są zamknięte na dwa spusty. Usiłowano je otwierać niejednokrotnie, ale bezskutecznie. Na XVII Kongresie Towarzystwa Pedagogicznego Szwajcarii romańskiej, który się odbywał w Genewie w r. 1907, p. Ludwik Zbinden w swym znakomitym referacie stwierdził, co następuje:

„Obecny system egzaminów i promocyj nie pozwala szkole wypełniać całkowicie swych zadań wobec **wszystkich** uczniów, ze względu na różnorodność ich uzdolnień, i zapewnić każdemu z nich warunków rozwoju... Zasadniczym błędem jest chcieć grupować w jednej i tej samej klasie 40 — 50 uczniów, którzy przedstawiają znaczne różnice co do swego rozwoju umysłowego, fizycznego i moralnego. Wobec tego padają ofiarą najsłabsi i najmocniejsi, bo nauczyciel w swej pracy musi liczyć się ze średnimi¹⁾).

I Kongres powziął jednomyślnie, jeśli się nie myli, następującą uchwałę: „Obecny system promowania nie pozwala szkole spełniać swego zadania wobec wszystkich uczniów; stwarza tylko warunki dla rozwoju przeciętnych. System ten może i powinien być udoskonalony w ten sposób, ażeby dać możliwość rozwoju każdej jednostce“.

Uchwała ta została zakomunikowana Departamentom Oświecenia Publicznego Szwajcarii ro-

¹⁾ *Rapports du Congrès*, Genève 1907, str. 66. — Podkreślenia znajdują się w oryginale.

mańskiej. Państwo nie daliby mi wiary, gdybyin powiedział, że nie pozostała martwą literą.

Streszczając, powtarzam, że należy liczyć się z różnicami uzdolnień, bo iść naprzekór typowi indywidualnemu to iść naprzekór naturze. Sprzecznosc zaś z naturą pociąga za sobą dwa niepożądane następstwa: Naprzód, jakeśmy to widzieli, brak wydajności, lub wydajność nie proporcjonalną do włożonego wysiłku. A następnie — trzeba na to położyć nacisk — o d r a z ę. To zjawisko odrazy, zbyt lekceważone przez potoczną pedagogję, ma olbrzymie znaczenie moralne i pedagogiczne. W istocie, ważną jest rzeczą, żeby myśl o pracy nie była skojarzona z odrazą, ale, przeciwnie, z zadowoleniem.

A jakże ma powstać u dziecka miłość do pracy, skoro mu się każe wykonywać przedewszystkiem takie zadania, do których ono nie posiada uzdolnienia i w których wobec tego jest zgóry niemal nieuchronnie skazane na niepowodzenie? Jakżeż można wytworzyć stały motor działania, jeśli się ono stale łączy z niepowodzeniem? Wynik pracy powinien z natury rzeczy pozostawać w ścisłym stosunku do wydanego wysiłku, być jego naturalnem następstwem. Rozrywając ten związek, burzy się uczucie wartości pracy, tłumi się w zarodku chęć do niej. Szkoła, zamiast uczyć cenić wysiłek, przyzwyczajają do uważania go za jałowy. Jest to coś podobnego, jakgdyby w jakiejś fabryce uczono nowych robotników posługiwać

się przedewszystkiem takimi maszynami, które dają złe wyroby, a pozostawiać bez użytku takie, które pracują z dobrym wynikiem. Skończyłoby się na tem, żeby zaczęli odnosić się do takiej roboty z najwyższem lekceważeniem.

Otóż w dziedzinie umysłowej maszyną pracującą wydajnie jest uzdolnienie. Liczenie się z uzdolnieniami wydaje się nam przeto jedną z podstawowych konieczności nie tylko pedagogji pracy, ale także wychowania woli.

3. Sposoby uwzględniania różnic uzdolnień „Szkoła na miarę”

Przechodzimy obecnie do części konstruktywnej. Wiadomo, że trudniej jest konstruować, niż krytykować. P. Roorda zauważył kiedyś z wielką przenikliwością, że dlatego jest tak trudno użyć zgodę w kwestjach pedagogicznych, że w większości zagadnień wychowawczych może być kilka rozwiązań zadowalających.

Zagadnienie, którem się obecnie zajmujemy, należy właśnie do tego rodzaju. Co należy uczynić, ażeby uzdolnienia znajdowały należyte uznanie i były wykorzystane z największym pożytkiem dla swych właścicieli? Być może, że nie trzeba by nic robić w tym względzie w szkole idealnej o programach mądrze obmyślonych, gdzie, dzięki pozostawieniu każdej jednostce większej swobody, nie byłoby mowy o krępowaniu uzdolnień.

Narazie jednak kwestja ta istnieje. I nasuwa-

ją się nam zaraz cztery sposoby jej rozwiązania, nie licząc kombinacyj, które można z nich tworzyć: klasy równoległe, klasy ruchome, zwiększenie liczby sekcyj (klasyczne, neohumanistyczne, techniczne i t. d.) w szkołach średnich, a wreszcie system wyboru przedmiotów przez ucznia, z przyznaniem jak najwięcej miejsca indywidualnym zajęciom każdej jednostki.

1. Klasy równoległe. — O ile liczba uczniów i budżet państwowy na to pozwalają, dzieli się każdą klasę na klasę mocną, dla inteligentniejszych, i klasę słabą, dla takich uczniów, którzy mają większe trudności z nauką. Ten sposób ma już pewną wartość. Klasy te różnią się bądź przez to, że program w jednej z nich jest zredukowany i można w niej posuwać się powolniej, bądź, że dzięki mniejszej liczbie uczniów można się zajmować więcej każdym z nich z osobna, bądź wreszcie, że stosuje się metody bardziej pogładowe. Za systemem takim przemawia to, że nie jest on tylko tworem myśli. Istnieje bowiem już w rzeczywistości (mianowicie w Mannheim, od jakichś lat dwudziestu) i są tam z niego zadowoleni ¹⁾.

W Zurychu, dzięki inicjatywie p. Hansa Hösli,

¹⁾ W innych miastach niemieckich, w Charlottenburgu, w Berlinie, w Hamburgu, we Wrocławiu, stworzono w ostatnich latach szkoły lub klasy dla wybitnie uzdolnionych (*Begabenschulen, Sonderklassen für hochbegabte Volksschulkinder*).

profesora języka francuskiego, zorganizowano w r. 1915 w szkołach średnich klasy równoległe, które, według tego, co mi p. Hösli w ostatnich dniach mówił, oddają tam wielkie usługi. W jednej z tych klas (klasa A) stosowane są metody bardziej oderwane, w klasie B natomiast metody bardziej konkretne. Podział uczniów dokonywa się na podstawie porozumienia między zainteresowanymi profesorami, przyczem, o ile możliwości, bierze się pod uwagę bardziej jeszcze różnice jakościowe umysłu, aniżeli różnice ilościowe pod względem zdatności do pracy ¹⁾).

Według tego, co słyszałem, praca z uczniami klasy B jest niemniej interesująca dla nauczyciela, jak praca z klasą A. Wykazują oni inteligencję bardziej praktyczną, są bardziej bliscy życia, i często bardziej pomysłowi od swych kolegów, uznanych za „mocniejszych“.

Sądzę, że próby tego rodzaju mogłyby być podejmowane niezwłocznie, bez potrzeby zmieniania czegokolwiek w ustawach i w rozporządzeniach; wystarczy do tego, żeby dwaj nauczyciele klas równoległych albo dwaj nauczyciele specjaliści, uczący w tych samych klasach, porozumieli się ze sobą, jak to było w Zurychu, co do dzielenia uczniów według ich zdolności. Przypuśćmy, na przykład; że dwaj nauczyciele, z których każdy ma w pewnej klasie zdwojonej po 3 godziny lek-

¹⁾ Szczegółowe przedstawienie tej próby zurychskiej można znaleźć w artykułach ogłoszonych przez p. Hösli w czasopiśmie *Pädagogischer Beobachter*, Zürich, kwiecień 1916.

cyj, dajmy na to, matematyki i niemieckiego, postarają się, żeby odbywać te lekcje w tych samych godzinach. Zamiast przeprowadzać dwukrotnie po trzy lekcje w dwóch klasach o zdolnościach mieszanych, każdy z nich prowadziłby po trzy godziny z uczniami zdolnymi, którzyby się na jego lekcje zbierali z obu klas, i z uczniami słabszymi, podobnie zebranymi. Podczas gdy nauczyciel matematyki pracowałby ze zdolnymi, nauczyciel języka niemieckiego miałby na swej lekcji słabszych, i naodwrot. W ten sposób rozpoczęto pracę w Zurychu i próba uwieńczona została powodzeniem. Można tu jednak zrobić zarzut, że uczniowie mocni w arytmetyce niekoniecznie są takimi w języku niemieckim, a racjonalny podział na dwie grupy byłby możliwy tylko w takim wypadku.

Kongres Pedagogiczny z r. 1907, o którym przed chwilą wspominałem, wyraził swą opinię, zalecając jedną z prób dobierania uczniów według zdolności: „Należy dążyć przy promowaniu uczniów do zgrupowania w jednej klasie dzieci, które osiągnęły ten sam względnie rozwój umysłowy... Byłoby pożądane, ażeby Departamenty Oświecenia Publicznego wypróbowały system stosowany w szkołach mannheimskich“.

Ale w ciągu tych 12 lat niczego dotąd nie wypróbowano, i doprawdy jest to wielka szkoda. Można było poczynić takie próby bardzo tanim kosztem. Przypuśćmy nawet, żeby nie dały takich wyników, jakichby się po nich spodziewa-

no, to z pewnością nie wyrządziłyby szkody nikomu, a może nasunęłyby pomysł jakiejś innej innowacji — bo jest to właściwość każdego doświadczenia, że zawsze nas czegoś nauczy, nawet jeśli nie potwierdzi tej hipotezy, którąśmy poddawali sprawdzeniu.

Zdaje mi się zresztą, że tworzenie klas mocnych i słabych nie może rozwiązać w sposób zadowalający trudnego zagadnienia uzdolnień. Bo właściwie chodzi nietylko o to, ażeby podzielić dzieci według stopnia ich zdatności do pracy, co o to, ażeby uwzględnić różnice w ich uzdolnieniach. Podział ilościowy należałoby zastąpić przez podział jakościowy. Szkoła obecna chce zawsze hierarchizować, kiedy przedewszystkiem trzeba różnicować. To uporczywe trzymanie się myśli o hierarchji ma swe źródło w stosowaniu różnych środków wychowawczych, służących do pobudzania uczniów do pracy, jako to: dobre i złe stopnie, rangi, kary, konkursy, nagrody... Ale rozumie się, że w szkole jutrzejszej wszystkie te środki będą złożone do lamusa, albo w każdym razie nie będą już miały tego znaczenia, co dawniej. Zainteresowanie będzie tą wielką dźwignią, która zastąpi wszystkie inne.

Pora już postawić na miejsce pedagogiki jednowymiarowej — która szereguje wszystkich uczniów gęsiego w jednej linii — pedagogikę dwuwymiarową — która, obok niezaprzeczalnych różnic w wydajności pracy, bierze pod szczególniejszą uwagę rozmaite typy uzdol-

nień, a typy te muszą być stawiane obok siebie na jednym poziomie, a bynajmniej nie szeregowane jedno za drugim.

Ta klasyfikacja hierarchiczna przeprowadzana jest zresztą także w sposób, nasuwający bardzo wiele wątpliwości. Przyjmuje się założenie, że pewne działy nauki mają znaczenie pierwszorzędne, albo też nadaje się stopniom uzyskiwanym z niektórych z tych przedmiotów wartość większą niż innym, mnożąc je przez pewien współczynnik dowolnie obrany. I niech mi będzie wolno, na pamiątkę tej milej pogadanki, jaką nas tu kiedyś uraczył p. Roorda, odczytać teraz Państwu pewien zabawny obrazek, który on niedawno ogłosił w *Tribune de Lausanne*:

„Pedagogowie chińscy — nikogo to wszak nie zdziwi — stosują środek nader zawily, by rozstrzygnąć, czy należy udzielić któremuś z uczniów prawa prowadzenia dalszych studjów, mających dać mu kiedyś w przyszłości możność wykonywania zawodu dentysty. Gdy uczeń ma 16 lat ukończonych, oblicza się przeciętną wszystkich stopni, jakie otrzymał w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy na lekcjach języka chińskiego. To samo robi się ze stopniami z geografji, z historii, z matematyki, z religji, z ekonomji politycznej, z rysunku, z tańca i z gry na trąbie. Każdą z tych przeciętnych mnoży się przez jedną z liczb: 5, 4, 3, 2 lub 1. Dla historii, dajmy na to, mnożnikiem będzie 3, dla rysunku 1. Następnie dodaje się do siebie wszystkie wyniki w ten sposób otrzy-

mane. O ile z tego dodawania wypadnie suma mniejsza od 266, to uczeń zostaje zatrzymany jeszcze na rok w szkole, czyli że skraca mu się w ten sposób o rok jego karierę dentystyczną.

„Pedagogowie chińscy dzielą się przytem na dwa obozy przeciwne: na zwolenników profesora Dzimm, który mnoży przez 3 stopień z geografii, a przez 2 stopień z matematyki, i na zwolenników profesora Lahitu, który postępuje odwrotnie.

„Jak było do przewidzenia, pedagogowie naszego kraju postępują w sposób daleko bardziej racjonalny. Przedewszystkiem usunęli zupełnie naukę języka chińskiego. Sądzą oni słusznie, że przyszły weterynarz może poprzestać na studjowaniu łaciny przez osiem lat z rzędu. Ale zwłaszcza w sposobie nauczania swych uczniów języka francuskiego okazują oni daleko poważniejsze odnoszenie się do rzeczy, aniżeli ich koledzy z Państwa Niebieskiego. Z jednej strony stawiają oni wypracowania i dyktanda, do drugiej zaś grupy zaliczają gramatykę, recytację, analizę logiczną i czytanie. Są przytem dostatecznie mądrzy, ażeby rozumieć, że ważność wypracowania pozostaje do ważności czytania w stosunku jak 2 do 1; i ostatecznie wystarcza im wykonać dziewięć dodawań, dziewięć dzielen i jedno mnożenie, ażeby się przekonać, że młody Robert zasługuje z języka francuskiego tylko na stopień 6,392. A ponieważ ten stopień w połączeniu z innymi (obliczonymi według systemu Bolomais) daje tylko średnią 6,499, przeto uczeń Robert będzie mu-

siał zostać jeszcze przez jeden rok na ławie szkolnej, zanim obejmie po ojcu zawód weterynarza. I otóż to dlatego krowy nasze tak świetnie się chowają“.

Skoro już mówimy o stopniach i o przeciętnych, pozwolę sobie zwrócić uwagę władz kompetentnych na ten dziwny doprawdy sposób, w jaki się czasem oblicza przeciętne w naszych szkołach. Mierzy się rzekomo postępy w nauce, a fałszuje się przytem w sposób niedopuszczalny wyniki tego określenia.

Przed kilku laty jeden z najświetniejszych uczniów Collège supérieur w Genewie zachorował na szkarlatynę w czasie egzaminów czerwcowych i nie mógł ich odbyć. I wiedzą Państwo, jakie stopnie wystawiono mu za te nieodbyte egzaminy? Same zera. Ponieważ miesięczne stopnie tego chłopca były bardzo wysokie, przeto zera te nie obniżyły stopni przeciętnych o tyle, żeby mu to uniemożliwiło przejście do następnej klasy, praktycznie zatem wypadek ten nie miał dlań następstw niepomysłnych. Ale cóż powiedzieć o takiej procedurze? Według mnie, jest ona skandaliczna. Jak to, więc taki zakład, jak szkoła średnia, która uczy swych uczniów obliczania przeciętnych i która stara się budzić w nich szacunek dla prawdy naukowej, dopuszcza się sama fałszowania przeciętnych, zastępując przez zera pomiary, które nie zostały wykonane? Cobyśmy powiedzieli o fizyku, któryby miał określić średnią temperaturę jakiejś miejscowości i któryby

w środku lata liczył zero za każdy dzień, kiedy nie mógł dokonać obserwacji z powodu choroby czy z powodu stłuczenia się termometru?

Taki sposób postępowania to skandal nietylko ze stanowiska matematyki i statystyki, ale także ze stanowiska zdrowego rozumu. Prawdopodobieństwo tego, że uczeń, który jest pierwszym w swej klasie, miałby otrzymać zero przy wszystkich egzaminach, jest tak niezmiernie małe, że przypuszczać taki wynik jest wprost niedorzecznością. Poza tem trudno zrozumieć, dlaczego, — jeśli się już koniecznie chce postawić jakąś liczbę zamiast pomiaru, którego się nie dokonało, — wybiera się właśnie liczbę najniższą. Gdyby, wobec niepewności, postawiło się jakiś stopień pośredni, dajmy na to, 3 na 6, to z punktu widzenia ścisłości matematycznej nie byłoby to również usprawiedliwione, ale przynajmniej zmniejszałoby odchylenie prawdopodobne i błąd popełniany. Miałoby to nadto pozory pewnej bezstronności moralnej wobec nieobecnego ucznia. Natomiast, jeśli mu się wystawia zero, póki nie złoży dowodu przeciwnego, to czyż w tem nie kryje się uznanie ucznia zgóry za oskarżonego, jak się wyraził kiedyś p. Roorda? A nawet znacznie gorzej niż za oskarżonego, bo oskarżonego uważa się za niewinnego dopóty, dopóki mu się nie dowiedzie winy, gdy tymczasem uczeń jest zgóry uważany za najgorszego, dopóki nie da dowodów, że nie zasługuje na tak ubliżającą opinię!

Obecnie znosi się egzaminy. Ale pozostają je-

szcze miesięczne repetycje, i przy nich także nie powinno się stawiać poprostu zera każdemu uczniowi, który w tym dniu nie stawia się w szkole. Powtarzam raz jeszcze, zastępowanie zerem obserwacji niewykonanej jest najzupełnijszem fałszowaniem przeciętnej, jest krzywdą moralną, wyrządzaną uczniowi. Taki sposób postępowania nie przynosi zaszczytu ani ścisłości myślenia, ani subtelności wychowawcy, który go stosuje.

Przepraszam za tę dygresję, i powróćmy do naszych uzdolnień.

2. Klasy ruchome. — Tak się nazywa system, który pozwala uczniowi w różnych przedmiotach korzystać z nauki na różnych poziomach. Tak na przykład, uczeń mocny w arytmetyce, a słaby w łacinie może przechodzić kurs arytmetyki z uczniami z trzeciego roku, a kurs łaciny z uczniami z drugiego roku. Taki system (bardzo racjonalny, niewątpliwie) jest stosowany z powodzeniem w pewnych szkołach nowych, ale nastrocza w zastosowaniu pewne trudności praktyczne co do rozkładu godzin, promocji uczniów. Można by się do niego uciec, zdaniem mojem, dopiero wówczas, gdyby żaden inny, prostszy system nie okazał się lepszym od niego.

3. Oddziały równoległe. — Ten system istnieje w wielu szkołach średnich, między innymi i w naszej, gdzie mamy oddział klasyczny, realny, techniczny, pedagogiczny, a obok szkoły średniej ogólnokształcącej, szkoły zawodowe, rzemieślnicze, handlowe i t. d.

Taka różnaitość daje niewątpliwie możliwości wyboru, które mogą być bardzo korzystnie wykorzystowane dla sprawy kształcenia zdolności specjalnych. Ale więcej chodzi tu jednak o różne kierunki wykształcenia, zmierzające do osiągnięcia różnych specjalnych wyników, aniżeli o różne drogi rozwijania uzdolnień indywidualnych. W łonie każdej takiej sekcji spotykamy się znów z różnorodnością uzdolnień, które nie znajdują dla siebie niezbędnych warunków działania.

A zatem, czy zwiększyć może jeszcze liczbę sekcyj? Ale, pomijając nawet trudności administracyjne, jakieby to za sobą pociągało, sprawa nie byłaby jeszcze w ten sposób wcale rozwiązana. Z jednej strony, takie zwiększenie liczby sekcyj, jakkolwiekby było daleko posunięte, nie może zaspokoić wszystkich potrzeb indywidualnych; z drugiej strony, i co najważniejsza, jak już wskazaliśmy na początku, zagadnienie uzdolnień jest daleko szersze niż zagadnienie programów. Uzdolnienie bowiem nie określa się wyłącznie przez predylekcję do pewnych przedmiotów nauki, ale i przez sposób zajmowania się nimi, przez sposób pracowania.

4. Wybór przedmiotów. — Wszystkie te środki, któreśmy dotąd pokrótce rozpatrzyli, nawpół tylko rozwiązują te zadania, jakie dla naszego sumienia wychowawczego wynikają z faktu istnienia różnych uzdolnień. Co należy robić, ażeby każdy indywidualny typ umysłu wynosił ze szkoły to maksimum korzyści, do jakie-

go ma prawo? Zadanie jest napozór nierozwiązalne. Czy szkoła, stworzona dla przeciętnego ogółu, zdoła kiedykolwiek uwzględnić wypadki indywidualne? A nie można przecież mieć oddzielnej szkoły dla każdego dziecka!

Trzeba jednak rozwiązać to zadanie, bo koniec końców w naszym społeczeństwie jednostka jest wszystkim. W interesie zatem samej społeczności trzeba, ażeby jednostka była zdolna do jak największej wydajności.

Cóż więc zrobić, by urzeczywistnić to, co nazwałem niegdyś w pewnym odczycie w Towarzystwie Lekarskim (w r. 1901) „szkołą na miarę”? A skoro użyłem znów tego wyrazu, który był dość często powtarzany, chciałbym rozproszyć pewne nieporozumienie: sądzono niekiedy, że, mówiąc o szkole na miarę, miałem na myśli taką szkołę, w której się uczniów mierzy! Zbyteczna niemal wyjaśniać, że nazwa ta oznacza tylko szkołę przystosowaną do umysłowości każdego osobnika, szkołę, któraby była tak dobrze dopasowana do form umysłowości, jak ubranie lub obuwie wykonane na miarę są dopasowane do formy ciała lub nogi.

„Gdy krawiec robi ubranie — pisałem w r. 1905 — dopasowuje je do figury swego klienta, i jeśli ten jest gruby a niski, to nie narzuca mu gwałtem ubrania zbyt ciasnego pod pretekstem, że to jest szerokość, odpowiadająca z reguły jego wysokości. Szewc, który robi trzewiki, zaczyna

od tego, że obrysowuje na papierze kontur nogi, na którą trzewik ma być nakładany, i zaznacza sobie jej cechy szczególne, między innymi jej deformacje. Kapelusznik przystosowuje swe kapelusze jednocześnie do kształtu i do rozmiarów głów...

Pedagog, przeciwnie, ubiera, obuwa i przykrywa wszystkie umysły na jedną modłę. Posiada na składzie tylko gotowe ubrania a w towarzystwie jego nie ma najmniejszego wyboru: jest wprowadzić kilka numerów wielkości, ale krój zawsze ten sam! To też pośród uczniów szkół naszych spotyka się takich, którzy toną w fałdach programu, zbyt obszernego dla ich słabych aspiracji i problematycznych zdolności, i płaczą się za każdym krokiem we wlokących się za nimi połach tego uniformu, którego nie mogą wypełnić ani od góry, ani od dołu, gdy tymczasem inni są opięci w strój za ciasny dla nich, który tamuje swobodny rozwój ich osobowości intelektualnej i moralnej, tak że za każdym najmniejszym ruchem, na jaki sobie pozwolą, pęka im jakiś guzik.

Dlaczegożby nie mieć dla duszy takich samych względów, jakie się ma dla tułowia, dla głowy, czy dla nóg?...¹⁾

Otóż, ponieważ nie można mieć oddzielnej szkoły dla każdego dziecka, to systemem zbliżającym się najbardziej do ideału szkoły na miarę

¹⁾ *Psychologie de l'enfant*, Genève 1905, str. 73.

będzie taki, który daje każdemu uczniowi największą swobodę dobierania sobie warunków, sprzyjających rozwojowi właściwych mu uzdolnień. Takim systemem jest system wyboru przedmiotów.

W ostatnich czasach zaczęto go zalecać z różnych stron. I w istocie, zdaje mi się, że to jest system przyszłości.

Powiem w paru słowach, jak mi się ta rzecz przedstawia odnośnie do najwyższych klas szkoły średniej. Naprzód trzeba znacznie zmniejszyć liczbę obowiązkowych lekcji klasowych w tygodniu, przez co oswobodzi się czas na różne kombinacje, jakie się chce stosować. Powiedzmy, dwadzieścia godzin tygodniowo. Jest to wymiar, dopuszczany we francuskich „lycées“, i zdaje mi się, że ta ilość godzin w zupełności wystarczy. Połowa mniej więcej tych godzin lekcyjnych byłaby wspólna dla wszystkich uczniów. Godziny te byłyby poświęcone na przechodzenie programu minimalnego, zasad lub podstaw każdego przedmiotu nauki. Co do dziesięciu pozostałych godzin, które wypełniaćby musiał także każdy uczeń, mógłby on je sobie wybierać i łączyć dowolnie z pomiędzy lekcji wymienionych w ogólnym rozkładzie (jak to się dzieje na uniwersytetach). Te lekcje, dowolnie wybierane, byłyby uzupełnieniem kursu ogólnego, albo też tworzyłyby jakiś kurs specjalny, albo wreszcie byłyby ćwiczeniami, w których pogłębianoby pewne zagadnienia. Nie mogą wchodzić tu w szczegóły; wystarczy zwró-

cić uwagę ludzi kompetentnych na zasady tego systemu ¹⁾.

Może zarzuci ktoś takiemu projektowi brak należytej dbałości o kulturę ogólną? Kultura ogólna! Oto jeszcze jedno zagadnienie interesujące i nieco niejasne, które wymagałoby specjalnego rozważenia. O tem dziś wieczór nie mogę nawet marzyć. Zauważę tylko, że terminowi kultura ogólna nadaje się dwa znaczenia nieco różne: dla jednych kultura ogólna to jest pewne minimum wiadomości, jakie powinien posiadać człowiek kulturalny, minimum potrzebne mu na to, żeby się nie czuł zbyt obco, gdy się wychyli poza granice swej specjalności. Dla innych kultura ogólna to kultura, odnosząca się do wszystkich funkcji duchowych, do refleksji i krytycyzmu równie dobrze, jak do wyobraźni, mowy, uczuć estetycznych i t. p. Właściwie, lepiejby było powiedzieć w tym wypadku: „kultura intelektualna“.

Otóż system wyboru przedmiotów nie sprzeci-

¹⁾ Chciałbym jednakże zauważyć, że zmniejszenie liczby lekcyj pozwoliłoby położyć większy nacisk na pracę indywidualną. W naszych szkołach średnich powinnyby być urządzone wielkie sale do pracy, z biblioteką, słownikami, zbiorami i t. p., z których uczniowie mogliby korzystać swobodnie. Do takiej biblioteki powinienby być wyznaczony specjalny nauczyciel, któryby dawał pracującym rady i wskazówki, jakichby sobie życzyli. Wielu uczniów nie może znaleźć w domu spokoju niezbędnego do owocnej pracy osobistej; byłoby rzeczą naturalną, żeby szkoła dawała im w tym celu przytułek.

wia się żadnemu z tych dwóch pojęć o kulturze ogólnej. Program minimalny, który się w nim przewiduje, zapewnia nabycie tych wiadomości wspólnych, które mają wytworzyć rodzaj więzi duchowej między ludźmi z tego samego środowiska i z tego samego pokolenia. (Możnaby się jeszcze zastanawiać nad tem, czy to rzeczywiście wiadomości s z k o l n e tworzą te zasadnicze zręby wspólnego dziedzictwa; czy ta więź duchowa nie polega raczej na wiadomościach p o z a s z k o l n y c h, nabywanych z dnia na dzień przez czytanie pism i książek, uczęszczanie do teatru, rozmowy i t. p. Ale nie poruszajmy tego w tej chwili.)

Rozwój uzdolnień specjalnych nie przyniesie również szkody kulturze intelektualnej. Inteligencja bowiem, czyli zdolność rozwiązywania nowych zadań, stwarzania hipotez, ich sprawdzania, inteligencja znajduje się wszędzie ta sama u podstawy każdej czynności umysłu. Potrzeba tyleż inteligencji na to, ażeby przetłumaczyć jakiś tekst łaciński, co i na to, żeby rozwiązać jakieś zadanie geometryczne. Zmienia się tu tylko materiał, na którym i przy pomocy którego ta inteligencja pracuje. Ale sam mechanizm inteligencji jest w obu wypadkach ten sam.

Często przypuszcza się, — jest to błąd, który należy zwalczać, a który jest jeszcze zakorzeniony w wielu tęgich głowach, — że pewne przedmioty nauki mają szczególną wartość, jako czynniki rozwoju pewnych władz umysłowych; tak

więc, matematyka ma rozwijać myślenie, wypracowania francuskie—wyobraźnię, nauki przyrodnicze — spostrzegawczość i t. p. Ale przecież spostrzegawczość, wyobraźnia, myślenie odgrywają rolę wszędzie. Czyż nie trzeba dużej ścisłości myślenia na to, by powiązać bez sprzeczności łańcuch perypetyj jakiejś powieści lub dramatu, a czyż wyobraźnia nie odgrywa też pierwszorzędnej roli w matematyce?

Prawda, że różne jednostki nie są jednakowo zdolne do przejawiania swej inteligencji w tych rozmaitych dziedzinach. Tę inteligencję, która jest tą samą w swym najgłębszym mechanizmie, jeden stosować potrafi tylko do zagadnień z dziedziny literatury, drugi tylko do zagadnień filologicznych, trzeci tylko do zagadnień algebraicznych. Dlaczego? Tego nie wiemy; ale musimy uznać fakt istniejący, i to jest dla nas ważne w tej chwili. Każda z tych różnych dyscyplin jest jakgdyby polem, podatnem do rozwinięcia pewnych funkcij intelektualnych. Zażądajcie od jakiegoś Henryka Poincaré, ażeby napisał powieść awanturniczą; odrazu najświetniejsze jego zdolności zostaną jakgdyby dotknięte bezwładem; zażądajcie od jakiegoś Zoli, ażeby zaprzął swą niestrudzoną wytrwałość do rozwiązywania jakiegoś zadania trygonometrycznego, niepowodzenie będzie niechybne. Rzecz przedstawia się tu podobnie, jak gdybyśmy chcieli spowodować, ażeby pewne zwierzęta poruszały się w środowiskach dla siebie niestosownych. Uzdolnienia odpowiadają narzą-

dom przystosowanym do pewnego określonego środowiska. Ryba nie może pływać po ziemi, ani też zając nie potrafi biegać po wodzie. A jednak funkcja pływania i biegania w obu tych wypadkach jest ta sama: są to różne sposoby lokomocji. Zależnie od środowiska wykonywanie tej funkcji wymaga różnych uzdolnień specjalnych.

I dzieci nasze nie mogą również rozwinąć posiadanej inteligencji inaczej, jak w pewnym środowisku, sprzyjającym działaniu tej inteligencji. Widzimy zatem, że system taki, jak wolny wybór przedmiotów, który uwzględnia uzdolnienia i pobudza tkwiące w nich zadatki, nie tylko że nie przynosi szkody kulturze intelektualnej, ale, przeciwnie, może być raczej uważany za warunek konieczny takiej kultury.

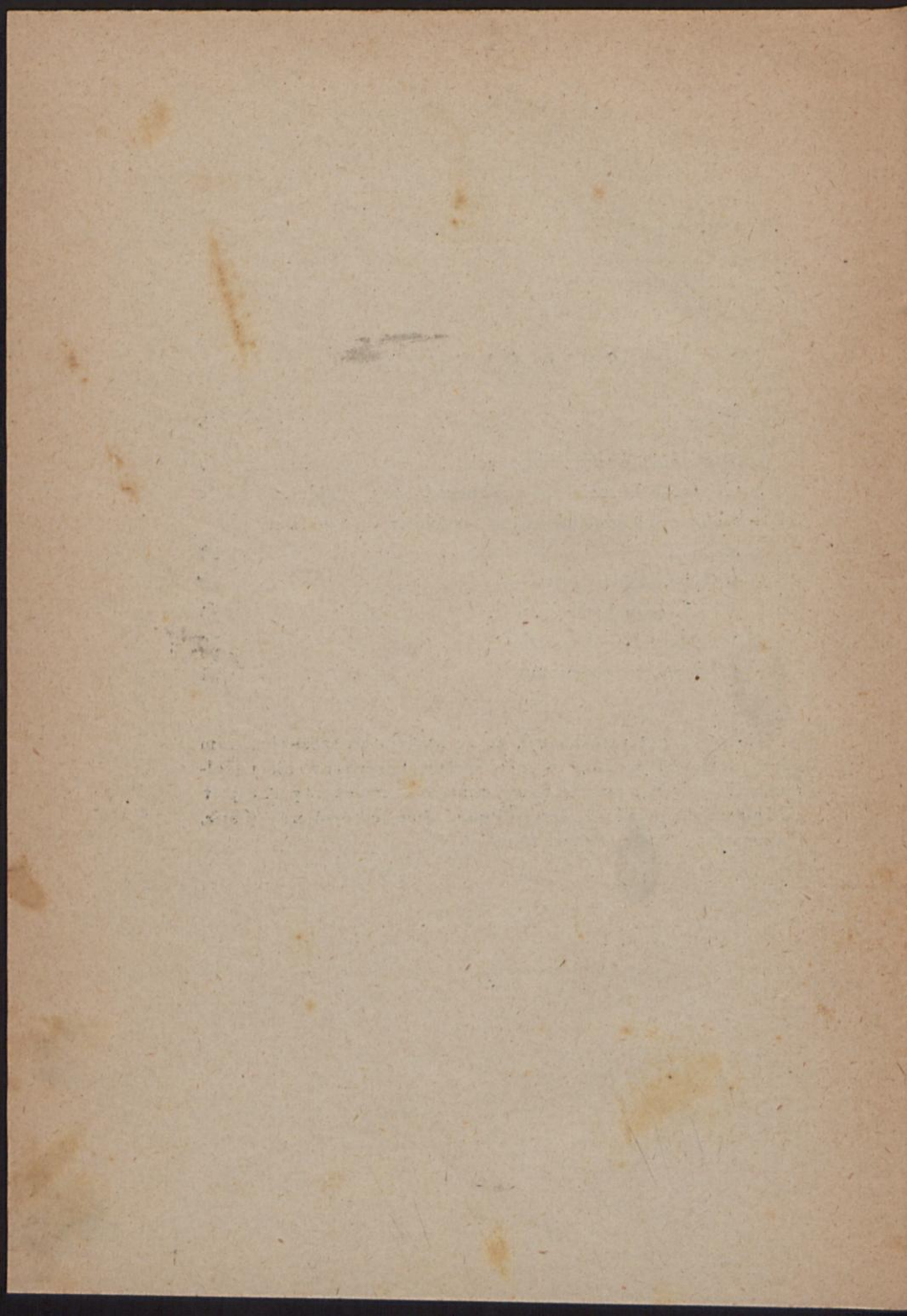
Stwarzajmy co prędzej to środowisko sprzyjające, które pozwoli każdemu dawać z siebie maksimum tego, do czego jest zdolny, i rozwijać swą indywidualność.

I nie zapominajmy o tem, że, pracując dla jednostki, rozwijając jej zdolności, jej cechy oryginalne, wydobywając najaw jej siły i jej bogactwa utajone, pracujemy również, a może nawet przede wszystkim, dla społeczeństwa.

SPIS RZECZY

Wstęp	5
1. Istnienie różnic indywidualnych	7
2. Konieczność liczenia się z różnorodnością uzdolnień	14
3. Sposoby uwzględniania różnic uzdolnień. „Szkoła na miarę”	21
1. Klasy równoległe	22
2. Klasy ruchome	30
3. Oddziały równoległe	30
4. Wybór przedmiotów	31

Na str. 7 autor zaznaczył, że ze względu na szczupłość ram odczytu musiał pominąć w nim sprawę rozpoznawania uzdolnień. Tej kwestji poświęcił następnie obszerniejszą pracę p. t. „Comment diagnostiquer les aptitudes chez les écoliers” (Paris, Flammarion, 1924) *Przyp. tłum.*



O D U S Z Y NAUCZYCIELSTWA

NAPISAŁ J. WŁ. DAWID

NAKŁADEM „N A S Z E J K S I Ę G A R N I” SP. AKC.
ZWIĄZKU POL. NAUCZYCIELSTWA SZKÓŁ POWSZECHNYCH
WARSZAWA — 1927

Tobie,
która byłaś duszy tej wcieleniem,
poświęcam.

Praca niniejsza po raz pierwszy drukowaną była
w „Ruchu Pedagogicznym”, Kraków, 1912 r.

I.

W ognisku współczesnego zainteresowania i pracy pedagogicznej stoi zdobycie doświadczalnych podstaw, poznanie środków wychowania, metod, techniki, organizacji. Uczeń, nauczyciel, szkoła przedstawiają się nam jako mechanizm — część wielkiego mechanizmu przyrody: jak w jednym tak w drugim działają określone siły, rządzą prawa, od których znajomości i zastosowania zależy, o ile mechanizm okaże się sprawny, jakie wyda rezultaty. Taką jest treść i zadanie psychologii wychowawczej, pedagogiki doświadczalnej.

Ale jest przytem czynnik inny, który często przeoczamy, o którym rzadko myślimy, który jednak wychowanie całe przenika i istotę jego stanowi. Wychowanie jest naturalnym

procesem, czemś, co się staje tak, jak się jedynie stawać może i musi wedle praw, rządzących fizycznym i duchowym organizmem człowieka. Ale w całej sprawie czynną jest jednocześnie jakaś siła kierownicza, której przyczynowo i mechanicznie uwarunkowane siły są podporządkowane: jakiś plan, wzór i idea tego, co się ma stać, co się stać powinno. Wzór ten, tę ideę w sobie nosi, uosabia wychowawca — świadomie, najczęściej bezwiednie chce on, iżby uczeń stał się jemu podobnym, urzeczywistnił jego typ, tylko doskonalszy, bez jego braków i słabości, bogatszy i wyższy o to doświadczenie, jakie jemu życie przyniosło.

Kierowniczym czynnikiem wychowania jest to, czem jest nauczyciel, a raczej, za co się ma i czem jeszcze chciałby być.

Dlatego w żadnym zawodzie człowiek nie ma tak wielkiego znaczenia, jak w zawodzie nauczycielskim. Architekt może być złym człowiekiem i zbudować dom ładny i wygodny; inżynier, który przebił tunele, przeprowadził wielkie drogi, pobudował mosty — mógł być człowiekiem lichym. Już mniej to jest możliwe

u lekarza; zapewne nie chciałby nikt leczyć się u takiego, o którym wiedziałby napewno, że jest złym człowiekiem. A już nauczyciel — zły człowiek jest sprzecznością w samem określeniu, niemożliwością. Nauczyciel taki może tego lub innego czasem nauczyć, rzeczy odrwanych, przypadkowych, ale pozostanie uczniowi obcym, w życiu jego żadnego wpływu nie odegra. Dlaczegoż tak jest? Co stanowi istotę nauczyciela, co sprawia, że ktoś jest nauczycielem „z urodzenia”, z powołania? Ażeby nie gubić się w dowolnych wytworach fantazji, zapytajmy raczej: jacy nauczyciele są, jakich spotykamy, i jaki śród nich typ uznać należy za najdoskonalszy, za właściwy typ nauczyciela.

Jest jeden objaw duchowego życia, u każdego w pewnym stopniu spotykany, w pewnych okolicznościach, u niektórych ludzi występujący w wyjątkowym stopniu. Jest to potrzeba i zdolność sympatyzowania, wzajemnego przenikania się, udzielania swoich i uczestniczenia w cudzych stanach duchowych, dążenie do zgodności, harmonji i jedności z duchowem

życiem innych. W chwilach, kiedy duchowe życie nasze osiąga większe napięcie, w chwilach przyjemnego podniecenia, radości, szczęścia, czujemy potrzebę wyrażenia swego nastroju, podzielenia go z innymi, chcemy, iżby inni — zwłaszcza bliscy i kochani — także wiedzieli to, czego my w danej chwili dowiedzieliśmy się, tak czuli, cieszyli się, jak my się cieszymy. Zadowolenie nasze, radość niepełna jest, gdy nie znajdujemy nikogo w otoczeniu, w kim mogłyby one mieć odbicie. Jest to doświadczenie pospolite i nie stanowi ono żadnej indywidualnej cechy. Ale pozwala nam ono zrozumieć stany oraz indywidualności takie, w których potrzeba i zdolność ta jest cechą dominującą.

Są to stany, w których całe życie duchowe ulega przeobrażeniu i pogłębieniu. Budzą się w niem nowe siły, zapanowują nowe wartości, albo raczej dotychczasowe treści życia ulegają przewartościowaniu. Punkt ciężkości życia całego przenosi się z zewnątrz na wewnątrz, od rzeczy, zadań, celów zmyłowych, materialnych do bardziej idealnych i duchowych.

wych. Zagadnienia metafizyczne i moralne nabierają szczególnego znaczenia, stają się niemal osobistą sprawą człowieka, szuka on i musi dać sobie na nie jakąś odpowiedź, podczas gdy dotychczas były one dlań obojętne albo i niezrozumiałe.

Jednocześnie zmienia się stosunek człowieka do innych, staje się mniej samolubnym, chętnie wyrzeka się siebie dla innych, czuje potrzebę dobrze robić innym, sądzi ich pobłażliwie i życzliwie. Stany te, znane pod nazwą „nawróceń”, „odrodzeń”, „życia wewnętrznego”, spostrzega się często zarówno u jednostek, jak w pewnych ruchach masowych. Jednym z objawów w stanach tych jest namiętna, nieodparta dążność do opowiadania o tem, czego człowiek doświadczył, czego się dowiedział, do głoszenia „dobrej nowiny”, dawania „świadcstwa prawdy” i zjednywania innych dla tej „nowej prawdy”. W historii rozmaitych ruchów „odrodzeniowych”, nowopowstających sekt, czytamy, że „nawróceni” muszą zawsze naukę swoją szerzyć, w razie zakazów i prześladowań opuszczają dom, rodzinę, ażeby gdzie-

indziej swobodnie dać ujście swej potrzebie apostołstwa, działającej w nich z żywiołową, fizjologiczną niemal siłą.

Otóż spotykamy ludzi, u których nastrój ten, nie będąc tak żywym i ostrym, jak w wypadkach „nawróceń” i „revivalów”, jest zato stanem normalnym, stałym. Cechą jego jest silne poczucie duchowej wspólności i jedności z innymi. Wydaje się, jakgdyby jaźń ich nie zamykała się w granicach ich ciała, ale rozciągała się na innych, ich przenikała lub ich jaźnie w siebie przyjmowała. I to się wyraża w ich uczuciach, w sposobie zachowania się. W naszym własnem istnieniu nie znosimy niezgodności i sprzeczności, ale staramy się je wyrównać, dolega nam, że czegoś nie wiemy, nie znamy, nie rozumiemy i pracujemy nad sobą, dopóki nie usuniemy tych braków. Słabość, upadek moralny razi nasze uczucie obowiązku, budzi niezadowolenie z siebie, wyrzut, chęć poprawy, próby przewyciężenia złych skłonności, utrwalenia dobrych.

Ten, kto ma żywe poczucie duchowej wspólności z innymi, doznaje stanów tych nie-

tylko w związku z własnem doświadczeniem, ale i z tem, co zachodzi w innych: czuje on za innych, chce za innych. Nie może pogodzić się z tem, że są ludzie niewiedzący, ciemni, słabi, nie może żyć, nie odczuwając ich ciemnoty i słabości, jako czegoś, co jego własne życie pomniejsza i poniża, nie może uspokoić się, dopóki dla podniesienia jego i udoskonalenia czegoś nie uczyni.

Sądzę, że to jest istotą nauczycielskiego powołania, które możnaby określić jako miłość dusz ludzkich. Jest to miłość, bo człowiek wychodzi poza siebie, troszczy się, bezinteresownie czyni coś dla drugiego; jest to miłość dusz, bo przedmiotem jej jest wewnętrzna duchowa treść człowieka, jego dobro moralne, jego oświecenie i udoskonalenie jako istoty duchowej. Dla nauczyciela z takim powołaniem każdy nowy uczeń to jakby rozszerzenie i przyrost własnej jego jaźni, to nowe zadanie do spełnienia w zakresie własnego jego osobistego życia. „Oto uczeń mój nie wie, nie rozumie, nie przeczuwa nawet tylu rzeczy ważnych, mądrych i potrzebnych; nie — to ja nie

wiem jeszcze, nie rozumiem, to ja sam tą częścią swoją, która jest nim. Uczeń mój postępuje źle, jest złośliwy, kłamie, krzywdzi; nie — to we mnie jeszcze tyle jest złego, w tej części mojej, która jest nim. Jakże boli mnie ta niewiedza, to zło — czyż z niemi mogę żyć!" Obowiązkiem, nie — raczej koniecznością, potrzebą jego jest rozprószyć je, usunąć.

Z drugiej strony każdy bezpośredni przyrost własnej świadomości, nowy nabytek wiedzy, nowy pogląd, wzniesienie się na wyższe stanowisko umysłowe, w człowieku tego typu budzi konieczność przeniesienia tych zdobyczy na innych; czegoś się samemu nauczyć, przeczytać, napisać — jest dlań dopiero początkiem, najważniejsze zadanie widzi on w tem, ażeby to, co sam posiadał, rozpowszechnić, innych nauczyć, przekonać.

Z tego względu typ ten przedstawia podobieństwo pewne do agitatora, ale podobieństwo tylko zewnętrzne: typ to o wiele wyższy, szlachetniejszy. Dla agitatora człowiek nie jest celem sam przez się, ale środkiem do celów, które leżą poza nim; działa on w interesie partji,

przedsięwzięcia, własnym, idzie mu o to, ażeby pozyskać ludzi zewnątrznie, chociażby chwilo-
wo, nie dba o to, czy przekona ich istotnie,
idzie mu o czyn, znak, do tego nie potrzebuje
przekonywać, wystarcza mu wmówić, zasuge-
stjonować. Dla nauczyciela, jeśli nawet nie jest
wolny od miłości własnej, ambicji, pobudką
główną jest sam uczeń, celem — nie przypad-
kowe jego zachowanie się w tym lub innym wy-
padku, ale trwałe i głębokie oddziaływanie i uro-
bienie jego wewnętrznej istoty, przekonania,
woli.

II.

Nie kreślę tu, jak powiedziałem, tworów wyobraźni ani oderwanych przypuszczeń: typ taki istnieje, typ nauczyciela, który kocha dusze ludzkie — dusze swoich uczniów. Ta miłość dusz jest źródłem entuzjazmu, wiary w swe powołanie, siły w pracy, jest też tajemnicą główną powodzenia, wyjaśnieniem faktu, że w życiu człowieka wypadkiem, momentem, który o życiu tem decyduje, może być i jest czasem — jakiś jeden nauczyciel. I gdyby trzeba było wybierać między nauczycielem, który posiada dużą wiedzę fachową, poznał psychologię, metody i technikę wychowania, ale któremu obcą jest zupełnie ta miłość dusz, i z drugiej strony takim, który przy bardzo skromnej wiedzy, braku metodycznego przygotowania

ma w sobie żywe i w czyn przechodzące po-
czucie duchowej wspólności, który dusze uc-
niów swoich — swoją ogarnia i jak swoją ko-
cha: gdyby trzeba było wybierać między nimi,
pierwszeństwo bezwzględne oddałby należało
temu drugiemu. Ale wybierać nie trzeba, nie-
ma tu: albo — albo. Przeciwnie nauczyciel,
który ma w sobie rozwinięte życie wewnętrzne
i czuje swą duchową z uczniem wspólność, ma
jednocześnie silne poczucie odpowiedzialności,
obowiązku, potrzebę doskonałości.
Kto chce innych oświecić, podnieść przez mi-
łość dla nich, ten musi zarazem chcieć uczy-
nić to w sposób najlepszy, najskuteczniejszy.
A więc kwestja środków, sposobów działania
staje się dlań równie żywotną jak samo dzia-
łanie: Czy ja dobrze robię, czy nie można le-
piej, i jak należy robić? Znałem nauczycieli,
o bardzo niewielkim zasobie wykształcenia,
w trudnych warunkach życiowych, ale tak
przejętych swem powołaniem, że wciąż snuli
projekty różnych reform pedagogicznych, ob-
myślali i wynajdywali różne metody i pomoce
nauczania, często dość prymitywne, albo zna-

ne już i zarzucone, które jednak w i c h r ę k u nieraz dawały dobre rezultaty. Nauczyciel współczesny, żyjący w środowisku kulturalnem, ma w tym względzie zadanie znacznie ułatwione, czego nie dała mu szkoła, dopełnić może z książek, pism, wykładów, dla twórczych swych zdolności pole znajduje w robieniu obserwacji i doświadczeń na uczniach, nowa psychologia pedagogiczna i pedagogika doświadczalna niejedne przyczynki zawdzięcza skromnym pracownikom szkoły ludowej, które zresztą często giną w zbiorowych opracowaniach ankiet i kwestjonariuszów.

Ale nauczycielowi, w którym silne jest poczucie obowiązku i pragnienie doskonałości, narzuca się z niemniejszą siłą drugie jeszcze pytanie: zagadnienie celu całej jego działalności. Co innego jest: czy dobrze robię, jak można najlepiej zrobić? — a co innego: czy dobrem jest to, co robię? Znajomość środków, przyczynowej zależności rzeczy, mechanizmu działania nie uczy nas nic o celu działania. Mogę poznać dokładnie mapę kraju, ale stąd nie dowiem się: d o k ą d mam jechać; dokładne zro-

zumienie anatomji i fizjologii wszystkich procesów, które warunkują pisanie, nie powie mi jeszcze, co mam napisać w danym wypadku. Psychologja, pedagogika doświadczalna odsłania nam prawa, rządzące życiem duchowem, każe życie to pojmować jako konieczny związek pewnych przyczyn, warunków, skutków; ale nie mówi: jaką treść i cel życiu temu mamy nadać. Oto są prawa sugestji, naśladownictwa, przykładu; ale co damy uczniowi do naśladowania, jakie mu postawimy wzory? Oto prawa pamięci, przyswajania, zatrzymywania, ćwiczenia, ekonomja i technika uczenia się: ale czego ma się uczeń uczyć, w czym ćwiczyć się? Oto jeszcze prawa rozwoju uczuć, postępowania, kształtowania się woli, urabiania charakteru: gdy dane są takie warunki otoczenia, przedmioty, budzą się takie i takie instynkty i uczucia, przy takim układzie instynktów, motywów wola działa w taki i taki sposób, utrwala się taki charakter, ale jakież budzić mamy instynkty, a jakie tłumić, z jakimi przedmiotami wiązać uczucia, jakie motywy woli zaszczepiać, ku jakim kierować ją celom?

Gdy zaczniemy studjować nowoczesną psychologję i pedagogikę, olśnieni nowością i wielkością przedmiotu, czujemy tylko radość zdobywania nowej wiedzy, rozjaśniania wątpliwości, pozbywania się przesądów, widzimy przed sobą niezmierzone perspektywy, zdaje się, że oto weszliśmy już na pewną i ostateczną drogę, jeszcze trochę więcej spostrzeżeń, doświadczeń, a wszystko stanie się jasnem i pewnem. Ale „droga” to nie tylko miejsce, teren, po którym posuwać się można prędzej lub wolniej, z większem lub mniejszem tarciem, to także kierunek, w jakim postępujemy. Tymczasem — pochłonięci badaniem terenu, jego torowaniem i wygładzaniem, nie myślimy o kierunku, w którym nas prowadzi, a raczej jedno utożsamiamy z drugim, mimowolnie przyjmujemy, że teren pewny, dobrze zbadany, utorowany, jest to zarazem kierunek drogi, który do celu musi doprowadzić, że skoro pewna część drogi okazuje się równiejszą i łatwiejszą od innych, iść właśnie należy w kierunku tej drogi a nie w innym. A więc, że pewne rzeczy same przez się uwagę i zainteresowanie

ucznia budzą, sądzimy, że tem właśnie zajmować go należy; skoro pewne przedmioty, pewne czynności przychodzą mu łatwo, należy uczyć go tych przedmiotów, wymagać tych czynności; naturalne instynkty, popędy, upodobania, które uczeń okazuje, rozstrzygać mają o tem, co, kiedy i ile ma być treścią nauczania, jakie reguły postępowaniu jego należy postawić. Ale dlaczego, czy tak jest dobrze, czy pewni jesteśmy, że kres, u którego znajdziemy się, idąc po liniach najmniejszego oporu, jest ten właśnie, którego pragniemy, u którego powinniśmy się znaleźć?

Powiedzą nam, że kierunek, cel, programy najczęściej nie zależą od nauczyciela. Narzucają je względy praktyczne, ekonomiczne, tradycja, otoczenie, wreszcie czynniki miarodajne, władzę reprezentujące, a często z nauczycielstwem i pedagogją nic wspólnego nie mające. Niewątpliwie tak jest i tak w pewnym stopniu być musi. Przedewszystkiem zewnętrzne warunki materialne, konieczności życia ekonomicznego okazują się silniejsze od motywów idealnych. Ale — warunki ekonomiczne ule-

gać mogą zmianie pod wpływem świadomej woli; przytem one stanowią tylko o zawodowym przygotowaniu do pracy zarobkowej, które nie jest wszystkim, nie jest pierwszym, nie może być traktowane samo w sobie w oderwaniu od ogólnego wykształcenia, i o niem samo przez się nie rozstrzyga. — Tradycja? Tradycję podajemy ciąglej na różnych polach rewizji i sami tworzymy nową. — Otoczenie? Ale nauczyciel może wpływać i na otoczenie, w pewnym stopniu do swoich celów je przystosowywać, nauczyciel jest sam częścią otoczenia — częścią uczniowi najbliższą — i jakim on jest, nie pozostaje bez wpływu na to, jakim będzie otoczenie. A cele, programy, plany, zgóry przez władze wyznaczone? Ale właśnie o to idzie, że nauczyciel nie może być biernym, mechanicznym wykonawcą celów i zadań nie przez niego pomyślanych i przyjętych, ale narzucanych mu z zewnątrz, przepisywanych zgóry na lata, tygodnie, dni i godziny. W takim razie byłoby ekonomiczniej wszystkich nauczycieli zastąpić przez automatyczne aparaty; ktoś o jednej godzinie naciskałby określone gu-

ziki, we wszystkich szkołach aparaty, zaopatrzone w fonografy i kinematografy, zaczynałyby funkcjonować, uczniowie wedle umówionych sposobów reagowaliby, te same aparaty wykonywałyby kontrolę i „klasyfikowały” uczniów. A jeśli nie — to zgodzić się musimy, że nauczyciel, który działać ma na ucznia jako człowiek na człowieka, który zatem działać może tylko wedle tego, czego chce własna jego wola, że nauczyciel ten musi cel i programy dawać sobie sam lub przez swych przedstawicieli, być ich współtwórcą, a w ich wykonaniu mieć zоставioną szeroką swobodę.

Przy takim stosunku do zadania swego nauczyciel musi zdobyć jeszcze świadomość, czego ma chcieć, do czego dążyć, co ma być ostateczną wartością, jaką ma przez wychowanie swe wytwarzać, a zatem — jaki cel wy-
chowania.

III.

O wartościach moralnych i celach mówi etyka. Ale etyki, która tu ma zastosowanie, nauczyć się nie można — jak psychologii i metodyki. Jest to etyka, którą każdy musi sam dla siebie stworzyć, przeżyć ją i — nią żyć.

Zgadza się wszyscy, że szkoła powinna przygotowywać do życia. Ale — do jakiego życia? Czyli: jak żyć się powinno? To znaczy dla nauczyciela: jak ja żyć powinienem? co ma być celem, wartością mojego życia? — Od tego zależy, jakie życie potrafi w uczniu swym zbudzić, i do jakiego zdolny będzie go przygotować.

Za główną wartość i cel życia przyjąłby można przyjemność, użycie, szczęście. Na zasadzie tej opierano systematy etyczno-filozo-

ficzne, cel ten przyświecał niejednemu życiu jednostkowemu. Jednakże z systematów tych żaden nie ostał się wobec krytyki, nie wytrzymał próby doświadczenia. Doświadczenie to pokazuje także, że życie jednostki, którego zasadą była przyjemność i użycie, okazuje się zawsze chybionem, znajduje zaprzeczenie samo w sobie i kończy się moralnem bankructwem. Inaczej być nie może. Życie, zasadzające się na biernem użyciu, prędzej czy później wpada w próżnię, pustkę; związane z warunkami zewnętrznymi, w części znacznej niezależnymi od nas, jak materialne posiadanie, zdrowie, świeżość zmysłów, ze zmianą warunków tych traci podstawę. Życie ma wartość trwałą przez to i o tyle, o ile je tworzymy sami, o ile w pewnym stopniu stajemy poza niem, wznosimy się nad nie, takie jakie jest samo przez się, przy działaniu sił naturalnych, fizycznych, organicznych. Ale to znaczy, że życie takie musi zawierać pierwiastek wysiłku, przymusu, wyrzeczenia się, a więc przykrości, cierpienia. I to w warunkach nawet najpomysłniejszych zewnętrznie. Rozpatrując z energetycznego punk-

tu widzenia różne formy życia psychicznego, stwierdzamy, że wysiłek, trudność, przymus, wyrzekanie się, cierpienie przedstawia większą ilość pracy albo energii narówni z wszelkimi twórczymi aktami umysłu, jak abstrahowanie, tworzenie syntez, wynajdywanie, — stoją one wyżej na skali energetycznej, aniżeli stany bierne, odbiorcze, łatwość, przyjemność. Z wysiłku, przymusu, wyrzeczenia się, a więc z przykrości i cierpienia, rodziły się wszystkie wielkie dzieła myśli, sztuki, religji; z cierpienia, krwi ludzkiej wyrastało wszędzie drzewo wolności; przez wysiłek, przymus, wyrzekanie się powstawały i żyły narody i państwa, ginęły — gdy zanikała w nich zdolność wysiłku, pokonywania trudności, przymusu, a miejsce ich zajmowało bierne użycie, przyjemność i łatwość działania. Niema i nie było w ludzkości nic wielkiego, co nie byłoby przesiąknięte cierpieniem, wysiłkiem, wyrzeczeniem się.

A więc pierwiastek ten zgóry pomieścić musimy w rachunku życia, do którego ma przygotowywać wychowanie. Ale to znaczy — wiemy już — że pierwiastek ten mieć musi nau-

czyciel w swoim życiu, odnaleźć go lub stworzyć we własnej duszy.

Jest to właśnie zadanie zdobycia, stworzenia w sobie nowego życia: życia duchowego.

Człowiek tkwi w naturze. Ale, o ile w niej pozostaje cały — ginie, zetraca się jako człowiek. Staje przed nim problemat: być albo nie być, jako człowiek, jako istota duchowa. Ażeby uniezależnić się i zapanować nad swym istnieniem zwierzęcem, naturalnem, musi zacząć istnieć na jakiejś innej płaszczyźnie bytu, zacząć żyć życiem trwalszem, bardziej rzeczywistem, aniżeli życie zmysłowe. I zadanie to spełnia w sferze poznania i w sferze działania. Wrażeniom, których dostarczają zmysły, zmiennym, przemijającym i sprzecznym, przeciwstawia trwałe pojęcia, idee, prawidłowość przyczyn i skutków. Zadaniem nie kończącym się nigdy jest tu z chaosu wyprowadzić przyczynowo uwarunkowany porządek. Analogicznem w sferze moralnej zadaniem jest wyjść poza chaos instynktów, wzruszeń, pożądań, przeciwstawić im rozumną, moralną wolę, mechanizmy przyrody uczynić narzędziem, środkiem urzeczy-

wistniania tej woli i wystawianych przez nią celów, a za przedmiot i treść celów tych przyjąć nie to, co jest potrzebą i dobrem zmysłów, co niesie w sobie od początku zarodek przesytu, sprzeczności i śmierci, co zamyka nas w sobie i każe żyć tylko dla siebie, co dzieli nas od innych i od wyższej poza nami istniejącej rzeczywistości, — ale to, co jest dobrem zawsze trwałem, zgodnem z sobą, poza warunkami czasu i miejsca byt swój mającem, będącem dobrem nie tylko dla nas, ale i dla innych, przez które przeto z innymi jednoczyć się możemy, żyć także ich życiem, życiem wielkiej całości, a więc nieskończenie pełniejszym i bogatszym, a nie przemijającym — życiem wiecznem.

Jedno i drugie zadanie — poznawczo-praktyczne i moralne — człowiek podejmuje i spełnić jest zdolny tylko dzięki mocom innego porządku, które w nim tkwią i przez niego działają, porządku pozazmysłowego. Czuje on potrzebę, pragnie i tęskni do wzniesienia się, uniezależnienia od porządku zmysłowego, dlatego właśnie, że moce owe w sobie przeczuwa, że ich działania doświadcza, i że może je zastoso-

wać. Bo i jakże mógłby człowiek odczuwać swą słabość, niedostateczność, znikomość, gdyby w nim nie było czegoś wielkiego, doskonałego, wiecznego? Moce te to w sferze intelektualnej — potrzeba jedności, trwałego bytu, przyczynowej prawidłowości, w sferze duchowej — to prawo moralne, ideał, sumienie.

*Boski
prir. i nastek*

Ale świadomość moralna nie może pozostać subiektywnym przeżyciem, wzruszeniem, pojęciową koncepcją... Tkwi w niej konieczność realizacji, nieprzeparta potrzeba czynu. Tak jak przez przeciwstawienie się chaosowi wrażeń zmysłowych umysł musi w pewien sposób, pewnymi kategorjami myśleć o świecie, tak z chwilą, gdy poprzez instynkty i pożądaną przemówi w nim świadomość przeznaczenia i obowiązku, musi on w pewien sposób czynny na świat reagować, według pewnych norm stosunek swój do niego wyrazić. Tylko gdy proces intelektualnego opanowania świata przez samoistne twórcze siły umysłu posunął się już daleko, zapuścił w umyśle głębokie korzenie, stał się niemal umysłu tego organicznym procesem, który z trudnością tylko i hipotetycznie

odróżniać się daje od samego działania zmysłów, — to proces moralnego wyzwolenia się człowieka od natury jest w okresie początkowym, daleki od tego, iżby uważać go można za ogólny dorobek ludzkości, na świat przez każdego przynoszony, przez jednostkę każdą z trudem na nowo musi być podejmowany i utwierdzany — jako walka naprzód o swoje duchowe, ludzkie „być albo nie być”, potem o realizację duchowego, moralnego porządku w świecie, realizację „Królestwa celów”, jak mówi Kant, które byłoby odpowiednikiem i dopełnieniem wcześniej już i pewniej urzeczywistniającego się „Królestwa konieczności i praw przyrody”. I im wyżej człowiek postąpił w duchowym swem istnieniu, tem silniejszą, bardziej nieodpartą czuje potrzebę, powołanie czynu, czynu-obowiązku. Tą wewnętrzną koniecznością powodowany, bierze na siebie dobrowolnie część ogólnego cierpienia, przymusu, wyrzeczenia się, wysiłku. Cierpienie, wysiłek, wyrzeczenie się najściślej związane są z wyzwolonem istnieniem duchowem: jedno i drugie są względem siebie wzajemnie przyczyną i skutkiem. Cierpienie

jest materją, z której tworzy się i którą trwa w człowieku duchowa rzeczywistość. I odwrotnie, z chwilą gdy rzeczywistość tę posiadał, budzi ona w nim potrzebę i czyni go zdolnym do cierpienia, wysiłku i ofiary.

Nie może być zadaniem mojem w tem miejscu wskazywać i roztrząsać poszczególne wartości i cele moralne. Różne ich formuły znajdzie nauczyciel w ogólnych traktatach etyki i pedagogiki. Każda z nich zawiera część prawdy, ale wszystkie one są martwe, nieskuteczne, o ile nauczyciel nie ma wrażliwości, zmysłu dla ich przyjęcia i zrozumienia. Dopiero gdy odnajdzie swą duszę, gdy uczuje rzeczywistość duchowego porządku, nabierają one dla niego treści i znaczenia, z łatwością rozpoznaje, co w każdej z nich jest prawdziwego i żywego, co jemu najlepiej odpowiada, co ma w jego życiu być wartością i celem, a zatem dla jakich wartości budzić ma i utrzymywać wrażliwość w uczniu swoim, ku jakim celom wolę jego kierować. W każdym razie to jasnem staje się dlań, że wychowanie, szkoła nie może być szkołą zabawy, łatwości, gry, ale musi być szkołą.

wysiłku, pokonywania trudności, wyrzeczenia się, przymusu. Rozumie się, nie przymusu z zewnątrz fizycznie narzucanego, ale takiego, który rodzić się będzie z własnej woli i wewnętrznej potrzeby ucznia, ze wspólnego — u nauczyciela i ucznia — entuzjazmu dla wysiłku, przymusu, obowiązku.

Jedno jeszcze w związku z tem wymaga wypowiedzenia. Koniecznem wymaganiem, nakazem i potrzebą głębokiego życia duchowego, przynależności człowieka do moralnego świata celów — jest wewnętrzna prawdziwość, zgodność z sobą, objawianie się takim tylko, jakim się jest, i w całości jakim się jest. Człowiek czuje: musisz być sobą, albo przestaniesz istnieć moralnie. A więc: być sobą naprzód każdorazowo w poszczególnych stanach — myślach, uczuciach. Potem — w całości ogólnie, jako indywidualność. Wreszcie — jako członek społeczności i narodu. Warunki zewnętrzne pełnego, na wewnętrznej zgodności z sobą i prawdziwości opartego życia i wyrażania się, w znacznej mierze wytwarza tylko Państwo — samorządne, z woli obywateli powstałe i wol-

ność ich poręczające Państwo narodowe. Tam, gdzie Państwo oparte jest na ekonomicznym wyzysku albo też jest narodowo obcem, dla moralnego życia jednostek wyrasta stałe niebezpieczeństwo, powstaje w niem szereg konfliktów i sprzeczności. Życie jednostek nie może się w pełni wyrazić, jakim jest rzeczywiście, indywidualnie i narodowo nie może jednostka realizować wszystkich swych wewnętrznych potrzeb i nakazów, część sił i uzdolnień musi tłumić, innym dawać wyraz tylko połowiczny i spaczony, w zetknięciu z zewnętrznymi, jej własnym potrzebom i dążnościom obcymi lub wrogimi formami społecznymi i państwowymi mimowoli musi potrzeby te i dążności gwałcić, zaprzeczać im, kłamać przekonaniom i uczuciom. W najlepszym razie wytwarza się życie dwoiste, ale dwoistość jest już zaprzeczeniem wewnętrznej zgodności i prawdziwości. Dwoistość przytem normalnie trwać nie może, organizacja umysłu usiłuje odzyskać jedność, między sferą, do której pod parciem zewnętrznych sił dostęp daliśmy kłamstwu, obłudzie, zaprzaństwu, a tą, która miała pozostać rezerwą praw-

dziwej naszej istoty, dokonywa się, mimo wiedzy i woli naszej, nieustanna osmoza, przenikanie, i w rezultacie obie okazują się zatrute nie-szczerością. Gdy człowiek w pewnej liczbie sytuacji z przyczyn zewnętrznych ulega pokusie zaparcia się siebie, nie ma on już dostatecznej pobudki ani siły, ażeby w pełni być sobą w tych wypadkach, gdzie niema zewnętrznego nacisku. A że zgodność z sobą, wewnętrzna prawdziwość uczuć, przekonań, sumienia jest rdzeniem życia moralnego, warunkiem i ostoją poczucia godności, które z kolei życie to umacnia i podtrzymuje, to gdy rdzeń ów zostaje podcięty, samo życie to musi w pewnym stopniu zostać nadwątlone i zakłócone.

W warunkach tych wychowanie traci głębo-ki swój sens, staje się także czemś sprzecznem w sobie, połowicznym, konwencjonalnem. Może być jeszcze przystosowywaniem, tresurą, rodzajem ortopedji, przestaje być wprowadzaniem człowieka do życia wyższego, budzeniem w nim boskiego pierwiastku, walką, którą w każdym nowem pokoleniu podejmujemy o swoje wyzwole-
nie i zrealizowanie na ziemi — dobra. Czy

można bez sprzeczności pomyśleć, że: kłamcy i obłudnicy wychowują sobie uczniów, ażeby umieli żyć w kłamstwie i obłudzie! Wychowanie — i kłamstwo, obłuda!

Odzyskanie niepodległości¹⁾ jest postulatem nie tylko naszego bytu materialnego, ale naszego życia i naszego ocalenia jako istot moralnych, które tylko przy wewnętrznej zgodności i prawdziwości utrzymać mogą swoją godność i czuć swą przynależność do wyższego świata duchowego. Idzie o to, ażeby do chwili tej przechować charakter narodu, ustrzec go od deprawacji, która mogłaby się stać nieuleczalną, znaleźć przeciwtruczną niewoli. Przeciwtruczną tę widzę w budzeniu i kształceniu o d w a g i we wszelkiej formie: odwagi tej, która potrzebną będzie, gdy wybije godzina czy nu, odwagi na dziś, na dzień powszedni — odwagi być sobą, jak to tylko w granicach fizycznej przemocy jest możliwe, wyznawać siebie, swoje uczucia, mowę, przekonania, zamiary, niczego się nie zapierać, co jest ideą polskiego

¹⁾ Rzecz pisana w roku 1912. Uwaga od wydawców.

życia i wyzwolenia, niczego nie kłamać, co z ideą to jest niezgodne. I jeżeli jest cel, który bardziej wyłącznie określać powinien polskie wychowanie, to jest nim wychowywanie tej odwagi.

Ale czym jest odwaga? ¹⁾ Jest to może jeden z najgłębszych i najbardziej tajemniczych przejawów ludzkiej natury. Zrozumieć ją można tylko jako stan człowieka, który już pewną częścią swojej istoty stanął poza życiem, t. j. poza życiem organicznem i zmysłowem, poza tem, co jest jego potrzebą i warunkiem, zyskiem lub stratą, i który dzięki temu zdolny jest działać wbrew życia tego interesom i samozachowaniu. Ale stawać tak poza życiem fizycznym może to tylko, co jest od niego z istoty swej niezależne, co jest w człowieku pierwiastkiem nadzmysłowym, nieucieleśnionym. Jakoż widzimy, że ile razy pierwiastek ten ulega rozbudzeniu i nabiera siły, gdy rozwija się głębsze życie wewnętrz-

¹⁾ Nie mówię tu o t. zw. odwadze fizycznej, zwierzęcej, która zależna jest od zdrowia i siły organizmu, temperamentu i pewnego stopnia bezmyślności i ślepoty.

ne, jednocześnie ujawnia się w człowieku moc działania niezależnie lub wbrew wymaganiom życia materialnego — duch ofiary, zaparcia się siebie, bohaterstwa. A w tem wszystkim mieści się już i odwaga. Najwyższe napięcie duchowego życia, które wyraz znajduje w męczeństwie za swoją prawdę, jest tylko spotęgowanym objawem tego, co w słabszej postaci znajdujemy w każdym akcie odwagi. Wychować zatem odwagę, jako stale działającą w człowieku siłę, jest to naprzód rozbudzić w nim i wychować głębokie życie duchowe. To znaczy życie takie mieć już w sobie.

IV.

Potrzeba doskonałości, poczucie odpowiedzialności i obowiązku, wewnętrzna prawdziwość, moralna odwaga i ponad tem wszystkim miłość dusz ludzkich — stanowi tło i istotę tego, co nazwaliśmy „duszą nauczycielstwa”. Jest to dar indywidualny, powołanie, przejaw wyższego duchowego w człowieku pierwiastku. Ale jednocześnie jest to fakt ogólnego życia psychicznego, które w związku swym z organizmem fizycznym podlega szczególnym warunkom i ograniczeniom.

Na innem miejscu, analizując „zdolność do pracy” i składające się na nią czynniki, uwydatniłem znaczenie spokoju, braku zewnętrznych i wewnętrznych podniet, wogóle bezczynności, jako warunku, od którego zależne są wyż-

sze psychiczne wytwory¹⁾). Wytwory takie, znamionujące rozwój i wzrastanie życia psychicznego, jak powiększanie wiedzy, tworzenie pojęć i syntez, nowe kombinowanie się wyobrażeń, wynajdywanie, pomysły, natchnienia, — jakkolwiek wymagają uprzedniej pracy świadomej, pobudzeń, wysiłku, to jednak ostatecznie dochodzą do skutku, „dojrzewają” jako ślady pamięciowe, „układają się, organizują” jako pojęcia, wyłaniają się z podświadomości jako pomysły i natchnienia, wtedy przedewszystkiem, gdy umysł przez czas pewien pozostaje w beczynności, niejako ugoruje. Jest to beczynność, ale beczynność płodna; płodną jest jednak o tyle, o ile poprzedza ją i przygotowuje praca, i tem różni się ona od próżnowania, o ile umysł nie jest zbyt zmęczony, wyczerpany, co znów beczynność taką odróżnia od odpoczynku.

Życie wewnętrzne wraz z towarzyszącymi

¹⁾ P. Inteligencja, Wola i Zdolność do pracy. Warszawa, 1926. — Tamże o energetycznej wartości cierpienia.

mu objawami, takie, jak je wyżej określiliśmy, jest także jedną z najwyższych postaci życia psychicznego. Poprzedzić je musi i przygotować pewnego rodzaju praca, doświadczenia, przeżycia, czytanie, rozmyślanie; ale iżby z przeżyć tych wyniknąć mogło duchowe pogłębienie, najwyższa „moralna synteza życia”, koniecznem jest pewne minimum spokoju, bezczynności, samotności, milczenia. Życie zewnętrzne, rozproszenie, przerzucanie się z przedmiotu na przedmiot, nieustanne towarzystwo i rozmowy, czytanie lub praca zawodowa pozwala człowiekowi załatwiać zaledwie najbardziej powierzchowne zadania umysłowe, uniemożliwia zaś pogłębienie, skupienie, wejście w siebie i zbudzenie w sobie wyższych sił ducha.

Zwłaszcza nieustanna troska materialna, walka o chleb powszedni, wyczerpana praca do zupełnego wyczerpania umysłu — tłumi wszelką możliwość życia prawdziwie ludzkiego, duchowego, a zatem w zarodku niszczy i te siły, które stanowią „duszę nauczycielstwa”. Wi-
dzieliśmy, że cierpienie podnosi człowieka, udu-

chawia go. Ale tak działa tylko cierpienie czynne, które wynika ze świadomej woli wysiłku, wyrzeczenia się, ofiary, w imię wyższej konieczności, przeznaczenia lub obowiązku. Co więcej, ażeby nie ulec cierpieniu, ale obrócić je w żywiący, wzmacniający ducha pokarm, musi człowiek mieć dość siły, ażeby nad niem zapanować, przemyśleć, świadomie je uznać i na niem głębsze swe życie zbudować. Tymczasem troska o elementarne potrzeby życia, głód, lęk przed jutrem, osłabia ciało, wyczerpuje energję, zwraca myśl wyłącznie nazewnątrż, rozprasza ją na tysiące drobnych a koniecznych zabiegów i nietylko wyłącza życie duchowe, ale budzi i wzmacnia przeciwne mu dążności — zwierzęce instynkty samozachowania, współzawodnictwa, walki, nienawiści. Nauczyciel stale głodujący, niepewny o przyszłość swoją i najbliższych, przeciążony pracą obowiązkową, która pochłania wszystkie siły i nieustannie myśl jego zaprzęta, teroryzowany i poniżany przez zwierzchników, nauczyciel taki w najlepszym razie staje się apatycznym, na wszystko obojętnym, bardzo często — złym, złośliwym,

ucznia swego nie przyjacielem i bratem, ale wrogiem i prześladowcą.

Ironją byłoby u ludzi tych szukać „duszy nauczycielstwa”, nawoływać ich do rozwijania i pogłębiania swego życia duchowego. Dopóki jesteśmy w tym świecie, dusza objawiać się może tylko w ciele i przez ciało; więc i dla „duszy nauczycielstwa” muszą być naprzód dane lub wywalczone zewnętrzne materjalne warunki: prawo do słusznej płacy, należytego odpoczynku i płodnej bezczynności.

MINISTERSTWO OPIEKI SPOŁECZNEJ

INSTRUKCJA

O ORGANIZACJI RATOWNICTWA
SANITARNEGO W SAMOOBRONIE
PRZECIWLOTNICZEJ I PRZECIWGAZOWEJ

WYDZIAŁ OCHRONY ZDROWIA

INSTRUKCJA

ORGANIZACJI RATOWNICTWA
SANITARNEGO W SAMOBRONIE
PRZECIWOŻARU I PRZECIWOZAWALU

I N S T R U K C J A
MINISTRA OPIEKI SPOŁECZNEJ

z dnia 27 stycznia 1939 r. Nr W. 1/5-9

**o organizacji ratownictwa sanitarnego w samoobronie
przeciwlotniczej i przeciwgazowej.**

Na podstawie § 5 pkt 6, § 6 pkt 3, §§ 7, 8, 9, 10, 11, 13 i 15 oraz zgodnie z § 4 pkt 1 i 2 rozporządzenia Rady Ministrów z 29 stycznia 1937 r. o przygotowaniu w czasie pokoju obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej Państwa (Dz. U. R. P. Nr 10, poz. 73), wydaję następującą instrukcję.

R o z d z i a ł I.

**Zakres akcji ratownictwa sanitarnego w samoobronie
przeciwlotniczej i przeciwgazowej.**

§ 1.

(1) Całość akcji ratownictwa sanitarnego w obronie przeciwlotniczej i przeciwgazowej ludności (skrót: rat. san.) będzie przeprowadzona:

- a) w ramach obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej, organizowanej przez powołane do tego władze oraz
- b) w ramach samoobrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej, organizowanej przez mieszkańców danej miejscowości.

(2) W miejscowościach, ustalonych dla zorganizowania w nich obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej, akcja ratownictwa sanitarnego będzie przeprowadzona zgodnie z ust. (1) pkt a) i b).

(3) W miejscowościach organizujących jedynie samoobronę, akcja ratownictwa sanitarnego będzie przeprowadzona tylko zgodnie z ust. (1) pkt b).

R o z d z i a ł II.

Zakres instrukcji.

§ 2.

(1) Instrukcja niniejsza ustala organizację ratownictwa sanitarnego w samoobronie przeciwlotniczej i przeciwgazowej.

(2) Organizację ratownictwa sanitarnego w obronie przeciwlotniczej i przeciwgazowej ustala osobna instrukcja Ministra Opieki Społecznej.

(3) W jakich miejscowościach należy zorganizować akcję rat. san. w zakresie samoobrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej, podają osobne zarządzenia.

R o z d z i a ł III.

Organa rat. san. w samoobronie.

§ 3.

Akcja samoobrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej opiera się:

- a) na domowych organach, obejmujących mieszkańców bądź jednego domu mieszkalnego (dom), bądź też kilku mniejszych domów mieszkalnych (blok domów) oraz
- b) na samoobronie, w ścisłym znaczeniu, mieszkańców poszczególnych mieszkań w danym domu (bloku domów).

§ 4.

(1) W każdym domu (bloku domów) wśród jego organów samoobrony ma być, zależnie od wielkości domu (bloku domów), co najmniej jeden domowy organ ratownictwa sanitarnego.

(2) Domowy organ rat. san. składa się z 1—2 osób, z których przynajmniej jedna ma być przygotowana do udzielania pierwszej pomocy rat. san. rannym, oparzonym, zatrutym lub skażonym bojowymi środkami chemicznymi (gazami) oraz innym chorym, w zakresie przewidzianym w załączniku Nr 1 i Nr 3.

(3) Osoba ta ma być przodownikiem domowego organu rat. san.

(4) Do pomocy domowemu organowi rat. san., zwłaszcza do przenoszenia chorych, wyznaczy komendant opl. domu (bloku domów) przynajmniej 2 osoby spośród mieszkańców domu (bloku domów).

§ 5.

Zadaniem domowego organu rat. san. jest:

- a) udzielanie podczas napadu lotniczego pierwszej pomocy rat. san. ofiarom tego napadu na terenie domu (bloku domów);
- b) zaopiekowanie się tymi ofiarami w ich mieszkaniach względnie w innych pomieszczeniach (w schronie lub w przeznaczonej na ten cel izbie (§ 21), do czasu przybycia wezwanej sekcji rat. san., jeżeli zachodzi potrzeba odesłania ich do punktu rat. san. (szpitala);
- c) wyjątkowo w wypadkach niecierpiących zwłoki — odniesienie chorego do najbliższego punktu rat. san. bez czekania na przybycie sekcji rat. san.

§ 6.

(1) O nadesłanie sekcji rat. san. zwraca się komendant opl. domu (bloku domów) do komendanta opl. dzielnicy na skutek meldunku przodownika domowego organu rat. san.

(2) W wyjątkowych wypadkach komendant opl. domu (bloku domów) może zwrócić się o pomoc rat. san. wprost do najbliższego punktu rat. san.

§ 7.

W miejscowościach, w których jest zorganizowana tylko samoobrona przeciwlotnicza i przeciwgazowa, a więc w których może nie być sekcji rat. san., ani specjalnie przygotowanych punktów rat. san. i kąpielisk odkażających, wszystkie czynności, do jakich są powołane w niniejszej instrukcji sekcje rat. san., mają być spełniane przez domowe organa rat. san. W razie więc potrzeby organa te będą odtransportowywały chorych do miejscowych szpitali, ośrodków zdrowia lub innych przychodni lekarskich, a w razie ich braku — do najbliższych prywatnych gabinetów lekarskich lekarzy, ordynujących w danej miejscowości.

§ 8.

(1) Domowy organ rat. san. prowadzi spis osób, które odesłał do punktu rat. san. (szpitala). Spis ten prowadzi na bloku przez kalkę.

(2) Każdy chory odsyłany do punktu rat. san. (szpitala) otrzymuje od domowego organu rat. san. kartkę z bloku, w której ma być podane: 1) imię i nazwisko chorego, 2) adres chorego, 3) rodzaj i przyczyna uszkodzenia zdrowia, 4) data i godzina tego uszkodzenia, 5) dokładny czas (godzina, minuty) ewentualnego nałożenia opaski uciskowej, 6) data i godzina odesłania oraz 7) nazwa punktu rat. san. (szpitala), do którego odsyła się chorego.

§ 9.

(1) Ponieważ każdy obywatel może być nieraz zdany tylko na własne siły i środki w udzielaniu pomocy rat. san., przeto każdy powinien się nauczyć najprostszych sposobów udzielania tej pomocy, przynajmniej w odniesieniu do najczęstszych

wypadków, z którymi może się spotkać podczas napadów lotniczych, a każde mieszkanie (rodzina) powinno się zaopatrzyć w zestaw najniezbędniejszych materiałów ratowniczo-sanitarnych (opatrunkowych), potrzebnych w takim wypadku.

(2) Co najmniej jednak jedna osoba wśród mieszkańców każdego mieszkania (rodziny), ma umieć udzielać pierwszej pomocy ratowniczo-sanitarnej w nagłych wypadkach, a zwłaszcza rannym, oparzonym, zatrutym lub skażonym bojowymi środkami chemicznymi (gazami).

(3) Osoba ta ma umieć udzielać pomocy rat. san. przynajmniej w zakresie, podanym w załączniku Nr 1.

R o z d z i a ł IV.

Zakres przysposobienia.

§ 10.

(1) Przysposobienie całej ludności do rat. san. w samoobronie przeciwlotniczej i przeciwgazowej zapewniać będzie na przyszłość nauczanie w szkołach wszystkich szczebli. Jest to tzw. przysposobienie zasadnicze.

(2) Do tego czasu, zanim ogół społeczeństwa nie zostanie przysposobiony w szkołach, należy przeprowadzać tzw. przysposobienie przejściowe, celem zaspokojenia najpilniejszych potrzeb, niezbędnych dla przygotowania i przeprowadzania opl.

§ 11.

Co powinien umieć każdy obywatel, a przynajmniej jedna osoba w każdym mieszkaniu (rodzinie), by sprostać zadaniom rat. san. w samoobronie, podaje załącznik Nr 1.

§ 12.

(1) Członkowie domowego organu rat. san. powinni wszyscy posiadać przede wszystkim przysposobienie do udzielania pomocy rat. san. w granicach załącznika Nr 1, a dopiero

na tym podłożu — przysposobienie uzupełniające dla udzielania pomocy rat. san. w zakresie załącznika Nr 3.

(2) Uzupełniające przysposobienie według załącznika Nr 3 mają posiadać przynajmniej przodownicy domowych organów rat. san.

(3) Celem zdobycia tego przysposobienia, członkowie domowych organów rat. san., a przynajmniej przodownicy tych organów, przechodzą przeszkolenie na kursach, według programu, podanego w załączniku Nr 5.

§ 13.

(1) W przysposobieniu poszczególnych obywateli oraz członków domowych organów rat. san., należy kłaść nacisk wyłącznie na wiadomości praktyczne.

(2) Dla przysposobienia należy wykorzystać wszelkie okazje, ułatwiające zbiorowe nauczanie, posiadaną zaś umiejętność należy sprawdzać przy każdej sposobności.

§ 14.

(1) Komendant opl. domu dopilnuje, aby przynajmniej 1 członek domowego organu rat. san. był przysposobiony na przodownika tego organu w myśl § 12.

(2) Z kolei przysposobiony przodownik domowego organu rat. san. dopilnuje i w miarę możliwości nauczy przynajmniej jedną osobę w każdym mieszkaniu udzielać pomocy rat. san. w zakresie podanym w załączniku Nr 1.

R o z d z i a ł V.

Zaopatrzenie.

§ 15.

(1) Zestaw materiału ratowniczo-sanitarnego, jaki powinien znajdować się stale w każdym mieszkaniu, podaje orientacyjnie załącznik Nr 2.

(2) Materiał ten należy przechowywać w stanie zdatnym do użytku. W tym celu musi on być przechowywany w miejscu suchym i w odpowiednim opakowaniu.

§ 16.

Zestaw wyposażenia domowego organu rat. san. podaje załącznik Nr 4.

§ 17.

Wyposażenie domowego organu rat. san. w środki, potrzebne mu do wykonywania czynności rat. san. (§§ 16 i 21), ma być dokonane na koszt właściciela domu (właścicieli bloku domów).

§ 18.

(1) Każdy domowy organ rat. san. oraz każde mieszkanie (rodzina) ma posiadać przynajmniej po jednym egzemplarzu niniejszej instrukcji z załącznikami.

(2) Dla domowych organów rat. san. zakupią tę instrukcję na własny koszt właściciele domów (bloku domów); dla każdego mieszkania — główny lokator lub głowa rodziny.

§ 19.

Komendanci opl. domu (bloku domów) dopilnują, by domowe organa rat. san. oraz mieszkania (rodziny) instrukcję tę posiadały i dokładnie ją znały.

§ 20.

(1) Sprzęt rat. san. domowego organu rat. san. ma być przechowywany w podręcznym magazynie domu (bloku domów) pod osobistą odpowiedzialnością komendanta opl. domu (bloku domów).

(2) Kontrolę przechowywania będą przeprowadzać władze opl., ustalone przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

§ 21.

Pożądanym jest, aby do wykonywania swych zadań domowy organ rat. san. posiadał w obsługiwanym przez siebie domu (bloku domów) wyznaczone pomieszczenie (miejsce w schronie, osobną izbę itp.), w którym będzie udzielał pomocy rat. san. w razie potrzeby i przetrzymywał chorych do czasu przybycia sekcji rat. san.

R o z d z i a ł VI.

Przepisy ogólne.

§ 22.

(1) Przysposobienie do rat. san. w samoobronie przeciwlotniczej i przeciwgazowej obywateli oraz domowych organów rat. san. przeprowadza, na podstawie niniejszej instrukcji, Polski Czerwony Krzyż na własny koszt, z wyjątkiem przewidzianym w ust. (2) niniejszego paragrafu.

(2) Koszty przysposobienia domowych organów rat. san. potrzebnych dla władz, instytucyj i zakładów przemysłowych lub użyteczności publicznej, pokrywają one same.

§ 23.

Panowie Wojewodowie i Pan Komisarz Rządu na m. st. Warszawę wydadzą w swoim zakresie odpowiednie zarządzenia, celem wprowadzenia w życie niniejszej instrukcji oraz dopilnują, by wykonując postanowienie § 22 ust. (1), odpowiednie jednostki organizacyjne Polskiego Czerwonego Krzyża, a pod ich kierunkiem również i inne organizacje społeczne, rozwinęły intensywną akcję przysposobienia do rat. san. w samoobronie ogółu obywateli. Do tego celu ma posłużyć umiejętnie zorganizowana propaganda (radio, ulotki itp.) oraz wykorzystanie wszelkich okazji zbiorowego współżycia, jak obozy wypoczynkowe itp., aby uświadomienie w tej dziedzinie dotarło do najszerszych sfer ludności.

§ 24.

Instrukcja niniejsza wchodzi w życie z dniem 1 lutego 1939 r.

Minister Opieki Społecznej:

(—) *Marian Zyndram-Kościałkowski*

5 zał.

1900

1900

1900

1900

Załącznik Nr 1

do instrukcji M. O. S. o organizacji
ratownictwa sanitarnego w samo-
obronie przeciwlotniczej i przeciwga-
zowej Nr W. 1/5-9.

Z A K R E S

pierwszej pomocy rat. san., której powinien umieć udzielić
każdy obywatel, a przynajmniej jedna osoba w rodzinie (§ 11
instrukcji).

W S T Ę P

Przyszła wojna, wskutek zastosowania lotnictwa, może
być niebezpieczna nie tylko dla wojsk walczących, ale i dla
ludności cywilnej. W szczególności użycie przez lotnictwo bomb
burzących, zapalających i gazowych może pociągnąć za sobą
wiele ofiar wśród nie należących do przygotowanej do obrony prze-
ciwlotniczej i przeciwgazowej ludności cywilnej w postaci ran-
nych, oparzonych i zatrutych gazami.

Ze względu na to, że w przyszłej wojnie udział całego
społeczeństwa może być bardzo znaczny, każdy obywatel po-
winien wiedzieć, jak w razie potrzeby ma sobie radzić i jak
innym udzielać pomocy ratowniczo-sanitarnej.

W tym celu poniżej podaje się, co należy czynić w naj-
częstszych przypadkach chorobowych, a czego czynić nie
wolno.

1. Zakres pierwszej pomocy rat. san. w samoobronie przeciw- lotniczej i przeciwgazowej.

Rodzaj przypadku	Co trzeba czynić?	Czego nie wolno czynić?
I. Utrata przytomności	1. Oddalić osoby niepowołane, rozluźnić ubranie, otworzyć okno, jeśli na zewnątrz nie ma gazów trujących; rozetrzeć skronie czoła i twarz ręcznikiem zmoczonym w zimnej wodzie. Jeżeli twarz chorego jest biała, należy go ułożyć w takiej pozycji, by głowa była niżej niż reszta ciała; jeśli natomiast jest ona mocno czerwona lub sinawa, należy go ułożyć głową wyżej, tj. w pozycji siedzącej, a na głowę położyć okład z zimnej wody. 2. Podać do powąchania watkę zwilżoną amoniakiem, nie dotykając nią nosa. 3. Podać 20 kropli nalewki walerianowej lub mocnej kawy albo herbaty. 4. Wezwać domowy organ rat. san.	Nie wlewać do ust nieprzytomnego żadnych płynów ani leków, gdyż te płyny mogą trafić do dróg oddechowych i wywołać ciężkie stany zapalne lub nawet spowodować uduszenie. Nie stosować żadnych zabiegów, mających na celu przywrócenie przytomności jak: potrząsanie chorego, klucie go, zlewanie zimną wodą itp.
II. Zranienie, złamanie, zwichnięcie.	1. Zabezpieczyć poszkodowanego przed możliwością dalszych uszkodzeń ciała przez wyniesienie go ze strefy zagrożonej; jeżeli nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo—pozostawić go na miejscu. 2. Jeżeli zachodzi konieczność przeniesienia poszkodowanego w miejsce bezpieczne przed nadejściem fachowej pomocy, należy postarać się o nosze lub użyć w tym celu zaimprowizowanych noszy z wyjętych drzwi z szafy, drabiny, blatu stołowego itp., wysłanych czymś miękkim. Przenieść ранnego na nosze najlepiej w trzy osoby, z których jedna podtrzymuje głowę i ramiona, druga środek ciała, trzecia nogi. Osoby te przyklękają na jedno kolano wzdłuż ранnego, wyprostowują jego ręce i nogi, o ile nie uległy one złamaniu lub zwichnięciu, podnoszą go jednocześnie i kładą ostrożnie na nosze.	

Rodzaj przypadku	Co trzeba czynić?	Czego nie wolno czynić?
	Jeżeli kończyny te uległy złamaniu lub zwichnięciu, nie wolno ich wyprostowywać. Wówczas należy kończyny ułożyć na noszach w takiej pozycji, w jakiej znajdowały się bezpośrednio po uszkodzeniu. 3. Usunąć z miejsca zranione go odzienie lub resztki odzienia, rozcinając je w razie potrzeby nożyczkami lub nożem (np. buty przy zranieniu stóp). 4. Na ranę nałożyć opatrunek osobisty, a w braku opatrunku osobistego, ranę pokryć <u>wyjałowioną gazą</u> lub czystym <u>kawałkiem płótna</u> i obandażować. 5. Wezwać domowy organ rat. san.	Nie nastawiać złamań lub zwichnięć. Nie usuwać siłą resztek odzienia lub innych ciał obcych silnie przylegających lub wgniębionych w ranę. Nie przemywać rany, nie wlewać do niej jody, nie dotykać palcami bezpośrednio rany i tej części gazy, która się z nią zetknie. Nie używać do opatrywania rany liści, pajęczyny, chleba, brudnych szmat, nątki itp.
III. Krwotoki: a) Jeśli z rany krew broczy. b) Jeśli z rany krew tryska.	Ad a) Nałożyć opatrunek osobisty, a w braku jego pokryć ranę suchą wyjałowioną gazą lub czystym kawałkiem płótna, na to położyć kawałek waty i silnie obandażować. Ad b) Jeśli krew tryska z kończyny, należy kończynę unieść nieco ku górze i nałożyć opaskę uciskową w bliskim sąsiedztwie rany w miejscu, które w porównaniu z raną znajduje się w danym ułożeniu kończyny bliżej środka ciała, tj. między sercem a raną, a więc na nodze — nad kolanem, na ręce — nad łokciem. Opaska musi być dość szeroka, mniej więcej na dwa palce, aby nie kaleczyła skóry np. taśma elastyczna, ręcznik, chustka, szelki itp. Ponieważ opaska może być <u>nałożona najwyżej na godzinę</u>,	Nie podwiązywać kończyn materiałem łańtwo wrzynającym się w skórę.

Rodzaj przypadku	Co trzeba czynić?	Czego nie wolno czynić?
	dlatego rannego, któremu nałożono opaskę uciskową, należy odtransportować do punktu rat. san. lub do lekarza przed upływem tego terminu. Jeśli krew tryska z szyi, z okolicy podobojczykowej, z okolicy pachy lub z okolicy biodra, nie można wówczas ze względów technicznych nałożyć takiej opaski i dlatego w tych przypadkach należy, w celu zmniejszenia krwotoku, zabezpieczyć ranę przez nałożenie opatrunku osobistego, a jednocześnie silnie ucisnąć wielkim palcem okolicę między raną i sercem, tuż około miejsca zranienia. A zatem, jeśli jest krwotok z okolicy podobojczykowej, to należy ucisnąć tuż koło rany, bliżej linii środkowej ciała; jeśli z pachy — również ucisnąć koło rany, bliżej linii środkowej ciała; jeśli jest krwotok z szyi, ucisnąć poniżej miejsca zranionego, gdyż tu właśnie będzie miejsce między raną i sercem; przy krwotokach z okolicy biodrowej ucisnąć powyżej miejsca zranionego. Natychmiast wezwać domowy organ rat. san., celem odtransportowania rannego do najbliższego punktu rat. san. lub do lekarza.	
c) Krwotok z nosa.	1. Chorego posadzić i położyć zimny okład na kark. 2. Do nosa włożyć twardy zwitek gazy i polecić choremu ucisnąć skrzydełka nosa. 3. Wezwać domowy organ rat. san., jeżeli pomimo tych zabiegów krwotok utrzymuje się przez dłuższy czas.	Nie kłaść chorego w pozycji leżącej.
d) Krwotoki z dróg oddechowych na skutek zranień (krew pokazuje się z płwociną przy kaszlu).	1. Ułożyć chorego w pozycji siedzącej, nogi opuścić. 2. Położyć zimny okład na klatkę piersiową. 3. Podawać zimne mleko łyżeczkami, żelatynki z sokami owocowymi. 4. Wezwać domowy organ rat.	Nie podawać ciepłych napojów, nie kłaść chorego w pozycji leżącej z głową opuszczoną.

Rodzaj przypadku	Co trzeba czynić?	Czego nie wolno czynić?
IV. Stłuczenie.	Na miejsce uszkodzone położyć zimny okład. O ile stłuczenie bardzo silne, chorego należy położyć, a zwłaszcza w wypadkach stłuczenia głowy, gdy zachodzi obawa wstrząsu mózgu; w tych wypadkach chorego należy odtransportować do punktu rat. san. w pierwszej kolejności.	
V. Oparzenie cieplne.	1. Obnażyć miejsce oparzone, rozcinając w razie potrzeby ubranie. 2. Na oparzone miejsce położyć chłodny okład jednego z następujących środków: a) roztworu sody oczyszczonej albo b) odwaru kory dębowej lub c) <u>przestawnej esencji herbaty i nałożyć opatrunek osobisty.</u> Przy dużych rozmiarach oparzenia należy poszkodowanego zwinąć w czyste prześcieradło lub czysty ręcznik. 3. Wezwać domowy organ rat. san. 4. Przy oparzeniach fosforem, cząstki jego rozpryskują się i palą na powierzchni ciała lub ubrania. Dla ugaszenia i usunięcia ich należy zanurzyć w wodzie miejsca palące się i usunąć pod wodą palące się ubranie i cząstki fosforu. Następnie opatrzyć miejsca oparzone okładem z roztworu sody oczyszczonej.	Nie jodynować i nie oczyszczać miejsc oparzonych i ich otoczenia, nie naciąć pęcherzy. Nie stosować maści lub tłuszczów np. oliwy.
VI. Zatrucie gazami bojowymi.	1. Po sprawdzeniu, czy maska jest prawidłowo nałożona, wynieść jak najspieszniej zatrutego z atmosfery zagazowanej.	

Rodzaj przypadku	Co trzeba czynić?	Czego nie wolno czynić?
	O ile nie posiada on maski, okryć przedtem nos i usta chustką względnie kilkakrotnie złożonym płatem gazy, obficie zmoczonymi w wodzie lub w roztworze sody oczyszczonej. 2. Po przeniesieniu zagazowanego do miejsca wolnego od gazów należy natychmiast zdjąć maskę, położyć go możliwie wygodnie i ciepło okryć. 3. Wezwać domowy organ rat. san. 4. Jeśli zatruty jest przytomny, lecz skarży się na trudność w oddychaniu, ma twarz siną lub szaro błądą, jeśli kaszle i odpłuwa flegmą o zabarwieniu czerwonym lub różowym a przy tym skarży się na ból lub zawroty głowy, ogólne zmęczenie, ma pianę wokół ust i nozdry—natychmiast wezwać domowy organ rat. san. celem odtransportowania poszkodowanego do punktu rat. san. w pierwszej kolejności. 5. Jeśli gaz spowodował podrażnienie oczu i gardła, które objawia się łzawieniem, zaczerwienieniem spojówek i gardła, uczuciem pieczenia lub palenia w gardle, to należy: a) przepłukać oczy i gardło roztworem sody oczyszczonej, b) podać do picia kilka łyżek tego roztworu. 6. Jeśli ktoś z domowników zetknął się z przedmiotami skażonymi gazami parzącymi lub jeśli zachodzi podejrzenie co do takiego zetknięcia, należy wszystkie miejsca podejrzane o skażenie zmyć ciepłą wodą, obficie mydłać mydłem, znajdującym się w indywidualnym opakiecie przeciwperytowym. Jeśli ktoś z domowników został skażony w takim stopniu, iż na ciele widoczne są krople gazu parzącego, przede wszystkim należy	Nie zakładać zagazowanemu maski i nie kłaść chustki na nos i usta, jeśli zatruty wymiotuje, dusi się lub kaszle. Nie dokonywać do czasu nadejścia domowego organu rat. san. żadnych innych zabiegów poza wymienionymi w pkt 5 i 6.

Rodzaj przypadku	Co trzeba zrobić?	Czego nie wolno czynić?
	ostrożnie je usunąć za pomocą kawałków ligniny, znajdujących się w tymże pakiecie, bacznie uważając, by nie dotykać użytym już kawałkiem ligniny miejsc nie poparzonych. Następnie <u>miejsca te parokrotnie zmyć ciepłą wodą i mydłem annogenowym</u>, obsuszyć i przysypać przysypką annogenowo-talkową. Usta, gardło i oczy przepłukać roztworem sody oczyszczonej i natychmiast skierować poszkodowanego do najbliższego kąpieliska. Ligninę użytą należy zebrać, nie dotykając jej bezpośrednio rękami i spalić w piecu.	
VII. Duszenie się na skutek zasypiania ziemią, powieszenia i zatonięcia.	1. Przede wszystkim usunąć przyczynę duszenia się: przy zasypaniu ziemią — ziemię z jamy ustnej przy pomocy palca wskazującego prawej ręki; przy powieszeniu — pętlę zaciskającą; przy utonięciu — wodę z narządów wewnętrznych przez położenie utopionego górną częścią brzucha na swym kolanie z głową opuszczoną na dół. 2. Po usunięciu przyczyny duszenia się stosować sztuczne oddychanie. 3. Wezwać domowy organ rat. san. 4. Jeśli chory odzyska przytomność, podać mu <u>20 kropli walerianowych</u>.	Nie wstrząsać chorym, nie kłuć go itp.
VIII. Rażenie prądem elektrycznym.	1. Wstrzymać dopływ prądu. Ratujący winien osłonić swe ręce rękawiczkami gumowymi lub suchym sukniem (grubo owinąć), stanąć na suchej desce lub grubym suknie i starać się przeciąć lub przerwać przewodnik doprowadzający prąd. 2. Po uwolnieniu rażonego od dopływu prądu: a) rozluźnić odzienie; b) twarz i głowę obficie spryskać zimną wodą;	

Rodzaj przypadku	Co trzeba zrobić?	Czego nie wolno czynić?
IX. Zapobieganie możliwości powstania i szerzenia się chorób zakaźnych.	c) zastosować sztuczne oddychanie; d) wezwać domowy organ rat. san.; e) jeśli chory odzyskał przytomność, <u>podać mu czarną kawę.</u> Aby zmniejszyć niebezpieczeństwo szerzenia się chorób zakaźnych należy: 1. Najskrupulatniej stosować się do zarządzeń wydanych przez władze sanitarne. 2. Ścisłe przestrzegać zasad higieny: a) <u>pić wodę przegotowaną;</u> b) dbać o czystość osobistą przez dokładne mycie rąk przed każdym posiłkiem, a szczególnie dokładnie po oddaniu stolca; c) w miarę możliwości codziennie zmywać całą powierzchnię ciała. 3. Dbać o jakość i źródło nabywanych produktów spożywczych oraz właściwe ich przechowywanie. 4. Meldować właściwym władzom o każdej chorobie obłożnej z wysoką gorączką. 5. Dbać, by wszyscy członkowie rodziny poddali się szczepieniom nakazanym przez władze.	Nie pić surowej wody, nie przebywać w jednym pomieszczeniu z osobą podejrzaną o chorobę zakaźną.

Jak należy wykonać zabieg sztucznego oddychania.

Zabieg wykonywują dwie osoby, a w ostatecznym razie jedna.

1. Należy odpiąć choremu ubranie na szyi i w pasie.
2. Ułożyć go na plecach.
3. Wyciągnąć język i trzymać go stale na zewnątrz.
4. Stać przy głowie ratowanego, ująć jego ręce zgięte w stawach łokciowych w pobliżu łokcia, zbliżyć je do klatki piersiowej i mocno nacisnąć nimi żebra — w ten sposób powietrze wytłacza się z płuc.
5. Unieść kończyny górne (ręce) jak najwyżej ponad głowę — w ten sposób powietrze zostaje wciągnięte do płuc.
6. Ponownie zbliżyć kończyny górne zgięte w stawach łokciowych do klatki piersiowej i znów ucisnąć nimi żebra, później znów unieść ręce w górę i postępując tak na zmianę, powodować wydechy i wdechy.
7. Gdy chory zacznie sam oddychać, przerwać zabieg.

UWAGA 1. Zabieg sztucznego oddychania należy wykonywać tak długo, dopóki chory nie zacznie **sam regularnie oddychać**. Nie należy przerywać zabiegu po kilkunastu minutach w razie, gdyby oddech do tego czasu nie wrócił, ale stosować go nadal, przynajmniej przez 1 do 1½ godziny. Dopiero, gdyby po upływie tego czasu nie udało się chorego przywrócić do życia, można zaniechać dalszego wykonywania tego zabiegu.

2. W wypadkach zasypania ziemią, gdy uszkodzeniu ulegną żebra względnie kręgosłup, nie wolno wykonywać zabiegu sztucznego oddychania w wyżej podany sposób. Wówczas należy wykonywać ten zabieg przez pociąganie języka ku górze, ku przodowi i z powrotem.

II. Zakres pierwszej pomocy rat. san. w innych wypadkach.

Rodzaj przypadku	Co trzeba czynić?	Czego nie wolno czynić?
X. Porażenie słoneczne i przegrzanie	1. Chorego rozebrać, zapewnić dostateczne przewietrzanie ciała. O ile jest on przytomny — podawać zimne napoje w dużych ilościach (najlepiej czarną kawę). 2. Jeśli nie oddycha, stosować sztuczne oddychanie. 3. Wezwać domowy organ rat. san.	Nie wstrząsać chorym, nie kłuć go itp.
XI. Zmarznięcie.	Zmarznięciu ulegają szczególnie łatwo osoby wyniszczone, pijani i dzieci przy dłuższym pobycie na zimnie. Zimno po pewnym czasie wywołuje senność (ustrój traci ciepło). 1. Zmarzniętego wprowadzić lub wnieść do sieni, nacierać kończyny i twarz suchym śniegiem, następnie po przeniesieniu do cieplejszej izby położyć do zimnego łóżka, nacierać całe ciało suchą flanelą do zaczerwienienia. 2. Jeśli chory nieprzytomny, stosować ostrożnie sztuczne oddychanie. 3. Wezwać domowy organ rat. san. 4. Jeśli zmarznięty jest przytomny lub odzyskał przytomność — podawać do picia gorącą herbatę lub kawę i nieco alkoholu.	Nie wnosić zmarzniętego bezpośrednio do ciepłej izby.
XII. Odmrożenie.	Wystawione na działanie mrozu kończyny ulegają odmrożeniu, przy czym w odmrożeniu I stopnia skóra jest sinawo biała, traci czucie; przy odmrożeniu II stopnia — powstają pęcherze wypełnione nieco krwawą zawartością, przy odmrożeniu zaś III stopnia części odmrożone zamierają — powstaje martwica tych części.	Nie wprowadzać chorego z rozległymi odmrożeniami od razu do ciepłego pokoju, ale stopniowo wprowadzać go przez sieni i pokoje mało ogrzane.

Rodzaj przypadku	Co trzeba czynić?	Czego nie wolno czynić?
	1. W odmrożeniu I i II stopnia miejsca odmrożone nacierać zlekką suchym śniegiem, następnie położyć na nie okład z roztworu sody oczyszczonej i opatrunek osobisty; przy odmrożeniu III stopnia położyć na miejsce odmrożone sam tylko opatrunek osobisty i lekko za-bandażować. 2. Do wewnątrz podawać napoje ciepłe. 3. Wezwać domowy organ rat. san.	
XIII. Padaczka.	Objawy: piana na ustach, niekiedy krwawa, twarz przekrwiona, fioletowo sina, drgawki. 1. Pod głowę i łokieć położyć przedmiot miętki. 2. Między zęby włożyć korek lub trzonek łyżki drewnianej, by zabezpieczyć język od zranienia zębami. 3. Po ataku podać choremu 20 kropli nalewki walerianowej, ułożyć go wygodnie, ciepło okryć i zostawić w spokoju na dłuższy czas, aby odpoczął.	Nie stosować żadnych zabiegów.
XIV. Rażenie piorunem.	1. Rozluźnić odzienie. 2. Twarz i głowę obficie spryskać zimną wodą. 3. Zastosować sztuczne oddychanie. 4. Wezwać domowy organ rat. san. 5. Jeśli chory odzyska przytomność, podać mu <u>do picia czarną kawę</u>.	Nie potrząsać chorym, nie zasypywać go ziemią, nie zakopywać częściowo w ziemi.

Załącznik Nr 2

do instrukcji M. O. S. o organizacji
ratownictwa sanitarnego w samo-
obronie przeciwlotniczej i przeciwga-
zowej Nr W. 1/5-9.

Z E S T A W

materiału ratowniczo-sanitarnego dla każdego mieszkania.

L. p.	Rodzaj materiału	Ilość
1	Annogen w tabl. po 0,5 g w rurce szklanej	1 rurka
2	Opatunków osobistych typu wojskowego	3 szt.
3	Indywidualnych pakietów przeciw- iperytowych	3 szt.
4	Nalewki walerianowej	15 g
5	Sody oczyszczonej	25 g
6	Flaszka z bakelitową zakrętką à 50,0	1 szt.
	Poza tym z użytku domowego:	
7	Nożyczki	
8	Kawa prawdziwa	

Objaśnienia:

1. Zamiast jodyny stosować annogen w roztworze:
1 tabletkę na pełną wyżej wymienioną flaszkę wody,
a w razie jej braku na ćwierć szklanki wody (woda mo-
że być surowa). **Wacików nie wprowadzać do flaszki,
lecz polewać je roztworem annogenu.**
2. Nalewkę walerianową podawać dla dorosłych po 20
kropli na kawałku cukru, względnie w kieliszku wody;
dzieciom, zależnie od wieku, podawać tyle kropli, ile
dziecko ma lat.
3. Sodę oczyszczoną stosować w roztworze: łyżeczkę od
herbaty na szklankę ciepłej wody.

Załącznik Nr 3

do instrukcji M. O. S. o organizacji ratownictwa sanitarnego w samoobronie przeciwlotniczej i przeciwgazowej Nr W. 1/5-9.

DODATKOWY ZAKRES POMOCY RATOWNICZO - SANITARNEJ

udzielanej przez domowy organ rat. san. w samoobronie przeciwlotniczej i przeciwgazowej (§ 12 instrukcji).

Domowy organ rat. san. udziela pomocy ratowniczo-sanitarnej zasadniczo w zakresie podanym w załączniku Nr 1. Tylko w przypadkach niżej wyszczególnionych udziela on tej pomocy w szerszym zakresie.

1. Zakres pomocy rat. san. w samoobronie przeciwlotniczej i przeciwgazowej.

Rodzaj przypadku	Co trzeba czynić?	Czego nie wolno czynić?
L Utrata przytomności.	1. Sprawdzić, czy udzielona pomoc była odpowiednia i wystarczająca 2. Ustalić przypuszczalną przyczynę. 3. Do osób, które straciły przytomność wskutek zagazowania wezwać sekcję rat. san. celem odtransportowania ich w pierwszej kolejności do najbliższego punktu rat. san.	

Rodzaj przypadku	Co trzeba czynić?	Czego nie wolno czynić?
II. Zranienie.	4. Osobom, które zostały zatrute czadem, kwasem pruskim lub gazem świetlnym stosować do czasu transportu do punktu rat. san. sztuczne oddychanie. Osobom zatrutym innymi gazami nie wolno stosować tego zabiegu. 1. Sprawdzić, czy udzielona pomoc była prawidłowa. 2. O ile rana nie opatrzona i nie jest zabrudzona, nałożyć opatrunek. 3. Ranę zabrudzoną obmyć przed opatrzeniem annogenem w roztworze: 1 łyżeczka rogowa annogenu na całą flaszkę o objętości 100,0; w miarę możliwości obmywać tylko skórę w okolicy rany. Ranę skażoną gazem parzącym, należy przemyć annogenem i opatrzyć gazą zwilżoną w annogenie i zabandażować. 4. Rannych z ranami zabrudzonymi ziemią, piaskiem itp. dostarczyć w pierwszej kolejności do punktu rat. san. celem wstrzyknięcia im tam surowicy przeciwężkowej. Do rannych, którzy nie mogą się tam udać o własnych siłach, wezwać sekcję rat. san. i odtransportować ich przez nią do punktu rat. san.	Nie stosować sztucznego oddychania osobom zatrutym gazami duszącymi i parzącymi. Nie zmieniać prawidłowo nałożonych opatrunków. Nie oczyszczać siłą rany, lecz ostrożnie polewać annogenem. Nie dopuścić do tego, aby ranny, choćby z małą raną zabrudzoną ziemią, piaskiem itp. nie otrzymał zastrzyku surowicy przeciwężkowej.
III. Złamanie, zwichnięcie.	1. Unieruchomić kończynę za pomocą łubek, wyłożonych watą i obandażować. Łubki, względnie każdy inny przedmiot, mogący je zastąpić, winny być dostatecznie długie, aby mogły unieruchomić obydwa sąsiednie stawy. 2. Przy złamaniach, połączonych ze zranieniem złamanej kończyny, najpierw opatrzyć ranę, a dopiero następnie unieruchomić kończynę.	Nie nastawiać złamań lub zwichnięć.

Rodzaj przypadku	Co trzeba czynić?	Czego nie wolno czynić?
IV. Krwotoki. a) Jeśli z rany krew tryska.	3. Po unieruchomieniu kończyny kłaść na miejsce złamania lub zwichnięcia zimne okłady, o ile złamanie nie jest powikłane zranieniem (łód w pęcherzu). 4. Wezwać sekcję rat. san. celem odtransportowania do punktu rat. san. chorych, którzy o własnych siłach nie mogą się tam udać. Tych, którzy mogą chodzić, skierować do punktu rat. san. Dostarczać do punktu rat. san. w pierwszej kolejności chorych ze złamaniami powikłanymi zranieniem złamanej kończyny. 1. Sprawdzić, czy udzielona pomoc była prawidłowa, a przede wszystkim, czy opaska jest odpowiednia i czy należy uciskać kończynę. 2. a) Jeśli opaska nie nałożona, nałożyć ją natychmiast; b) Jeśli przy nałożonej opasce krew tryska z rany, poprawić opaskę. c) Jeśli opaski nałożyć nie można, natychmiast nałożyć na ranę opatrunek osobisty i ucisnąć palcem okolice rany w miejscu między raną a sercem. 3. Wezwać sekcję rat. san. i odtransportować przez nią chorego do punktu rat. san. przed upływem godziny od chwili nałożenia opaski.	Nie robić okładów na kończynę złamaną i jednocześnie zranioną. Nie poprawiać opaski prawidłowo nałożonej.

Rodzaj przypadku	Co trzeba zrobić?	Czego nie wolno czynić?
	4. Jeśli przybycie w tym czasie sekcji rat. san. jest niemożliwe, załatwić transport chorego do punktu rat. san. w tym terminie we właściwym zakresie.	Nie przetrzymywać chorego z nałożoną opaską uciskową bez pomocy lekarza dłużej niż 1 godzinę.
b) Krwotoki z dróg oddechowych i krwotoki jelitowe.	Wezwać sekcję rat. san. celem odtransportowania chorych do punktu rat. san. w pierwszej kolejności.	Nie pozwalać chorym wykonywać ruchów, chodzić,
c) Krwotok z nosa.	1. Sprawdzić, czy udzielona pomoc była odpowiednia. 2. Jeżeli krwotok utrzymuje się czas dłuższy, skierować chorego do punktu rat. san.	
V. Oparzenie cieplne.	1. Sprawdzić, czy udzielona pomoc była odpowiednia. 2. Jeśli opatrunek nie nałożony, to w przypadku, gdy jest zaczerwienienie lub zaczerwienienie i bąble — posypać to miejsce przysypką przeciwooparzelinową i położyć opatrunek; w przypadku, gdy skóra jest spalona (martwica) — położyć tylko opatrunek osobisty. 3. Kończynę przy znaczniejszych jej oparzeniach unieruchomić. 4. Oparzonego ciepło okryć. 5. Wezwać sekcję rat. san. celem odtransportowania oparzonego do punktu rat. san. w pierwszej kolejności.	
VI. Zatrucie gazami bojowymi.	Do zadań domowego organu rat. san. należy przede wszystkim zorientowanie się, jakim rodzajem gazów został chory zatruty.	

Rodzaj przypadku	Co trzeba czynić?	Czego nie wolno czynić?
a) gazy trujące.	Do gazów trujących najczęściej spotykanych należy: kwas pruski, tlenek węgla (czad) i gaz świetlny. Zatrucie tymi gazami, a szczególnie czadem, prawdopodobnie będzie częste w przyszłej wojnie; czad bowiem powstaje przy wybuchu każdego pocisku, a poza tym stanowi składową część gazu świetlnego, który może się ulatniać przy uszkodzeniu gazociągów. Krew człowieka składa się z płynu (surowicy), w którym są zawieszone czerwone i białe ciała krwi. Czerwone ciała krwi w czasie przepływu przez płuca zaopatrują się w tlen i następnie roznoszą ten tak ważny dla życia pierwiastek po całym organizmie. Przy zadziałaniu gazów trujących gazy te łączą się z czerwonymi ciałkami krwi i pozbawiają je w ten sposób możliwości zaopatrywania się w tlen. Wówczas krew zamiast do komórek organizmu donosić tlen — przynosi truciznę. Z tego ich działania wynika najważniejsze wskazanie ratownicze — dostarczyć tlenu, a zatem stosować sztuczne oddychanie po wyniesieniu zatrutego z atmosfery zagalazowanej. Przy zatruciu kwasem pruskim zatruty w okresie początkowym wyczuwa ostry zapach gorzkich migdałów i równocześnie odczuwa pieczenie w gardle, ustach i oczach; następnie dostaje silnych bólów i zawrotów głowy, nudności lub wymiotów i wreszcie pada nieprzytomny z głośnym krzykiem na ziemię, występują drgawki i po pewnym czasie śmierć.	

Rodzaj przypadku	Co trzeba zrobić?	Czego nie wolno zrobić?
b) gazy duszące.	Tlenek węgla i gaz świetlny nie posiadają żadnych właściwości drażniących i dlatego niczym nie zdradzają swej obecności w powietrzu. Przy zatruciu tymi gazami od razu występuje silny ból głowy, szum w uszach, pulsowanie w skroniach oraz uczucie pieczenia na twarzy; następnie zatrutemu robi się ciemno przed oczami, opanowuje go senność i dołączają się nudności i wymioty; wreszcie występuje nagle obezwładnienie, utrata przytomności, drgawki i wkrótce śmierć. Przy stwierdzeniu objawów zatrucia tymi gazami należy: 1. <u>Wynieść chorego z atmosfery zagazowanej.</u> 2. Jeżeli oddech poszkodowanego słabnie, lub chory traci przytomność i nie oddycha, należy stosować sztuczne oddychanie. 3. Gdy chory odzyska przytomność, <u>podać mu czarnej kawy.</u> 4. Wezwać sekcję rat. san. i przy jej pomocy <u>odtransportować zagazowanego, ciepło okrytego, do punktu rat. san. w pierwszej kolejności.</u> Gazy duszące uszkadzają drogi oddechowe. Zatruty kaszle, z trudnością chwyta powietrze, sinieje, odpluwa czerwono lub różowo, ma pianę wokół ust lub nozdrzy, skarży się na ból głowy, zawroty, ogólne zmęczenie. 1. Sprawdzić, czy pierwsza pomoc była prawidłowo udzielona, a szczególnie czy <u>ubranie jest rozluźnione i czy chory jest ciepło okryty.</u>	Nie pozwolić choremu chodzić. Nie stosować sztucznego oddychania i nie podawać alkoholu.

Rodzaj przypadku	Co trzeba zrobić?	Czego nie wolno czynić?
c) gazy parzące.	2. Choremu, o ile jest on przytomny, podać do picia czarną kawę. 3. Wezwać sekcję rat. san. i przez nią odtransportować zagonianego w pozycji leżącej z głową nieco uniesioną do punktu rat. san. w pierwszej kolejności. Gazy parzące wywołują na zakażonej nimi skórze lub śluzówce najpierw zaczerwienienie silnie piekące i swędzące, na którym następnie pojawiają się drobne pęcherzyki, zlewające się po pewnym czasie w jeden duży pęcherz wypełniony żółtym, przezroczystym płynem; pęcherz ten wkrótce pęka i w miejscu oparzonego powstają płytsze lub głębsze ropiejące i silnie bolesne rany. Przy podejrzeniu na zakażenie skóry lub śluzówki gazem parzącym należy miejsce podejrzone opatrzyć przy pomocy indywidualnego pakietu przeciwporytowego i natychmiast skierować tego osobnika do najbliższego kąpieliska.	Nie stosować żadnych maści i tłuszczy.
d) gazy drażniące.	Cały szereg gazów ma przede wszystkim działanie drażniące oczy i nos. Chory łzawi, kaszle, kicha, skarży się na niezmiernie silny ból głowy, wymiotuje. 1. Usta i oczy przepłukać roztworem sody oczyszczonej. Do oczu wpuszczać ten roztwór kroplami przy pomocy zakraplacza. 2. Podać choremu do picia kilka łyżek roztworu sody oczyszczonej. 3. Obficie obmyć twarz i ręce wodą z mydłem i spłukiwać roztworem sody oczyszczonej względnie roztworem annogenu.	

Rodzaj przypadku	Co trzeba czynić?	Czego nie wolno czynić?
VII. Duszenie się na skutek zasypiania ziemią, powieszenia, zatonienia.	4. Podać 20 kropli walerianowych. Te same zabiegi należy również wykonać zatrutym innymi bojowymi środkami chemicznymi, jeżeli spowodowały one podrażnienie nosa i gardła. 1. Sprawdzić, czy udzielona pomoc była odpowiednia. 2. Przy duszeniu się na skutek zasypiania ziemią zwrócić specjalną uwagę przy układaniu poszkodowanego na nosze, gdyż może on mieć uszkodzone żebra, kręgosłup lub kończyny. 3. Jeśli duszący się odzyskał przytomność, podać 20 kropli walerianowych i następnie w dalszej kolejności odstawić go przy pomocy sekcji rat. san. do punktu rat. san. 4. Jeśli duszącego się nie można doprowadzić do przytomności, wezwać sekcję rat. san. celem odtransportowania go w pierwszej kolejności do punktu rat. san.	
VIII. Rażenie prądem elektrycznym.	1. Sprawdzić, czy udzielona pomoc była odpowiednia. 2. Jeżeli rażonego nie można doprowadzić do przytomności przez zastosowanie sztucznego oddychania, wezwać sekcję rat. san. i odtransportować go przez nią w pierwszej kolejności do punktu rat. san.	

II. Zakres pierwszej pomocy rat. san., której może udzielić domowy organ rat. san. w innych wypadkach.

Rodzaj przypadku	Co trzeba czynić?	Czego nie wolno czynić?
IX. Porażenie słoneczne, przegrzanie, odmrożenie, zmarznięcie i rażenie p.o-runem.	1. Sprawdzić, czy udzielona pomoc była odpowiednia. 2. Do osób, które uległy porażeniu słonecznemu lub przegrzaniu, do osób rażonych piorunem i do osób zmarzniętych, których nie można doprowadzić do przytomności przez zastosowanie sztucznego oddychania, oraz do osób z odmrożeniem III stopnia wezwać sekcję rat. san., celem odtransportowania ich do punktu rat. san. Zmarzniętych należy odesłać tam w pierwszej kolejności.	
X. Kurcze żołądka i jelit.	Przy silnych bólach brzucha można podać 20 kropli Inoziemcowa, po czym chorego należy skierować do lekarza.	

Załącznik Nr 4
do instrukcji M. O. S. o organizacji
ratownictwa sanitarnego w samo-
obronie przeciwlotniczej i przeciwga-
zowej Nr W. 1/5-9.

Z E S T A W

WYPOSAŻENIA DOMOWEGO ORGANU RAT. SAN.

w samoobronie przeciwlotniczej i przeciwgazowej.

1. Maski przeciwgazowe dla wszystkich członków domowego organu rat. san. tj. 1 — 2 szt.
2. Indywidualne pakiety przeciwiperytowe dla wszystkich członków domowego organu rat. san. tj. 1 — 2 „
3. Środki rat. san. 1 komplet
4. Nosze polowe (mogą być zaimprovizowane) 1 szt.

Ad 2.

Z a w a r t o ś ć

indywidualnego pakietu przeciwiperytowego.

1. Mydło annogenowe 15 g
2. 10% przysypka annogenowo-talkowa 10 g
3. Soda oczyszczona 5 g
4. Lignina 7½ g

Ad 3.

Zestaw środków rat. san.

1. Agrałki 12 szt.
2. Annogen leczniczy w proszku 40 g
3. Chustki trójkątne zwykłe 2 szt
4. Flaszka zapasowa z bakelitową zakrętką à 100 g 1 „
5. Kieliszek do leków 1 „
6. Krople Inoziemcowa we flaszce z bakelitową zakrętką 30 g

7. Krople walerianowe we flaszce z bakelitową zakrętką	30 g
8. Kropłomierze	2 szt.
9. Lignina prasowana à 25 g	2 paczki
10. Łubki drewniane 7 $\frac{1}{2}$ cm X 40 cm	4 szt.
11. Łyzeczka rogowa	1 "
12. Mydło annogenowe 50 g w pudełku	1 "
13. Opakowanie (skrzynka)	1 "
14. Opaska uciskowa	1 "
15. Opaski oczne miękkie	2 "
16. Opaski z gazy odtłuszczonej 6 cm X 5 m	6 "
17. Opaski z gazy odtłuszczonej 10 cm X 5 m	12 "
18. Opatrunki gazowe sterylizowane 1/16 m	10 "
19. Opatrunki gazowe sterylizowane 1/8 m	10 "
20. Pałeczki drewniane do wacików	12 "
21. Przylepiec 2 $\frac{1}{2}$ cm X 1 m	1 "
22. Przysypka przeciwoparzelinowa	100 g
23. Soda oczyszczona we flaszce z bakelitową zakrętką	100 "
24. Wata odtłuszczona prasowana à 25 g	6 paczek
25. Zakraplacz do oczu	1 szt.

Poza tym z użytku domowego:

26. Latarka elektryczna	1 szt.
27. Nożyczki stalowe dług. 7 $\frac{1}{2}$ cm	1 "

Załącznik Nr 5

do instrukcji M. O. S. o organizacji
ratownictwa sanitarnego w samo-
obronie przeciwlotniczej i przeciwga-
zowej Nr W. 1/5-9.

P R O G R A M

przysposobienia członków domowych organów rat. san.
(§ 12 instrukcji).

L p.	N a z w a p r e d m i o t u	Godzln
1	Zasadnicze wiadomości z anatomii i fizjologii człowieka. Istota zakażenia i jego zwalczanie	2
2	Wiadomości o uszkodzeniach urazowych, ciepłych i bojowymi środkami chemicznymi (gazami) oraz o objawach omdlenia, wstrząsu, porażenia słonecznego, prądem elektrycznym i duszenia się	5
3	Ćwiczenia w udzielaniu pierwszej pomocy: sztuczne oddychanie, tamowanie krwotoków, nakładanie opasek, opatrunków i używanie sprzętu domowego organu rat. san.	5
4	Ćwiczenia w transportowaniu chorych	2
R a z e m		14

WITOLD GUTKOWSKI

Witold Gutkowski
Paul Sz. St. Prokurator
Lwów 10.3.45 *od autora*

Tablice

logarytmów czterocyfrowych

NAKŁADEM AUTORA
ZAMOŚĆ 1945

PRZEDMOWA

Pięcioletnie zniszczenie naszego Kraju przez wojnę wywarło swoje fatalne skutki na szkole. Przystępując do pracy na terenach zwolnionych od wroga, natrafiamy na ogromne trudności z powodu braku podręczników i pomocy naukowych.

Z książek matematycznych najpotrzebniejsza chyba są »Tablice logarytmów«, którą to książkę powinien mieć każdy uczeń.

Chcąc temu brakowi jaknajszybciej zapobiec, opracowałem i oddałem do druku: »Tablice logarytmów czterocyfrowych«.

Ze względów technicznych (drukarnia, która podjęła się wydrukowania, nie posiada czcionek dla cech ujemnych) wszystkie cechy logarytmów funkcji trygonometrycznych są zwiększone o 10; np. zamiast cechy 0 — podano cechę 10, zamiast cechy — 1 podano cechę 9, zamiast cechy — 2 podano cechę 8 itd.

Przy obliczaniu zatem cech logarytmów funkcji trygonometrycznych należy cechy podane w tablicach zmniejszyć o 10.

W następnych wydaniach, o ile warunki pozwolą, zostaną wprowadzone faktyczne wartości cech.

Ze względu na oszczędność papieru i ceny kosztu druku nie podawałem różnic tablicowych, pozostawiając obliczenia poprawek uczniowi. Nie robi to krzywdy uczniom, bo nauczyciel się obliczać poprawki, tem łatwiej będą mogli korzystać z rozmaitych tablic.

Dając książkę niniejszą do druku, czuję się w obowiązku podziękować p. Zenonowi Michalskiemu, Kierownikowi Drukarni Rady Powiatowej w Zamościu, który się w tych trudnych warunkach podjął wydawnictwa, oraz wszystkim P. P. Pracownikom Drukarni, którzy swoją pracą przyczynili się do przyrządzenia z pomocą młodzieży.

Witold Gutkowski.

Zamość, styczeń 1945 r.

TABLICA I
CZTEROCYFROWE MANTYSSY LOGARYTMÓW ZWYCZAJNYCH

n	log n									
	0	1	2	3	4	5	6	7	8	9
10	0000	0043	0086	0128	0170	0212	0253	0294	0334	0374
1	414	453	492	531	569	607	645	682	719	755
2	792	828	864	899	934	969	1004	1038	1072	1106
3	1139	1174	1206	1239	1271	1303	1335	1367	1399	1430
4	461	492	523	553	584	614	644	673	703	732
5	761	790	818	847	875	903	931	959	987	2014
6	2041	2068	2095	2122	2148	2175	2201	2227	2253	2279
7	304	330	355	380	405	430	455	480	504	529
8	553	577	601	625	648	672	695	718	742	765
9	788	810	833	856	878	900	923	945	967	989
20	3010	3032	3054	3075	3096	3118	3139	3160	3181	3201
1	222	244	263	284	304	324	345	365	385	404
2	424	444	464	483	502	522	541	560	579	598
3	617	636	655	674	692	711	729	747	766	784
4	802	820	838	856	874	892	909	927	945	962
5	979	997	4014	4031	4048	4065	4082	4099	4116	4133
6	4150	4166	183	200	216	232	249	265	281	298
7	314	330	346	362	378	393	409	425	440	456
8	472	487	502	518	533	548	564	579	594	609
9	624	639	654	669	683	698	713	728	742	757
30	4771	4786	4800	4814	4829	4843	4857	4871	4886	4900
1	914	928	942	955	969	983	997	5011	5024	5038
2	5051	5065	5079	5092	5105	5119	5132	145	159	172
3	185	198	211	224	237	250	263	276	290	302
4	315	328	340	353	366	378	391	403	416	428
5	441	453	465	478	490	502	514	527	539	551
6	563	575	587	599	611	623	635	647	658	670
7	682	694	705	717	729	740	752	763	775	786
8	798	809	821	832	843	855	866	877	888	899
9	911	922	933	944	955	966	977	988	999	0 0
40	6021	6031	6042	6053	6064	6075	6085	6096	6107	6117
1	128	138	149	160	170	180	191	201	212	222
2	232	243	253	263	274	284	294	304	314	325
3	335	345	355	365	375	385	395	405	415	425
4	435	444	454	464	474	484	493	503	513	522
5	532	542	551	561	571	580	590	599	609	618
6	628	637	646	656	665	675	684	693	702	712
7	721	730	739	749	758	767	776	785	794	803
8	812	821	830	839	848	857	866	875	884	893
9	902	911	920	928	937	946	955	964	972	981
50	6490	6998	7007	7016	7024	7033	7042	7050	7059	7067
1	7076	7084	093	101	110	118	126	135	143	152
2	160	168	177	185	193	202	210	218	226	235
3	243	251	259	267	275	284	292	300	308	316
4	324	332	340	348	356	364	372	380	388	396
5	404	412	419	427	435	443	451	459	466	474
6	482	490	497	505	513	520	528	536	543	551
7	559	566	574	582	589	597	604	612	6 9	627
8	634	642	649	657	664	672	679	686	694	701
9	709	716	723	731	738	745	752	760	767	774
60	7782	7789	7796	7803	7810	7818	7825	7832	7839	7846

n	log n									
	0	1	2	3	4	5	6	7	8	9
61	7853	7860	7868	7875	7882	7889	7896	7903	7910	7917
2	924	931	938	945	952	959	966	973	980	987
3	993	8000	8007	8014	8021	8028	8035	8041	8048	8055
4	8063	069	075	082	089	096	102	109	116	122
5	129	136	142	149	156	162	169	176	182	189
6	195	202	209	215	222	228	235	241	248	254
7	261	267	274	280	287	293	299	306	312	319
8	325	331	338	344	351	357	363	370	376	382
9	388	395	401	407	414	420	426	432	439	445
70	8451	8457	8463	8470	8476	8482	8488	8494	8500	8506
1	513	519	525	531	537	543	549	555	561	567
2	573	579	585	591	597	603	609	615	621	627
3	633	639	645	651	657	663	669	675	681	686
4	692	698	704	710	716	722	727	733	739	745
5	751	756	762	768	774	779	785	791	797	802
6	808	814	820	825	831	837	842	848	854	859
7	865	871	876	882	887	893	899	904	910	915
8	921	927	932	938	943	949	954	960	965	971
9	976	982	987	993	998	9004	9009	9015	9020	9025
80	9031	9036	9042	9047	9053	9058	9063	9069	9074	9079
1	085	090	096	101	106	112	117	122	128	133
2	138	143	149	154	159	165	170	175	180	186
3	191	196	201	206	212	217	222	227	232	238
4	243	248	253	258	263	269	274	279	284	289
5	294	299	304	309	315	320	325	330	335	340
6	345	350	355	360	365	370	375	380	385	390
7	395	400	405	410	415	420	425	430	435	440
8	445	450	455	460	465	469	474	479	484	489
9	494	499	504	509	513	518	523	528	533	538
90	9542	9547	9552	9557	9562	9566	9571	9576	9581	9586
1	590	595	600	605	609	614	619	624	628	633
2	638	643	647	652	657	661	666	671	675	680
3	685	689	694	699	703	708	713	717	722	727
4	731	736	741	745	750	754	759	763	768	773
5	777	782	786	791	795	800	804	809	814	818
6	823	827	832	836	841	845	850	854	859	863
7	868	872	877	881	886	890	894	899	903	908
8	912	917	921	926	930	934	939	943	948	952
9	956	961	965	969	974	978	983	987	991	996

$$\lg 3,14159... = 0,4971$$

T A B L I C A I I

WARTOŚCI FUNKCYJ TRYGONOMETRYCZNYCH

Sin a

Stopnie	m i n u t y							
	0	10	20	30	40	50	60	
0	0.0000	0.0029	0.0058	0.0087	0.0116	0.0145	0.0175	90
1	0175	0204	0233	0262	0291	0320	0349	8
2	0349	0378	0407	0436	0465	0494	0523	7
3	0523	0552	0581	0610	0640	0669	0698	6
4	0698	0727	0756	0785	0814	0843	0872	5
5	0872	0901	0929	0958	0987	1016	1045	4
6	1045	1074	1103	1132	1161	1190	1219	3
7	1219	1248	1276	1305	1334	1363	1392	2
8	1392	1421	1449	1478	1507	1536	1564	1
9	1564	1593	1622	1650	1679	1708	1736	80
10	0.1736	0.1765	0.1794	0.1822	0.1851	0.1880	0.1908	9
1	1908	1937	1965	1994	2022	2051	2079	8
2	2079	2108	2136	2164	2193	2221	2250	7
3	2250	2278	2306	2334	2363	2391	2419	6
4	2419	2447	2476	2504	2532	2560	2588	5
5	2588	2616	2644	2672	2700	2728	2756	4
6	2756	2784	2812	2840	2868	2896	2924	3
7	2924	2952	2979	3007	3035	3062	3090	2
8	3090	3118	3145	3173	3201	3228	3256	1
9	3256	3283	3311	3338	3365	3393	3420	70
20	0.3420	0.3448	0.3475	0.3502	0.3529	0.3557	0.3584	9
1	3584	3611	3638	3665	3692	3719	3746	8
2	3746	3773	3800	3827	3854	3881	3907	7
3	3907	3934	3961	3987	4014	4041	4067	6
4	4067	4094	4120	4147	4173	4200	4226	5
5	4226	4253	4279	4305	4331	4358	4384	4
6	4384	4410	4436	4462	4488	4514	4540	3
7	4540	4566	4592	4617	4643	4669	4695	2
8	4695	4720	4746	4772	4797	4823	4848	1
9	4848	4874	4899	4924	4950	4975	5000	60
30	0.5000	0.5025	0.5050	0.5075	0.5100	0.5125	0.5150	9
1	5150	5175	5200	5225	5250	5275	5299	8
2	5299	5324	5348	5373	5398	5422	5446	7
3	5446	5471	5495	5519	5544	5568	5592	6
4	5592	5616	5640	5664	5688	5712	5736	5
5	5736	5760	5783	5807	5831	5854	5878	4
6	5878	5901	5925	5948	5972	5995	6018	3
7	6018	6041	6065	6088	6111	6134	6157	2
8	6157	6180	6202	6225	6248	6271	6293	1
9	6293	6316	6338	6361	6383	6406	6428	50
40	0.6428	0.6450	0.6472	0.6494	0.6517	0.6539	0.6561	9
1	6561	6583	6604	6626	6648	6670	6691	8
2	6691	6713	6734	6756	6777	6799	6820	7
3	6820	6841	6862	6884	6905	6926	6947	6
4	6947	6967	6988	7009	7030	7050	7071	5
	60	50	40	30	20	10	0	Stopnie
	m i n u t y							

Cos a



Sin a

Stopnie	m i n u t y							
	0	10	20	30	40	50	60	
45	0.7071	0.7092	0.7112	0.7133	0.7153	0.7173	0.7193	44
6	7193	7214	7234	7254	7274	7294	7314	3
7	7314	7333	7353	7373	7392	7412	7431	2
8	7431	7451	7470	7490	7509	7528	7547	1
9	7547	7566	7585	7604	7623	7642	7660	40
50	0.7660	0.7679	0.7698	0.7716	0.7735	0.7753	0.7771	9
1	7771	7790	7808	7826	7844	7862	7880	8
2	7880	7893	7916	7934	7951	7969	7986	7
3	7986	8004	8021	8039	8056	8073	8090	6
4	8090	8107	8124	8141	8158	8175	8192	5
5	8192	8208	8225	8241	8258	8274	8290	4
6	8290	8307	8323	8339	8355	8371	8387	3
7	8387	8403	8418	8434	8450	8465	8480	2
8	8480	8496	8511	8526	8542	8557	8572	1
9	8572	8587	8601	8616	8631	8646	8660	30
60	0.8660	0.8675	0.8689	0.8704	0.8718	0.8732	0.8746	9
1	8746	8760	8774	8788	8802	8816	8829	8
2	8829	8844	8857	8870	8884	8897	8910	7
3	8910	8923	8936	8949	8962	8975	8988	6
4	8988	9001	9013	9026	9038	9051	9063	5
5	9063	9075	9088	9100	9112	9124	9135	4
6	9135	9147	9159	9171	9182	9194	9205	3
7	9205	9216	9228	9239	9250	9261	9272	2
8	9272	9283	9293	9304	9315	9325	9336	1
9	9336	9346	9356	9367	9377	9387	9397	20
70	0.9397	0.9407	0.9417	0.9426	0.9436	0.9446	0.9455	9
1	9455	9465	9474	9483	9492	9502	9511	8
2	9511	9520	9528	9537	9546	9555	9563	7
3	9563	9572	9580	9588	9596	9605	9613	6
4	9613	9621	9628	9636	9644	9652	9659	5
5	9659	9667	9674	9681	9689	9696	9703	4
6	9703	9710	9717	9724	9730	9737	9744	3
7	9744	9750	9757	9763	9769	9775	9781	2
8	9781	9787	9793	9799	9805	9811	9816	1
9	9816	9822	9827	9833	9838	9843	9848	10
80	0.9848	0.9853	0.9858	0.9863	0.9868	0.9872	0.9877	9
1	9877	9881	9886	9890	9894	9899	9903	8
2	9903	9907	9911	9914	9918	9922	9925	7
3	9925	9929	9932	9936	9939	9942	9945	6
4	9945	9948	9951	9954	9957	9959	9962	5
5	9962	9964	9967	9969	9971	9974	9976	4
6	9976	9978	9980	9981	9983	9985	9986	3
7	9986	9988	9989	9990	9992	9993	9994	2
8	9994	9994	9995	9994	9997	9997	9998	1
9	9998	9998	9999	9999	9999	9990	1.0000	0
90	1.0000							
	60	50	40	30	20	10	0	Stopnie
	m i n u t y							

Cos a



Tg a

Stopnie	m i n u t y							
	0	10	20	30	40	50	60	
0	0.0000	0.0029	0.0058	0.0087	0.0116	0.0145	0.0175	90
1	0.0175	0.0204	0.0233	0.0262	0.0291	0.0320	0.0349	9
2	0.0349	0.0378	0.0407	0.0437	0.0466	0.0495	0.0524	8
3	0.0524	0.0553	0.0582	0.0612	0.0641	0.0670	0.0699	7
4	0.0699	0.0729	0.0758	0.0787	0.0816	0.0846	0.0875	6
5	0.0875	0.0904	0.0934	0.0963	0.0992	0.1022	0.1051	5
6	0.1051	0.1080	0.1110	0.1139	0.1169	0.1198	0.1228	4
7	0.1228	0.1257	0.1287	0.1317	0.1346	0.1376	0.1405	3
8	0.1405	0.1435	0.1465	0.1495	0.1524	0.1554	0.1584	2
9	0.1584	0.1614	0.1644	0.1673	0.1703	0.1733	0.1763	1
10	0.1763	0.1793	0.1823	0.1853	0.1883	0.1914	0.1944	80
1	0.1944	0.1974	0.2004	0.2035	0.2065	0.2095	0.2126	9
2	0.2126	0.2156	0.2186	0.2217	0.2247	0.2278	0.2309	8
3	0.2309	0.2339	0.2370	0.2401	0.2432	0.2462	0.2493	7
4	0.2493	0.2524	0.2555	0.2585	0.2617	0.2648	0.2679	6
5	0.2679	0.2711	0.2742	0.2773	0.2805	0.2836	0.2867	5
6	0.2867	0.2899	0.2931	0.2962	0.2994	0.3026	0.3057	4
7	0.3057	0.3089	0.3121	0.3153	0.3185	0.3217	0.3249	3
8	0.3249	0.3281	0.3314	0.3346	0.3378	0.3411	0.3443	2
9	0.3443	0.3476	0.3508	0.3541	0.3574	0.3607	0.3640	1
20	0.3640	0.3673	0.3706	0.3739	0.3772	0.3805	0.3839	70
1	0.3839	0.3872	0.3906	0.3939	0.3973	0.4006	0.4040	9
2	0.4040	0.4074	0.4108	0.4142	0.4176	0.4210	0.4245	8
3	0.4245	0.4279	0.4314	0.4348	0.4383	0.4417	0.4452	7
4	0.4452	0.4487	0.4522	0.4557	0.4592	0.4628	0.4663	6
5	0.4663	0.4699	0.4734	0.4770	0.4806	0.4841	0.4877	5
6	0.4877	0.4913	0.4950	0.4986	0.5022	0.5059	0.5095	4
7	0.5095	0.5132	0.5169	0.5206	0.5243	0.5280	0.5317	3
8	0.5317	0.5354	0.5392	0.5430	0.5467	0.5505	0.5543	2
9	0.5543	0.5581	0.5619	0.5653	0.5696	0.5735	0.5774	1
30	0.5774	0.5812	0.5851	0.5890	0.5930	0.5969	0.6009	60
1	0.6009	0.6048	0.6088	0.6128	0.6168	0.6208	0.6249	9
2	0.6249	0.6289	0.6330	0.6371	0.6412	0.6453	0.6494	8
3	0.6494	0.6536	0.6577	0.6619	0.6661	0.6703	0.6745	7
4	0.6745	0.6787	0.6830	0.6873	0.6916	0.6959	0.7002	6
5	0.7002	0.7046	0.7089	0.7133	0.7177	0.7221	0.7265	5
6	0.7265	0.7310	0.7355	0.7400	0.7445	0.7490	0.7536	4
7	0.7536	0.7581	0.7627	0.7673	0.7720	0.7766	0.7813	3
8	0.7813	0.7860	0.7907	0.7954	0.8002	0.8050	0.8098	2
9	0.8098	0.8146	0.8195	0.8243	0.8292	0.8342	0.8391	1
40	0.8391	0.8441	0.8491	0.8541	0.8591	0.8642	0.8693	50
1	0.8693	0.8744	0.8796	0.8847	0.8899	0.8952	0.9004	9
2	0.9004	0.9057	0.9110	0.9163	0.9217	0.9271	0.9325	8
3	0.9325	0.9380	0.9435	0.9490	0.9545	0.9601	0.9657	7
4	0.9657	0.9713	0.9770	0.9827	0.9884	0.9942	1.0000	6
	60	50	40	30	20	10	0	
	m i n u t y							Stopnie

Ctg a

Stopnie	m i n u t y							
	0	10	20	30	40	50	60	
45	1.0000	1.0058	1.0117	1.0176	1.0235	1.0295	1.0355	44
6	0355	0416	0477	0538	0599	0661	0724	3
7	0724	0786	0850	0913	0977	1041	1106	2
8	1106	1171	1237	1303	1369	1436	1504	1
9	1504	1571	1640	1708	1778	1847	1918	40
50	1.1918	1.1998	1.2059	1.2131	1.2203	1.2276	1.2349	9
1	2349	2423	2497	2572	2647	2723	2799	8
2	2799	2876	2954	3032	3111	3190	3270	7
3	3270	3351	3432	3514	3597	3680	3764	6
4	3764	3848	3934	4019	4106	4193	4281	5
5	4281	4370	4460	4550	4641	4733	4826	4
6	4826	4919	5013	5108	5204	5301	5399	3
7	5399	5497	5597	5697	5798	5900	6003	2
8	6003	6107	6212	6319	6426	6534	6643	1
9	6643	6753	6864	6977	7090	7205	7321	30
60	1.7321	1.7437	1.7556	1.7675	1.7796	1.7917	1.8040	9
1	8040	8165	8291	8418	8546	8676	8807	8
2	8807	8940	9074	9210	9347	9486	9626	7
3	9626	9768	9912	2.0057	2.0204	2.0353	2.0503	6
4	2.0503	2.0655	2.0809	0965	1123	1283	1445	5
5	1445	1609	1775	1943	2113	2286	2460	4
6	2460	2637	2817	2998	3183	3369	3559	3
7	3559	3750	3945	4142	4342	4545	4751	2
8	4751	4960	5172	5386	5605	5826	6051	1
9	6051	6279	6511	6746	6985	7228	7475	20
70	2.7475	2.7725	2.7980	2.8239	2.8502	2.8770	2.9042	9
1	9042	9319	9600	9887	3.0178	3.0475	3.0777	8
2	3.0777	3.1084	3.1397	3.1716	2041	2371	2709	7
3	2709	3052	3402	3759	4124	4495	4874	6
4	4874	5261	5656	6059	6470	6891	7321	5
5	7321	7760	8208	8667	9136	9617	4.0108	4
6	4.0108	4.0611	4.1126	4.1653	4.2193	4.2747	3315	3
7	3315	3897	4494	5107	5736	6382	7046	2
8	7046	7729	8430	9152	9894	5.0658	5.1446	1
9	5.1446	5.2257	5.3093	5.3955	5.4845	5.5764	5.6715	10
80	5.6713	5.7694	5.8708	5.9758	6.0844	6.1970	6.3138	9
1	6.3138	6.4348	6.5606	6.6912	6.8269	6.9682	7.1154	8
2	7.1154	7.2687	7.4287	7.5958	7.7704	7.9530	8.1443	7
3	8.1443	8.3450	8.5555	8.7769	9.0093	9.2553	9.5144	6
4	9.5144	9.7882	10.0780	10.3854	10.7119	11.0594	11.4301	5
5	11.4301	11.8262	12.2505	12.7062	13.1969	13.7267	14.3007	4
6	14.3007	14.9244	15.6048	16.3499	17.1693	18.0750	19.0811	3
7	19.0811	20.2056	21.4704	22.9038	24.5418	26.4316	28.6363	2
8	28.6363	31.2416	34.3676	38.1885	42.9641	49.1035	57.2900	1
9	57.2900	68.7501	85.9398	114.5888	171.8854	342.7737	∞	0
90	∞							
	60	50	40	30	20	10	0	Stopnie
	m i n u t y							



T A B L I C A III

LOGARYTMY FUNKCJI TRYGONOMETRYCZNYCH

UWAGA: Z braku czcionek dla ujemnych cech wszystkie cechy są powiększone o 10. Zatem przy obliczaniu logarytmów należy cechy zmniejszyć o 10. Np. zamiast cechy 10 należy wziąć cechę 0, zamiast cechy 9 należy wziąć cechę minus 1, zamiast cechy 8 należy wziąć cechę minus 2 itd.

Log Sin a

Stopnie	m i n u t y							
	0	10	20	30	40	50	60	
	— ∞						— ∞	90
0	— ∞	7.4637	7.7648	7.9408	8.0658	8.1627	8.2419	9
1	8.2419	8.3088	8.3668	8.4179	8.4637	8.5050	8.5428	8
2	5428	5776	6097	6397	6677	6940	7188	7
3	7188	7423	7645	7857	8059	8251	8436	6
4	8436	8613	8783	8946	9104	9256	9403	5
5	9403	9545	9682	9816	9945	9.0070	9.0192	4
6	9.0192	9.0311	9.0426	9.0539	9.0648	9.0755	9.0859	3
7	0859	0961	1060	1157	1252	1345	1436	2
8	1436	1525	1612	1697	1781	1863	1943	1
9	1943	2022	2100	2176	2251	2324	2397	80
10	9.2397	9.2468	9.2538	9.2606	9.2674	9.2740	9.2806	9
1	2806	2870	2934	2997	3058	3119	3179	8
2	3179	3238	3296	3353	3410	3466	3521	7
3	3521	3575	3629	3682	3734	3786	3837	6
4	3837	3887	3937	3986	4035	4083	4130	5
5	4130	4177	4223	4269	4314	4359	4403	4
6	4403	4447	4491	4533	4576	4618	4659	3
7	4659	4700	4741	4781	4821	4861	4900	2
8	4900	4939	4977	5015	5052	5090	5126	1
9	5126	5163	5199	5235	5270	5306	5341	70
20	9.5341	9.5375	9.5409	9.5443	9.5477	9.5510	9.5543	9
1	5543	5576	5609	5641	5673	5704	5736	8
2	5736	5767	5798	5828	5859	5889	5919	7
3	5919	5948	5978	6007	6036	6065	6093	6
4	6093	6121	6149	6177	6205	6232	6259	5
5	6259	6286	6313	6340	6366	6392	6418	4
6	6418	6444	6470	6495	6521	6546	6570	3
7	6570	6595	6620	6644	6668	6692	6716	2
8	6716	6740	6763	6787	6810	6833	6856	1
9	6856	6878	6901	6923	6946	6968	6990	60
30	9.6990	9.7012	9.7033	9.7055	9.7076	9.7097	9.7118	9
1	7118	7139	7160	7181	7201	7222	7242	8
2	7242	7262	7282	7302	7322	7342	7361	7
3	7361	7380	7400	7419	7438	7457	7476	6
4	7476	7494	7513	7531	7550	7568	7586	5
5	7586	7604	7622	7640	7657	7675	7692	4
6	7692	7710	7727	7744	7761	7778	7795	3
7	7795	7811	7828	7844	7861	7877	7893	2
8	7893	7910	7926	7941	7957	7973	7989	1
9	7989	8004	8020	8035	8050	8066	8081	50
	60	50	40	30	20	10	0	Stopnie
m i n u t y								

Log Cos a

Stopnie	m i n u t y							
	0	10	20	30	40	50	60	
40	9.8081	9.8096	9.8111	9.8125	9.8140	9.8155	9.8169	49
1	8169	8184	8198	8213	8227	8241	8255	8
2	8255	8269	8283	8297	8311	8324	8338	7
3	8338	8351	8365	8378	8391	8405	8418	6
4	8418	8431	8444	8457	8469	8482	8495	5
5	8495	8507	8520	8532	8545	8557	8569	4
6	8569	8582	8594	8606	8618	8629	8641	3
7	8641	8653	8665	8676	8688	8699	8711	2
8	8711	8722	8733	8745	8756	8767	8778	1
9	8778	8789	8800	8810	8821	8832	8843	40
50	9.8843	9.8853	9.8864	9.8874	9.8884	9.8895	9.8905	9
1	8905	8915	8925	8935	8945	8955	8965	8
2	8965	8975	8985	8995	9004	9014	9023	7
3	9023	9033	9042	9052	9061	9070	9080	6
4	9080	9089	9098	9107	9116	9125	9134	5
5	9134	9142	9151	9160	9169	9177	9186	4
6	9186	9194	9203	9211	9219	9228	9236	3
7	9236	9244	9252	9260	9268	9276	9284	2
8	9284	9292	9300	9308	9315	9323	9331	1
9	9331	9338	9346	9353	9361	9368	9375	30
60	9.9375	9.9383	9.9390	9.9397	9.9404	9.9411	9.9418	9
1	9418	9425	9432	9439	9446	9453	9459	8
2	9459	9466	9473	9479	9486	9492	9499	7
3	9499	9505	9512	9518	9524	9530	9537	6
4	9537	9543	9549	9555	9561	9567	9573	5
5	9573	9579	9584	9590	9596	9602	9607	4
6	9607	9613	9618	9624	9629	9635	9640	3
7	9640	9646	9651	9656	9661	9667	9672	2
8	9672	9677	9682	9687	9692	9697	9702	1
9	9702	9706	9711	9716	9721	9725	9730	20
70	9.9730	9.9734	9.9739	9.9743	9.9748	9.9752	9.9757	9
1	9757	9761	9765	9770	9774	9778	9782	8
2	9782	9786	9790	9794	9798	9802	9806	7
3	9806	9810	9814	9817	9821	9825	9828	6
4	9828	9832	9836	9839	9843	9846	9849	5
5	9849	9853	9856	9859	9863	9866	9869	4
6	9869	9872	9875	9878	9881	9884	9887	3
7	9887	9890	9893	9896	9899	9901	9904	2
8	9904	9907	9909	9912	9914	9917	9919	1
9	9919	9922	9924	9927	9929	9931	9934	10
80	9.9934	9.9936	9.9938	9.9940	9.9942	9.9944	9.9946	9
1	9946	9948	9950	9952	9954	9956	9958	8
2	9958	9959	9961	9963	9964	9966	9968	7
3	9968	9969	9971	9972	9973	9975	9976	6
4	9976	9977	9979	9980	9981	9982	9983	5
5	9983	9984	9985	9986	9987	9988	9989	4
6	9989	9990	9991	9991	9992	9993	9994	3
7	9994	9994	9995	9995	9996	9996	9997	2
8	9997	9997	9998	9998	9998	9999	9999	1
9	9999	9999	9999	9999	9999	9999	10.0000	0
90	10.0000							
	60	50	40	30	20	10	0	Stopnie
	m i n u t y							

Stopnie	m i n u t y							
	0	10	20	30	40	50	60	
0	— ∞	7.4637	7.7648	7.9409	8.0658	8.1627	— ∞	90
1	8.2419	8.3089	8.3669	8.4181	8.4638	8.5053	8.5431	9
2	5431	5779	6101	6401	6682	6945	7194	8
3	7194	7429	7652	7865	8067	8261	8446	7
4	8466	8624	8795	8960	9118	9272	9420	6
5	9420	9563	9701	9836	9966	9.0093	9.0216	5
6	9.0216	9.0336	9.0453	9.0567	9.0678	9.0786	9.0891	4
7	0891	0995	1096	1194	1291	1385	1478	3
8	1478	1569	1658	1745	1831	1915	1997	2
9	1997	2078	2158	2236	2313	2389	2463	1
10	9.2463	9.2536	9.2609	9.2680	9.2750	9.2819	9.2887	80
1	2887	2953	3020	3085	3149	3212	3275	9
2	3275	3336	3397	3458	3517	3576	3634	8
3	3634	3691	3748	3804	3859	3914	3968	7
4	3968	4021	4074	4127	4178	4230	4281	6
5	4281	4331	4381	4430	4479	4527	4575	5
6	4575	4622	4669	4716	4762	4808	4853	4
7	4853	4898	4943	4987	5031	5075	5118	3
8	5118	5161	5203	5245	5287	5329	5370	2
9	5370	5411	5451	5491	5531	5571	5611	1
20	9.5611	9.5650	9.5689	9.5727	9.5766	9.5804	9.5842	70
1	5842	5879	5917	5954	5991	6028	6064	9
2	6064	6100	6136	6172	6208	6243	6279	8
3	6279	6314	6348	6383	6417	6452	6486	7
4	6486	6520	6553	6587	6620	6654	6687	6
5	6687	6720	6752	6785	6817	6850	6882	5
6	6882	6914	6946	6977	7009	7040	7072	4
7	7072	7103	7134	7165	7196	7226	7257	3
8	7257	7287	7317	7348	7378	7408	7438	2
9	7438	7467	7497	7526	7556	7585	7614	1
30	9.7614	9.7644	9.7673	9.7701	9.7730	9.7759	9.7788	60
1	7788	7816	7845	7873	7902	7930	7958	9
2	7958	7986	8014	8042	8070	8097	8125	8
3	8125	8153	8180	8208	8235	8263	8290	7
4	8290	8317	8344	8371	8398	8425	8452	6
5	8452	8479	8506	8533	8559	8586	8613	5
6	8613	8639	8666	8692	8718	8745	8771	4
7	8771	8797	8824	8850	8876	8902	8928	3
8	8928	8954	8980	9006	9032	9058	9084	2
9	9084	9110	9135	9161	9187	9212	9238	1
40	9.9238	9.9264	9.9289	9.9315	9.9341	9.9366	9.9392	50
1	9392	9417	9443	9468	9494	9519	9544	9
2	9544	9570	9595	9621	9646	9671	9697	8
3	9697	9722	9747	9772	9798	9823	9848	7
4	9848	9874	9899	9924	9949	9975	10.0000	6
	60	50	40	30	20	10	0	Stopnie
m i n u t y								

Log Ctg a

Log Tg a

Stopnie	m i n u t y							
	0	10	20	30	40	50	60	
45	10.0000	10.0025	10.0051	10.0076	10.0101	10.0126	10.0152	44
6	0152	0177	0202	0228	0253	0278	0303	3
7	0303	0329	0354	0379	0405	0430	0456	2
8	0456	0481	0506	0532	0557	0583	0608	1
9	0608	0634	0659	0685	0711	0736	0762	40
50	10.0762	10.0788	10.0813	10.0839	10.0865	10.0890	10.0916	9
1	0916	0942	0968	0994	1020	1046	1072	8
2	1072	1098	1124	1150	1176	1203	1229	7
3	1229	1255	1282	1308	1334	1361	1387	6
4	1387	1414	1441	1467	1494	1521	1548	5
5	1548	1575	1602	1629	1656	1683	1710	4
6	1710	1737	1765	1792	1820	1847	1875	3
7	1875	1903	1930	1958	1986	2014	2042	2
8	2042	2070	2098	2127	2155	2184	2212	1
9	2212	2241	2270	2299	2327	2356	2386	30
60	10.2386	10.2415	10.2444	10.2474	10.2503	10.2533	10.2562	9
1	2562	2592	2622	2652	2683	2713	2743	8
2	2743	2774	2804	2835	2866	2897	2928	7
3	2928	2960	2991	3023	3054	3086	3118	6
4	3118	3150	3183	3215	3248	3280	3313	5
5	3313	3346	3380	3413	3447	3480	3514	4
6	3514	3548	3583	3617	3652	3686	3721	3
7	3721	3757	3792	3828	3864	3900	3936	2
8	3936	3972	4009	4046	4083	4121	4158	1
9	4158	4196	4234	4273	4311	4350	4389	20
70	10.4389	10.4429	10.4469	10.4509	10.4549	10.4589	10.4630	9
1	4630	4671	4713	4755	4797	4839	4882	8
2	4882	4925	4969	5013	5057	5102	5147	7
3	5147	5192	5238	5284	5331	5378	5425	6
4	5425	5473	5521	5570	5619	5669	5719	5
5	5719	5770	5822	5873	5926	5979	6032	4
6	6032	6086	6141	6196	6252	6309	6366	3
7	6366	6424	6483	6542	6603	6664	6725	2
8	6725	6788	6851	6915	6980	7047	7113	1
9	7113	7181	7250	7320	7391	7464	7537	10
80	10.7537	10.7611	10.7687	10.7764	10.7842	10.7922	10.8003	9
1	8003	8085	8169	8255	8342	8431	8522	8
2	8522	8615	8709	8806	8904	9005	9109	7
3	9109	9214	9322	9433	9547	9664	9784	6
4	9784	9907	11.0034	11.0164	11.0299	11.0437	11.0580	5
5	11.0580	11.0728	11.0882	11.1040	11.1205	11.1376	11.1554	4
6	1554	1739	1933	2135	2348	2571	2806	3
7	2806	3055	3318	3599	3899	4221	4569	2
8	4569	4947	5362	5819	6331	6911	7581	1
9	7581	8373	9342	12.0591	12.2352	12.5363	+∞	0
90	+∞							
Stopnie	m i n u t y							
	60	50	40	30	20	10	0	

Log Ctg a

F. ENGELS

ROZWÓJ SOCJALIZMU OD UTOPII DO NAUKI



1 9 4 5

Nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Książka”

Warszawa — Łódź — Lublin

ROYAL SOCIETY
OF TROPICAL AGRICULTURE

PRZEDMOWA DO PIERWSZEGO WYDANIA NIEMIECKIEGO

Poniższa publikacja powstała z trzech rozdziałów mojej pracy pt. «Przewrót w nauce dokonany przez p. E. Dühringa», Lipsk, r. 1878. Zestawiłem je dla mego przyjaciela Paula Lafargue'a w celu przetłumaczenia na francuski i uzupełnienia kilkoma dalszymi wywodami. Przekład francuski, przejrany przeze mnie, ukazał się najpierw w «Revue Socialiste», następnie zaś w osobnym wydaniu pod tytułem: «Socialisme utopique et socialisme scientifique», Paryż, 1880. Przekład polski mojej broszury, dokonany według tłumaczenia francuskiego, wyszedł niedawno z druku w Genewie pod tytułem «Socjalizm utopijny a naukowy», drukarnia Przedświt, Genewa, 1882.

Nadspodziewane powodzenie lafargowskiego przekładu w krajach, gdzie mówią po francusku, a zwłaszcza w samej Francji, narzuciło mi pytanie, czy nie byłoby również pożyteczne osobne wydanie tych trzech rozdziałów po niemiecku. W tym samym czasie zakomunikowano mi z redakcji zuryskiego «Sozialdemokraten»¹, że w niemieckiej partii socjaldemokratycznej wysuwa się powszechne żądanie wydawania nowych broszur propagandowych i zapytano, czy nie zechciałbym przeznaczyć na ten cel owych trzech rozdziałów. Rozumie się, że zgodziłem się na to i oddałem moją pracę do dyspozycji wydawnictwa.

Nie była ona jednak bynajmniej początkowo napisana dla bezpośredniej propagandy masowej. Jakże mogła nadać się do tego praca, posiadająca przede wszystkim charakter czysto naukowy? Jakże zmiany w formie i treści były potrzebne?

Jeśli chodzi o formę, to wątpliwości budzić mogły tylko liczne wyrazy obce. Ale już Lassalle nie skąpił zgoda słów obcych

¹ «Sozialdemokrat» — centralny organ socjaldemokracji niemieckiej, wydawany od r. 1879 do 1888 w Szwajcarii, w Zurychu, ostatnie zaś dwa lata (1889—1890) w Londynie. W okresie działania prawa wyjątkowego przeciw socjalistom w Niemczech (1878—1890) wydawnictwa socjaldemokratyczne były zakazane. Red.

w swych mowach i pismach propagandowych, a nie uskarżano się na to, o ile mi wiadomo. Od tamtego czasu nasi robotnicy czytają znacznie regularniej, znacznie więcej gazet i oswoiли się dzięki temu w większym stopniu z wyrazami obcymi. Ograni-
czyłem się więc do usunięcia wszystkich zbytecznych wyrazów obcych. Przy niezbędnych wyrazach obcych zrezygnowałem z załączenia tzw. tłumaczeń wyjaśniających. Niezbędne wyrazy obce są to przeważnie ogólnie przyjęte terminy naukowo-tech-
niczne; można byłoby się bez nich obejść, gdyby dały się przetłu-
maczyć. Tłumaczenie podobnych wyrazów wypacza zatem ich
sens i, zamiast wyjaśnić, mąci. Daleko lepiej pomaga tu ustne
wyjaśnienie.

Natomiast treść, śmiem twierdzić, sprawi robotnikom niemiec-
kim mało trudności. Trudny jest w ogóle tylko rozdział trzeci,
a i to w znacznie mniejszym stopniu dla robotników, jako ujęcie
w całości ich ogólnych warunków życiowych, niż dla «wykształ-
conych» burżua. Jakoż w licznych wyjaśniających dopiskach,
które tu załączyłem, miałem na względzie nie tyle robotników,
ile raczej czytelników «wykształconych», takich np., jak pana
posła von Eynera¹, pana tajnego radcę Henryka von Sybel i in-
nych Treitschków opanowanych nieposkromioną żądzą popisy-
wania się raz po raz w druku swą przeraźliwą ignorancją i kapi-
talnym niezrozumieniem socjalizmu, jako jej wynikiem. Jeśli Don
Kichot kruszy swą kopię w walce z wiatrakami, to odpowiada to
jego powołaniu i roli; ale Sancho Pansy nie możemy na to po-
zwolić żadną miarą.

Tacy czytelnicy zdziwią się zapewne, gdy natkną się w szkicu
historii rozwoju socjalizmu na kosmogonię Kanta-Laplace'a, na
nowożytnie przyrodoznawstwo i Darwina, na klasyczną filozofię
niemiecką i Hegla. Ale socjalizm naukowy jest przecież w istot-
nych swych częściach wytworem niemieckim i powstać mógł
tylko u narodu, którego klasyczna filozofia przechowała żywą
tradycję świadomej dialektyki, tj. w Niemczech². Materialistyczne
pojmowanie dziejów i jego specjalne zastosowanie do nowoczesnej
walki klasowej między proletariatem a burżuazją stało się
możliwe tylko za pomocą dialektyki. A gdy bakałarze niemieckiej

¹ Eyner E. — fabrykant z Bremy, autor broszury przeciw socjałdemokra-
cji. Red.

² «W Niemczech» — to błąd pisarski. Powinno być: «u Niemców». Albo-
wiem, jeżeli z jednej strony dla powstania socjalizmu naukowego niezbędna
była dialektyka niemiecka, to równie niezbędne były w tym względzie rozwi-
nięte ekonomiczne i polityczne stosunki Anglii i Francji. Niski stopień rozwoju
ekonomicznego i politycznego Niemiec, niższy jeszcze znacznie na początku lat

burżuazji utopili tak głęboko w bagnie jałowego eklektyzmu pa-
mięć o wielkich filozofach niemieckich, o stworzonej przez nich
dialektyce, — że jesteśmy dziś zmuszeni powoływać nowoczesną
naukę przyrodniczą na świadka, iż dialektyka znajduje potwier-
dzenie w rzeczywistości, — to my, socjaliści niemieccy, dumni
jesteśmy z tego, że pochodzimy nie tylko od Saint-Simona,
Fouriera i Owena, lecz także od Kanta, Fichtego i Hegla.

Londyn, 21 września 1882 r.

Fryderyk Engels

PRZEDMOWA DO CZWARTEGO WYDANIA NIEMIECKIEGO

Moje przypuszczenie, że treść niniejszej publikacji nie sprawi
większych trudności naszym robotnikom niemieckim, potwierdziło
się. Przynajmniej od marca 1883 roku, gdy ukazało się pierwsze
wydanie, wyprzedano 3 wydania w ogólnym nakładzie 10 tysięcy
egzemplarzy, i to pod obuchem — dziś już pogrzebanego — prawa
przeciw socjalistom. Oto zarazem jeszcze jeden dowód, jak bez-
silne są zakazy policyjne wobec takiego ruchu, jak ruch współ-
czesnego proletariatu.

Od czasu pierwszego wydania wyszło jeszcze kilka przekładów
w obcych językach, a mianowicie: przekład włoski Pasquala
Martignetti: «Il Socialismo Utopico ed il Socialismo Scientifico»,
Benevento 1883; rosyjski: «Развитіе научнаго социализма»,
Genewa 1884; duński — «Socialismens Udvikling fra Utopi til
Videnskab», w «Socialisk Bibliotek», I Bind, Kjöbenhavn 1885;
hiszpański: «Socialismo utopico y Socialismo científico», Madrid
1886, i holenderski: «De Ontwikkeling van het Socialisme van
Utopie tot Wetenschap», Haag 1886.

Wprowadziłem do niniejszego wydania kilka drobnych zmian;
ważniejsze uzupełnienia poczyniłem tylko w dwóch miejscach:

czterdziestych niż obecnie — mógł spłodzić w najlepszym razie karykatury
socjalizmu (por. «Manifest Komunistyczny» III 1, «Socjalizm niemiecki czyli
prawdziwy»). Rzeczywisty rezultat mógł być osiągnięty dopiero wówczas, gdy
stosunki ekonomiczne i polityczne, wytworzone w Anglii i we Francji, poddane
zostały niemieckiej krytyce dialektycznej. Z tego punktu widzenia socjalizm
naukowy nie jest więc wytworem wyłącznie niemieckim, lecz w równej mierze
międzynarodowym. (Uwaga Engelsa).

w pierwszym rozdziale, w ustępie o Saint-Simonie, który wypadł nieco za krótko w porównaniu, z Fourierem i Owenem, oraz w końcu trzeciego rozdziału, w ustępie o «trustach», nowej formie produkcji, która tymczasem osiągnęła ważne znaczenie.

Londyn, 12 maja 1891 r.

Fryderyk Engels

PRZEDMOWA DO WYDANIA ANGIELSKIEGO

Niniejsza broszura była pierwotnie częścią większej całości. Około r. 1875 dr E. Dühring, docent prywatny uniwersytetu berlińskiego, ogłosił nagle i dość hałaśliwie swe nawrócenie na socjalizm i zaprezentował publiczności niemieckiej nie tylko obszerną teorię socjalizmu, ale nadto kompletny plan praktyczny przeobrażenia społeczeństwa. Napadł on, rozumie się, na swych poprzedników; przede wszystkim zaszczyił Marksa tym, że wylał na niego pełną czarę swej złości.

Stało się to w czasie, gdy oba odłamy socjalistycznej partii Niemiec — eisenachczycy i lassalczycy — tylko co zjednoczyły się i zdobyły dzięki temu nie tylko olbrzymi przyrost sił, lecz co więcej, możliwość skierowania wszystkich swych sił przeciwko wspólnemu wrogowi. Socjalistyczna partia Niemiec miała się szybko stać potęgą. Ale pierwszym warunkiem, aby uczynić z niej potęgę, było nienarażanie na szwank osiągniętej niedawno jedności. I oto dr Dühring szykował się otwarcie do utworzenia wokół swej osoby sekty, stanowiącej jądro przyszłej odrębnej partii. Wypadało więc z musu podnieść rzuconą nam rękawicę i stoczyć walkę niezależnie od tego, czy to nam dogadzało czy nie.

Było to wszakże najoczywistej przedsięwzięcie dość przewlekłe, jakkolwiek i niezbyt trudne. Wiadomo dobrze, że my, Niemcy, odznaczamy się przerażająco ciężką gruntownością, gruntowną głębokością czy głęboką gruntownością, jak się komu bardzo podoba ją nazwać. Ilekroć ktokolwiek spośród nas coś wyklada, co uważa za nową doktrynę, musi on to przede wszystkim ująć w pewien wszechogarniający system. Musi on dowieść, że zarówno pierwsze zasady logiki, jak i podstawowe prawa wszechświata istniały od wieków w tym wyłącznie celu, by doprowadzić

Koniec końców do tej nowo odkrytej teorii, jako korony wszech-
rzeczy. A dr Dühring był pod tym względem skrojony całkiem
na modłę swej narodowości. Ni mniej ni więcej tylko kompletny
«Systemat filozofii», filozofia ducha, moralności, przyrody i histo-
rii; kompletny «Systemat ekonomii politycznej i socjalizmu» i
wreszcie «Krytyczna historia ekonomii politycznej» — trzy wielkie
tomy formatu ósemki, ciężkie pod względem rozmiaru i treści,
trzy wojskowe korpusy argumentów, prowadzone w pole przeciw
wszystkim dotychczasowym filozofom i ekonomistom w ogóle i w
szczególności przeciw Marksowi — zaiste próba kompletnego
«przewrotu w nauce» — wszystko to musiałem wziąć na barki.
Wypadło mi traktować wszelkie możliwe przedmioty, od poglą-
dów na czas i przestrzeń do bimetalizmu; od wieczystości materii
i ruchu do przemijającego charakteru idei moralnych; od darwi-
nowskiego doboru naturalnego do wychowania młodzieży w przy-
szłym społeczeństwie. W każdym razie ta rozległa rozpiętość sy-
stematu mego oponenta dała mi sposobność do rozwinięcia — w
przeciwstawieniu do jego wywodów — poglądów Marksa i moich
na te wielce różnorodne dziedziny, i to w formie bardziej syste-
matycznej niż dotychczas. To właśnie było główną przyczyną,
która mnie pobudziła do podjęcia tego — skądinąd tak niewdzięcz-
nego — zadania.

Odpowiedź moja została ogłoszona najpierw w szeregu arty-
kułów w lipskim «Vorwärts», centralnym organie partii socjali-
stycznej, a następnie, jako książka «Przewrót w nauce dokonany
przez p. Eugeniusza Dühringa», której drugie wydanie wyszło
w r. 1886 w Zurychu.

Na naleganie mego przyjaciela Paula Lafargue'a, obecnie po-
sła z Lille do francuskiej izby deputowanych, ułożyłem z trzech
rozdziałów tej książki broszurę, którą Lafargue przetłumaczył
i wydał w r. 1880 pod tytułem «*Socialisme utopique et socialisme
scientifique*». Według tego tekstu francuskiego przygotowano wy-
danie polskie i hiszpańskie. W r. 1883 nasi przyjaciele niemieccy
wydali tę polemiczną broszurę w języku oryginału. Następnie
ogłoszono na podstawie tekstu niemieckiego przekłady: włoski,
rosyjski, duński, holenderski i rumuński. Łącznie z niniejszym
wydaniem angielskim została więc ta broszura rozpowszechniona
w dziesięciu językach. Nie znam żadnego innego utworu socjali-
stycznego, nie wyłączając naszego «Manifestu Komunistycznego»
z r. 1848, oraz «Kapitału» Marksa, który by był tylekroć tłuma-
czony. W Niemczech broszura ukazała się w czterech wyda-
niach, osiągając w łącznym nakładzie około 20.000 egzemplarzy.

Dodatek pt. «Marka»¹ napisany był w celu rozpowszechnienia wśród niemieckiej partii socjalistycznej pewnych elementarnych wiadomości o dziejach powstania i rozwoju własności ziemskiej w Niemczech. Było to wówczas tym bardziej konieczne, że zjednoczenie miejskich robotników niemieckich przez partię socjaldemokratyczną było już zapewnione i przed partią stało zadanie pracy wśród robotników rolnych i chłopów. Dodatek ten został włączony do niniejszego wydania ze względu na to, że pierwotne formy władania ziemią były wspólne dla wszystkich plemion teutońskich i historia ich rozkładu jeszcze mniej znana jest w Anglii, niż w Niemczech. Pozostawiłem tekst bez zmian, nie omawiając hipotezy, wysuniętej niedawno przez Maksyma Kowalewskiego, według której podział ziemi ornej i łąk między członków «marki» poprzedzała wspólna uprawa tej ziemi przez dużą rodzinę patriarchalną we wspólnocie, która ogarniała kilka pokoleń (za przykład tego służyć może dziś jeszcze istniejąca południowo-słowiańska zadruża); później zaś, gdy wspólnota rozrosła się i wspólne zarządzanie gospodarstwem stało się zbyt utrudnione, nastąpił podział ziemi, należącej do wspólnoty. Kowalewski ma, prawdopodobnie, całkowitą rację, jednak sprawa znajduje się jeszcze sub judice².

Terminy ekonomiczne używane w tej książce, odpowiadają, o ile są nowe, terminom angielskiego wydania «Kapitału» Marksa. «Produkcją towarową» nazywamy tę fazę rozwoju ekonomicznego, w której wytwarza się przedmioty nie tylko na użytek producentów, lecz także w celu wymiany, tj. jako towary, nie zaś przedmioty użytku. Faza ta rozciąga się od początków produkcji dla wymiany, aż do naszych czasów włącznie; pełny swój rozwój osiąga produkcja towarowa jedynie przy produkcji kapitalistycznej, tj. w warunkach, gdy kapitalista, właściciel środków produkcji, zatrudnia za płacę robotników, tj. ludzi, pozbawionych wszelkich środków produkcji, prócz własnej siły roboczej, i zagarnia różnicę między ceną sprzedażną produktów a ich kosztami. Historię produkcji przemysłowej, poczynawszy od wieków śred-

¹ Praca Engelsa «Marka» była wydana w r. 1883 przez Engelsa w osobnej broszurze pod tytułem: «Chłop niemiecki. Czym on był? Czym jest? Czym mógłby być?». Engels opisuje tu dzieje chłopstwa niemieckiego i wskazuje na zakończeniu w ogólnych zarysach na marksistowskie rozwiązanie kwestii chłopskiej, na drogę prowadzącą chłopstwo do socjalizmu. Praca ta była wydrukowana w tomie XV Działa zbiorowych Marksa i Engelsa, a także wydana przez Part. Wyd. w osobnej broszurze w r. 1933 i w nowym wydaniu w r. 1939 Red.

² Sub judice (łac.) — w stadium omówienia, dyskusji. Red.

nich, dzielimy na trzy okresy: 1) rzemiosło, drobni majstrówie z niewielką ilością czeladników i terminatorów, przy czym każdy robotnik wyrabia całkowity wytwór; 2) manufaktura, w której większa ilość robotników, zgrupowana w dużym warsztacie, wyrabia całkowity wytwór, według zasad podziału pracy, przy czym każdy robotnik wykonywa tylko pewną częściową czynność, tak że wytwór jest wykończony dopiero wówczas, gdy przeszedł po kolei przez wszystkie ręce; 3) nowożytny przemysł, w którym wytwór wyrabiają maszyny, poruszane przez jakąkolwiek siłę napędową, a praca robotników sprowadza się do dozorowania i regulowania czynności i urządzeń mechanizmu...¹

20 kwietnia 1892 r.

F. Engels

¹ Ciąg dalszy tej przedmowy do wydania angielskiego broszury «Rozwój socjalizmu od utopii do nauki» był ogłoszony przez Engelsa w czasopiśmie «Neue Zeit» w latach 1892-1893 pod tytułem: «O materializmie historycznym». Patrz K. Marks, Dzieła Wybrane, t. I, str. 398, wyd. pol. Red.

ROZWÓJ SOCJALIZMU OD UTOPII DO NAUCY



Nowoczesny socjalizm jest w treści swej przede wszystkim wytworem badania, z jednej strony, panujących w dzisiejszym społeczeństwie przeciwieństw klasowych między posiadającymi a nieposiadającymi, kapitalistami a robotnikami najemnymi, z drugiej zaś — panującej w produkcji anarchii. Ale w swej postaci teoretycznej występuje on początkowo jako dalej posunięte, jakby konsekwentniejsze rozwinięcie zasad, wysuniętych przez wielkich francuskich myślicieli Oświecenia XVIII stulecia¹. Podobnie jak każda nowa teoria, musiał on zrazu nawiązać do istniejącego przed nim materiału myślowego, aczkolwiek jego korzenie tkwiły głęboko w materialnych faktach ekonomicznych.

Wielcy mężowie, którzy we Francji oświecali umysły dla nadchodzącej rewolucji, występowali sami na wskroś rewolucyjnie. Nie uznawali żadnego autorytetu zewnętrznego bez względu na jego rodzaj. Religia, pojmowanie przyrody, społeczeństwo, ustroj państwowy — wszystko to poddane zostało najbardziej nieubłaganej krytyce; wszystko musiało albo usprawiedliwić swój byt przed trybunałem rozumu, albo rzec się istnienia. Myślący rozum stał się jedynym probierzem wszystkiego co istnieje. Był to czas, kiedy, według wyrażenia Hegla, świat postawiono na głowę² w pierw

¹ Mowa o przedstawicielach francuskiej burżuazji w filozofii i nauce w przededniu francuskiej burżuazyjnej rewolucji 1789—1794 r. Najwybitniejszymi przedstawicielami byli Voltaire, Rousseau, encyklopedyści z Diderotem na czele i inni. Red.

² Oto co mówi Hegel o rewolucji francuskiej: «Idea prawa, pojęcie prawa utorowało sobie drogę od jednego razu i stara budowla bezprawia nie mogła mu się oprzeć. Idea prawa stała się teraz podstawą konstytucji i na tym gruncie miało się odtąd wszystko opierać. Odkąd słońce świeci na firmamencie, a planety krążą dokoła niego, nie widziano jeszcze nigdy, aby człowiek stanął na głowie, tj. na myśli i budował według niej rzeczywistość. Anaksagoras pierwszy powiedział, że światem rządzi Nūs, rozum; teraz jednak dopiero doszedł człowiek do poznania, że myśl powinna rządzić rzeczywistością duchową. Był to więc wspaniały wschód słońca. Wszystkie istoty myślące

w tym znaczeniu, że głowa ludzka i twierdzenia, wykryte przez jej myślenie, rościły sobie prawo do tego, żeby uchodzić za podstawę wszelkich czynów ludzkich i stosunków społecznych; później i w tym szerszym znaczeniu, że rzeczywistość, która przeczyła tym twierdzeniom, została istotnie wywrócona od góry do dołu. Wszystkie dotychczasowe formy społeczne i państwowe, wszystkie tradycyjne wyobrażenia rzucono jako nierozumne do lamusa; świat powodował się dotychczas tylko przesądami; cała przeszłość zasługiwała jedynie na politowanie i wzgardę. Dopiero teraz zajaśniało światło dzienne, nastąpiło królestwo rozumu; od-tąd zabobon, bezprawie, przywilej i ucisk miały być wyparte przez wieczną prawdę, wieczną sprawiedliwość, przez równość, ugruntowaną w samej naturze, oraz przez nieodłączne prawa człowieka.

Wiemy dziś, że owo królestwo rozumu było po prostu tylko wyidealizowanym królestwem burżuazji; że wieczna sprawiedliwość znalazła swe urzeczywistnienie w burżuazyjnym sądownictwie; że równość sprowadziła się do burżuazyjnej równości przed prawem; że, jako jedno z najistotniejszych praw człowieka, proklamowano burżuazyjną własność; i że państwo rozumu, «umowa społeczna» Rousseau¹ weszła w życie i mogła wejść w życie tylko jako burżuazyjna republika demokratyczna. Wielcy myśliciele XVIII stulecia, podobnie jak wszyscy ich poprzednicy, nie mogli wyjść poza granice, które im zakreśliła ich własna epoka.

Ale obok przeciwieństwa między feudalną szlachtą a mieszczaństwem, występującym w charakterze przedstawiciela całej reszty społeczeństwa, istniało ogólne przeciwieństwo między wyzyskiwaczami a wyzyskiwanymi, bogatymi próżniakami a

święcili radośnie tę epokę. Wzniosłe wzruszenie panowało w owej dobie, cały świat został przeniknięty dreszczem entuzjazmu duchowego, jak gdyby dopiero teraz dokonano się pogodzenie boskości ze światem» (Hegel «Filozofia historii» 1840, str. 535, Dzieła, t. VIII, str. 413, wyd. ros.). Czyż nie wielki już czas wytoczyć przeciw powszechnie niebezpiecznym, wywrotowym teoriom świętej pamięci profesora Hegla antysocjalistyczne prawa wyjątkowe? (Uwaga Engelsa).

¹ Jean — Jacques Rousseau (1712—1778) — przedstawiciel rewolucyjnego, drobnomieszczaństwa w okresie poprzedzającym burżuazyjną rewolucję francuską 1789—1794 r. W myśl jego teorii, społeczeństwo i państwo utworzyły się pierwotnie drogą wolnej «umowy społecznej» między wolnymi i niezależnymi od siebie ludźmi, ale ustanowiony przez tę umowę porządek społeczny uległ następnie wypaczeniu przez powstanie nierówności społecznej. Poważ ludzie z natury swej są wolni i równi, powinni więc posiadać jednakowe prawa polityczne i we wszystkim winni być równi przed prawem. Według teorii Rousseau ludzie mogą i powinni znowu przywrócić tę równość na zasadzie wolnej umowy społecznej między sobą. Red.

pracującymi biedakami. Przecież ta właśnie okoliczność pozwoliła przedstawicielom burżuazji podawać się za przedstawicieli nie pewnej odrębnej klasy, lecz całej cierpiącej ludzkości. Co więcej, mieszczaństwo od chwili swego powstania obarczone było swym przeciwieństwem: kapitaliści nie mogą istnieć bez robotników najemnych i w tej samej mierze, w jakiej średniowieczny majster cechowy rozwijał się w nowoczesnego burżua, czeladnik cechowy i niecechowy wyrobnik rozwijali się w proletariuszy. I jakkolwiek na ogół mieszczaństwo mogło rościć sobie prawo do tego, że w *walce ze szlachtą* reprezentuje zarazem interesy różnych klas pracujących owego okresu, to jednak przy każdym wielkim ruchu burżuazyjnym wybuchały samodzielne poruszenia klasy, która była mniej lub bardziej rozwiniętą poprzedniczką nowoczesnego proletariatu. Tak więc w epoce Reformacji i wojny chłopskiej w Niemczech¹ widzimy anabaptystów i Tomasza Münzera; w wielkiej rewolucji angielskiej² — lewellerów³; w wielkiej rewolucji francuskiej — Babeufa. Tym rewolucyjnym powstaniom zbrojnym nie dojrzałej jeszcze klasy towarzyszyły odpowiednie wystąpienia teoretyczne; w wieku XVI i XVII — utopijne⁴ obrazy idealnych ustrojów społecznych, w XVIII zaś stuleciu już wprost komunistyczne teorie (Morelly i Mably), Żądanie równości nie ograniczało się już do praw politycznych, miało się ono rozciągać i na położenie społeczne jednostek; żądano zniesienia nie tylko przywilejów klasowych, lecz i samych różnic klasowych. Pierwszą formą, w której wystąpiła nowa nauka, był komunizm ascetyczny, potępiający wszelkie uciechy życiowe, nawiązujący do Sparty. Potem przyszli trzej wielcy utopiści: Saint-Simon, u którego kierunek burżuazyjny zachował się jeszcze w pewnej mierze obok proletariackiego, Fourier oraz Owen, który — w kraju najbardziej rozwiniętej produkcji kapitalistycznej i pod wrażeniem zrodzonych przez nią przeciwieństw — rozwijał swe projekty, zmierzające do zniesienia różnic klasowych, w formie systemu nawiązującego bezpośrednio do materializmu francuskiego.

¹ Reformacja i wojny chłopskie w Niemczech dokonywały się na początku XVI wieku. O Reformacji patrz F. Engels, «O materializmie historycznym» (K. Marks, Dzieła Wybrane, t. I, str. 398, wyd. pol.). Red.

² Mowa o burżuazyjnej rewolucji angielskiej (1640—1660) skierowanej przeciw absolutnej monarchii i panowaniu feudalów-obszarników (landlordów). Red.

³ Lewellerowie (w tłumaczeniu: wyrównywawcy) — tak się nazywali przedstawiciele ruchu elementów plebejskich miast i wsi, którzy w czasie rewolucji 1648 r. w Anglii wysuwali najbardziej radykalne żądania demokratyczne. Red.

⁴ Engels ma tu na myśli dzieła przedstawicieli komunizmu utopijnego: Tomasza Morusa (XVI wiek) i Campanelli (XVII wiek). Red.

Wszyscy trzej mają tę wspólną cechę, że nie występowali jako przedstawiciele interesów powstałego historycznie już w tym czasie proletariatu. Podobnie jak myśliciele Oświecenia, chcą oni wyzwolić od razu całą ludzkość, a nie zaczynać od wyzwolenia pewnej określonej klasy. Podobnie jak tamci, chcą oni ustanowić królestwo rozumu i wiecznej sprawiedliwości; ale ich królestwo różni się o całe niebo od królestwa rozumu, wymarzonego przez myślicieli Oświecenia. Świat burżuazyjny, urządzonej wedle zasad tych myślicieli, jest również nierozumny i niesprawiedliwy i winien powędrować na śmietnik historii tak samo, jak feudalizm i wszystkie wcześniejsze ustroje społeczne. Jeżeli w świecie nie zapanował dotychczas prawdziwy rozum i prawdziwa sprawiedliwość, to jedynie dlatego, że nie były one należycie poznane. Brakło po prostu owej genialnej jednostki, która teraz zjawiała się i poznała prawdę; to zaś, że zjawiała się ona teraz, że prawda poznana została teraz właśnie, nie jest nieuniknionym zdarzeniem, wynikającym nieuchronnie ze związku wydarzeń w ich rozwoju historycznym, lecz po prostu szczęśliwym przypadkiem. Jednostka ta mogłaby równie dobrze urodzić się o pięćset lat wcześniej, co zaoszczędziłoby ludzkości pięćset lat błędów, walki i cierpień.

Widzieliśmy, że filozofowie francuscy XVIII stulecia, którzy przygotowywali rewolucję, apelowali do rozumu jako do jedynej sądziego wyrokującego o wszystkim, co istnieje. Miano zbudować rozumne państwo, rozumne społeczeństwo, miano bezlitośnie usunąć wszystko, co sprzeciwiało się wiecznemu rozumowi. Widzieliśmy również, że ten wieczny rozum nie był w rzeczywistości niczym innym jak wyidealizowanym rozsądkiem średniego mieszczaństwa, który wtedy właśnie rozwijał się w burżuazję. Toteż, gdy rewolucja francuska urzeczywistniła owo rozumne społeczeństwo i rozumne państwo, wówczas nowe instytucje, aczkolwiek tak racjonalne w stosunku do poprzedniego ustroju, nie okazały się bynajmniej absolutnie rozumne. Państwo rozumu roztrzaskało się całkowicie. Umowa społeczna Rousseau znalazła urzeczywistnienie w dobie panowania terroru¹, z którego mieszczaństwo — zwątpiwszy o swym własnym uzdolnieniu politycznym, — szukało ucieczki początkowo w korupcji Dyrektoriatu² i wreszcie pod skrzydłami despotyzmu napoleońskiego. Zapowiedziany pokój wieczysty prze-

¹ W latach 1793—94 rewolucyjny rząd francuski, na którego czele stali jakobini (opierający się na rewolucyjnym drobnomieszczaństwie i masach plebejskich), stosował system terroru, jako środek walki z kontrrewolucją. *Red.*

² Dyrektoriatem nazywał się rząd francuski, ustanowiony przez burżuazję po przewrocie kontrrewolucyjnym. Dyrektoriat przetrwał od r. 1795 do 1799 i został obalony przez Napoleona Bonaparte. *Red.*

obraził się w niekończące się wojny zaborcze. Nie lepiej powiodło się również racjonalnemu społeczeństwu. Przeciwnieństwo między bogactwem a nędzą, zamiast rozplnąć się w dobrobycie powszechnym, zostało zaostrome przez usunięcie cechowych oraz innych przywilejów, wyrównujących te przeciwieństwa, oraz przez zniesienie łagodzących je kościelnych zakładów dobroczynności. Urzeczywistniona teraz «wolność własności» od więzów feudalnych okazała się dla drobnomieszczanina i chłopca wolnością sprzedawania swej drobnej własności, przytłoczonej przez przemożną konkurencję wielkiego kapitału i wielkiej własności ziemskiej, tym samym właśnie wielkim panom — przekształciła się więc dla drobnomieszczanina i chłopca w wolność od własności; rozkwit przemysłu na podstawach kapitalistycznych podniósł nędzę i niedolę mas pracujących do rzędu najżywniejszych warunków istnienia społeczeństwa. Według słów Carlyle'a, zapłata gotówką stawała się w coraz większym stopniu jedyną więzią społeczeństwa, ilość przestępstw wzrastała z roku na rok. Jeżeli występki feudalne, które dawniej panowały się otwarcie w biały dzień, zostały wprawdzie nie wykorzenione, lecz przynajmniej wyparte na razie za kulisy, to tym bujniej rozkwitły występki burżuazyjne, uprawiane dotychczas tylko po cichu. Handel przechodził coraz bardziej w zdzierstwo. Rewolucyjne hasło «braterstwa» urzeczywistniło się w szukanach i w zawiści walki konkurencyjnej. Brutalny ucisk ustąpił miejsca korupcji, zamiast szabli podstawową dźwignią władzy społecznej stał się pieniądz. «Prawo pieńszej nocy» przeszło od panów feudalnych do fabrykantów burżuazyjnych. Prostytucja szerzyła się w niesłychanych dotychczas rozmiarach, samo zaś małżeństwo pozostało w dalszym ciągu uznaną prawnie formą, urzędowym płaszczykiem prostytucji i znalazło ponadto uzupełnienie w licznych wypadkach cudzołóstwa. Słowem instytucje społeczne i polityczne, stworzone przez «zwycięstwo rozumu», okazały się w porównaniu ze wspaniałymi zapowiedziami myślicieli Oświecenia karykaturami, niosącymi gorzkie rozczarowania. Brakło tylko jeszcze ludzi, którzy by stwierdzili to rozczarowanie, i ludzie ci zjawili się na przełomie nowego stulecia. W r. 1802 ukazały się «Listy genewskie» Saint-Simona; w r. 1808 wyszło z druku pierwsze dzieło Fouriera, jakkolwiek podstawowe zasady jego teorii datowały się już z r. 1799; 1-go stycznia 1800 r. Robert Owen objął kierownictwo New Lanarku.

Jednakże produkcja kapitalistyczna, a wraz z nią i przeciwieństwa między burżuazją a proletariatem były jeszcze w tym okresie

bardzo nierozwinięte. Wielki przemysł, który dopiero co powstał w Anglii, był jeszcze nieznany we Francji. Ale dopiero wielki przemysł rozwija z jednej strony konflikty, które czynią nieodzowną koniecznością przewrót w systemie produkcji, usunięcie jego charakteru kapitalistycznego, konflikty nie tylko między zrodzonymi przez wielki przemysł klasami, lecz i między samymi stworzonymi przezeń siłami wytwórczymi a formami wymiany; z drugiej strony, wielki przemysł rozwija w postaci tych właśnie olbrzymich sił wytwórczych również i środki rozwiązania wspomnianych konfliktów. Jeżeli więc około r. 1800 rodziły się dopiero konflikty, wynikające z nowego ustroju społecznego, to jeszcze w daleko mniejszym stopniu rozwinięte były w tym czasie środki ich rozwiązania. Jeżeli nieposiadające masy Paryża zdobyły w dobie terroru chwilowo władzę polityczną i mogły dzięki temu doprowadzić do zwycięstwa rewolucję burżuazyjną *wbrew* samej burżuazji, to dowiodły jedynie w ten sposób, jakim niepodobieństwem było ich trwale panowanie w ówczesnych stosunkach. Proletariat, który wyodrębnił się dopiero z tych mas nieposiadających jako trzon nowej klasy, niezdolny jeszcze zupełnie do samodzielnej akcji politycznej, przedstawiał się jako stan uciśniony, cierpiący, któremu, wobec jego niezdolności do okazania pomocy samemu sobie, mogła być wyświadczona pomoc w najlepszym razie z zewnątrz, z góry.

Toteż twórcy socjalizmu znajdowali się pod przemożnym wpływem tej sytuacji historycznej. Niedojrzałości produkcji kapitalistycznej, niedojrzałym stosunkom klasowym, odpowiadały niedojrzałe teorie. Rozwiązanie zadań społecznych, tkwiące jeszcze w ukryciu w nierozwiniętych stosunkach gospodarczych, wypadało wysnuć z głowy. Społeczeństwo ujawniło tylko swe anomalie; zadaniem myślącego rozumu było ich usunięcie. Chodziło o to, by wynaleźć nowy, doskonalszy system ustroju społecznego i narzucić go społeczeństwu z zewnątrz, za pomocą propagandy, a jeśli się da, to i w drodze przykładu eksperymentów wzorowych. Te nowe systemy społeczne były z góry skazane na utopijność; im bardziej zaś opracowywano je w szczegółach, tym wyraźniej musiały przechodzić w dziedzinę czystego fantazjowania.

Po stwierdzeniu tego faktu nie mamy potrzeby zatrzymywania się ani chwili dłużej nad tą stroną rzeczy, należąca już dziś całkiem do przeszłości. Pozostawmy literackim kramikarzom uroczyste grzebanie się w tych fantazjach, wywołujących dziś już tylko uśmiech, pozwólmy im chępiec się wyższością swego własnego trzeźwego sposobu myślenia nad podobnymi «szaleństwami».

Woliny podziwiać genialne idee i zarodki myśli, przebijające się wszędzie spod fantastycznej powłoki i niedostrzegalne dla tych ślepych filistrów.

Saint-Simon był synem wielkiej rewolucji francuskiej; w chwili jej wybuchu nie miał jeszcze trzydziestu lat. Rewolucja była zwycięstwem stanu trzeciego, tj. głównej masy narodu, *pracującej* w produkcji i w handlu, nad uprzywilejowanymi dotychczas stanami *próżniaczymi* — nad szlachtą i duchowieństwem. Ale zwycięstwo stanu trzeciego okazało się wkrótce wyłącznym zwycięstwem małej tylko części tego stanu, zdobyciem władzy politycznej przez jego uprzywilejowaną społecznie warstwę — przez posiadającą burżuazję. Burżuazja ta rozwinęła się szybko, mianowicie już podczas rewolucji, dzięki spekulowaniu skonfiskowanymi, a następnie *sprzedawanymi* posiadłościami ziemskimi szlachty i kościoła, a także dzięki oszukaniu narodu przez dostawców wojskowych. Właśnie panowanie tych oszustów doprowadziło Francję i rewolucję pod rządami Dyrektoriatu na brzeg przepaści i dało w ten sposób Napoleonowi pretekst do zamachu stanu. Dlatego w głowie Saint-Simona przeciwieństwo pomiędzy stanem trzecim a stanami uprzywilejowanymi przybrało formę przeciwieństwa między «robotnikami» a «próżniakami». Próżniakami byli w tym wypadku nie tylko dawni uprzywilejowani, ale i wszyscy, którzy żyli z renty, nie biorąc udziału w produkcji i w handlu. «Robotnikami» zaś byli nie tylko robotnicy najemni, lecz również fabrykanci, kupcy, bankierzy. Ze próżniacy stracili zdolność do kierownictwa duchowego i panowania politycznego — było rzeczą ustaloną i ostatecznie przypieczętowaną przez rewolucję. Ze nieposiadający nie mieli tej zdolności — wydawało się Saint-Simonowi udowodnione przez doświadczenia okresu terroru. Któż więc miał kierować i panować? Według Saint-Simona — nauka i przemysł, związane jakąś nową więzią religijną, mającą przywrócić rozbitą od czasu reformacji jedność poglądów religijnych i stworzyć «nowe chrześcijaństwo», z natury rzeczy mistyczne i ściśle hierarchiczne. Ale nauka — to uczeni, a przemysł — to przede wszystkim czynni burżua, fabrykanci, kupcy, bankierzy. Ci właśnie mieszczenie mieli się przeobrazić w rodzaj urzędników publicznych, w mężów zaufania społeczeństwa, ale jednocześnie zachować wobec robotnika stanowisko dominujące i również ekonomicznie uprzywilejowane. W szczególności bankierzy mieli być powołani do regulowania całej produkcji społecznej przez regulowanie kredytu. To stanowisko odpowiadało całkowicie okresowi, w którym powstawał dopiero wielki przemysł we Francji, a wraz z nim wyłaniało

się dopiero przeciwieństwo między burżuazją a proletariatem. Ale Saint-Simon podkreśla ze szczególną mocą, że idzie mu wszędzie i zawsze przede wszystkim o losy «klasy najliczniejszej i najuboższej» («la classe la plus nombreuse et la plus pauvre»).

Już w swych «Listach genewskich» wysuwa Saint-Simon tezę, że «wszyscy ludzie powinni pracować». W tym samym dziele zdaje już sobie dobrze sprawę z tego, że panowanie terroru było panowaniem mas nieposiadających. «Spójrzcie», — woła do tych mas — «co działo się we Francji wówczas, gdy panowali tam wasi współtowarzysze: sprowadzili oni klęskę głodową». Ujęcie jednak rewolucji francuskiej jako walki klasowej i to nie tylko między szlachtą a burżuazją, lecz także jako walki między szlachtą i burżuazją a *nieposiadającymi klasami*, było — jak na rok 1802 — naprawdę genialnym odkryciem. W roku 1816 Saint-Simon określa politykę jako naukę o produkcji i przepowiada całkowite pochłonięcie polityki przez ekonomię. Jakkolwiek zrozumienie tego, że położenie ekonomiczne jest podstawą instytucyj politycznych, występuje tu dopiero w zarodku, to jednak wypowiedziana już tu jest jasno myśl o przemianie rządów politycznych nad ludźmi w zarząd rzeczami i kierownictwo procesami produkcji, a więc myśl o «zniesieniu państwa», o czym się w ostatnich czasach tak szeroko i hałaśliwie rozprawia. Z tą samą wyższością nad swymi współczesnymi proklamuje Saint-Simon w r. 1814, bezpośrednio po wkroczeniu sprzymierzeńców do Paryża, i następnie w r. 1815 (w czasie wojny Szu dni) sojusz Francji z Anglią, a w dalszej perspektywie przymierze obu tych krajów z Niemcami, jako jedyną rękojmią pomyślnego rozwoju i pokoju Europy. Aby w roku 1815 głosić sojusz Francuzów ze zwycięzcami spod Waterloo, trzeba było mieć rzeczywiście tyleż odwagi, co przenikliwości historycznej.

Jeżeli u Saint-Simona widzimy genialną dalekowzroczność, dzięki której niemal wszystkie nie ściśle ekonomiczne idee późniejszych socjalistów znajdują się u niego w zarodku, to u Fouriera spotykamy się z krytyką ówczesnych stosunków społecznych, skrzącą się iście francuskim dowcipem, lecz mimo to sięgającą nie mniej głęboko. Fourier chwycił za słowo burżuazję wraz z jej entuzjastycznymi prorokami sprzed rewolucji, tudzież z jej interesownymi chwalcami po rewolucji. Obnaża bezlitośnie materialną nędzę świata burżuazyjnego, przeciwstawia jej zarówno mamiące obietnice dawnych myślicieli Oświecenia, obietnice ziszczenia społeczeństwa, w którym panować będzie tylko rozum, obietnice nadejścia wszechuszcześliwiającej cywilizacji, obietnice rozwinięcia się bezgranicznej zdolności ludzkiej do doskonalenia się,

Jako też frazesy współczesnych mu ideologów burżuazyjnych, zabarwiających świat na różowo; wykazuje, jak najszumniejszemu frazesowi odpowiada wszędzie najędzniejsza rzeczywistość i zjadliwie wysmiewa to beznadziejne fiasko frazesu. Fourier jest nie tylko krytykiem; jego niezmiernie pogodna natura czyni go satyrykiem i to jednym z największych satyryków wszystkich czasów. Maluje on równie mistrzowsko, jak uciesznie, wybujałą po upadku rewolucji szachrajską spekulację i powszechnego ducha kramikarstwa, przenikającego ówczesny handel francuski. Jeszcze bardziej mistrzowska jest jego krytyka burżuazyjnego ukształtowania stosunków między płciami, stanowiska kobiety w społeczeństwie burżuazyjnym. On to pierwszy wypowiada zdanie, że stopień wyzwolenia kobiety jest w każdym społeczeństwie naturalną miarą wyzwolenia powszechnego. Jednak w całej swej wspaniałości ukazuje się Fourier dopiero w swym pojmowaniu historii społeczeństwa. Dzieli on cały bieg dotychczasowej historii na cztery szczeble rozwoju: dzikość, barbarzyństwo, patriarchat i cywilizację, przy czym cywilizacja zbiega się z tak zwanym obecnie społeczeństwem burżuazyjnym, a więc z porządkiem społecznym zaprowadzanym od XVI stulecia; Fourier wykazuje, że «cywilizowane społeczeństwo podnosi każdy występki, który barbarzyńcy uprawiali z prostotą, do skomplikowanego, dwulicowego, dwuznacznego, obłudnego sposobu bytu», że cywilizacja obraca się w «błędny koło», w sprzecznościach, które wciąż wytwarza na nowo, nie mogąc ich przezwyciężyć, wskutek czego osiąga zawsze skutek wprost przeciwny temu, który chce lub udaje, że chce osiągnąć. W ten sposób, na przykład, w «cywilizacji *nedza wynika z samego nadmiaru bogactw*». Jak widzimy, Fourier włada dialektyką z niemniejszym mistrzostwem, niż współczesny mu Hegel. Równie dialektycznie stwierdza Fourier, w przeciwstawieniu do gadaniny o bezgranicznej zdolności ludzkiej do doskonalenia się, że każda faza historyczna ma nie tylko swoją linię wznoszenia się, ale i swoją linię schyłkową, i stosuje ten sposób zapatrywania się również do przyszłości całego rodzaju ludzkiego. Jak Kant wprowadza do wiedzy przyrodniczej myśl o przyszłej zagładzie ziemi, tak Fourier wprowadza do pojmowania historii myśl o przyszłej zagładzie ludzkości.

Podczas gdy przez Francję przeszła burza rewolucji, która oczyściła kraj, w Anglii odbywał się mniej głośnie — ale nie mniej potężny przewrót. Para i nowe zmechanizowane narzędzia przeobraziły rękodzielnictwo w nowoczesny wielki przemysł i zrewolucjonizowały w ten sposób całą podstawę społeczeństwa burżuazyjnego. Ospały bieg rozwoju okresu rękodzielniczego prze-

obrazil się w prawdziwy okres burzy i naporu w dziedzinie produkcji. Coraz szybciej dokonywał się podział społeczeństwa na wielkich kapitalistów i nieposiadających proletariuszy, pomiędzy którymi, zamiast dawnego ustabilizowanego stanu średniego, pędziła niepewny żywot niestała masa rzemieślników i sklepikarzy, najpłynniejsza część ludności. Nowy sposób produkcji przechodził dopiero początek swego okresu wznoszenia się: był to jeszcze sposób produkcji normalny, prawidłowy, jedynie możliwy w danych warunkach. Ale już wtedy wytwarzał on przeraźliwe klęski społeczne: stłoczenie bezdomnej ludności w najnędzniejszych norach wielkich miast; rozluźnienie wszystkich tradycyjnych więzów pochodzenia, patriarchalnego posłuszeństwa, rodziny; przerażająco nadmierne przeciążenie pracą zwłaszcza kobiet i dzieci; masowy rozkład obyczajów klasy pracującej, przerzuconej nagle w zupełnie nowe warunki, ze wsi do miasta, z rolnictwa do przemysłu, z ustalonych warunków życiowych w warunki niepewne i zmieniające się co dzień. Wtedy to zjawił się w charakterze reformatora 29-letni fabrykant, człowiek o dziecięcej niemal prostocie charakteru, dochodzącej do wzniosłości, a zarazem urodzony przywódca wyjątkowej miary. Robert Owen przyswoił sobie teorię materialistów wieku Oświecenia, głoszącą, że charakter człowieka jest wytworem z jednej strony wrodzonej jego organizacji, z drugiej — warunków, otaczających człowieka w ciągu jego życia, zwłaszcza zaś w okresie jego rozwoju. Większość ludzi jego stanu widziała w rewolucji przemysłowej tylko zamieszanie i chaos, sposobność łowienia ryb w mętnej wodzie i szybkiego bogacenia się. On zaś widział w niej sposobność wcielenia w życie swej umiłowanej tezy i wprowadzenia przez to ładu do chaosu. Już w Manchesterze uczynił z powodzeniem tę próbę, jako kierownik fabryki zatrudniającej z górą 500 robotników, w latach zaś 1800—1829 kierował jako dyrektor wielką przedsiębirnią w New Lanark w Szkocji, a będąc współnikiem w tym przedsiębiorstwie, działał w tym samym duchu, tylko z większą swobodą ruchów i z powodzeniem, które mu przyniosło europejski rozgłos. Mając do czynienia z ludnością, wyrosłą stopniowo do 2.500 osób, zrekrutowaną początkowo z najróżnorodniejszych i przeważnie bardzo zdemoralizowanych żywiołów, przekształcił ją we wzorową kolonię, w której nieznane stały się takie rzeczy, jak pijaństwo, policja, sąd karny, procesy, opieka nad ubogimi, potrzeba dobroczynności. Doszedł zaś do tego po prostu w ten sposób, że przeniósł ludzi w bardziej ludzkie warunki, a zwłaszcza dał staranne wychowanie dorastającemu pokoleniu. On to pierwszy powziął myśl zakładania przedszkoli,

i on je tam pierwszy zaprowadził. Od drugiego roku życia dzieci wstępowały do przedszkola, w którym bawiły się tak dobrze, że trudno było je wyciągnąć z powrotem do domu. Podczas gdy jego konkurenci zmuszali swych robotników do pracy po 13—14 godzin dziennie, w New Lanark pracowano tylko 10 i pół godzin. Gdy zaś kryzys w przemyśle bawełnianym wywołał 4-miesięczne unieruchomienie zakładu, niezatrudnieni robotnicy otrzymywali nadal pełną płacę. I przy tym wszystkim fabryka podwoiła z górą swą wartość i dawała swym właścicielom aż do końca wielkie zyski.

Wszystko to jednak nie zadowalało Owena. Był, który stworzył swoim robotnikom, nie wydawał mu się jeszcze bynajmniej bytem godnym człowieka. «Ludzie ci byli moimi niewolnikami» — mówił; względnie pomyślnie warunki, w których umieścił ich Owen nie pozwalały im jeszcze bynajmniej na wszechstronny racjonalny rozwój charakteru i umysłu, nie mówiąc już o swobodnym ujawnianiu się życia aktywnego. «A jednak pracująca część tych 2500 ludzi wytwarzała tyleż realnego bogactwa dla społeczeństwa, ile wytworzyć go mogła 600-tysięczna ludność, zaledwie przed pół wiekiem. Zadawałem więc sobie pytanie: co dzieje się z różnicą pomiędzy bogactwem, spożywanym przez 2500 osób, a tym, którym musiałoby pójść na żywienie 600 tysięcy?» Odpowiedź była jasna. Różnica ta poszła na to, aby właścicielom przedsiębiorstwa zapewnić 5 procent od kapitału zakładowego, a nadto z górą 300 tysięcy funtów szterlingów (6 milionów marek) zysku. I to samo w daleko większym jeszcze stopniu, niż New Lanark, dotyczyło wszystkich innych fabryk w Anglii. «Bez tego nowego bogactwa wytwarzanego przez maszyny, nie byłoby możliwe prowadzenie wojen, celem obalenia Napoleona i utrzymania w mocy arystokratycznych zasad społecznych. A przecież ta nowa potęga była wytworem klasy pracującej»¹. Do niej też powinny być należne owoce tego bogactwa. Nowe potężne siły wytwórcze, które służyły dotąd tylko do bogacenia jednostek i ujarzmiania mas, stanowiły w oczach Owena podstawę przebudowy społecznej, miały być przeznaczone w charakterze wspólnej własności tylko dla służby na rzecz wspólnego dobrobytu powszechnego.

Na tej czysto rzeczowej podstawie powstał komunizm owenowski jako owoc — że się tak wyrazimy — rachuby kupieckiej. Ten swym charakterem praktyczny zachował on aż do końca. Tak więc w rok

¹ Z memoriału «The Revolution in Mind and Practice» («Rewolucja w umysłach i w praktyce») zwróconego do wszystkich «czerwonych republikanów, komunistów i socjalistów Europy» i przesłanego nie tylko francuskiemu rządowi tymczasowemu w 1848 roku, lecz również «królowej Wiktorii i odpowiedzialnym doradcom». (Uwaga Engelsa).

1828 Owen opracował projekt utworzenia kolonii komunistycznych celem usunięcia nędzy irlandzkiej i przedstawił całkowity kosztorys wydatków na urządzenie kolonii, wydatków rocznych i przypuszczalnych dochodów. W ostatecznym jego planie przyszłości znajdujemy tak rzeczowe opracowanie techniczne szczegółów, łącznie z rozplanowaniem, szkicem perspektywicznym i widokiem z lotu ptaka, że skoro się raz uznało owenowską metodę przeobrażania społeczeństwa, to nawet z fachowego punktu widzenia nie można by było przeciwko szczegółom podnieść jakichkolwiek poważniejszych zarzutów.

Przejście do komunizmu było punktem zwrotnym w życiu Owena. Dopóki występował jako zwykły filantrop, zyskiwał tylko bogactwo, poklask, zaszczyty i sławę. Był najpopularniejszym człowiekiem w Europie. Jego słowom przysłuchiwali się z uznaniem nie tylko członkowie jego klasy, lecz także mężowie stanu i monarchowie. Gdy wazakże wystąpił ze swymi teoriami komunistycznymi, wszystko się zmieniło. Trzy wielkie przeszkody zdawały się przede wszystkim zagradzać mu drogę do przeobrażenia społeczeństwa: własność prywatna, religia i współczesna forma małżeństwa. Owen wiedział, co go czeka, skoro zaatakuje te przeszkody: powszechne wyklęcie przez oficjalne społeczeństwo, całkowita utrata stanowiska społecznego. Nie wstrzymało go to jednak od bezwzględного ataku na nie, i stało się właśnie to, co przewidział. Wygnany z oficjalnego społeczeństwa, przemilczany przez prasę, zubożały wskutek nieudanych doświadczeń komunistycznych w Ameryce, na które poświęcił cały swój majątek, zwrócił się wprost do klasy robotniczej i działał w jej szeregach jeszcze przez lat 30. Wszystkie ruchy społeczne, wszystkie rzeczywiste zdobycze, osiągnięte w Anglii w interesie klasy robotniczej, związane były z imieniem Owena. Tak więc np. w r. 1819, po pięcioletnich wysiłkach, dopiął Owen uchwalenia pierwszej ustawy o ograniczeniu pracy fabrycznej kobiet i dzieci. Przewodniczył na pierwszym kongresie, na którym trade-uniony całej Anglii zjednoczyły się w jedno wielkie zrzeszenie zawodowe. Wprowadził w charakterze środków przejściowych do całkowitej komunistycznej organizacji społeczeństwa z jednej strony stowarzyszenia spółdzielcze (spożywcze i wytwórcze), które od tego czasu dostarczały przynajmniej tego praktycznego dowodu, że zarówno kupiec jak i fabrykant są całkiem zbyteczni; z drugiej strony zorganizował bazy pracy, tj. zakłady, gdzie odbywała się wymiana produktów pracy przy pomocy papierowego pieniądza, którego jednostką była godzina pracy; zakłady te służyły

musiały upaść, wyprzedziły one jednak całkowicie o wiele późniejszy proudhonowski bank wymiany, różniąc się wszakże od niego właśnie, że nie występowały jako uniwersalny lek na wszelkie dolegliwości społeczne, lecz miały być tylko pierwszym krokiem do daleko radykalniejszego przekształcenia społeczeństwa.

Sposób myślenia utopistów panował długo nad wyobrażeniami socjalistycznymi XIX wieku i panuje nad nimi częściowo dziś jeszcze. Hołdowali mu jeszcze do niedawna wszyscy socjaliści francuscy i angielscy, a także wcześniejszy komunizm niemiecki, wraz z Weitlingiem. Socjalizm jest dla nich wszystkich wyrazem absolutnej prawdy, rozumu i sprawiedliwości, i dość jest go odkryć, aby zdobył on świat własną siłą; a ponieważ prawda absolutna niezależna jest od czasu, przestrzeni i ludzkiego rozwoju historycznego, przeto jest rzeczą czystego trafu, kiedy i gdzie zostanie odkryta. Przy tym jednak prawda absolutna, rozum i sprawiedliwość, są znowuż odmienne u każdego założyciela szkoły; a ponieważ u każdego z nich szczególny rodzaj absolutnej prawdy, rozumu i sprawiedliwości zależy znowu od jego subiektywnego rozsądku, od jego warunków życiowych, miary jego wiedzy i wyrobienia myślowego, to w tym zderzeniu prawd absolutnych może być tylko jedno wyjście: wzajemne ścieranie sobie kantów. Skutek mógł być tedy tylko ten, że powstał rodzaj eklektycznego przeciętnego socjalizmu, który też rzeczywiście panuje do dziś w umysłach większości robotników socjalistycznych we Francji i w Anglii. Jest to pstra mieszanina obejmująca najróżnorodniejsze odcienie — mieszanina stosunkowo mniej kwestionowanych wypowiedzeń krytycznych, twierdzeń ekonomicznych i wyobrażeń o przyszłości społeczeństwa, pochodzących od rozmaitych założycieli sekt, — mieszanina, dająca się spreparować tym łatwiej, im bardziej w potoku rozpraw ścierają się ostre, wyraziste kandy jej poszczególnych składników, podobnie jak szlifują się w strumieniu okrągłe kamyczki. Aby socjalizm uczynić nauką, trzeba go było wprawdzie postawić na gruncie realnym.

II

Tymczasem obok francuskiej filozofii XVIII stulecia i zaraz po niej, powstała nowoczesna filozofia niemiecka i znalazła swój punkt szczytowy w Heglu. Jej największą zasługą był powrót do dialektyki, jako najwyższej formy myślenia. Starożytni filozofowie greccy byli wszyscy urodzonymi, żywiołowym dialektykami,

a Arystoteles, który wśród nich był najuniwersalniejszą głową, zbadał już nawet najistotniejsze formy myślenia dialektycznego. Natomiast filozofia nowoczesna, jakkolwiek liczyła również świetnych przedstawicieli dialektyki (np. Descartesa i Spinozę), grzeszyła, zwłaszcza pod wpływem angielskim, coraz bardziej w tzw. metafizycznej metodzie myślenia, która niemal wyłącznie opanowała również Francuzów XVIII stulecia, przynajmniej w ich specjalnych filozoficznych pracach. Poza obrębem właściwej filozofii potrafili i oni dostarczyć arcydzieł dialektyki, że przypomnimy tylko «Siostrzeńca Rameau» Diderota i rozprawę «O pochodzeniu nierówności między ludźmi» Rousseau.

Wyłożymy poniżej krótko istotę obu metod myślenia.

Jeżeli przyrodę, albo historię ludzkości, albo naszą własną działalność duchową poddamy badaniu myślowemu, to powstaje przed nami zrazu obraz nieskończonego spłotu związków i wzajemnych oddziaływań, w którym nic nie pozostaje tym czym było, gdzie było i takim jak było, lecz wszystko się porusza, zmienia, staje się i znika. Widzimy więc najpierw obraz ogólny, w którym szczegóły ustępują mniej lub więcej na plan dalszy, zwracamy więcej uwagi na ruch, przejścia, związki, niż na to, co mianowicie się porusza, przechodzi i wiąże. Ten pierwotny, naiwny, ale w gruncie rzeczy słuszny pogląd na świat, właściwy jest starożytnej filozofii greckiej i został jasno wypowiedziany najpierw przez Heraklita: wszystko jest i zarazem nie jest, ponieważ wszystko *plynie*, ciągle się zmienia, jest ciągle w procesie stawania się i zanikania. Ale ten pogląd, jakkolwiek słusznie ujmując ogólny charakter całego obrazu zjawisk, nie wystarcza jednak na wy tłumaczenie szczegółów, z których składa się ten obraz ogólny; a dopóki nie znamy szczegółów, nie jest też dla nas jasny obraz ogólny. Dla poznania tych szczegółów musimy je wyrwać z ich związku naturalnego lub historycznego i zbadać każdy z nich osobno według jego właściwości, jego szczególnych przyczyn i skutków itd. Jest to przede wszystkim zadanie nauk przyrodniczych i historii, gałęzi badań, które ze zrozumiałych względów grały podrzędną rolę u Greków epoki klasycznej, bo musieli oni najpierw nagromadzić odpowiedni materiał. Dopiero gdy nagromadzony jest w dostatecznym stopniu materiał przyrodniczy i historyczny, można się zabrać do jego krytycznej selekcji, do porównania wzgl. do podziału na klasy, kategorie i rodzaje. Dlatego też początki ścisłego badania przyrody rozwijają się dopiero u Greków okresu aleksandryjskiego¹, a później w wiekach średnich rozwijają się dalej u Arabów; rzeczywiście zaś

nauka o przyrodzie datuje się dopiero od drugiej połowy XV wieku i postępuje odtań naprzód z coraz większą szybkością. Rozłożenie przyrody na jej poszczególne części, podział jej rozmaitych procesów i przedmiotów na określone klasy, badanie wewnętrznej budowy ciał organicznych w ich najrozmaitszych formach anatomicznych, — wszystko to było podstawowym warunkiem olbrzymich postępów, które przyniosły nam ostatnie cztery stulecia w dziedzinie poznania przyrody. Ale ta metoda pozostawiła nam zarazem przyzwyczajenie do ujmowania przedmiotów i procesów przyrody w ich odosobnieniu, poza ich wielką więzią ogólną, a więc nie w ich ruchu, lecz w spoczynku; nie jako zmienne w swej istocie, lecz jako stałe realności; nie w ich życiu, lecz w ich śmierci. Ten sposób badania, przeniesiony przez Bacona i Locke'a z przyrodoznawstwa do filozofii, stworzył swoistą ograniczoność ostatnich stuleci, mianowicie metafizyczny sposób myślenia.

Dla metafizyka rzeczy i ich odbicia myślowe, pojęcia, są odosobnionymi, stałymi, sztywnymi przedmiotami badania, danymi raz na zawsze, wymagającymi rozpatrzenia jeden po drugim i jeden niezależnie od drugiego. Metafizyk myśli zawsze samymi absolutnymi przeciwieństwami, mowa jego jest: «tak — tak, nie — nie», co ponad to, pochodzi od «złego ducha». Dla niego rzecz albo istnieje, albo nie istnieje; podobnie żadna rzecz nie może być sobą i jednocześnie czymś innym. Dodatnie i ujemne wyłącza się absolutnie wzajem; przyczyna i skutek znajdują się również w zakrzepłym przeciwieństwie. Ten sposób myślenia na pierwszy rzut oka przemawia nam bardzo do przekonania, dlatego, że jest sposobem myślenia tak zwanego zdrowego rozsądku. Ale zdrowy rozsądek, ów wielce czcigodny domorosły doradca w obrębie swoich czterech ścian, doświadcza wielu osobliwych przygód, skoro odważy się zapuścić w szeroki świat badań; podobnie metafizyczny sposób myślenia, jakkolwiek uprawniony i nawet nieodzowny w pewnych — zależnie od natury przedmiotu — mniej lub więcej rozległych dziedzinach badań, uderza jednak prędzej czy później za każdym razem o granicę, poza którą staje się jednostronny, ciasny, abstrakcyjny i wikła się w nierozwiązalnych sprzeczno-

¹ Okres aleksandryjski rozwoju nauki przypada na czas od III stulecia przed naszą erą do VI stulecia naszej ery, a nazywa się tak od miasta Aleksandrii w Egipcie (port nad morzem Śródziemnym), które w owym czasie było jednym z największych ośrodków międzynarodowych stosunków gospodarczych. W owym okresie rozwinęły się w dużym stopniu nauki ścisłe i przyrodnicze: matematyka (Euklides i Archimedes), geografia, astronomia, anatomia, fizjologia i inne. *Red.*

ściach, ponieważ poza poszczególnymi rzeczami nie widzi ich związku, poza ich istnieniem — ich stawiania się i zanikania, poza ich spoczynkiem — ich ruchu, ponieważ poza drzewami nie widzi lasu. Na przykład w życiu codziennym wiemy i możemy powiedzieć z całą pewnością, czy jakieś zwierzę istnieje, czy nie, ale przy dokładniejszym badaniu przekonamy się, że jest to niekiedy niezmiernie zawiła kwestia, o czym wiedzą doskonale prawnicy, którzy daremnie biedzili się nad tym, by znaleźć racjonalną granicę, od której uśmiercenie dziecka w łonie matki staje się mordem. Tak samo niepodobieństwem jest stwierdzić chwilę śmierci, skoro fizjologia dowodzi, że śmierć nie jest jednorazowym, momentalnym aktem, lecz bardzo przewlekłym procesem. Tak samo każda istota organiczna jest w każdej chwili ta sama i nie ta sama; przerabia w każdej chwili otrzymane z zewnątrz substancje a wydziela inne, w każdej chwili pewne komórki jej ciała obumierają i tworzą się nowe; w miarę upływu pewnego dłuższego lub krótszego czasu materia tego ciała całkowicie się odnawia, zastępują ją inne atomy materii, tak że każda zorganizowana istota jest ciągle ta sama, a jednak inna. Tak samo przy głębszym zastanowieniu się znajdujemy, że dwa bieguny jakiegoś przeciwieństwa, ujemny i dodatni — są w takim samym stopniu nierozrwalne jak przeciwstawne, i pomimo całej swej przeciwstawności wzajemnie się przenikają. Przekonujemy się również, że przyczyna i skutek są wyobrażeniami właściwymi tylko w zastosowaniu do pewnego poszczególnego wypadku, że skoro jednak rozpatrzmy ów poszczególny wypadek w jego ogólnym związku z całością świata, przyczyna i skutek zlewają się w jedno, roztapiają się w pojęciu powszechnego, wzajemnego oddziaływania, w którym przyczyny i skutki ciągle zamieniają się miejscami; i to, co teraz lub tutaj jest skutkiem, staje się tam lub wtedy przyczyną i odwrotnie.

Wszystkie te procesy i metody myślenia nie mieszczą się w ramach myślenia metafizycznego. Natomiast dla dialektyki, która rzeczy i ich odbicia pojęciowe ujmuje zasadniczo w ich związku, ich zazębieniu, ich ruchu, ich powstawaniu i zanikaniu, procesy w rodzaju opisanych są tylko potwierdzeniem jej własnej metody. Przyroda, jest kamieniem probierczym dialektyki, i trzeba przyznać nowoczesnemu przyrodoznawstwu, że dostarczyło dla tej próby nadzwyczaj obfity, co dzień rosnący materiał i wykazało tym samym, że w przyrodzie wszystko w ostatniej instancji dzieje się dialektycznie, a nie metafizycznie, że nie porusza się ona w wiecznie tym samym, powtarzającym się ustawicznie kole, lecz

przechodzi rzeczywistą historię. Należy tu przede wszystkim wymienić Darwina, który zadał najpotężniejszy cios metafizycznemu pojmowaniu przyrody, wykazując, że cała dzisiejsza przyroda organiczna, rośliny i zwierzęta, a wraz z nimi i człowiek, są wytworem procesu rozwojowego, ciągnącego się miliony lat. Ponieważ jednak przyrodników, którzy nauczyli się myśleć dialektycznie, można do dziś dnia policzyć na palcach, przeło bezgraniczny zamęt, panujący obecnie w teoretycznym przyrodoznawstwie, wprawiający w rozpacz zarówno nauczycieli jak i uczniów, zarówno autorów jak i czytelników, daje się wytłumaczyć jako skutek konfliktu między odkrytymi rezultatami a tradycyjnym sposobem myślenia.

Tak więc ściśle przedstawienie wszechświata, jego rozwoju i rozwoju ludzkości, jako też odbicia owego rozwoju w umysłach ludzkich, może być osiągnięte tylko na drodze dialektycznej, przy stałym uwzględnieniu powszechnego oddziaływania wzajemnego w procesie stawania się i zanikania, zmian postępowych lub wstecznych. I w tym właśnie duchu wystąpiła od razu nowsza filozofia niemiecka. Kant rozpoczął swą działalność od tego, że przeobraził niezmienny newtonowski układ słoneczny, który po otrzymaniu osławionego pierwszego impulsu miał trwać wiecznie, w proces historyczny: w proces powstania słońca i wszystkich planet z wirującej masy mgławicowej. Przy tym Kant wyprowadził już wówczas wniosek, że takie powstanie układu słonecznego zakłada również nieuchronnie jego przyszłą zagładę. Pogląd Kanta w pół wieku później został uzasadniony matematycznie przez Laplace'a, a po upływie jeszcze połowy stulecia spektroskop wykazał istnienie w przestrzeni kosmicznej takich właśnie rozżarzonych mas gazowych w różnych stopniach zgęszczenia.

Owa nowsza filozofia niemiecka doszła do swego szczytu w systemie Hegla, w którym poraz pierwszy — co właśnie stanowi jego wielką zasługę — cały świat przyrody, historii i ducha przedstawiony został jako proces, tj. w ciągłym ruchu, zmianie, przeobrażeniu i rozwoju, i podjęta została próba wykazania związku wewnętrznego w tym ruchu i rozwoju. Z tego punktu widzenia historia ludzkości przestała wydawać się jedynie bezwładnym kłębkim bezmyślnych gwałtów, które zasługują bez wyjątku na potępienie przed trybunałem dojrzałego dziś rozumu filozoficznego i które należałoby najlepiej puścić jak najszybciej w niepamięć. Przeciwnie, historia wystąpiła jako proces rozwoju samej ludzkości, i zadaniem myśli stało się wysledzić stopniowe posuwanie się tego procesu poprzez wszystkie manowce i wykazać jego we-

wewnętrzna prawidłowość poprzez wszystkie pozorne przypadkowości.

Mniejsza w tej chwili o to, że system heglowski nie rozwiązał zadania, które sobie postawił. Jego epokową zasługą było samo postawienie kwestii. Chodzi tu bowiem o zadanie, którego rozwiązaniu oddzielna jednostka nigdy nie podoła. Pomimo że Hegel był, obok Saint-Simona, najuniwersalniejszym umysłem swego czasu, jednak i on nie mógł wyjść ani poza ograniczony z konieczności obręb swojej własnej wiedzy, ani wiedzy i poglądów epoki, również ograniczonych pod względem zakresu i głębi. Do tych dwóch okoliczności dochodzi jeszcze i trzecia. Hegel był idealistą. Znaczy to, że powstałych w głowie ludzkiej myśli nie uważał za mniej lub więcej abstrakcyjne odbicia rzeczywistych przedmiotów i procesów, lecz że przeciwnie — rzeczy i ich rozwój wydawały mu się tylko urzeczywistnionymi odbiciami «idei», która istniała w jakiś sposób przed początkiem świata. Tym samym wszystko postawione zostało na głowie i rzeczywisty związek rzeczy w świecie został odwrócony. Dlatego też, pomimo słusznego i genialnego nawet ujęcia niektórych poszczególnych związków przez Hegla, wiele musiało w jego przedstawieniu — z podanych wyżej przyczyn — wypaść nawet w szczegółach, jako łańcuch, jako sztuczne i wypaczone konstrukcje. Systemat heglowski był jako systemat poronionym płodem — ale też ostatnim w swoim rodzaju. Systemat ów cierpiał ponadto na nieuleczalną sprzeczność wewnętrzną; z jednej strony opierał się zasadniczo na pojmowaniu historycznym, ujmującym dzieje ludzkości jako proces rozwojowy, który z samej swej natury nie może dobiec swego kresu intelektualnego przez odkrycie tzw. prawdy absolutnej, z drugiej strony jednak systemat Hegla podaje się za kwintesencję właśnie prawdy absolutnej. Wszechogarniający, raz na zawsze zamknięty systemat poznania przyrody i historii pozostaje w sprzeczności z podstawowymi prawami myślenia dialektycznego. Nie wyłącza to jednak bynajmniej, lecz przeciwnie zakłada olbrzymie postępy, jakie czynić może z pokolenia na pokolenie systematyczne poznanie całego świata zewnętrznego.

Zrozumienie zupełnej opaczności dotychczasowego idealizmu niemieckiego prowadziło z konieczności do materializmu, ale oczywiście nie do jedynie metafizycznego, wyłącznie mechanistycznego materializmu XVIII wieku. W przeciwieństwie do naiwnie rewolucyjnego, prostego odrzucenia całej dotychczasowej historii, materializm nowoczesny widzi w niej proces rozwoju ludzkości i stawia sobie za zadanie — odkrycie praw jego ruchu. Materia-

lizm ten pozostaje w przeciwieństwie do poglądów francuskich myślicieli XVIII wieku jak i do zapatrywań spotykanych jeszcze u Hegla, filozofowie ci bowiem wyobrażali sobie przyrodę jako niezmenną całość, obracającą się w wąskim kręgu wraz z wiecznymi ciałami niebieskimi, jak nauczał Newton, i wraz z niezmiennymi gatunkami istot organicznych, jak nauczał Linneusz; natomiast nowoczesny materializm uogólnia nowsze postępy nauk przyrodniczych zbiegające się w tym punkcie, że przyroda ma także swoją historię w czasie, że ciała niebieskie, równie jak gatunki organizmów, zaludniających te ciała w sprzyjających warunkach, powstają, zanikają, a kręgi ich obrotów, o ile w ogóle dopuszczamy jeszcze ich istnienie, przybierają nieskończenie większe rozmiary. W obu wypadkach materializm jest z istoty swej dialektyczny i nie wymaga już filozofii, stojącej ponad innymi naukami. Z chwilą, gdy żąda się od każdej poszczególniej nauki, aby zdała sobie sprawę ze swego miejsca w ogólnym związku rzeczy i wiedzy o rzeczach — wszelka odrębna nauka o związku wszechrzeczy staje się zbyteczna. Z całej dotychczasowej filozofii pozostaje wtedy, jako samodzielna dziedzina, tylko nauka o myśleniu i jego prawach — logika formalna i dialektyka. Wszystko inne rozplywa się w pozytywnej nauce o przyrodzie i historii.

Jeżeli wszakże przewrót w pojęciach na przyrodę mógł dokonywać się tylko w miarę tego, jak badania dostarczały odpowiedniego pozytywnego materiału poznawczego, to o wiele wcześniej zaszły fakty historyczne, które wywołały decydujący zwrot w pojmowaniu dziejów. W roku 1831 doszło w Lyonie do pierwszego powstania robotników¹; w r. 1838—42 pierwszy ruch robotniczy w skali narodowej, czaryzm angielski², osiągnął swój punkt

¹ Powstanie lyońskich robotników-tkaczy w r. 1831 we Francji było odpowiedzią na masakrę demonstracji robotniczej w czasie strajku o wprowadzenie minimum płacy robotczej. Robotnicy-powstańcy wzniesli w całym mieście barykady, przez kilka dni mieli w swym ręku całe miasto i zostali pokonani dopiero przez regularne wojsko, które rząd francuski przysłał na pomoc burżuazji lyońskiej. Red.

² Ruch czarystów w Anglii objął ogromną większość angielskiej klasy robotniczej i był pierwszym samodzielnym ruchem politycznym proletariatu. Nazwa ruchu («czaryści») pochodzi od podanej przez robotników w roku 1839 do parlamentu petycji — «charter» — zawierającej zasadnicze ich żądania: 1) powszechne prawo wyborcze, 2) coroczne wybory do parlamentu, 3) diety dla członków parlamentu, 4) tajne głosowanie przy wyborach do parlamentu, 5) równe okręgi wyborcze, 6) zniesienie cenzusu majątkowego dla posłów. Klasa robotnicza Anglii w ciągu paru lat prowadziła walkę o te żądania za pomocą petycji, strajków, demonstracji i zbrojnych starć z policją. Red.

szczytowy. Walka klasowa między proletariatem a burżuazją występowała na czoło w historii najbardziej przodujących krajów Europy w miarę rozwoju tam, z jednej strony — wielkiego przemysłu, z drugiej — w miarę umacniania się świeżo zdobytego panowania politycznego burżuazji. Teoriom ekonomii burżuazyjnej o tożsamości interesów kapitału i pracy, o powszechnej harmonii i powszechnym dobrobycie ludu, jako skutku wolnej konkurencji — zadawały coraz dobitniej kłam fakty. Z wszystkimi tymi faktami nie można już było nie liczyć się, podobnie jak z socjalizmem francuskim i angielskim, który był ich wyrazem teoretycznym, jakkolwiek wysoce niedoskonałym. Ale dawne idealistyczne pojmowanie dziejów, które nie było jeszcze wyparte, nie znało żadnych walk klasowych, opartych na interesach materialnych, nie znało w ogóle żadnych interesów materialnych. Produkcją i wszelkimi stosunkami ekonomicznymi zajmowało się ono tylko mimochodem, jako podrzędnymi elementami «historii kultury».

Nowe fakty zmuszały do poddania całej dotychczasowej historii ponownemu zbadaniu. I otóż okazało się, że *cała* dotychczasowa historia — z wyjątkiem dziejów stosunków pierwotnych — była historią walk klasowych, i że zwalczające się wzajem klasy społeczne były każdorazowo wytworami stosunków produkcji i wymiany, słowem — stosunków *ekonomicznych* swojej epoki. Okazało się zatem, że każdorazowa struktura ekonomiczna społeczeństwa stanowi realną podstawę, tłumaczącą w ostatniej instancji całą nadbudowę instytucji prawnych i politycznych, a także wyobrażeń religijnych, filozoficznych i innych, właściwych każdemu okresowi historycznemu. Hegel uwolnił pojmowanie historii od metafizyki, uczynił historię dialektyczną — ale jego pojmowanie historii było z gruntu idealistyczne. Teraz dopiero idealizm został wypędzony ze swego ostatniego schronienia — z pojmowania historii; powstało materialistyczne pojmowanie dziejów, i znalazła się droga do tłumaczenia świadomości ludzi ich bytem, a nie jak dotąd — bytu ludzi ich świadomością.

Socjalizm nie występował już w ten sposób jako przypadkowe odkrycie tego czy innego genialnego umysłu, lecz jako nieunikniony wytwór walki dwóch historycznie powstałych klas — proletariatu i burżuazji. Zadaniem jego nie było już opracowanie możliwie najdoskonalszego systemu społeczeństwa, lecz zbadanie historycznego procesu ekonomicznego, z którego wyłoniły się nieuchronnie te klasy oraz ich walka, i wykrycie w powstałej w ten sposób sytuacji ekonomicznej środków rozwiązania tego konfliktu. Ale

i dotychczasowy socjalizm był tak samo niezgodny z owym materialistycznym ujęciem historii, jak pogląd francuskich materialistów na przyrodę niezgodny był z dialektyką i nowszą wiedzą przyrodniczą. Dotychczasowy socjalizm krytykował wprowadzenie istniejącego kapitalistycznego sposobu produkcji i jego następstwa, nie mógł ich jednak wyjaśnić, a więc i przewyżczyć, mógł je tylko po prostu potępić, jako złe. Im gwałtowniej potępiał nieodłączny od tego sposobu produkcji wyzysk klasy robotniczej, tym mniej potrafił wyraźnie wskazać, na czym ten wyzysk polega i skąd się bierze. Chodziło wszakże o to, aby przedstawić z jednej strony w jego związku historycznym kapitalistyczny sposób wytwarzania i jego konieczność w pewnym określonym okresie historycznym, a więc i konieczność jego upadku, z drugiej zaś, aby odsłonić jego charakter wewnętrzny wciąż pozostający jeszcze w ukryciu. To właśnie dokonane zostało przez odkrycie wartości dodatkowej. Wykazano, że formą zasadniczą kapitalistycznego sposobu produkcji i dokonywanego za jego sprawą wyzysku robotnika jest przywłaszczanie nieopłaconej pracy; że kapitalista nawet wtedy, gdy kupuje siłę roboczą swego robotnika w zamian za całkowitą jej wartość w charakterze towaru na rynku towarowym, nawet wtedy uzyskuje za tę siłę roboczą więcej wartości, niż za nią zapłacił. Okazało się wreszcie, że ta wartość dodatkowa w ostatniej instancji stanowi sumę wartości, z której tworzy się kapitał, gromadzący się w coraz większych rozmiarach w rękach klas posiadających. Wyjaśniony został zarówno przebieg produkcji kapitalistycznej jak i produkcji kapitału.

Te dwa wielkie odkrycia — materialistyczne pojmowanie dziejów i odsłonięcie tajemnicy produkcji kapitalistycznej za pośrednictwem wartości dodatkowej, — zawdzięczamy Marksowi. One to uczyniły socjalizm nauką, którą należy teraz przede wszystkim rozwijać dalej we wszystkich jej szczegółach i powiązaniach.

III

Materialistyczne pojmowanie dziejów wychodzi z założenia, że podstawą wszelkiego ustroju społecznego jest produkcja, a obok produkcji — wymiana jej wytworów, że w każdym społeczeństwie, występującym na widownię dziejową, podział produktów, a wraz z nim zróżniczkowanie społeczne na klasy lub stany, zależy od

tego, co i jak się produkuje i jak się wymienia produkty. Zatem ostatecznych przyczyn wszystkich zmian społecznych i przewrotów politycznych należy szukać nie w głowach ludzi, nie w ich coraz lepszym rozumieniu wieczystej prawdy i sprawiedliwości, lecz w zmianach sposobu produkcji i wymiany. Przyczyn tych szukać należy nie w *filozofii*, lecz w *ekonomice* danej epoki. Jeżeli budzi się świadomość, że istniejące instytucje społeczne są nierozumne i niesprawiedliwe, że rozumne stało się niedorzeczne, a dobrodziejstwo plagą, jest to tylko oznaką faktu, że w metodach produkcji i w formach wymiany zaszyły niepostrzeżenie zmiany, którym już nie odpowiada ustrój społeczny, skrojony na miarę dawnych warunków ekonomicznych. Stąd zaś wynika, że i środki usunięcia ujawnionego zła muszą być zawarte — w mniej lub więcej rozwiniętej postaci — w tych samych zmienionych stosunkach produkcji. Środków tych nie należy bynajmniej *wynajdywać*, brać ich z własnej głowy, lecz za pomocą głowy *odkrywać* w istniejących materialnych faktach produkcji.

Jakże to czyni nowoczesny socjalizm?

Obecny ustrój społeczny — według bodaj już powszechnego zdania — stworzony został przez panującą obecnie klasę, mianowicie przez burżuazję. Właściwy burżuazji sposób produkcji, który od czasów Marksa nazywamy kapitalistycznym sposobem produkcji, nie dawał się pogodzić z przywilejami lokalnymi i stanowymi, a także z wzajemnymi węzłami osobistymi, które charakteryzowały ustrój feudalny. Burżuazja rozbiła ustrój feudalny i zbudowała na jego gruzach burżuazyjny ustrój społeczny, państwo wolnej konkurencji, wolności przenoszenia się, równouprawnienia posiadaczy towarów i tym podobnych wspaniałości burżuazyjnych. Odtąd kapitalistyczny sposób produkcji mógł się swobodnie rozwijać. Od czasu, jak para i nowoczesne zmechanizowane narzędzia przekształciły dawną manufakturę w wielki przemysł, siły wytwórcze powstałe pod kierownictwem burżuazji rozwijały się z niesłychaną dotąd szybkością i w niesłychanych dotychczas rozmiarach. Ale podobnie, jak swego czasu manufaktura i rozwinięte pod jej oddziaływaniem rzemiosło popadły w konflikt z feudalnymi pętami cechów, tak wielki przemysł na wyższym stopniu swego rozwoju popada w konflikt ze szrankami, w które go wcisnął kapitalistyczny sposób produkcji. Nowe siły wytwórcze przerosły znacznie burżuazyjną formę ich użytkowania. Ten zaś konflikt między siłami wytwórczymi a sposobem wytwarzania nie jest bynajmniej konfliktem, zrodzonym w głowach ludzkich, jak przypuścimy konflikt ludzkiego grzechu pierwotnego z boską

sprawiedliwością, lecz tkwi w samych faktach, obiektywnie poza nami, niezależnie od woli lub postępowania nawet tych ludzi, którzy go wywołali. Nowoczesny socjalizm nie jest niczym innym, jak tylko myślowym odbiciem tego faktycznego konfliktu, jego idealnym odzwierciedleniem przede wszystkim w umysłach klasy, która cierpi bezpośrednio wskutek wspomnianego konfliktu, mianowicie klasy robotniczej.

Na czymże polega ten konflikt?

Przed epoką produkcji kapitalistycznej, a więc w średnio-wieczu, powszechną formą wytwarzania była drobna produkcja, której podstawą była prywatna własność pracownika na środki produkcji; na wsi panowała gospodarka rolna drobnych chłopów, wolnych lub poddanych, w mieście — rzemiosło. Środki pracy — ziemia, narzędzia rolnicze, warsztat, narzędzia rzemieślnicze, były środkami pracy jednostek, obliczonymi tylko na użytkowanie jednostkowe, a więc z konieczności były drobne, karłowate, ograniczone. Ale właśnie dlatego były one z reguły własnością wytwórcy. Skoncentrowanie i powiększenie tych rozproszonych, ograniczonych środków produkcji, przemiana ich w potężne nowoczesne dźwignie wytwarzania — oto na czym polegała historyczna rola kapitalistycznego sposobu produkcji i jego nościeli — burżuazji. W czwartym rozdziale «Kapitału» Marks przedstawił szczegółowo, jak burżuazja począwszy od XV stulecia przeprowadziła historycznie to zadanie poprzez trzy szczeble — prostą kooperację, manufakturę i wielki przemysł. Ale burżuazja, jak tamże również dowiódł Marks, mogła te ograniczone środki wytwarzania przeobrazić w olbrzymie siły wytwórcze tylko w ten sposób, że z indywidualnych środków produkcji zmieniła je w społeczne, którymi może się tylko posługiwać zbiorowość ludzka. W miejsce dawnego kołowrotka, ręcznych krosien, młota kowalskiego, zjawia się mechaniczny warsztat tkacki, krosna mechaniczne, młot parowy; zamiast jednostkowego warsztatu, fabryka wymagająca współdziałania setek i tysięcy. A i sama produkcja analogicznie do środków produkcji przemieniła się z szeregu operacji indywidualnych w szereg czynności społecznych, produkty zaś — z wytworów jednostek przeobraziły się w produkty społeczne. Dostarczane obecnie przez fabrykę: przedza, tkaniny, wyroby metalowe, wszystko to było wspólnym wytworem wielu robotników, przez których ręce po kolei przechodzić musiało, zanim się stało gotowym fabrykatem. Żadna jednostka nie może o nich powiedzieć: «Ja to zrobiłem, to mój produkt».

Gdzie jednak podstawową formą produkcji jest żywiolowy, bezplanowo i stopniowo powstały podział pracy wewnątrz społeczeństwa, tam nadaje on produktom formę towarów, których wzajemna wymiana, kupno i sprzedaż umożliwiają poszczególnym producentom zaspokojenie ich rozmaitych potrzeb. Tak rzeczy się miały w wiekach średnich. Chłop np. sprzedawał produkty rolne rzemieślnikowi, a za to kupował od niego wyroby rzemieślnicze. I otóż do tego społeczeństwa indywidualnych producentów, wytwórców towarów, wtargnął nowy sposób produkcji. Do żywiolowego, bezplanowego podziału pracy, panującego w całym społeczeństwie, wniósł on *planowy* podział pracy, zorganizowany w każdej poszczególniej fabryce; obok produkcji *jednostkowej* wystąpiła produkcja *społeczna*. Wytwory obu sprzedawano na tym samym rynku, a więc po jednakowych, przynajmniej w przybliżeniu, cenach. Ale organizacja planowa była potężniejsza od żywiolowego podziału pracy; fabryki stosujące społeczny podział pracy wytwarzały taniej niż indywidualni drobni producenci. Produkcja indywidualna ponosiła klęskę w jednej dziedzinie po drugiej, produkcja społeczna zrewolucjonizowała cały dotychczasowy sposób wytwarzania. Tak mało poznawano się jednak na tym jej charakterze, rewolucyjnym, że, przeciwnie, wprowadzano ją jako środek podnoszenia i przyspieszenia produkcji towarowej. Powstała ona w bezpośrednim nawiązaniu do określonych, istniejących już przed nią dźwigni produkcji towarowej i wymiany towarów, do kapitału handlowego, rzemiosła, pracy najemnej. Ponieważ sama ona występowała jako nowa forma produkcji towarowej, zatem formy przywłaszczania panujące w produkcji towarowej zachowały i dla niej swą pełną moc.

W takiej produkcji towarowej, jaka rozwinęła się w wiekach średnich, nie mogło być wcale kwestii, do kogo ma należeć wytwór pracy. Producent indywidualny wytwarzał go zazwyczaj z surowców należących do niego i często przez niego samego wytworzonych, przy pomocy własnych narzędzi i pracą rąk własnych lub rąk swej rodziny. Producent wcale nie potrzebował sobie przywłaszczać wytworu, bo ten należał do niego sam przez się. Tak więc własność produktów opierała się na *własnej pracy* producenta. Nawet tam, gdzie posługiwano się obcą pomocą, pozostawała ona z reguły czynnikiem podrzędnym i pracownik otrzymywał często poza płacą inne jeszcze wynagrodzenie, terminator cechowy i czeladnik pracowali nie tyle dla wiktów i dla płacy, jak po to, by wykształcić się na majstrów. Ale oto nastąpiła koniecz-

tracja środków produkcji w wielkich warsztatach i rękodzielnianach, ich przemiana w faktycznie społeczne środki produkcji. Te jednak społeczne środki produkcji i produkty traktowano tak, jak gdyby były po dawnemu środkami produkcji i produktami jednostek. Jeżeli poprzednio właściciel narzędzi pracy przywłaszczał sobie produkt dlatego, że był on z reguły jego własnym wytworem, obecna pomoc była wyjątkiem, to teraz właściciel środków produkcji przywłaszczał sobie produkt w dalszym ciągu, chociaż ten nie był już jego wytworem, lecz wyłącznie wytworem cudzej pracy. Tak więc produkty, wytwarzane teraz społecznie, przywłaszczały sobie nie ci, którzy rzeczywiście posługiwali się środkami produkcji i rzeczywiście wytwarzali produkty, lecz *kapitałisci*. Środki produkcji i sama produkcja stały się w istocie swej społecznymi. Ale podlegają one formie przywłaszczenia, która ma za przesłankę prywatną produkcję indywidualną, a więc posiadanie przez każdego producenta własnego wytworu i zbywania go przezeń na rynku. Sposób produkcji podlega dalej tej formie przywłaszczenia, mimo że usuwa jej przesłankę¹. W tej sprzeczności, która nadaje nowemu sposobowi produkcji jego charakter kapitalistyczny, tkwi już w załączku cała kolizja obecnych czasów. Im bardziej dochodził do panowania nowy sposób produkcji we wszystkich rozstrzygających dziedzinach produkcji i we wszystkich decydujących ekonomicznie krajach, im bardziej wypierał przez to produkcję indywidualną, pozostawiając tylko nieznaczną jej resztkę, tym jaskrawiej musiała się również ujawniać niemożność pogodzenia produkcji społecznej i przywłaszczania kapitalistycznego.

Jak powiedzieliśmy, pierwsi kapitałisci zastali już formę pracy najemnej. Ale praca najemna istniała wówczas jako wyjątek, jako zajęcie poboczne, jako środek pomocniczy, jako stan przejściowy. Robotnik rolny, który chodził na pewien czas na wyrobek, miał parę morgów swojego gruntu, z którego mógł wyżyć od biedy. Ustawy cechowe dbały o to, by dzisiejszy czeladnik stawał się w

¹ Nie potrzebujemy tu jednak szczegółowo dowodzić, że chociaż forma przywłaszczania pozostaje bez zmiany, sam charakter przywłaszczania ulega — przez opisany powyżej proces — rewolucjonizowaniu w nie mniejszym stopniu, niż produkcja. Przywłaszczenie sobie własnego produktu, czy produktu cudzego — są to naturalnie dwa zupełnie różne rodzaje przywłaszczania. Mówiąc mimochodem, praca najemna, w której tkwi już w załączku cały kapitalistyczny sposób produkcji, datuje się z dawnych czasów; poszczególne i rozproszone jej przykłady widzimy w ciągu stuleci obok niewolnictwa. Ale ten załączek mógł się rozwinąć w kapitalistyczny sposób produkcji dopiero wtedy, gdy wytworzyły się po temu niezbędne warunki historyczne. (Uwaga Engelsa).

przyszłości majstrem. Zmieniło się to jednak od czasu, gdy środki produkcji stały się społecznymi i skoncentrowały się w rękach kapitalistów. Środki produkcji drobnego indywidualnego producenta stawały się coraz bardziej bezwartościowe, podobnie jak jego produkt, pozostawiało mu tylko kłó do kapitalisty w charakterze robotnika najemnego. Praca najemna, która dawniej była wyjątkiem i środkiem pomocniczym, stała się regułą i podstawową formą całej produkcji; jeśli dawniej była zajęciem pobocznym, to teraz stała się wyłączną czynnością robotnika. Czasowy robotnik najemny przeobraził się w dożywotniego. Przy tym liczba dożywotnich robotników najemnych olbrzymio wzrosła wskutek jednoczesnej ruiny ustroju feudalnego, rozproszenia się swity panów feudalnych, rugowania chłopów z ich zagrod itd. Dokonał się rozłam między środkami produkcji, skoncentrowanymi na jednym krańcu w rękach kapitalistów, a producentami na drugim krańcu, nie posiadającymi już nic innego, prócz swej siły roboczej. *Sprzeczność między społeczną produkcją a kapitalistycznym przywłaszczaniem występuje na jaw jako przeciwieństwo pomiędzy proletariatem a burżuazją.*

Widzieliśmy, że kapitalistyczny sposób produkcji wtargnął do społeczeństwa indywidualnych producentów towarów, związanych ze sobą społecznie przez wymianę swych produktów. Ale każde społeczeństwo oparte na produkcji towarowej ma tę właściwość, że producenci tracą w nim panowanie nad swymi własnymi stosunkami społecznymi. Każdy produkuje dla siebie przy pomocy swoich przypadkowych środków produkcji i dla swoich odrębnych potrzeb wymiennych. Żaden nie wie, ile wytworów tego samego rodzaju ukaże się na rynku i jaka ich ilość w ogóle znajdzie sobie tam nabywców. Żaden nie wie, czy jego produkty indywidualnej pracy trafią na realny popyt, czy będzie mógł zwrócić sobie koszty, a nawet w ogóle coś sprzedać. W produkcji społecznej panuje anarchia. Ale produkcja towarowa, jak każda inna forma produkcji, posiada swoje odrębne, jej właściwe i od niej nieodłączne prawa i prawa te torują sobie drogę wbrew anarchii, wśród anarchii, poprzez anarchię. Ujawniają się one w jedynej istniejącej nadal formie łączności społecznej, w wymianie, i występują wobec poszczególnych producentów, jako przymusowe prawo konkurencji. Sami więc producenci nie znają początkowo tych praw i muszą je dopiero stopniowo odkrywać przez długie doświadczenia. Prawa te torują więc sobie drogę bez woli producentów i wbrew ich woli, jako ślepo działające prawa ich formy produkcji. Wytwór panuje nad wytwórcą.

W społeczeństwie średniowiecznym, zwłaszcza w pierwszych wiekach, produkcja miała głównie na celu własne spożycie. Zaspokajała ona przeważnie tylko potrzeby wytwórcy i jego rodziny. Tam, gdzie — jak np. na wsi — panowały stosunki zależności osobistej, tam przyczyniała się produkcja również do zaspokajania potrzeb pana feudalnego. Nie było więc przy tym wymiany i produkty nie przybierały charakteru towarów. Rodzina chłopca wytwarzała sama prawie wszystko czego potrzebowała — nie tylko żywność, lecz także sprzęt i odzież. Dopiero wtedy, gdy zaczęła wytwarzać nadwyżkę ponad własne potrzeby i ponad daniny w naturze, należne panu feudalnemu, zaczęła produkować również towary; ta nadwyżka rzucona na szalę wymiany społecznej, wystawiona na sprzedaż, stała się towarem. Wprawdzie rzemieślnicy miejscy musieli już od początku produkować w celu wymiany, — ale i oni wyrabiali sami większą część potrzebnych im produktów, mieli ogrody i pólka, paśli swe bydło w lesie gminnym, który im dostarczał prócz tego budulca i opału, kobiety przedły len, wełnę itd. Produkcja dla wymiany, produkcja towarowa dopiero powstawała. Stąd pochodzi ograniczona wymiana, ograniczony rynek, niezmienny sposób produkcji, lokalne odgródkowanie się na zewnątrz, lokalne zjednoczenie na wewnątrz, marka¹ na wsi, cechy w miastach.

W miarę jednak rozszerzania się produkcji towarowej i zwłaszcza w miarę występowania kapitalistycznego sposobu produkcji, zaczęły coraz otwarciej i potężniej ujawniać się drżące dotychczas prawa produkcji towarowej. Dawne więzi społeczne rozluźniały się, dawne odgradzające szranki zostały przełamane, producenci zmieniali się coraz bardziej w niezależnych, odosobnionych producentów towarowych. Ujawniła się i coraz bardziej zaostrzała się anarchia produkcji społecznej. Jednak główne narzędzie, za pomocą którego kapitalistyczny sposób produkcji wzmacniał tę anarchię produkcji społecznej, było wręcz przeciwieństwem anarchii: narzędziem tym była wzrastająca organizacja produkcji — jako produkcji społecznej w każdym poszczególnym zakładzie wytwórczym. Za pomocą tej dźwigni produkcja kapitalistyczna położyła kres dawnej pokojowej stałości stosunków. Tam, gdzie wtargnęła do jakiejś gałęzi przemysłu, nie znosiła obok siebie żadnej dawniejszej metody wytwarzania. Gdzie opano-

¹ Patrz załącznik na końcu. (*Uwaga Engelsa*). Engels powołuje się tutaj na swą pracę «Marka», załączoną do niemieckiego i angielskiego wydania «Rozwoju socjalizmu». Patrz K. Marks i F. Engels. *Dzieła*, t. XV, str. 629—645, wyd. ros. Red.

walą produkcję rzemieślniczą, tam niszczyła dawne rzemiosło. Pole pracy stało się placem boju. Wielkie odkrycia geograficzne¹ i postępująca za nimi kolonizacja uwielokrotniły rynki zbytu i przyspieszyły przemianę rzemiosła w manufakturę. Walka wybuchła nie tylko pomiędzy poszczególnymi producentami miejscowymi: walki lokalne rozrosły się z kolei w walki narodowe, w wojny handlowe XVII i XVIII wieku². Wreszcie wielki przemysł i powstanie rynku światowego uczyniły walkę powszechną i nadały jej jednocześnie, niesłychaną dotąd gwałtowność. W walce pomiędzy poszczególnymi kapitalistami, jako też między całymi przemysłami i całymi krajami rozstrzygają o ich istnieniu sprzyjające — naturalne czy też sztucznie wytworzone — warunki produkcji. Zwyciężonych usuwa się z całą bezwzględnością. Darwina walka o byt jednostek przenosi się ze społeczeństwa zjadłością z przyrody do społeczeństwa. Przyrodzony stan zwierzęcia okazuje się szczytowym punktem rozwoju ludzkiego. Sprzeczność między produkcją społeczną a przywłaszczaniem kapitalistycznym występuje tu już, jako *przeciwieństwo między organizacją produkcji w poszczególnej fabryce a anarchią produkcji w całym społeczeństwie*.

Kapitalistyczny sposób produkcji porusza się w tych dwóch formach, w których przejawia się wewnętrzna sprzeczność właściwa mu wskutek jego pochodzenia, obraca się bez wyjścia w owym «błędym kole», które odkrył już był w nim Fourier. Ale Fourier nie mógł jeszcze swego czasu dojrzeć, że koło to stopniowo się zacieśnia, że ów ruch odbywa się raczej po linii spiralnej i musi się skończyć tak samo, jak ruch planet, przez zderzenie z ośrodkiem. Siła napędowa społecznej anarchii produkcji zamienia znaczną większość ludzi w proletariuszy, i z kolei proletariatu położo ostateczny kres anarchii produkcji. Siła napędowa społecznej anarchii produkcji zamienia nieskończoną zdolność udoskonalania maszyn wielkoprzemysłowych w prawo, zmuszające każdego poszczególnego kapitalistę-przemysłowca do coraz większego udoskonalania swej maszynierii, pod grozą zagłady. Ale doskonalenie maszynierii czyni zbyteczną część pracy ludzkiej. Jeżeli wprowa-

¹ Najważniejsze spośród nich — to odkrycie w r. 1492 przez Krzysztofa Kolumba Ameryki i odkrycie w r. 1498 przez Vasco da Gama drogi morskiej do Indii Red.

² Wojny handlowe XVII i XVIII stulecia prowadziły między sobą Portugalia, Hiszpania, Holandia, Francja i Anglia o opanowanie handlu z Indiami i Ameryką i przekształcenie ich w kolonie. Z wojen tych zwycięzca wyszła Anglia, w której rękach znalazł się w końcu XVIII stulecia cały handel światowy. Red.

dzanie i rozpowszechnianie maszynierii oznacza wypieranie milionów rękodzielników przez niewielką liczbę robotników maszynowych, to doskonalenie maszynierii oznacza wypieranie coraz to większej liczby samych robotników maszynowych. Powstaje ostatecznie w ten sposób do rozporządzenia kapitału masa robotników najemnych, przewyższająca swą liczebnością przeciętne zapotrzebowanie kapitału, prawdziwa przemysłowa armia rezerwowa, jak ją nazwałem już w r. 1845¹. Armia ta, pozostająca do rozporządzenia kapitału w czasie, gdy przemysł pracuje całą siłą pary, wyrzucana zaś na bruk w chwili nieuniknionego krachu, jest stale kulą u nogi klasy robotniczej w jej walce o byt z kapitałem i stanowi zarazem regulator utrzymujący płacę roboczą na niskim poziomie, odpowiednio do potrzeb kapitału. W ten sposób maszyna, że użyjemy słów Marksa, staje się najpotężniejszym orężem wojennym kapitału przeciw klasie robotniczej, narzędzie pracy robotnika ustawicznie wytrąca mu z ręki środki utrzymania: własny produkt robotnika zamienia się w narzędzie jego ujarzmienia. W ten sposób oszczędzanie środków pracy jest zarazem od samego początku rabunkowym obniżaniem normalnych warunków pracy, w ten sposób maszyna, najpotężniejszy środek skrócenia czasu roboczego, staje się niezawodnym środkiem przemiany całego życia robotnika i jego rodziny w czas roboczy celem powiększenia kapitału. W ten sposób nadmierna praca jednych, uwarunkowuje bezrobocie drugih, a wielki przemysł, goniący po całej kuli ziemskiej w poszukiwaniu nowych spożywców, obniża u siebie w kraju spożycie mas do głodowego minimum i tym samym podkopuje własny rynek wewnętrzny. «Prawo, które utrzymuje stale względny nadmiar ludności, czyli przemysłową armię rezerwową w równowadze z rozmiarami i natężeniem akumulacji kapitału, przykuwa mocniej robotnika do kapitału, niż młot Hefajstosa przykuwał Prometeusza do skały². Prawo to warunkuje akumulację nędzy, odpowiadającą akumulacji kapitału. Akumulacja bogactwa na jednym biegunie jest więc zarazem akumulacją nędzy, udręki, niewolnictwa, ciemnoty, zezwierzeczenia i degradacji moralnej na przeciwnym biegunie, tj. po stronie klasy, która swój własny produkt wytwarza jako kapitał». (Marksa,

¹ «Lage der arbeitenden Klasse in England», str. 109. (Uwaga Engelsa) («Polożenie klasy robotniczej w Anglii»). Patrz K. Marks i F. Engels, Dzieła, t. III, str. 378—379, wyd. ros. Red.

² Prometeusz — bohater legendy starogreckiej, ukradł z nieba ogień dla ludzi. Według podania rozgniewani bogowie kazali bogowi ognia, Hefajstosowi, przykuć Prometeusza do skały. Red.

«Kapitał», str. 671)¹. Oczekiwać od kapitalistycznego sposobu produkcji innego podziału produktów byłoby tym samym, co wymagać, aby elektrody baterii nie rozkładały wody, pomimo, że połączone są z baterią, i aby nie skupiały na biegunie dodatnim tlenu, a na ujemnym wodoru.

Widzieliśmy, jak zdolność nowoczesnych maszyn do doskonalenia się, spotęgowana do najwyższego stopnia, zamienia się wskutek anarchii produkcji społecznej w prawo zmuszające poszczególnego kapitalistę-przemysłowca do stałego ulepszania swych maszyn, do ciągłego zwiększania ich siły produkcyjnej. W takie prawo zamienia się dla kapitalistów sama tylko faktyczna możliwość rozszerzenia rozmiarów produkcji. Olbrzymia zdolność rozszerzania się wielkiego przemysłu, wobec której rozszerzalność gazów jest istną dziecinną igraszką, występuje teraz przed nami jako *potrzeba* rozszerzania się jakościowo i ilościowo, potrzeba, urągająca wszelkiemu oporowi. Opór stawia jej spożycie, warunki zbytu, rynki dla produktów wielkiego przemysłu. Ale rozszerzalność rynków, czy to ekstensywną, czy intensywną, określają przede wszystkim całkiem inne prawa, działające z o wiele mniejszą energią. Rozszerzanie się rynków nie może dotrzymywać kroku rozszerzaniu się produkcji. Starcie staje się nieuchronne, a ponieważ nie może ono dać żadnego rozwiązania póki nie rozsądzi samego kapitalistycznego sposobu produkcji, przeto staje się periodyczne. Produkcja kapitalistyczna wytwarza nowe «błędne koło».

Istotnie, od roku 1825, w którym wybuchł pierwszy powszechny kryzys, mniej więcej co lat dziesięć rozprzega się cały świat przemysłowy i handlowy, produkcja i wymiana wszystkich krajów cywilizowanych i ich mniej lub bardziej barbarzyńskich dodatków terytorialnych. Handel jest zahamowany, rynki są przepełnione, masy produktów leżą bez zbytu, gotówka ulatnia się z obiegu, kredyt znika, fabryki stają. Masom pracującym brak środków do życia dlatego, że wytworzyły zbyt wiele tych środków, bankructwo goni za bankructwem, licytacja za licytacją. Zastój trwa lata, następuje masowe trwonienie i niszczenie sił wytwórczych i wytworów, dopóki nagromadzone masy towarów nie rozplyną się wreszcie przy większym lub mniejszym spadku cen i dopóki produkcja i wymiana znowu się stopniowo nie uruchomią. Wtedy przemysł zaczyna stopniowo przyśpieszać kroku, przechodzi w kłus, kłus przemysłowy przechodzi w galop, ten zaś znowu potęguje się do rozkiełzanego cwałowania, do

¹ Patrz Marks «Kapitał», t. I, str. 515, wyd. ros. 1935 r. Red.

prawdziwego karkołomnego wyścigu przemysłowego, handlowego, kredytowego i spekulacyjnego, aby wreszcie po najbardziej karkołomnych skokach znaleźć się znowu w rowie krachu. I tak wciąż od nowa. Od 1825 roku przeżyliśmy ten proces już cztery razy, a w obecnej chwili (1877) przeżywamy go po raz szósty. Charakter zaś tych kryzysów zaznacza się tak dobitnie, że Fourier określił je wszystkie, gdy nazwał pierwszy z nich *crise pléthorique* — kryzys nadmiaru.

Sprzeczność między produkcją społeczną a kapitalistycznym przywłaszczaniem dochodzi w kryzysach do gwałtownego wybuchu. Obieg towarów ustaje w jednej chwili; środek obiegu — pieniądz — staje się zaporą obiegu: wszystkie prawa produkcji towarowej i obiegu towarów stają do góry nogami. Kolizja ekonomiczna doszła do punktu szczytowego: *sposób produkcji buntuje się przeciw sposobowi wymiany*.

Fakt, że społeczna organizacja produkcji wewnątrz fabryki rozwinęła się do punktu, w którym nie daje się pogodzić z istniejącą obok niej i ponad nią anarchią produkcji w społeczeństwie, — fakt ten odczuwają sami kapitaliści namacalnie wskutek gwałtownej koncentracji kapitałów, która w czasie kryzysów odbywa się poprzez ruinę licznych wielkich kapitalistów i jeszcze większej liczby drobnych. Cały mechanizm kapitalistycznego sposobu produkcji przestaje działać pod ciśnieniem zrodzonych przez niego samego sił wytwórczych. Kapitalistyczny sposób produkcji nie może już zamienić całej tej masy środków produkcji w kapitał; leżą one odłogiem i właśnie dlatego musi być również unieruchomiona przemysłowa armia rezerwowa. Istnieje nadmiar środków produkcji, środków utrzymania, wolnych rąk roboczych, wszystkich czynników produkcji i powszechnego bogactwa. Ale «nadmiar staje się źródłem nędzy i niedostatku» (Fourier), ponieważ on właśnie przeszkadza przemianie środków produkcji i utrzymania — w kapitał. Albowiem w społeczeństwie kapitalistycznym środki produkcji nie mogą być czynne, jeżeli nie zamienią się poprzednio w kapitał, tj. w środek wyzysku ludzkiej siły roboczej. Pomiędzy nimi a robotnikami stoi, jak upiór, konieczność przemiany środków produkcji i utrzymania w kapitał. Ona jedna nie pozwala na współdziałanie rzeczowych i osobowych dźwigni produkcji, ona jedna nie pozwala środkom produkcji funkcjonować, a robotnikom — pracować i żyć. Z jednej więc strony, kapitalistyczny sposób produkcji okazuje się jawnie niezdolny do dalszego zarządzania owymi siłami wytwórczymi, z drugiej strony, te siły wytwórcze prą same coraz potężniej do

zniesienia sprzeczności, do swego wyzwolenia, od samej właściwości działania w charakterze kapitału, do faktycznego uznania ich charakteru jako społecznych sił wytwórczych.

Właśnie ta reakcja potężnie wzrastających sił wytwórczych przeciwko ich zastępowaniu w charakterze kapitału, ten coraz silniejszy przymus uznania ich społecznej natury, zniewała samą klasę kapitalistów w coraz większym stopniu do traktowania ich jako społecznych sił wytwórczych, o ile jest to w ogóle możliwe w ramach stosunków kapitalistycznych. Zarówno okres wysokiej koniunktury przemysłowej ze swym bezgranicznie rozdętym kredytem, jak sam krach, rujnujący wielkie przedsiębiorstwa kapitalistyczne, popychają do tych form uspołecznienia większych mas środków produkcji, jakie widzieliśmy w różnego rodzaju towarzystwach akcyjnych. Niektóre z tych środków produkcji i komunikacji, jak np. koleje, są z natury rzeczy tak kolosalne, że wykluczają wszelką inną formę eksploatacji kapitalistycznej. Na pewnym szczeblu rozwoju nie wystarcza już i ta forma. Wielcy producenci krajowi jednej gałęzi przemysłu łączą się wtedy w «trusty», zjednoczenie, mające na celu regulowanie produkcji, określają ogólną ilość towarów, które należy wytworzyć, dzielą ją między siebie i wymuszają w ten sposób ustaloną z góry cenę sprzedażną. Ponieważ jednak takie trusty przy pierwszym objawie zastoju interesów przeważnie się rozpadają, popychają więc one właśnie przez to do jeszcze bardziej skoncentrowanego uspołecznienia: cała gałąź produkcji zmienia się wtedy w jedną wielką spółkę akcyjną, konkurencja krajowa ustępuje miejsca monopolowi krajowemu tej jednej spółki. Tak stało się już w r. 1890 z angielską produkcją soli alkalicznych, która obecnie, po złączeniu wszystkich 48 wielkich fabryk, skupiona jest w rękach jednej, jednolitej kierowanej spółki o kapitale 120 milionów marek.

W trustach wolna konkurencja przechodzi w monopol¹, a bezplanowa produkcja społeczeństwa kapitalistycznego kapitułuje

¹ *Monopole* — to podstawowa cecha charakterystyczna imperializmu, będącego najwyższym stadium kapitalizmu, jak wskazał Lenin, rozwijając naukę marksizmu. «Imperializm wyrósł jako rozwiniecie i bezpośrednia kontynuacja podstawowych właściwości kapitalizmu w ogóle. Ale kapitalizm stał się imperializmem kapitalistycznym dopiero na określonym, bardzo wysokim stopniu rozwoju, kiedy pewne podstawowe właściwości kapitalizmu zaczęły zamieniać się w swe przeciwieństwo, kiedy na całej linii powstały i ujawniły się cechy epoki przejściowej do kapitalizmu do wyższego ustroju społeczno-ekonomicznego. Sprawą podstawową pod względem ekonomicznym jest w tym procesie zastąpienie kapitalistycznej wolnej konkurencji przez monopole kapitalistyczne. Wolna konkurencja jest podstawową właściwością kapitalizmu i produkcji towarowej w ogóle; monopol stanowi całkowite przeciwieństwo wolnej konkurencji, ale ta ostatnia zaczęła się w naszych oczach przekształcać w mono-

przed planową produkcją nadciągającego społeczeństwa socjalistycznego. Kapituluje zapewne jeszcze tymczasem na korzyść i pożytek kapitalistów. Tu jednak wyzysk staje się tak namacalny, że musi runąć. Żaden naród nie ścierpiałby produkcji, kierowanej przez trusty, tego niezamaskowanego wyzysku społeczeństwa przez nieliczną bandę obcinaczy kuponów.

Tak czy owak, z trustami, czy bez trustów, państwo, będące oficjalnym reprezentantem społeczeństwa kapitalistycznego, musi¹ w końcu objąć kierownictwo nad produkcją. Ta konieczność przemiany we własność państwową występuje najwcześniej w wielkich urządzeniach komunikacyjnych, jak: poczta, telegraf, koleje.

Jeśli kryzysy odsłoniły niezdolność burżuazji do dalszego zarządzania nowoczesnymi siłami wytwórczymi, to przemiana wielkich przedsiębiorstw, wytwórczych i komunikacyjnych w spółki akcyjne, trusty i we własność państwową dowodzi zbędności burżuazji dla urzeczywistnienia tego celu. Wszystkie funkcje społeczne kapitaliści wykonują odtąd płatni pracownicy. Kapitalista nie spełnia już żadnej funkcji społecznej, prócz zagarniania dochodów, obcinania kuponów i gry na giełdzie, na której rozmaici kapitaliści odbierają sobie wzajemnie kapitały. Jeżeli kapitalistyczny sposób produkcji rugował przedtem robotników, to teraz ruguje kapitalistów i odsyła ich, zupełnie tak samo jak robotników, do szeregów zbytecznej ludności, chociaż na razie jeszcze nie do armii rezerwowej przemysłu.

Ale ani przemiana w spółki akcyjne i trusty, ani upaństwowienie nie usuwa kapitalistycznego charakteru sił wytwórczych. Jest to zupełnie jasne w zastosowaniu do spółek akcyjnych i trustów. Ale i państwo nowoczesne jest znowuż tylko organizacją, którą stwarza społeczeństwo burżuazyjne celem uchronienia ogólnych

pol, stwarzając wielką produkcję, wypierając drobną, zastępując wielką przez jeszcze większą, doprowadzając koncentrację produkcji i kapitału do tego, że wyrastał z niej i wyrasta monopol: a mianowicie kartele, syndykaty, trusty i zlewający się z nimi kapitał jakichś 10 banków, obracających miliardami. A jednocześnie monopole, wyrastające z wolnej konkurencji, nie usuwają jej, lecz istnieją nad nią i obok niej, stwarzając przez to szereg szczególnie ostrych i głębokich sprzeczności, tarć, konfliktów». (Lenin, t. XIX, str. 141—142, wyd. ros.). Red.

¹ Powiadam, że «musi». Albowiem w tym tylko wypadku, gdy środki produkcji lub komunikacji przerosły rzeczywistość możność kierowania nimi przez spółki akcyjne, gdy więc upaństwowienie stało się ekonomicznie nieuniknione, tylko w tym wypadku oznacza ono, — nawet wówczas, gdy dokonywa go współczesne państwo, — postęp ekonomiczny, osiągnięcie nowego, przedwstępnego szczebla do objęcia w posiadanie wszystkich sił wytwórczych przez samo społeczeństwo. Ostatnio jednak od czasu, gdy Bismarck rzucił się na upaństwo.

zewnątrznych warunków kapitalistycznego sposobu produkcji przed zamachem zarówno ze strony robotników, jak i ze strony poszczególnych kapitalistów. Państwo nowoczesne jest bez względu na swoją formę, w istocie swą machiną kapitalistyczną, państwem kapitalistów, idealnym kapitalistą zbiorowym. Im więcej sił wytwórczych przejmują one na swą własność, w tym większym stopniu staje się rzeczywistym kapitalistą zbiorowym, tym więcej obywateli wyzyskuje. Robotnicy pozostają robotnikami najemnymi, proletariuszami. Stosunki kapitalistyczne nie zostają zniesione, przeciwnie, zaostrzają się do ostatecznych granic. Ale doszedłszy do tych granic, zmieniają się w swe przeciwieństwo. Własność państwowa sił wytwórczych nie rozwiązuje konfliktu, ale zawiera w sobie formalny środek, możliwość jego rozwiązania.

Rozwiązanie to może polegać tylko na faktycznym uznaniu społecznej natury nowoczesnych sił wytwórczych, a zatem na uzgodnieniu sposobu produkcji, przywłaszczania i wymiany ze społecznym charakterem środków produkcji. To zaś może się odbyć tylko w ten sposób, że społeczeństwo otwarcie i bez ogródek ujmuje w swe ręce siły wytwórcze, przerastające wszelki inny sposób kierowania nimi, poza kierownictwem społecznym. Tym samym, społeczny charakter środków produkcji i produktów, który dziś zwraca się przeciwko samym producentom, który okresowo czyni wyłomy w systemie produkcji i wymiany i toruje sobie drogę tylko poprzez przemoc i zniszczenie, jak ślepe prawo natury, — ten społeczny charakter zrealizowany zostaje przez producentów z całą świadomością i ze źródła zaburzeń i okresowych katastrof przeobraża się w najpotężniejszą dźwignię samej produkcji.

wienie, powstał pewnego rodzaju fałszywy socjalizm, wyradzający się niekiedy nawet w pewnego rodzaju lokajstwo, a ogłaszający wszelkie upaństwowienie, nawet i bismarckowskie, po prostu za socjalistyczne. Zapewne, gdyby państwowy monopol tytoniowy był socjalizmem, wówczas Napoleona i Metternicha wypadłoby zaliczyć do założycieli socjalizmu. Jeżeli państwo belgijskie z bardzo pospolitych pobudek politycznych i finansowych zbudowało samo swe główne linie kolejowe, jeżeli Bismarck bez żadnej konieczności ekonomicznej upaństwowił główne linie kolejowe Prus tylko po to, aby móc je lepiej urządzić i zużytkować na wypadek wojny, aby wychować urzędników kolejowych na rządowe bydło wyborcze, głównie zaś po to, aby sobie zapewnić nowe, niezależne od uchwał parlamentarnych, źródło dochodów, — nie były to bynajmniej kroki ku socjalizmowi, ani bezpośrednio, ani pośrednio, ani świadomie, ani nieświadomie. Inaczej bowiem również królewska spółka handlu morskiego, królewska manufaktura porcelany, i nawet krawcy kompanijni w wojsku, byłyby to instytucje socjalistyczne, a wypadłoby bodaj zaliczyć do nich proponowane całkiem poważnie przez pewnego wygę za czasów Fryderyka Wilhelma III w latach trzydziestych upaństwowienie... domów publicznych! (*Uwaga Engelsa*).

Sily działające społecznie, działają zupełnie jak sily natury: ślepo, gwałtownie, niszcząco — dopóki się ich nie pozna i nie liczy się z nimi. Skoro jednak poznamy je i pojmimy ich działanie, ich kierunek, ich skutki, to od nas już tylko zależy córaz silniejsze ich podporządkowanie naszej woli oraz zużytkowanie ich dla osiągnięcia naszych celów. Dotyczy to w szczególnym stopniu dzisiejszych potężnych sił wytwórczych. Dopóki wzdramy się uporeczywie przed zrozumieniem ich natury oraz ich charakteru, — a temu zrozumieniu opiera się kapitalistyczny sposób produkcji i jego obrońcy — dopóty sily te działają wbrew nam, przeciw nam, dopóty panują nad nami, jak to dokładnie przedstawiono powyżej. Ale gdy tylko poznamy ich naturę, mogą one w rękach zrzeszonych producentów zmienić się z demonicznych władców w posłuszne sługi. Zachodzi tu ta sama różnica, co pomiędzy niszczącą siłą elektryczności, zawartej w piorunie, a ujarzmioną elektrycznością telegrafu albo łuku świetlnego, różnica między pożarem a ogniem, będącym na usługach człowieka. Przy tym traktowaniu współczesnych sił wytwórczych zgodnie z ich naturą, społeczna anarchia produkcji ustępuje miejsca społecznie planowanemu regulowaniu produkcji według potrzeb ogółu i każdej jednostki. Tym samym kapitalistyczny sposób przywłaszczania, w którym produkt ujarzmią przede wszystkim producenta, a potem i przywłaszczyciela, zostaje zastąpiony przez inny sposób przywłaszczania produktów, ugruntowany w samej naturze nowoczesnych środków produkcji: z jednej strony przez bezpośrednio społeczne przywłaszczenie produktów, jako środków utrzymania i rozszerzania produkcji, z drugiej — przez bezpośrednio indywidualne przywłaszczenie tychże produktów, jako środków do życia i użycia.

Zmieniając w coraz większej mierze ogromną większość ludności w proletariuszy, kapitalistyczny sposób produkcji stwarza siłę, która musi, pod groźbą zagłady, dokonać tego przewrotu. Zmuszając coraz bardziej do przemiany wielkich uspołecznionych środków produkcji we własność państwową, wskazuje sam kapitalistyczny sposób produkcji drogę do dokonania przewrotu. Proletariat zagarnia władzę państwową i zamienia środki produkcji przede wszystkim we własność państwową. Tym samym jednak znosi on sam siebie jako proletariat, tym samym znosi wszystkie różnice i przeciwieństwa klasowe, a zatem i państwo jako takie. Dotychczasowe społeczeństwo, poruszające się w przeciwieństwach klasowych, potrzebowało państwa, tj. organizacji każdorazowej klasy wyzyskującej dla utrzymania jej zewnętrznych warunków

produkcji, a więc w szczególności dla utrzymania przemocą klasy wyzyskiwanej w warunkach ucisku, określonych przez istniejący sposób produkcji (niewolnictwo, poddaństwo lub pańszczyzna, praca najemna). Państwo było urzędowym przedstawicielem całego społeczeństwa, jego skupieniem w postaci widocznego ciała zbiorowego, ale było takim ciałem tylko o tyle, o ile było państwem tej klasy, która sama reprezentowała w swej epoce całe społeczeństwo. Takie było w starożytności państwo właścicieli niewolników — obywateli państwowych, w wiekach średnich — państwo szlachty feudalnej, za naszych czasów — państwo burżuazji. Stając się nareszcie faktycznie reprezentantem całego społeczeństwa, samo państwo czyni siebie zbytecznym.

Z chwilą, gdy nie będzie już żadnej klasy społecznej do uciskania, gdy nie będzie panowania jednej klasy nad drugą i walki jednostek o byt, wypływającej z dotychczasowej anarchii produkcji, gdy będą usunięte wynikające stąd gwałty i starcia — z tą chwilą nie ma kogo uciskać i niepotrzebna się staje specjalna władza uciskająca — państwo. Pierwszy akt, w którym państwo występuje rzeczywiście jako przedstawiciel całego społeczeństwa — przekształcenie środków produkcji w społeczną własność — jest zarazem jego ostatnim samodzielnym aktem jako państwa. Wtrącanie się władzy państwowej do stosunków społecznych staje się zbyteczne w jednej dziedzinie po drugiej i zanika samo przez się. Zamiast rządzenia osobami występuje zarządzanie rzeczami i kierownictwo procesami produkcji. Państwo nie zostaje «zniesione», lecz *obumiera*¹. Daje to nam miarę wartości frazesu o

¹ Przytaczając na XVIII zjeździe WKP(b) to twierdzenie Engelsa i rozwijając dalej naukę marksizmu-leninizmu o państwie, towarzysz Stalin mówił: «Czy słuszne jest to twierdzenie Engelsa?

Owszem, słuszne, ale przy istnieniu jednego z dwóch następujących warunków: a) jeżeli się bada państwo socjalistyczne z punktu widzenia jedynie wewnętrznego rozwoju kraju, z góry traktując je w oderwaniu od czynnika międzynarodowego, izolując kraj i państwo od sytuacji międzynarodowej w celu ułatwienia sobie studiów, lub też b) jeżeli się wychodzi z założenia, że socjalizm zwyciężył już we wszystkich krajach, albo w większości krajów, że zamiast otoczenia kapitalistycznego istnieje otoczenie socjalistyczne, że nie ma już niebezpieczeństwa napadu z zewnątrz i nie ma już potrzeby wzmocnienia armii i państwa.

A jeśli socjalizm zwyciężył tylko w jednym, z osobna wziętym kraju, i wobec tego nie można w żaden sposób rozpatrywać sprawy w oderwaniu od warunków międzynarodowych, — to jak postąpić w takim razie? Na to pytanie formuła Engelsa nie daje odpowiedzi. Engels właściwie nie stawiał przed sobą takiego zagadnienia, a zatem nie mógł dać odpowiedzi na to pytanie. Engels brał za punkt wyjścia przesłankę, że socjalizm już zwyciężył, mniej lub więcej jednocześnie, we wszystkich krajach albo w większości krajów. Engels bada tu zatem nie to czy inne konkretne państwo so-

„wolnym państwie ludowym”, który nawet jeśli był czasowo usprawiedliwiony z punktu widzenia agitacyjnego — naukowo jest całkiem błędny¹. Daje to również miarę wartości żądania tzw. anarchistów, którzy chcą zniesienia państwa za jednym zamachem².

Od czasu jak na scenę historyczną wystąpił kapitalistyczny sposób produkcji, marzyło się często różnym jednostkom i całym sektom mniej lub więcej niejasno, jako ideał przyszłości, przejście wszystkich środków produkcji przez społeczeństwo.

Ale to przejście mogło się stać wtedy dopiero możliwe i historycznie konieczne, gdy wytworzyły się faktyczne warunki jego realizacji. Jak każdy postęp społeczny, tak i ten staje się ziszczalny nie na skutek zrozumienia, że istnienie klas przeczy sprawiedliwości, równości itd., nie dzięki prostej, wołi zniesienia tych klas, lecz w wyniku wytworzenia się pewnych nowych warunków ekonomicznych. Podział społeczeństwa na klasę wyzyskującą i

styczne w tym czy innym poszczególnym kraju, lecz rozwój państwa socjalistycznego w ogóle, biorąc za przesłankę fakt zwycięstwa socjalizmu w większości krajów — według formuły: „przypuśćmy, że socjalizm zwyciężył w większości krajów, powstaje pytanie — jakim zmianom będzie musiało ulec w tym wypadku państwo proletariackie, socjalistyczne”. Tylko tym ogólnym i abstrakcyjnym charakterem zagadnienia można objaśnić fakt, że przy badaniu kwestii państwa socjalistycznego Engels zupełnie pomija taki czynnik, jak warunki międzynarodowe, sytuacja międzynarodowa.

Stąd jednakże wynika, że nie można rozciągnąć ogólnej formuły Engelsa o losie państwa socjalistycznego w ogóle na poszczególny i konkretny wypadek zwycięstwa socjalizmu w jednym, z osobna wziętym kraju, który ma wokół siebie otoczenie kapitalistyczne, któremu zagraża najazd zbrojny z zewnątrz, który wobec tego nie może odrywać się od sytuacji międzynarodowej oraz musi mieć do swego rozporządzenia i dobrze wyszkoloną armię, i dobrze zorganizowane organy karne, i mocny wywiad, a zatem musi posiadać swe dostatecznie silne państwo, — aby mieć możliwość obrony zdobyczy socjalizmu przed napaścią z zewnątrz.

Nie można żądać od klasyków marksizmu, których dzieła od naszych czasów okres 45—55 lat, żeby przewidzieli absolutnie wszystkie możliwe zryżaki historii w każdym poszczególnym kraju w dalekiej przyszłości. Śmiesznie byłoby żądać, żeby klasyki marksizmu opracowali dla nas gotowe rozwiązania wszystkich bez wyjątku zagadnień teoretycznych, które wyłonić się mogą w każdym poszczególnym kraju po upływie 50—100 lat, po to, byśmy my, potomkowie klasyków marksizmu, mieli możliwość spokojnie wylegiwać się za piecem i przeżuwać gotowe rozwiązania. (J. Stalin *«Zagadnienia leninizmu»*, str. 595—596, przekład pol.).

¹ „O wolnym państwie ludowym” patrz K. Marks *«Krytyka programu gotajskiego»* i J. Stalin *«Zagadnienia leninizmu»*, str. 250—251, przekład pol. Red.

² *Anarchiści* negują wszelkie państwo i są przeciwnikami dyktatury proletariatu. Żądanie ich, aby znieść natychmiast wszelkie państwo, skierowane jest w rzeczywistości przeciw państwu proletariackiemu, i dlatego jest kontrrewolucyjne. Red.

wyzyskiwaną, na klasę panującą i uciskaną, był nieuchronnym wynikiem słabego dawniej rozwoju produkcji. Dopóki całość pracy społecznej dostarcza produkcji tylko nieznacznie przewyższającej to, czego potrzeba dla utrzymania ogółu na poziomie minimum egzystencji, dopóki więc praca zabiera ogromnej wielkości członków społeczeństwa cały lub prawie cały czas, dopóty społeczeństwo musi się rozpadać na klasy. Obok ogromnej wielkości, wprzęgniętej wyłącznie do pracy, tworzy się klasa, uwolniona od pracy bezpośrednio produkcyjnej, a załatwiająca ogólne sprawy społeczeństwa: kierownictwo pracą, sprawy państwowe, sądownictwo, naukę, sztukę itd. U podstawy podziału na klasy leży zatem prawo podziału pracy. Nie zmienia to jednak faktu, że ten podział na klasy doszedł do skutku przez gwałt i grabież, przez podstęp i oszustwo, i że klasa panująca z chwilą zagarnięcia władzy nie zaniedbywała nigdy wzmacniania swego panowania kosztem klasy pracującej i przekształcania kierownictwa społeczeństwem w spotęgowany wyzysk mas.

Jeżeli jednak podział na klasy ma, jak wynika z powyższego, pewne usprawiedliwienie historyczne, to tylko dla określonego okresu, dla danych warunków społecznych. Podział ten opierał się na niewystarczalności produkcji i zostanie zmieciony przez rozwinięcie w całej pełni nowoczesnych sił wytwórczych. I w rzeczy samej, zniesienie klas społecznych zakłada taki poziom rozwoju historycznego, na którym staje się anachronizmem, zabytkiem przeszłości, nie tylko istnienie tej czy owej określonej klasy panującej, lecz istnienie klasy panującej w ogóle, a więc i samego podziału na klasy. Zakłada ono zatem taki poziom rozwoju produkcji, na którym przywłaszczenie sobie środków produkcji i produktów, a co za tym idzie — i władzy politycznej, monopolu wykształcenia i kierownictwa duchowego przez odrębną klasę społeczną stało się nie tylko zbyteczne, lecz okazało się również przeszkodą w rozwoju pod względem ekonomicznym, politycznym i umysłowym. Punkt ten jest obecnie osiągnięty. Jeżeli bankructwo polityczne i umysłowe burżuazji nie jest już bodaj tajemnicą nawet dla niej samej, to jej bankructwo ekonomiczne powtarza się regularnie co dziesięć lat. W każdym kryzysie społeczeństwo dusi się pod ciężarem swych własnych sił wytwórczych i produktów, których nie może zużytkować, i staje bezradnie wobec niedorzecznej sprzeczności, polegającej na tym, że producenci nie mają co spożywać dlatego, że brak spożywców. Ekspansywna siła środków produkcji rozsadza więzy, które nałożył na nią kapitalistyczny sposób produkcji. Jej wyzwolenie

z tych więzów jest jedynym przedwstępnym warunkiem nieprzerwanego, coraz szybszego rozwoju sił wytwórczych, a tym samym praktycznie nieograniczonego rozszerzania samej produkcji. Nie dość na tym. Przekształcenie środków produkcji w społeczną własność usuwa nie tylko istniejące obecnie sztuczne hamowanie produkcji, lecz również jawne trwonienie i niszczenie sił wytwórczych i produktów, które nieuchronnie towarzyszy obecnie produkcji i dochodzi do szczytu podczas kryzysów. Wyzwała ono następnie dla ogółu mnóstwo środków produkcji i produktów wskutek usunięcia bezmyślnego marnotrawienia ich na potrzeby zbytku przez panującą obecnie klasę i przez ich przedstawicieli politycznych. Możliwość zapewnienia przez produkcję społeczną wszystkim członkom społeczeństwa bytu, nie tylko materialnie całkowicie wystarczającego i z każdym dniem dostatniejszego, ale gwarantującego im również pełnię swobodnego rozwoju i zastosowania ich zdolności fizycznych i duchowych, — możliwość ta została obecnie osiągnięta po raz pierwszy i to istotnie osiągnięta¹.

Przejęcie środków produkcji przez społeczeństwo znosi produkcję towarową i usuwa tym samym panowanie produktu nad producentem. Anarchia w produkcji społecznej ustępuje miejsca planowej, świadomej organizacji. Ustaje walka o byt jednostkowy. Teraz dopiero człowiek wychodzi ostatecznie, w pewnym sensie, ze świata zwierzęcego i od zwierzęcych warunków bytu przechodzi do rzeczywiście ludzkich. Cały zespół warunków życiowych, otaczających ludzi, zespół, który panował dotychczas nad nimi, poddany teraz zostaje panowaniu i kontroli ludzi, którzy po raz pierwszy stają się świadomymi, rzeczywistymi panami przyrody, z tej racji i w tej mierze, w jakiej stają się panami swego własnego społecznego współżycia. Prawa ich własnej działalności społecznej, które dotychczas przeciwstawiały się im jako obce i

¹ Aby dać przybliżone wyobrażenie o niezwyklej sile ekspansywnej nowoczesnych środków produkcji, nawet pod uciskiem kapitalizmu, wystarczy przytoczyć — *konu cyt.* Według obliczeń Giffena, całkowite bogactwo Wielkiej Brytanii i Irlandii wynosiło w okrągłych cyfrach:

w r. 1814	2200 mil. funt. szterl.	=	44 mld. marek
" " 1865	6100 " " "	=	122 " "
" " 1875	8500 " " "	=	170 " "

Co się tyczy niszczenia środków produkcji i produktów w czasie kryzysów, to na drugim zjeździe przemysłowców niemieckich (21 lutego 1878 r. w Berlinie) ogólne straty samego tylko niemieckiego przemysłu żelaznego podczas ostatniego krachu oceniano na 455 milionów marek. (Uwaga Engelsa).

panujące nad nimi prawa natury, będą teraz stosowane z całą znajomością rzeczy przez ludzi, a tym samym będą przez nich opanowane. Byt społeczny, który przeciwstawiał im się dotychczas jako coś narzuconego przez przyrodę i historię, staje się odąd ich wolnym czynem. Obiektywne, obce potęgi, które panowały dotąd nad historią, poddane zostają kontroli samych ludzi. Odąd dopiero będą oni sami tworzyli z pełną świadomością własną historię, odąd dopiero uruchomiane przez nich przyczyny społeczne będą przeważnie i w coraz większej mierze powodować skutki przez nich zamierzone. Jest to skok ludzkości z państwa konieczności w państwo wolności.

Streśmmy pokrótce w zakończeniu wytknięty przez nas przebieg rozwoju:

I. *Spółeczeństwo średniowieczne*: Drobną produkcją indywidualną. Środki produkcji obliczone na użytek jednostkowy, a więc prymitywne, niezdarne, drobne, o bardzo ograniczonym działaniu. Produkcja dla bezpośredniego spożycia, czy to samego wytwórcy, czy jego pana feudalnego. Tam tylko, gdzie istnieje pewien nadmiar produkcji, przekraczający wspomniane spożycie, idzie on na sprzedaż i podlega wymianie: tak więc produkcja towarowa jest dopiero w stadium powstawania; ale już w tym czasie zawiera ona w zarodku *anarchię produkcji społecznej*.

II. *Rewolucja kapitalistyczna*: Przewrót w przemyśle wpierw przez wprowadzenie prostej kooperacji i manufaktury. Koncentracja rozproszonych dotychczas środków produkcji w wielkich warsztatach, tym samym ich przemiana ze środków produkcji indywidualnej w społeczne, przemiana, która nie dotyka na ogół formy wymiany. Dawne formy przywłaszczenia pozostają w mocy. Występuje *kapitalista*: w charakterze właściciela środków produkcji przywłaszcza sobie również produkty i czyni je towarami. Produkcja staje się aktem społecznym; wymiana zaś, a wraz z nią i przywłaszczenie, pozostają aktami indywidualnymi, aktami jednostek: *produkt społecznej pracy jest przywłaszczany przez pojedynczego kapitalistę*. Jest to sprzeczność podstawowa, rodząca wszystkie sprzeczności, w których obraca się dzisiejsze społeczeństwo i które wielki przemysł wyraźnie odsłania.

a) Oddzielenie producenta od środków produkcji. Skazanie robotnika na dożywną pracę najemną. *Przeciwnieństwo między proletariatem a burżuazją*.

b) Coraz silniejsze ujawnianie się i coraz bardziej rosnący wpływ praw, panujących nad produkcją towarową. Nieokreślona

walka konkurencyjna. *Sprzeczność pomiędzy organizacją społeczną w poszczególnej fabryce a anarchią społeczną w całości produkcji.*

c) Z jednej strony udoskonalanie maszyn nakazywane przymusowo przez konkurencję każdemu poszczególnemu fabrykantowi, równoznaczne z coraz większym rugowaniem robotników z procesu produkcji: *powstanie przemysłowej armii rezerwowej.* Z drugiej strony bezgraniczne rozszerzanie produkcji, będące również prawem narzucanym przez konkurencję każdemu fabrykantowi. W wyniku obu tych przyczyn niesłychany rozwój sił wytwórczych i przewaga podaży nad popytem, nadprodukcja, przepełnienie rynków, co dziesięć lat kryzysy, błędne koło; *tutaj — nadmiar środków produkcji i produktów; tam — nadmiar robotników, bez zajęcia i bez środków do życia.* Ale obie te dźwignie produkcji i dobrobytu społecznego nie mogą się zjednoczyć, bo kapitalistyczna forma produkcji nie pozwala siłom wytwórczym działać, nie pozwala produktom krążyć, o ile nie zamienią się poprzednio w kapitał, czemu właśnie przeszkadza ich nadmiar. Ta sprzeczność wzmogła się do niedorzeczności: *sposób produkcji buntuje się przeciw formie wymiany.* Burżuazja daje dowód niezdolności do dalszego kierowania swymi własnymi społecznymi siłami wytwórczymi.

d) Częściowe uznanie społecznego charakteru sił wytwórczych wymuszone na samych kapitalistach. Przywłaszczenie wielkich organizmów wytwórczych i komunikacyjnych najpierw przez spółki akcyjne, potem przez trusty, wreszcie przez państwo. Burżuazja okazuje się klasą zbyteczną; wszystkie jej funkcje społeczne wykonują odłup płatni pracownicy.

III. *Rewolucja proletariacka, rozwiązanie sprzeczności:* proletariąt zagarnia władzę polityczną i mocą tej władzy zamienia społeczne środki produkcji, wymykające się z rąk kapitalistom, we własność społeczną. Tym aktem wyzwala siły wytwórcze od tego wszystkiego, co było im w charakterze kapitału właściwe, pozwala ich charakterowi społecznemu ujawnić się z całą swobodą. Odtąd staje się możliwa produkcja społeczna według z góry ustanowionego planu. Rozwój produkcji czyni dalsze istnienie różnych klas społecznych anachronizmem. W miarę znikania anarchii produkcji społecznej, obumiera również autorytet polityczny państwa. Ludzie, stając się wreszcie panami swych własnych form uspołecznienia, stają się zarazem panami przyrody, panami samych siebie — stają się wolni.

Dokonanie tego czynu, wyzwolającego świat, jest misją historyczną nowoczesnego proletariatu. Zgłębienie historycznych warunków tego czynu, przez to samo i natury tego przewrotu, uświadomienie w ten sposób klasie powołanej do działania, a dziś uciśnionej, warunków i natury jej własnej akcji, stanowi zadanie naukowego socjalizmu, jako teoretycznego wyrazu ruchu proletariackiego.

Napisane przez F. Engelsa w języku niemieckim. Po raz pierwszy ogłoszono w postaci artykułów w «Vorwärts», Lipsk, 1877—78 r. Jako pierwsze oddzielne wydanie (w języku francuskim, przekład P. Lafargue'a) ukazało się w r. 1880 w Paryżu. — Marks i Engels, Dzieła, t. XV, wyd. ros.

Drukowane w Zakł. Graf. Spółdz. Wyd. „Książka” z odp. udz.
w Łodzi, Piotrkowska 86.

D-00969

NOWA SZKOŁA

MIESIĘCZNIK

ŻANNA KORMANOWA

SZKOLNICTWO POLSKIE W LATACH 1918—1939

Ustrój szkolny to konstytucja oświaty narodowej — on to bowiem decyduje w znacznym stopniu o tym, kto, jakim trybem i w jakim zakresie korzystać będzie z dobrodziejstwa oświaty, z potężnego oręża wiedzy. Ustawa o ustroju szkolnym stanowi jedną z ustaw zasadniczych każdego demokratycznego społeczeństwa.

Cara! pozostawił nam gniotący spadek analfabetyzmu, szkółki ludowe, urągające poziomem wiedzy, metodyką, przygotowaniem zawodowym nauczyciela elementarnym zasadom pedagogiki. W Galicji mieliśmy 41 procent analfabetów, Królestwo Polskie liczyło aż 59 procent według spisu 1897 roku i 57 procent jeszcze w 1916 roku. Z tego okresu pozostała nam tradycja szkoły średniej ściśle zróżnicowanej wedle klasowej struktury społecznej, więc szkolnictwo prywatne, płatne, drogie, przeznaczone od przedszkola po ostatnią klasę gimnazjalną dla dzieci warstw najzamożniejszych, dla dzieci burżuazji, ziemiaństwa i dobrze uposażonych przedstawicieli tak zwanych zawodów wyzwolonych. Więc szkolnictwo średnie państwowe, liczebnie niewystarczające, obsługujące głównie dzieci urzędników, cywilnej i wojskowej maszyny państw zaborczych — bezduszne gimnazjum hohenzollernowskie, sklerotycznie biurokratyczne c-k gimnazjum austriackie i wreszcie gimnazjum carskie, domena nieuków i łapowników, łoża Prokrusta i dla uczciwego rosyjskiego pedagoga, rzuconego na „polskie kresy” przez mściwą rękę centralnej biurokracji, i dla gorącej młodzieży, zbuntowanej przeciw szarzyźnie i nieprawości systemu.

Analfabetyzm, wadliwa struktura szkolnictwa, zastępcze ogniwa zakonspirowanej pedagogiki narodowej — oto spadek niewoli w dziedzinie oświaty.

Z tym weszliśmy w rok 1918, w niepodległość, po pierwszej wojnie światowej.

Co i jak zbudowaliśmy sami w dziedzinie oświaty,* jaki jest bilans szkolny lat 1918—1939?

Przypomnijmy sobie w krótkim rzucie dzieje polityki szkolnej i losy szkolnictwa w Polsce w latach 1918—1939. Na początku, w głodnych i chłodnych latach powojennych, które ogrzewał gorący wichur listopada 1919 r., które syciły wielkie nadzieje i wielka wiara w szczęśliwe jutro odzyskanej ojczyzny, w nową lepszą organizację świata, w nowy, sprawiedliwszy układ życia, stanął w dziedzinie oświaty naczelnym postulatem obowiązkowego bezpłatnego państwowego nauczania wszystkich dzieci w Rzeczypospolitej od ósmego roku życia, postulat powszechnego przymusu szkolnego, który został włączony do tekstu konstytucji marcowej 1921 roku. Pokolenie „siłaczek”, i „ludzi bezdomnych” stanęło z zapałem do realizacji marzenia o szkole dla wszystkich. Sformułowany został program minimum: 7-letnia i 7-klasowa, państwowa, bezpłatna i świecka szkoła powszechna w języku macierzystym dziecka. Stanęło zagadnienie gmachów szkolnych i kadr nauczycielskich, programów i podręczników, aparatu oświatowego i wspierającej go sieci oświatowych organizacji społecznych. Stała się sprawa ludzi i funduszy.

Preliminarze budżetowe Rzeczypospolitej skąpo wydzygotały groźną na oświatę, pożerane przez ogromne, a jakże nieodpowiednio wydatkowane kwoty na armię, przez wciąż rosnące wydatki zwrócone przeciwko ludowi polskiemu, na policję, sądy, więzienia. Na oświatę zostawało zawsze mało. Najwyższy budżet oświatowy mieliśmy w rozdziałnym budżetowo roku 1929/30, roku pozornej „prosperity” sanacyjnej, usilnie markowanej przez rządzącą klikę dla zmylenia czujności narodu, trapionego przez pierwsze dolegliwości nadciągającego przesilenia gospodarczego. W 1929/30 roku prelimitowano na oświatę 626,1 mil. zł. W 1934/5 r. cyfra ta spada katastrofalnie do 412,1 mil. zł. Ostatni niewykonany już prelimitarz na rok 1938/9 opiewa na 462,6 mil. Główną składową skąpych i ciasnych budżetów oświaty, budżetów z istoty swej konsumpcyjnych, były pensje nauczycielskie i urzędnicze aparatu administracji szkolnej. Na pierwszym miejscu stała tu, rzecz jasna, potężna armia nauczycieli szkół powszechnych. Od końca trzeciego i poprzez czwarte dziesięciolecie liczba etatów nauczycielskich zmienia się bardzo nieznacznie. Rzeczypospolita zaczyna bój o oświatę powszechną posiadając około 70-tysięczną armię „powszechniaków”. W latach 1924/25 cyfra ta wzrasta zaledwie do 75.071, w 1928/9 spada do 73.407, w ostatnim 1939/40 roku wynosi zaledwie 77.693. Jednocześnie liczba uczniów szkół powszechnych rośnie od 3.208.400 w r. 1922 do 4.953.000 w r. 1938/9, podczas gdy liczba szkół powszechnych zwiększa się bardzo nieznacznie: w 1922/3 r. jest ich

27.384, w r. 1928/9 — 26.376, w 1938/9 — 28.881. Rośnie więc obciążenie nauczyciela. Klasy są potwornie przepełnione, nauczyciel przeciążony pracą ponad siły, dzieci mają coraz gorsze warunki nauki. Rośnie odsetek drugo- i trzeciorocznych. Obniża się jakość nauki szkolnej.

Podstawową w zakresie polityki szkolnej jest sprawa ustroju szkolnego. W 1918 r. przejęliśmy trzy różne systemy szkolne po trzech rządach zaborczych. Pierwsza ustawa o ustroju szkolnym, ustawa Stanisława Grabskiego z r. 1924, zmierzała do unifikacji ustroju; ponadto — do stworzenia najdogodniejszych warunków dla szybkiego spolonizowania całego szkolnictwa, dla szybkiej likwidacji szkół narodowościowych, białoruskich, ukraińskich, litewskich. Ustawa ta usankcjonowała obok 7-letniej w zasadzie szkoły powszechnej — 8-letnie gimnazjum i oparte na nim szkoły wyższe. Trzy starsze klasy szkoły powszechnej i trzy pierwsze gimnazjum nie pokrywały się ani pod względem zakresu, ani pod względem układu nauki. W ten sposób dziecko kończąc szkołę powszechną miało w zasadzie zamkniętą drogę do gimnazjum. Jednocześnie władze oświatowe tolerowały istniejące przy gimnazjach, zwłaszcza prywatnych, tak zwane klasy przygotowawcze, w których dziecko rozpoczynało naukę. Zachowany został więc w szkole podział, istniejący w społeczeństwie — dziecko chłopca i dziecko robotnika uczyło się w innej szkole niż dziecko warstw zamożnych. Szkoły mniejszości narodowych zostały zutrakwizowane, to znaczy wprowadzono dwujęzyczność. Szkoły utrakwistyczne przekształcono potem na polskie likwidując setki szkół ukraińskich, białoruskich i litewskich. Dość powiedzieć, że w 1937/38 roku szk. Białorusini nie posiadali ani jednej szkoły powszechnej z białoruskim językiem nauczania, Ukraińcom pozostało zaledwie 461 szkół na z górą 4,5 miliona ludności (według oficjalnej statystyki), podczas gdy niespełna 800 tysięcy forytowanej mniejszości niemieckiej posiadało niewiele mniej, bo 394 szkoły powszechne.

Dodamy nawiasem, że owa mniejszość niemiecka miała ponadto aż 49 przedszkoli i 15 szkół średnich z niemieckim językiem nauczania, z niemieckim, produkowanym w Hitlerii, faszystowskim podręcznikiem, z nauczycielem — Niemcem, dokształconym lub przybyłym z Trzeciej Rzeszy, organizatorem „piątej kolumny“, gorliwym siewcą jadu hitlerowskiego.

Taki był aspekt polityki narodowościowej w zakresie szkoły powszechnej. W całej Rzeczypospolitej, w państwie, liczącym ponad 30 procent ludności niepolskiej, na 4.854.500 uczniów szkół powszechnych pobiera naukę w języku macierzystym niepolskim zaledwie 134 tysiące, czyli 3,1 procent uczniów. Tę bezwzględna polo-

nizację szkolnictwa mniejszości zapoczątkowała ustawa szkolna Stanisława Grabskiego, konserwatywna i nacjonalistyczna. Ustawa ta obowiązywała z pewnymi nieistotnymi zmianami do 1932 r.

Zastąpiła ją nowa, jędrzejewiczowska ustawa o ustroju szkolnym z dnia 11 marca 1932 r., krzykliwie przez sanację reklamowana jako wielki i zbawienny przewrót w dziedzinie ustroju szkolnego. Cóż dała ta ustawa?

Na fundamencie szkoły powszechnej oparła szkołę średnią, stanowiącą podbudowę szkoły wyższej. Schemat słuszny. Schemat szkoły jednolitej, czyli takiej struktury szkolnictwa, która gwarantuje łatwe przechodzenie z jednego szczebla szkolnego na drugi możliwie największym masom dzieci, niezależnie od ich pochodzenia, języka, miejsca zamieszkania. Taki schemat, który nie zna ślepych zaułków w karierze szkolnej dziecka wiejskiego, który daje każdemu otwarty i łatwy dostęp do wszelkiego typu szkół. Schemat słuszny. Ale schemat jedynie. W jego konkretyzacji ustawa 1932 r. odbiegła diametralnie od szkoły jednolitej, masowej, demokratycznej.

Według tej ustawy szkoła powszechna dzieli się na trzy szczeble programowo-organizacyjne. Szkoły powszechne zostają podzielone na trzy typy, na trzy stopnie organizacyjne. Szkoły pierwszego szczebla organizacyjnego, czyli szkoły wprawdzie 7-letnie, ale 4-klasowe, to szkoły z 1 lub 2 nauczycielami, nauczającymi jednocześnie w jednej, względnie w dwu izbach szkolnych cztery różne roczniki, cztery różne zespoły klasowe, przy czym nauka w klasie I i II trwa po roku, w klasie III — dwa lata, a w klasie IV — trzy.

Tych szkół mamy w 1937/8 r. aż 18.295 na ogólną liczbę wiejskich szkół powszechnych 25.070, czyli 73 procent. Szkół powszechnych drugiego stopnia organizacyjnego, czyli szkół o 3 i 4 siłach nauczycielskich, o 3 i 4 izbach szkolnych, 7-letnich i 6-klasowych, mamy na wsi tylko 4.422, czyli 17 procent. Wreszcie szkół powszechnych trzeciego stopnia organizacyjnego, szkół o 5 nauczycielach, o 5 i więcej izbach szkolnych, prawdziwych 7-klasowych i 7-letnich szkół powszechnych mamy po wsiach zaledwie 2.353, a po miastach — 2.027 (na 2.162 miejskich szkół powszechnych). W ten sposób pod koniec istnienia systemu przedwrześniowego jedynie miasto miało szkołę powszechną prawdziwą. Wieś skazana była na lichą szkołkę-jedno-klasówkę, z przemęczonym nauczycielem, w której dzieciak uczył się przez 2 i 3 lata podstaw czytania i pisanja, z której najczęściej po 4 latach takiej nauki uciekał, która produkowała masowo kadry powrotnych analfabetów.

Alte nawet takiej lichej szkoły, takiej marnej nauki nie potrafiliśmy dać wszystkim dzieciom w Polsce. Na 100 dzieci w wieku szkolnym miała Polska od r. 1932/3 aż po r. 1938/9 zaledwie 90 dzie-

ci w szkole. Jedynie 8- i 9-letnie dzieci trafiały do szkół w 96—98 procentach; 12-letnie ogarnia szkoła tylko w 85 procentach; 13-letnie — zaledwie w 74,4 procentach. To wszystko według oficjalnej, urzędowej statystyki polskiej. Przed klęską wrześniową ponad milion dzieci w wieku szkolnym nie znajdowało miejsca w szkole. Miasto Łódź, województwo śląskie, stolica Warszawa stanowią szczęśliwe wyjątki. Za to na białoruskim Polesiu na 238.400 dzieci ma szkółkę i to najlichszą tylko 190.400 dzieciaków, a na ukraińskim Wołyniu na 399.000 dzieci ma tych szkółek wiejskich tylko 285.700 dzieci.

W ten sposób bój o oświatę powszechną, rozpoczęty z entuzjazmem w r. 1918, przekształcił się w rejteradę na całym rozległym froncie szkolnictwa powszechnego. Nie jest ono ani powszechne, ani 7-klasowe. Rzadko bywa w praktyce 7-letnie. Przestało być nawet bezpłatne — pod rozmaitymi pozorami składek na opiekę rodzicielską, datków „dobrowolnych”, opłat doraźnych wprowadzono do szkoły powszechnej stałe obciążenie materialne ogółu rodziców.

Szkolnictwo powszechne — to szkolnictwo masowe. Ono decyduje o obliczu oświaty narodowej, ono kształci, wychowuje, urabia ogromną większość przyszłych obywateli. Jego stan decyduje o dorobku oświatowym przebytego przez nas dwudziestolecia. Dorobek to niemały, ale jakże niedostateczny, jakże odbiegający od założeń naszego startu oświatowego, iloma obarczony ułomnościami! Dorobek, który na najważniejszym odcinku szkoły powszechnej nie zagwarantował koniecznego minimum oświaty ogromnej większości młodzieży naszej w wieku szkolnym.

Przed wrześniem 1939 r. były na alarm wszystkie uczciwe placówki oświatowe — związki, pisma, stowarzyszenia. Wszyscy przestrzegali przed nieuniknioną falą powrotnego analfabetyzmu, która zalewa naszą wieś, zepchniętą przez ostry głód ziemi, przez fatalną strukturę agrarną, przez szalejący kryzys gospodarczy w otchłań nędzy i rozpacz.

Poza szkolnictwem powszechnym ustawa 1932 r. o ustroju szkolnym wprowadza zmiany w zakresie szkoły średniej. Zamiast 8-letniego gimnazjum wprowadza 4-letnie gimnazjum i 2-letnie liceum zróżnicowane według typów. Do tej szkoły trafia jedynie skromny odsetek młodzieży miejskiej. Mieliśmy około 30 tysięcy szkół powszechnych i około 5 milionów uczniów w tych szkołach, szkół średnich prywatnych i państwowych zaś — około 800 w całym państwie, a kształciło się w nich mniej niż $\frac{1}{4}$ miliona młodzieży, bo 234.200 uczniów (dane dla r. 1938/9). Ze szkoły powszechnej pierwszego szczebla nie ma drogi do gimnazjum, czyli $\frac{3}{4}$ dzieci wiejskich ustawa 1932 roku skazuje na „wykształcenie” 4-klasowe.

Jeszcze bardziej wyłączone było nasze szkolnictwo wyższe. Na 28 szkół wyższych, w tej liczbie 5 uniwersytetów i 2 politechniki, liczyła Polska 50 tys. studentów płci obojga.

W ten sposób na każdy tysiąc dzieci do szkoły powszechnej trafiało 900, siedmioletnią szkołę powszechną kończyło najwyżej 350, do szkoły średniej trafiało około 50, do szkoły wyższej dostawał się jeden. Taka była społeczna sprawiedliwość w przydziale oświaty. Startował tysiąc, do mety docierał jeden. Ustrój szkolny skonstruowany tak, że przez jego zwężające się oczka przenika do szkoły wyższej zaledwie 1‰ młodzieży, jest zaprzeczeniem demokratycznego postulatu szkoły jednolitej. Drugi postulat demokracji opiewa, że bieg kariery szkolnej dziecka winien zależeć tylko od jego uzdolnień i pracowitości. Czy ten 1‰, przepuszczany przez sieć selekcyjną ustawy 1932 r., jest właśnie owym promille talentu? Czy do szkół wyższych dostawali się u nas najzdolniejsi, najlepsi? Wiemy dobrze, że decydował tu nie talent, nie charakter, nie wytrwałość w pracy. Decydował pieniądz; zamożność czy ustosunkowanie rodziców stokrotnie, skuteczniej torowały drogę niż uzdolnienie czy pracowitość. By pomóc tym najzdolniejszym dzieciom mas ludowych, państwo robiło bardzo niewiele — mizerne były kwoty stypendiów, mizerne formy pomocy mieszkaniowej czy odzieżowej.

Mieliśmy poszczególne świetne szkoły. Mieliśmy światłych, utalentowanych pedagogów. Wychowaliśmy kadry niezłych specjalistów-nauczycieli. Stworzyliśmy pokaźną biblioteczkę dzieł pedagogicznych, oryginalnych i przekładów. Wydawaliśmy wiele czasopism pedagogicznych, których się ani w kraju, ani za granicą wstydić nie musimy — w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Katowicach. Ale strukturę szkolną mieliśmy wadliwą — nasz ustrój szkolny krzywdził najszerze masy, był antydemokratyczny, a przez to i antynarodowy.

Do budowania nowego gmachu oświaty, oświaty Polski demokratycznej, silnej, rozszerzonej o polskie ziemie na zachodzie i północy, przystąpmy z zasadą: nie marnować niczego z dorobku przeszłości, nie powtórzyć żadnego z jej błędów. I nie powtórzyć krzywdy, która kryła się w starej strukturze oświaty. Ciężkiej krzywdy społecznej.

Do wniosków, wynikających z analizy pozytywnych i negatywnych stron naszego dorobku oświatowego, dorzucić musimy jeszcze kilka. Nową szkołę budować wypadło jeszcze w huku działań, jeszcze w czadzie pogorzeliisk. Staną przed nami, obok starych, zagadnienia nowe, wyłonione przez wojnę. Jest ich wiele. Więc sprawa

zawodowego wykształcenia, i to dużych kontyngentów w możliwie krótkim terminie. Więc sprawa rozbudowy przedszkoli wobec zubożenia ludności i coraz większego odsetka matek pracujących. Więc zagadnienie sieci sierocińców dla najnieszczęśliwszej armii młodocianych ofiar wojny, dla sierot wojennych, dla małych włóczęgów, którym zawierucha wojenna zniszczyła dom rodzicielski, zabiła lub zabrała żywicieli. Więc sprawa odpowiedniej organizacji transportu, aby każdemu dziecku wiejskiemu umożliwić naukę w zakresie pełnej szkoły powszechnej i odpowiedniej sieci internatów i stypendiów, aby udostępnić najzdolniejszym naukę w zakresie szkoły średniej i wyższej. Więc pilna sprawa dożywiania ogromnej liczby dzieci w wieku szkolnym w ciągu najbliższego okresu.

Stanie też przed nami bolesne i palące zagadnienie zlikwidowania przerażających moralnych skutków wojny i okupacji faszystowskiej. To zagadnienie stało przed wychowawcą po każdej wielkiej zawierusze wojennej. Stanął przed nim Pestalozzi i Froebel po wojnach epoki napoleońskiej. Stanął przed nim Makarenko po wojnie 1914—1918 i latach wojny domowej i interwencji w Rosji. Nigdy jednak nie stało zagadnienie zdżyczenia moralnego ogromnej masy młodzieży tak ostro, tak tragicznie, jak dziś, bo żadna z wojen, żaden z zaborców nie stosował w takiej skali, w takiej formie i z takim wyuzdaniem okrutnej broni moralnego zatrucia ludności, którą podbić zamierzył. Stanie więc to zagadnienie ze szczególną mocą przed polskim pedagogiem po tej najstraszliwszej z wojen.

Na naszej ziemi hitleryzm rozpętał najpotworniejszy aparat masowej zbrodni. Naszą ziemię splugawił Majdankiem. Do nas zwoził zewsząd tysiące ludzi na zagładę. Polskie oczy patrzyły przez pięć lat na perfidię zorganizowanego mordu, zorganizowanej grabieży, na bezmiar rozszalałej, bezkarnej, cynicznej zbrodni.

Dzieci nasze patrzyły na to. Dzieci nasze jadły chleb, gdy dymiły kominy Majdanków. Dzieci nasze rosły i dojrzewały obok Oświęcimów i Treblinek. My, pedagodzy, wiemy, że to nie mogło przejść bezkarnie. My wiemy, że plastyczna psychika dojrzewającego człowieka wchłania i zło, i dobro gwałtowniej, goręcej niż psychika ludzi dorosłych. My wiemy, że faszyzm posiał niejedno przekłete ziarno w dusze ludzkie. Najbujniej rozrosły się te jadowite chwasty na żyznym ugorze młodości. Będzie sprawą naszą, polskich pedagogów, stanąć do pielenia tych chwastów.

O NOWY USTRÓJ SZKOLNY

Zagadnienie reformy szkolnictwa w Polsce rozpatrywać należy w dwu płaszczyznach. Na pierwszym miejscu postawić należy sprawy ogólnoustrojowe. Szkoła nie jest niczym innym jak funkcją pewnej społecznej i gospodarczej struktury, jest wyrazem polityki kulturalnej państwa, odzwierciedlającej układ społecznych sił, działających w danym społeczeństwie.

Polityka kulturalna związana jest wielorakimi nićmi z polityką w innych dziedzinach życia społecznego i w sposób bardzo bezpośredni odbijają się na niej każdorazowe zwycięstwa reakcyjnych czy postępowych sił społecznych.

Na drugim dopiero miejscu należało by rozpatrywać sprawę ustroju szkolnego — który wprawdzie może być złym lub dobrym środkiem do realizowania postulatów wysuwanych przez postępową część społeczeństwa, ale nie on albo przynajmniej nie tylko on decyduje o stanie oświaty w kraju.

Priorytet ustroju społeczno-gospodarczego narzuca się tu w sposób oczywisty. Polska po r. 1918 miała ustrój szkolny, którego fundamentem miała być powszechna, obowiązkowa i bezpłatna szkoła 7-klasowa. Ten punkt programu oświatowej polityki państwa był zwycięstwem demokratycznych sił społecznych, był ustępstwem warstw rządzących na rzecz walczących o swe prawa mas robotniczych i chłopskich i sprzymierzonej z nimi postępowej inteligencji.

Ale mimo skromności tego programu, mimo iż w dalszym ciągu szkoła średnia i wyższa pozostała przywilejem warstw cieszących się również przywilejami gospodarczymi i ten program wypełniony nie został. 7-klasowa szkoła powszechna w ciągu 20 lat zrealizowana nie została, co więcej, reforma w r. 1932, tzw. jędrzejewiczowska, faktycznie zarzuciła ją wprowadzając dla przeważnej części społeczeństwa, tzn. dla wsi, szkołę 4-klasową.

Można widzieć w tym fakcie jeden z wielu dowodów, że ustrój szkolny nie przesądza kierunku polityki szkolnej, że warstwy panujące dysponują wieloma środkami — wymienimy tu choćby politykę budżetową — aby realizować własną linię postępowania. Najlepszy ustrój szkolny i najwyższej stojąca szkoła nie zmieni w niczym sytuacji, jeśli ekonomiczne i polityczne upośledzenie mas pracujących uniemożliwia im korzystanie z dobrodziejstwa nauki.

Rozumienie i niechęć zrozumienia tej zależności dzieli zawsze naszych działaczy szkolnych i oświatowych na dwie zasad-

niczo różniące się grupy. Jedni walczyli wraz z całym postępowym nurtem społecznym o głębokie przeobrażenie społecznej i gospodarczej struktury kraju, dążyli do zniesienia ekonomicznej niewoli człowieka pracy, żądali wreszcie politycznej władzy dla mas ludowych wiedząc, że jest to jedyna droga realizacji ich ideałów oświatowych, drudzy usiłowali nieść „kaganiec oświaty ludowi“, traktując to jako akcję filantropijną, charytatywną, nie próbując podważyć panującego systemu, aprobując go w tej lub innej formie.

Warunki, w jakich znajdujemy się dziś, daleko odbiegają od tego stanu, w jakim wytyczano ramy ustroju szkolnego przed r. 1939. Przede wszystkim doczekał się realizacji postulat społecznej przebudowy w kierunku zniesienia czy przynajmniej zasadniczego ograniczenia ekonomicznego przywileju jednych warstw nad resztą społeczeństwa. Reforma rolna i uspołecznienie wielkiego przemysłu wydarły władzę w państwie nielicznej grupie wielkich kapitalistów, pozbawiły ją wpływu na politykę wewnętrzną państwa, a tym samym na politykę oświatową.



Mimo, że dyskusja nad reformą ustroju szkolnego w Polsce trwa wiele lat — plony jej są dość nikłe. Przed 1939 r. ośrodkiem zainteresowania były szkoły powszechne niżej zorganizowane (I i II stopnia), które skarykaturowały szkolnictwo wiejskie, były krzyczącym gwałtem społecznym nad najliczniejszą warstwą ludności w Polsce. Demokratyczne nauczycielstwo i postępową opinią społeczną domagały się usunięcia tego jawnego dowodu upośledzenia wsi, jawnej rezygnacji z 7-klasowej szkoły powszechnej.

Dyskusja w okresie okupacji nie sformułowała jakichś śmielszych myśli, mimo że wówczas już można było przewidywać, że nowa rzeczywistość przyniesie nie tylko możliwość, ale i konieczność daleko idącej reformy. Pozytywnym osiągnięciem był sformułowany przez sfery nauczycielskie postulat 8-letniej szkoły powszechnej. Z różnych stron wysuwano od czasu do czasu motyw szkoły 10-letniej, ale obrońcy tych projektów, wysuwając tak trudne do realizacji w obecnym okresie hasło dziesięcioletniego obowiązku szkolnego, nie potrafili dostatecznie jasno powiedzieć, czym ta szkoła miałaby być, czy miałaby na wzór szkoły w Z. S. R. R. w dziesięciu latach zamknąć całokształt wykształcenia początkowego i średniego, dać tzw. „świadectwo dojrzałości“, uprawniające do studiów w szkołach wyższych, czy też miałaby być rozszerzoną szkołą pow-

szechną, nad którą istniałaby jeszcze jakaś nadbudówka uzupełniająca średnie wykształcenie.

Dziedzicznym obciążeniem naszej dyskusji nad zagadnieniem ustroju szkolnego jest tradycyjnie utrzymywany podział na szkoły „powszechne” i „średnie”. Podział ten, mający swą historię, znaczył nie tylko wyodrębnienie dwu poziomów nauczania w schemacie ustroju szkolnego. Był to podział par excellence społeczny, podział wynikający z ustroju społeczno-gospodarczego. Szkoła „powszechna” była to szkoła dla mas. Stąd już w założeniu wyznaczono szkole tej swoiste zadania odzwierciadlające się przede wszystkim w programach. Zrozumiałe, że postępowe nauczycielstwo, broniąc interesów mas ludowych, skupiało swą uwagę przede wszystkim na tej szkole, żądało jej pełnej realizacji, żądało jej rzeczywistego upowszechnienia. To, co istniało ponad szkołą „powszechną”, musiało budzić już znacznie mniejsze zainteresowanie. Szkoła średnia była szkołą dla elity społecznej i masy ludowej, które nie mogły wywalczyć dla siebie pełnego dostępu do pierwszego szczebla nauki, nie mogły przystąpić do szerokiego ataku na tę domenę wpływów warstw społecznie i gospodarczo uprzywilejowanych.

W dyskusji, jaką słyszymy dziś, ten moment klasowego podziału szkoły na dwa etapy odzywa się jeszcze z całą wyrazistością. Pierwszym przejawem tego jest w dalszym ciągu walka o szkołę „powszechną”. Popularnym dziś we wszystkich środowiskach jest postulat 8-letniej szkoły „powszechnej”, szkoły, która usunęłaby już w swej strukturze upośledzenie wsi. To, co ma być ponad tą ośmioletnią szkołą, budzi już znacznie mniejsze zainteresowanie, tak jakbyśmy i dziś chcieli tej nadbudowie nad szkołą „powszechną” zostawić dotychczasowy elitarny charakter, jakby nie przyszedł jeszcze czas, aby całość ustroju szkolnego pomyślana została z punktu widzenia interesów szerokich mas ludowych. Tradycyjne pojęcia zakładały, że walka rozgrywa się o czas, jaki ma trwać obowiązek szkolny, traktując każdy rok jako zdobycz wymuszoną na tych kierujących polityką oświatową warstwach, które zainteresowane są w jak najpowolniejszym przenikaniu oświaty do mas. Drugim punktem walki było dążenie do realizacji powszechności w tych wywalczonych ramach.

Niewspółmierność i — rzec by można — nieadekwatność tych kategorii w stosunku do obecnej rzeczywistości, w jakiej ma się realizować nowa szkoła, jest widoczna. Zadaniem, jakie stoi dziś przed nami, jest całkowite zniesienie klasowego podziału w strukturze szkoły, jest zniesienie szkoły „powszech-

nej" jako przeciwstawienia do „nie-powszechnej“ szkoły średniej. Zadaniem, stojącym dziś przed nami, jest zbudowanie szkoły jednolitej, której wewnętrzne podziały (szczeble) nie byłyby odpowiednikiem jakiejś drabiny społecznej. Jednolita szkoła winna być narzędziem polityki szkolnej, która zapewni to, że skład socjalny uczniów na poszczególnych szczeblach nauczania nie będzie się różnił w tak rażący sposób, jak różniła się pod tym względem szkoła „powszechna“ od średniej w okresie przedwrześniowym.

Jeśli zrozumiemy zasadniczą przemianę, jaka dokonała się w strukturze polityczno-społecznej, jeśli zrozumiemy, że dziś masy chłopskie, robotnicze i inteligenckie uzyskały decydujący i trwały wpływ na politykę oświatową państwa — stanie się jasne, iż stare pojęcia utraciły aktualność. Dziś polityka oświatowa państwa oddaje upośledzonym dotychczas warstwom społecznym całość szkoły od pierwszego roku nauczania do ostatniego roku szkoły wyższej — a granice wykonania tego programu wytycza jedynie fizyczna możliwość realizacji tak zakrojonej szkoły „powszechnej“. Czas trwania obowiązku szkolnego i realizacji w tych ramach powszechności nie jest dziś kwestią walki przeciwko jakiejś przeciwdziałającej sile, lecz jest sprawą zmobilizowania wszystkich sił społecznych do realizacji maksymalnego programu. Zrozumiałe, że zależy to w pierwszym rzędzie od tempa, jakie przybierze gospodarcza odbudowa kraju. Od tego zależeć będzie tempo podnoszenia się ogólnego poziomu życia mas pracujących, jak również tempo rozbudowy szkolnictwa.

W świetle tego jasną jest rzeczą, że tak doniosły problem jak czas trwania obowiązku szkolnego przestaje być twardym kanonem, staje się sprawą rozwoju, którego szybkość zależy od szybkości rozwoju innych dziedzin naszego życia.

Koncepcją ustrojową, dojrzałą w toku dyskusji jeszcze w okresie okupacji, koncepcją, która wytrzymała ogień krytyki, wytrzymuje konfrontację ze społecznymi potrzebami, jakie wysuwa dzień dzisiejszy, jest jednolita szkoła 11-letnia, obejmująca całokształt wykształcenia początkowego i średniego.

Skrócenie nauki o jeden rok w stosunku do struktury szkoły polskiej przed 1939 r. było nie tylko możliwe, ale wręcz konieczne wobec rażącej nieekonomiczności i infantylności programu sześciolletniej szkoły „powszechnej“. Społeczne znaczenie skrócenia nauki w szkole średniej o 1 rok jest ogromne; między innymi skutkami udostępni ono szkołę średnią synom robotników i chłopów.

Z drugiej strony szkoła 11-letnia jest wyrazem krytycznego ustosunkowania się do sowieckiej 10-latki, której program, również według opinii sowieckich pedagogów, jest zbyt przeładowany i nastrocza z tego powodu poważne trudności w realizacji.

Projekt jedenastoletniej szkoły przewiduje podział na trzy cykle: kurs propedeutyczny pięcioletni, niższy trzyletni kurs systematyczny i wreszcie ostatni, również trzyletni, pogłębiający kurs systematyczny.

Pierwsze dwa cykle mieszczą się w ramach obowiązku szkolnego i stanowią minimum wykształcenia ogólnego, które posiadać winien każdy obywatel. W ten sposób podstawą, na której oprze się życie społeczne, będzie uproszczone nieco i zreorganizowane „gimnazjum“.

7-letnia szkoła „powszechna“, która pod żadnym względem nie zdała egzaminu, musi być odrzucona. Powszechnym żądaniem sfer pedagogicznych jest możliwie najwcześniejsze kierowanie młodzieży szkolnej do szkół zbiorczych, radykalne zerwanie ze stanem, w którym dzieci w zaduchu izb wiejskich przesiadywały trzy lata w jednej klasie, byle tylko stało się zadość fikcji - ustawie o siedmioletnim obowiązku szkolnym. W istocie Polska przed wrześniem 1939 r. daleka była jeszcze od realizacji czteroletniego obowiązku szkolnego.

Według nowego projektu pięcioletnia i pięcioklasowa szkoła początkowa zdoła z nadwyżką wypełnić zadanie propedeutyczne, jakiego nie była w stanie wypełnić ofiarowana wsi czteroklasowa choć siedmioletnia szkoła „powszechna“. Po pięciu latach młodzież wiejska kierowana zostanie do szkół zbiorczych.

O ile w miastach realizacja tego programu nie napotka na specjalne trudności, o tyle w stosunku do wsi mamy tu do czynienia z głęboką rewolucją, stajemy wobec zadania budowy nowej sieci szkolnej. Zniknąć muszą szkoły o jednym i dwu nauczycielach. Pięcioklasowa szkoła początkowa musi mieć co najmniej trzech nauczycieli; najważniejszym zaś zagadnieniem staje się sieć szkół zbiorczych, dostatecznie gęsta, aby objąć całą młodzież wiejską. Jeśli dziś, w pierwszym okresie realizacji nowego ustroju, wysuniemy hasło: w każdej gminie przynajmniej jedna 8-latka — musimy zdawać sobie sprawę, że to niełatwe do wykonania zadanie będzie dopiero pierwszym krokiem. Ale już ten pierwszy krok będzie osiągnięciem wielkim — szkoła średnia, tzw. gimnazjum, pójdzie na wieś.

Na podstawie ośmioletniego wykształcenia ogólnego oprze się ostatni cykl zamykający szkołę średnią. Cykl ten musi mieć już wyraźne zróżnicowanie zawodowe i przygotowywać będzie zarówno do wykonywania określonych funkcji społeczno-gospodarczych, jak i do kontynuowania nauki na poziomie szkoły wyższej.

Musi nastąpić rehabilitacja szkoły zawodowej, musi zniknąć jej upośledzenie w stosunku do szkoły ogólnokształcącej. Jedną z dróg do tej rehabilitacji będzie uprzywilejowanie absolwentów szkół zawodowych przy wstępowaniu ich na odpowiednie wydziały szkół wyższych.

Aby jednak to stało się możliwe, ulec muszą gruntownej rewizji programy szkół zawodowych. Szkoły te muszą główny nacisk położyć na przygotowanie teoretyczne i ogólne, muszą pod tym względem dorównać szkołom ogólnokształcącym. Szkoła zawodowa nie może i nie powinna kusić się o to, by zastąpić warsztat czy fabrykę, ćwiczyć ucznia w zręczności w posługiwaniu się narzędziem czy maszyną. Pod tym względem kilkotygodniowa praca w zakładzie przemysłowym da więcej, niż dwuletnie obcowanie z warsztatem szkolnym.

Źródło upośledzenia szkół zawodowych, technicznych, tkwiło w tej właśnie tendencji do wypuszczania wykwalifikowanego i obeznanego z praktyczną stroną produkcji fachowca. Dla nas godną naśladowania jest zawodowa szkoła amerykańska, która tyle tylko daje uczniowi kontaktu z narzędziem i warsztatem, ile to jest potrzebne do ugruntowania wiedzy teoretycznej. Amerykanie dawno zdali sobie sprawę, że szkoła nie zastąpi fabryki.

Powyzszy schemat szkoły jedenastoletniej jest postulatem, którego realizacja wytycza kierunek naszych wysiłków w ciągu najbliższych lat, określa kierunek polityki oświatowej. Daje zarazem formy, które już dziś pozwolą ująć chaos panujący w dziedzinie szkolnictwa, pogłębiony przez okres okupacji, w jednolite ramy.

Zrozumiałe, że stan wywołany sześcioletnią przerwą w nauce wymaga całego szeregu zarządzeń i posunięć doraźnych, przejściowych. Sprawy te jednak wymagają osobnego omówienia.

Zdobyczą, którą przyniesie realizacja omawianego tu projektu reformy ustroju szkolnego, będzie demokratyzacja szkoły polskiej, zniesienie podziału na szkołę „powszechną” dla mas i średnią dla uprzywilejowanych, stworzona zostanie jednolita szkoła polska. Szkoła ta w rękach czynników kierujących naszą polityką oświatową winna się stać podstawowym narzędziem budowy i umacniania podstaw demokratycznej Polski.

Światopoglądowe podstawy jędrzejewiczowskiej reformy programów szkolnych

Krytyka reformy jędrzejewiczowskiej w zakresie programów nauczania w naszej prasie pedagogicznej i ogólnej przed wojną dotyczyła przeważnie szczegółów, w najlepszym razie jej podstaw psychologicznych i dydaktycznych, nie poruszała zaś zupełnie podstaw światopoglądowych nowych programów¹⁾. Tymczasem istota i rewelacyjność zmian wprowadzonych w programach nauczania przez współpracowników Jędrzejewicza polegała przede wszystkim na przebudowie tych właśnie podstaw światopoglądowych. W istocie względy psychologiczne i dydaktyczne maskowały właściwy cel reformy programów — dostosowanie systemu nauczania i wychowania do ideologii obozu politycznego, który po maju 1926 r. pochwycił władzę w swe ręce i usiłował kształtować rzeczywistość polską w myśl swoich założeń ideologicznych. Dziś już nikt nie może mieć żadnych wątpliwości, jaka to była ideologia i jakie założenia światopoglądowe. Światopogląd ten i ta ideologia nie były zresztą oryginalnym dorobkiem naszej sanacji, były raczej oddźwiękiem światopoglądu od szeregu lat urabianego przez faszyzm włoski i hitleryzm niemiecki na użytek określonego systemu politycznego. We Włoszech i Niemczech na długo przed jędrzejewiczowską reformą szkolną byliśmy świadkami gwałtownych walk z naukowymi podstawami ujmowania zjawisk otaczającego świata oraz prób sformułowania nowego poglądu na świat. Założeniem tego „nowego” poglądu na świat był pogląd, że podstawę każdej kultury stanowią nie prawdy osiągnięte na drodze rozumowego i doświadczalnego badania, ale prawdy ontologiczne, czerpiące soki żywotne z metafizycznego bytu danej zbiorowości. Obiektywnym prawdom rozumowym przeciwstawiano więc tutaj nieuchwytnie prawdy irracjonalne.

Geneza tego, pozał się Boże, ruchu umysłowego była jasna. Powstał on jako wyraz wysiłku ustabilizowania nowej rzeczywistości politycznej, utrwalenia na przyszłość zwycięstwa totalistycznego nacjonalizmu, osiągniętego na drodze gwałtu. Stan rzeczy, który wytworzył się wszędzie tam, gdzie zwyciężył fa-

¹⁾ Wyjątek pod tym względem stanowił artykuł p. t. „Reforma programu w świetle nowego światopoglądu” w broszurze „W obronie szkoły demokratycznej” wydawnictwo Tow. Oświaty Demokratycznej „Nowe Tury”. Wydawnictwo to jednak, na wpół tajne, stosunkowo mało było znane szerokiemu ogółowi.

szym w tej czy innej postaci, rzeczywistość polityczna, kształtowana przez rządy dyktatorskie, nowy ustroj państwowy, a przede wszystkim stanowisko obywatela w nowym ustroju politycznym i stosunek do niego władzy, znalazły się w rażącej sprzeczności z dotychczasowym poglądem na świat. Pogląd na świat, na którym opierały się dotychczasowe programy szkolne, korzeniami sięgał w czasy humanizmu, zręby jego ustaliły się w potężnym ruchu umysłowym Wieku Oświecenia, kiedy racjonalizm wyzwolił myśl ludzką ostatecznie z więzów prawd objawionych — dogmatów. Utrwaliła i związała z życiem ten pogląd na świat wielka rewolucja francuska i wywołane przez nią przeobrażenia w życiu i świadomości jednostek i zbiorowości. Odchylenia ku średniowieczu w pierwszej połowie XIX wieku, w okresie romantyzmu, wyrażające się w tendencji do supremacji prawd emocjonalnych, wyrównał bogaty rozkwit wiedzy i nawrót do racjonalizmu w ruchu umysłowym, znanym pod nazwą pozytywizmu. W obrębie tego światopoglądu niepodobna było znaleźć uzasadnienie ustroju politycznego opartego na absolutyzmie. Powrót do średniowiecznych form politycznego życia wymagał powrotu do założeń średniowiecznego poglądu na świat — do wysunięcia w hierarchii prawd na naczelne miejsce prawd emocjonalnych o charakterze dogmatów. We wszystkich też krajach, w których totalizm nacjonalistyczny odniósł zwycięstwo, widzimy dążenie do usunięcia z współczesnego myślenia tych momentów, które godzą w stan rzeczy ustalony przez rządy totalistyczne, dążenie do narzucenia gwałtem przystosowanego do nowego ustroju politycznego światopoglądu. We wszystkich tych państwach byliśmy świadkami planowego wysiłku tworzenia na nowych podstawach kultury uzgodnionej z panującym systemem politycznym — wysiłku do bezwzględnego podporządkowania temu systemowi rozwoju kultury.

Jędrzejewiczowska reforma szkolna w zakresie programów nauczania i wychowania była u nas najjaskrawszym przejawem tego dążenia¹⁾. Istota tej reformy tkwiła też nie w zmianie zakresu materiału, nie w zmianach w metodzie nauczania, nie w podstawach psychologicznych i dydaktycznych, ale w samym podejściu do zagadnienia programu. Programy przedjędrzejewiczowskie były wyrazem światopoglądu, opartego na ugruntowanym w okresie pozytywizmu przekonaniu o obiektywizmie wiedzy i o jej kierowniczej roli w stosunku do życia.

¹⁾ Nie była jednak przejawem odosobnionym — podobne tendencje można było zauważyć w stosunku do innych dziedzin kultury, a więc literatury, sztuki itd.

Program jędrzejewiczowski opierał się na wręcz przeciwnych założeniach — na podporządkowaniu prawd rozumowych prawdom emocjonalnym. W myśl światopoglądu, z którego wyrósł ten program, rozumowi odbiera się jego kierownicze stanowisko, przekreśla jego rolę kontrolera w stosunku do stanów emocjonalnych, a co najmniej wyjmuje się pewne stany emocjonalne, a więc przeżycia religijne i narodowe, spod jego kontroli i podporządkowuje się rozumowanie prawdom osiągniętym na drodze uczuciowej.

Te założenia światopoglądowe zostały wprowadzone do programów jędrzejewiczowskich pod pretekstem konieczności podporządkowania nauczania celom wychowawczym. Zarówno zakres wiedzy udzielanej w szkole jak i jej całość, więc przede wszystkim stopień jej ścisłości i obiektywizmu, uległ zmianie, został podporządkowany wspomnianym wyżej założeniom światopoglądowym. Przede wszystkim dana została w programach wybitna przewaga „humanistyce”¹⁾. Urzędowi interpretatorzy programu jędrzejewiczowskiego nazywali ten rys „pochyleniem humanistycznym”. W istocie to „zhumanizowanie”²⁾ sprowadziło się do podporządkowania ścisłości i obiektywizmu podawanej młodzieży wiedzy celom z nauką nie mającym nic wspólnego, a związanym rzekomo z ideałami wychowawczymi. Rzecz jednak polegała na tym, że na treść tych ideałów w sformułowaniu panującego w owym czasie obozu politycznego składały się artykuły wiary politycznej tego obozu. Stąd ich charakter dogmatyczny i dogmaty te miały poprzez program być przyswajane młodemu pokoleniu. Reasumując to, co dotychczas było powiedziane, należy stwierdzić, że zmiany podjęte przez reformę jędrzejewiczowską w programach nauczania, podobnie jak w szkolnictwie hitlerowskim, szły w kierunku zlekceważenia celów poznawczych, osłabienia systematyczności nauczania przez rozsądzenie tradycyjnych dyscyplin naukowych, przez nadmierną aktualizację, wprowadzenie przedmiotów nie odpowiadających żadnej określonej dyscyplinie naukowej i przepajanie na-

1) Przejawiło się ono w programie gimnazjum: 1) w uczynieniu łaciny przedmiotem obowiązkowym, obdarzonym dużą ilością godzin, 2) w wybitnej przewadze liczby godzin poświęconych humanistyce w porównaniu z przedmiotami matematyczno-przyrodniczymi, 3) w zhumanizowaniu programu geografii (fizjografii w dotychczasowych programach geografii przeciwstawiono antropocentryzm), w próbach zhumanizowania nawet programu przyrody.

2) Przez zamieszczenie tego terminu w cudzysłowie pragnę podkreślić, że z właściwym a pożądanym zhumanizowaniem szkoły przez przepojenie jej programów ideałami humanizmu, reforma jędrzejewiczowska nie miała nic wspólnego.

uczania czynnikiem emocjonalnym. Konsekwencją tych zmian programowych miało być podporządkowanie w światopoglądzie młodego pokolenia prawd rozumowych prawdom uczuciowym.

W przeciwstawieniu do tych tendencji sanacyjnej szkoły programy nauczania nowej szkoły winny mieć na celu jak najlepsze przygotowanie młodzieży do rozumowego opanowania otaczającej rzeczywistości. Celom poznawczym musi być w programach przywrócona ich nadrzędna rola. Cele wychowawcze istotnie ważne nie mogą wpływać na obniżenie poziomu nauki ani w sensie uszczuplenia zakresu wiadomości niezbędnych dla dobrego orientowania się w rzeczywistości otaczającej, ani pod względem jakości podawanej młodzieży wiedzy. Dobrze rozumiane zadania wychowawcze szkoły wcale zresztą tego nie wymagają. Przeciwnie, ideał, który szkole przyświecać powinien, wychowanie dobrego, a więc światłego obywatela, zmusza do należytego honorowania celów poznawczych szkoły. Z programów winny być usunięte wszystkie naleciałości podyktowane chęciami narzucenia młodzieży faszystowskiego poglądu na świat. Należy usunąć charakterystyczny dla programów jędrzejewiczowskich infantylizm przez powiększenie rzeczowych wiadomości z zakresu poszczególnych przedmiotów. Należy również nauczanie w zakresie poszczególnych przedmiotów uczynić bardziej systematycznym, prowadząc aktualizację i korelację przy nauczaniu do właściwych granic. Zadania wychowawcze szkoły nie mogą być przeciwstawiane celom poznawczym, przeciwnie, winny się wiązać z nimi w jedną organiczną całość. Wszystkie przedmioty w pewnym sensie służą zarazem celom poznawczym i wychowawczym, podstawą bowiem wychowania dobrego obywatela kraju, należytego przygotowania go do dobrego spełniania obowiązków jest ułatwienie mu dobrego orientowania się w świecie otaczających zjawisk. Nie ma potrzeby stwarzania specjalnych przedmiotów, służących celom wychowawczym (nauka obywatelska, nauka o Polsce współczesnej), każdy z przedmiotów w pełnej szkole ogólnokształcącej winien ułatwiać młodzieży zrozumienie zjawisk współczesnych i każdy winien ułatwić jej zrozumienie czekających ją obowiązków wobec zbiorowości. Natomiast jest sprawą do dyskusji, czy dotychczasowe przedmioty nauczania w szkole ogólnokształcącej wyczerpują zakres wiadomości dostateczny dla należytego orientowania się w otaczającym świecie. Jest sprawą poważnego namysłu, czy dotychczasowe przedmioty nauczania uwzględniają w dostatecznym stopniu skomplikowaną sferę zjawisk będących wykładnikiem stosunków międzyludzkich i rozwoju form życia zbiorowego. Powstaje poważne zagadnienie, czy nie należałoby

wprowadzić do szkoły ogólnokształcącej propedeutycznego kursu nauk społeczno-ekonomicznych, mającego za zadanie zapoznanie młodzieży z najważniejszymi zjawiskami w tej dziedzinie oraz wyrobienie metody ujmowania i opracowywania zjawisk życia zbiorowego.

WŁODZIMIERZ MICHAJŁOW

PROGRAMY NAUCZANIA BIOLOGII W NOWEJ SZKOLE

Wydawać by się mogło, że przedwojenne programy biologii dla szkoły powszechnej i szkoły średniej zostały opracowane i przygotowane z największą starannością. Były one badane i rozpatrywane przez kilka komisji — naukową, pedagogiczną, psychologiczną, które dokonały w projektach odpowiednich zmian ze swego punktu widzenia każda, aż nareszcie zostały przez decydujące wówczas czynniki w Ministerstwie Oświaty zatwierdzone i wydane w postaci tymczasowych programów nauki.

Świat pedagogiczny przyjął te programy z dużą rezerwą, wysuwając przeciwko nim cały szereg zastrzeżeń. Programy te były ostro krytykowane na konferencjach i zjazdach przyrodników (np. na zjeździe Towarzystwa Przyrodniczo-Pedagogicznego w Warszawie w 1938 r.), ujemnie oceniały je również sfery wykładowców wyższych uczelni.

Obecnie, gdy stoimy wobec zadania przeprowadzenia reformy szkolnictwa w kierunku jego demokratyzacji i przystosowania do nowych wymagań postawionych przez życie, nadszedł moment poddania gruntownej rewizji również szkolnych programów biologii.

Zacząć należy od analizy programów przedwojennych, wykrycia ich wad i błędów, aby wysnuć następnie pozytywne i konkretne postulaty odnośnie do programów nowych.

Główne zarzuty przeciwko przedwojennym programom biologii dadzą się ująć w trzy zasadnicze punkty: 1) niewłaściwe i tendencyjne podejście do nauk biologicznych, z którego to powodu materiał nauczania nie daje podstaw do ugruntowania naukowego poglądu na świat, 2) zbyt niski poziom nauki biologii na wszystkich szczeblach nauczania tego przedmiotu, 3) oderwanie programów od życia, od rzeczywistości gospodarczej i społecznej.

Rozpatrzmy programy nauki biologii na wszystkich szczeblach po kolei z punktu widzenia tych trzech głównych zarzutów. Analizując programy nie można się wyzbyć wrażenia, że usunięcie z nich najistotniejszych momentów ideologicznych, bądź też ich zatuszowa-

nie i stonowanie było odbiciem specjalnej tendencji ich autorów. Nie ma obecnie przyrodnika, który by nie przyznał, że nauki biologiczne dają niezbędną podbudowę naukowego światopoglądu, że reprezentują tak ważne i twórcze idee — w pierwszym rzędzie idee ewolucji, że żaden myślicy, inteligentny człowiek nie może się bez ich znajomości obejść. Zagadnienia ewolucji świata organicznego, pochodzenia życia na ziemi, pochodzenia człowieka i jego roli w przyrodzie, problemy dziedziczności — są dla współczesnego człowieka podstawowymi ideami, na gruncie których kształtują się poglądy na życie jednostki i społeczeństwa. Tymczasem w przedwojennych programach biologii te właśnie zagadnienia są potraktowane zupełnie niewłaściwie. Ze szkoły powszechnej dziecko wynosi statyczny obraz przyrody żywej, traktuje zjawiska i fakty poznane jako coś stałego i niezmiennego. Fragmentaryczne wiadomości o zwierzętach i roślinach oraz o człowieku nie są ożywione żadną myślą przewodnią, dostępną dla zrozumienia dziecka, nie są nawet ujęte w ramy jakiegoś systemu. Po ukończeniu szkoły powszechnej uczeń nie wie nawet, że miał do czynienia z propedeutycznym kursem zoologii i botaniki. W klasie trzeciej i czwartej przyroda — na poziomie nauki o rzeczach — traktowana jest łącznie z geografią, w klasie piątej nauka o przyrodzie jest wyodrębniona i podzielona na naukę o przyrodzie żywej i martwej. Tu się więc zaczyna propedeutyczny kurs biologii. Luźne wiadomości o zwierzętach i roślinach nie są jednak usystematyzowane, a układ ich nie jest często uzasadniony żadnymi względami pedagogicznymi. Podobnie przedstawia się sprawa na poziomie klasy szóstej. W klasie tej kończy się nauka o zwierzętach i roślinach. Uczeń wynosi ze szkoły statyczny i bardzo niekompletny obraz świata zoologicznego, o którym dowiaduje się jeszcze coś niemało w klasie siódmej z nauki o człowieku, traktowanej jednak głównie z punktu widzenia higieny. Dla znacznej części młodzieży szkolnej ukończenie szkoły powszechnej było ostatnim etapem nauki. To, czego się dowiedziała o przyrodzie żywej w szkole, nie daje jej prawie żadnych podstaw do wyrobienia światopoglądu, nie stanowi też dostatecznego materiału do dalszej nauki lub samouctwa.

W gimnazjum zaczyna się drugi cykl nauki o przyrodzie żywej i to również cykl propedeutyczny. Błędem starych programów było umieszczenie kursu zoologii — nauki trudniejszej do przerobienia w szkole od botaniki i przy tym wiążącej się z nauką o człowieku — w klasie pierwszej, przed botaniką. Błędem było usunięcie biologii z klasy trzeciej. Z powodu takiego rozplanowania materiału oraz istnienia luki w klasie trzeciej — wiadomości z zoologii nie mogły być potraktowane tak poważnie, jak tego wymaga ich znaczenie

dla rozwoju ogólnych pojęć o życiu, nie stanowiły zarazem podstawy do nauki o człowieku. Całe typy zwierząt są w programie pominięte — brak szkarłupni, pierścienic, robaków — których poznanie jest ważne bądź ze względu na istnienie ciekawych form przejściowych (np. między pierścienicami i stawonogami), bądź z punktu widzenia swoistej budowy (metameria pierścienic, promienista symetria szkarłupni).

W kursie botaniki w II klasie gimnazjalnej znajdujemy niktę jedynie ślady uogólnień w postaci bardziej systematycznego przeglądu świata roślinnego oraz skąpych wiadomości o roślinach kopalnych. W klasie czwartej następował drugi cykl nauki o człowieku z higieną łącznie. Wobec braku czasu (2 godziny tygodniowo) nie można było powtórzyć i usystematyzować wiadomości z zoologii i botaniki, a tym bardziej ująć tych wiadomości bardziej naukowo i nawet na dokładniejsze omówienie „jedności świata organicznego”. owego szczytnego osiągnięcia uogólnień biologicznych na tym poziomie — nie było dość miejsca.

Po myśli twórców programów syntetyczne ujęcie wiadomości biologicznych nastąpić miało dopiero w liceum. W pierwszej klasie liceum przyrodniczego przerabiano ponownie zoologię i botanikę (po jednym półroczu każdy przedmiot). Kurs ten, na ogół również mocno skondensowany, dawał jednak systematyczny przegląd świata organicznego. W klasie drugiej tegoż liceum — a w pierwszej liceów innych typów — nauczano biologii ogólnej. Program na tę klasę jest ułożony fatalnie. Poszczególne działy — wiadomości z cytologii, o wrażliwości, przemianie materii i energii, dziedziczności i ewolucji — nie są ze sobą powiązane żadną myślą przewodnią, żadną ideą. Zagadnienie ewolucji, pod kątem widzenia którego należało potraktować cały materiał biologii ogólnej — jest ujęte zwięźle, ogólnikowo, zasady darwinizmu, wytłumaczenia przyczyn ewolucji — zatuszowane i nie powiązane z innymi działami.

Tego rodzaju program mogli ułożyć tacy tylko biologowie specjaliści, którzy słuchali nakazów i tendencyjnych poleceń ówczesnych władz. W rezultacie — zamiast syntetycznego ujęcia całego przerobionego w szkole materiału — mamy znów fragmentaryczne wiadomości oraz streszczenie kilku oderwanych od nich teorii. Na tym najwyższym poziomie szkoły średniej rola biologii, jako nauki wywierającej decydujący wpływ na kształtowanie się światopoglądu, także nie została uwzględniona. Statyczny obraz przyrody żywej tworzony konsekwentnie przez cały ciąg nauki szkolnej nie mógł być zastąpiony dynamicznym, historycznym obrazem wskutek poświęcenia kilku lekcji sprawom ewolucji.

Przez takie potraktowanie materiału nauczania został oczywiście obniżony także poziom naukowy całego kursu. Ale nie tylko przez to. Z całego układu programów, z celów nauczania sformułowanych przez ich twórców przebiega brak zaufania do poziomu umysłowego młodzieży, niedoceniając jej możliwości intelektualnych, wskutek czego programy wydają się być spóźnione co najmniej o rok lub dwa w każdej klasie w stosunku do wieku i inteligencji uczniów. Tam, gdzie należałoby podać usystematyzowaną i naukowo potraktowaną dziedzinę wiedzy biologicznej — karmiono ją czytankami, luźnymi i płytkimi wiadomościami. Podręczniki, będące na ogół wykładnikiem intencji programów, są stanowczo za dziecinne, nie są w żadnym stosunku do istotnego poziomu umysłowego młodzieży. Programy przedwojenne grzeszą karygodnym infantylizmem, hamowały one rozwój umysłowy młodzieży. Brak podejścia systematycznego do materiału zoologii i botaniki był poważnym błędem. Sprawa budowy anatomicznej zwierząt i roślin na poziomie szkoły powszechnej nie istniała w ogóle, w gimnazjum — wobec wyraźnego zakazu dokonywania sekcji — anatomia zwierząt przetwarzana była werbalnie i to tylko w zakresie niektórych grup kręgowców. Pominięcie szeregu typów zwierząt rozbijało ciągłość logiczną kursu zoologii. Nauka o człowieku — w kursie klasy czwartej — przeładowana była wskazówkami higienicznymi, częstokroć nie opartymi na gruncie naukowym, co uniemożliwiało należyte przerobienie anatomii i fizjologii ustroju ludzkiego. Podejście do sprawy budowy i czynności narządów było niewłaściwe. Główny nacisk położono na znajomość czynności poszczególnych narządów lub układów, usuwając na drugi plan poznanie ich budowy.

Właściwe podejście — poprzez ogólnikową obserwację czynności w celu zwrócenia uwagi na charakter działalności narządu, poznanie budowy — do dokładnego zrozumienia czynności — zostało w ten sposób spacone. Ani w szkole powszechnej, ani w gimnazjum i liceum nie ma naukowego wyjaśnienia sprawy rozmnażania się ssaków i człowieka. Temat ten został w podręcznikach całkiem pominięty lub też potraktowany zbyt ostrożnie i wstydliwie.

Program licealny przedstawia się pod względem poziomu naukowego na ogół lepiej, brak jednak w nim tak ważnego elementu, jakim jest umiejętnie sformułowana hipoteza i teoria, nie jest również odzwierciedlony rozwój biologii w perspektywie historycznej — temat tak bardzo pouczający i ciekawy. Dynamizm tej młodej nauki został całkowicie zatuszowany przez fragmentaryzację poszczególnych działów.

Trzeba więc wyraźnie stwierdzić, że nauka o przyrodzie żywej w szkole powszechnej nie stanowiła wartościowej podbudowy nauki

gimnazjalnej biologii tak, że w gimnazjum trzeba było zaczynać wszystko „od nowa”, by znowu ograniczyć się do wiadomości propedeutycznych. Te z kolei nie tworzyły dostatecznych podstaw dla nauki licealnej — w liceum przyrodniczym nauka botaniki i zoologii znów zaczynała się prawie od początku. Całość programu szkoły średniej nie gwarantowała dostatecznego przygotowania do studiów uniwersyteckich, co było niejednokrotnie omawiane w gronie profesorów wyższych uczelni.

Trzecim zasadniczym błędem starych programów było ich oderwanie od rzeczywistości, od istotnych potrzeb życia gospodarczego. Słynne „pochylenie gospodarcze” programów, ich stale akcentowana „aktualizacja” — okazały się fikcją. Programy zostały przeładowane wiadomościami gospodarczymi, duży nacisk położono na te sprawy w zakresie zoologii i botaniki, w podręcznikach podawano dane statystyczne, wykresy, schematy, a jednak nie osiągnięto celu najważniejszego — nie wskazano dróg prowadzących do zmiany na lepsze stosunków gospodarczych w Polsce, nie uwydatniono znaczenia biologii dla podniesienia poziomu gospodarczego kraju. Nie można było, rzecz prosta, spodziewać się, by autorzy programów wprowadzali do nich akcenty społeczne i gospodarcze, sprzeczne z intencją sanacyjnych rządów, nie można było wymagać znajomości osiągnięć nauk biologicznych, które w owym czasie dopiero zaczęły znajdować zastosowanie za granicą. Ale nawet w ramach uznanej rzeczywistości społecznej podejście do spraw gospodarczych jest w starych programach zupełnie niewłaściwe. Grzeszą one płytkim, krótkowzrocznym utylitaryzmem, pomijając już to, że są obecnie przestarzałe.

W szkole powszechnej dziecko dowiadywało się o istnieniu różnych ras zwierząt domowych, nie wiedziało natomiast nic o sposobach ulepszenia rasy, a nawet o korzyściach hodowli zwierząt rasowych.

Podejście regionalne — od strony najbliższej okolicy i jej życia, zabiło w programach element twórczy, zamknęło drogę do myślenia o tym, co nowego można w danej okolicy stworzyć, jak przez to podnieść poziom gospodarczy całego państwa.

W podobny sposób potraktowane zostały tematy gospodarcze w programie licealnym. Ten bezduszny, płytki, pozbawiony wszelkiej dynamiki utylitaryzm programów jest niewątpliwie wynikiem określonej tendencji ich twórców. Można powiedzieć, że w podręcznikach sprawa ta wyglądała lepiej, że nauczyciele sami nadawali tym partiom materiału inny charakter. Istotnie, tak częstokroć było. Ale czy zawsze musiało być? Przecież program nauczania jest właśnie tym podsta-

wowym dokumentem, który ma regulować całą sprawę nauczania danego przedmiotu w szkole.

Program biologii w szkole przedwrsześniowej — poza wymienionymi głównymi spaczeniami głębszej natury — posiadał liczne usterki i wadliwe sformułowania. Nad nimi obecnie nie warto się zastanawiać. Program nauczania biologii w nowej, demokratycznej szkole winien ulec radykalnej zmianie w myśl następujących postulatów:

1) Materiał nauczania winien zawierać te elementy, które stanowią podstawę przyrodniczego, naukowego światopoglądu.

2) Powinien dawać możliwie kompletny, systematycznie i naukowo ujęty obraz świata organicznego w postaci wiadomości z zoologii, botaniki oraz nauki o człowieku, przy czym w zakresie biologii ogólnej podane musi być syntetyczne ujęcie całokształtu poznanych dziedzin nauki o przyrodzie żywej.

3) Mocno akcentować momenty czyniące nauki biologiczne w obecnej fazie ich rozwoju potężnym narzędziem w ręku człowieka pozwalającym przy prowadzeniu racjonalnej i planowej gospodarki opanowywać siły przyrody żywej i wprzęgać je w służbę ludzkości.

Oczywiście sposób realizacji powyższych postulatów zależy w znacznym stopniu od struktury przyszłej szkoły. Struktura ta obecnie wyraźnie się zarysowuje. Reforma szkolnictwa pójdzie w kierunku stworzenia jednolitej szkoły ogólnokształcącej, zapewniającej ciągłość nauki od klas najniższych do najwyższych. Szkoła ta będzie — z punktu widzenia programów — realizowała trzy szczeble nauczania — propedeutyczny, systematyczny i drugi systematyczny, przygotowujący do zawodu lub studiów wyższych.

Na poziomie pierwszego propedeutycznego cyklu najtrudniej przedstawia się sprawa zapoznania młodzieży z teoriami i uogólnieniami biologicznymi o znaczeniu światopoglądowym. Zrozumienie teorii ewolucji lub zasad genetyki wymaga znacznej dojrzałości umysłowej i przekracza niewątpliwie możliwości intelektualne młodzieży w tym wieku. Pewne jednak elementy nauk biologicznych, stanowiące podbudowę pod zrozumienie ogólnych teorii biologicznych, mogą być w materiale nauczania uwzględnione. Chodzi o tematy następujące: 1) zmienność organizmów, 2) dobór sztuczny, 3) ogólne pojęcie o dziedziczności na tle wiadomości o hodowli roślin i zwierząt domowych, 4) niektóre skamieliny jako cząstki wymarłych organizmów, 5) systematyczne uporządkowanie poznanych organizmów nasuwające ideę ich pokrewieństwa, 6) cechy budowy człowieka wykazujące jego pokrewieństwo do kręgowców, 7) przystosowanie organizmów do środowiska, 8) wzajemna zależność organizmów.

Na poziomie drugiego z kolei, a pierwszego systematycznego cyklu należy:

- 1) Stworzyć wyraźną podbudowę pod ideę ewolucji na tle systematycznego (od najprostszych do najbardziej złożonych) przeglądu roślin i zwierząt z uwzględnieniem ich morfologii, częściowo anatomii i głównych zjawisk fizjologicznych.

- 2) Pogłębić pojęcie pokrewieństwa między organizmami przez uwzględnienie istnienia form przejściowych między poszczególnymi grupami systematycznymi.

- 3) Pogłębić i rozszerzyć wiadomości o organizmach minionych epok geologicznych (paprotniki, gady, ptaki, ssaki kopalne).

- 4) Silnie podkreślić zjawiska ogólnobiologiczne, jak np. przystosowania do otoczenia, opieka nad potomstwem, sposoby rozmnażania się itp.

- 5) Zebrać wiadomości do ugruntowania pojęcia jedności świata organicznego i wspólnego pochodzenia organizmów.

- 6) Zestawić cechy wiążące człowieka z grupą ssaków naczelnych, wyodrębnić cechy, które zapewniają mu przodujące stanowisko na świecie.

Na poziomie trzeciego od początku — a więc drugiego cyklu systematycznego należy dokonać syntezy wiadomości biologicznych. Kurs zoologii i botaniki w pierwszej klasie tego cyklu winien być naświetlony pod kątem widzenia ewolucji. W drugiej klasie tego cyklu cały kurs należy ułożyć pod kątem widzenia idei ewolucji. Po wstępnej części, przedstawiającej zarys rozwoju myśli biologicznej w przeszłości, nastąpić winien przegląd dowodów ewolucji z dziedziny: cytologii, fizjologii, mechaniki rozwoju, ambiologii, anatomii porównawczej, paleontologii, biogeografii i genetyki. Dalszy kurs winien obejmować teorie pochodzenia gatunków ze szczególnym uwzględnieniem teorii Darwina, teorie pochodzenia życia na ziemi oraz pochodzenia człowieka. W ten sposób po ukończeniu szkoły średniej ogólnokształcącej młodzież będzie dostatecznie przygotowana do stworzenia sobie naukowego poglądu na świat, a zarazem zostanie podniesiony poziom naukowy nauczania biologii. Z punktu widzenia tego drugiego postulatu należy ponadto:

Na poziomie cyklu propedeutycznego, zachowując na ogół ten sam materiał naukowy oraz dotychczasowe podejście od strony najbliższego otoczenia, tak usystematyzować materiał w klasach końcowych, by określone działy biologii — jak nauka o zwierzętach i roślinach — wyraźnie wyodrębnione — stanowiły podstawę do nauki systematycznej bez konieczności powtarzania tych samych rzeczy.

Na poziomie pierwszego cyklu systematycznego należałoby się zająć kolejno — botaniką, zoologią, nauką o człowieku. Układ ma-

teriału z botaniki można zachować dotychczasowy, wzmacniając element systematyki i rozszerzając znacznie dział roślin kwiatowych okrytozalążkowych. Zoologia winna być potraktowana jako systematyczny przegląd głównych typów zwierząt (pierwotniaki, jamochłony, robaki, pierścienice, stawonogi, mięczaki, szkarłupnie, strunowce). Taki układ materiału będzie miał naukowy i logiczny charakter. Ucierpi na tym metoda nauczania — trudniej będzie o żywe owady w zimie, nie uda się demonstrować rozwoju żaby ze skrzeku. Korzyści jednak takiego układu okażą się tak znaczne, że nie należy się zrażać trudnościami metodycznymi. Wyrażnie i naukowo powinna być wyjaśniona sprawa rozmnażania się zwierząt. Naukę o człowieku należy oprzeć na gruntowniejszym niż dotąd poznaniu budowy narządów i opartej na niej fizjologii. Wskazówki higieniczne i praktyczne winny być naukowo uzasadnione.

Kurs biologii w drugim cyklu systematycznym powinien być zbudowany na systematycznym, opartym o anatomię, przeglądzie świata zwierzęcego. Biologia ogólna powinna przybrać charakter logicznego wykładu zasad ewolucjonizmu z uwzględnieniem podstaw nowoczesnej genetyki.

Ostatnim podstawowym postulatem w stosunku do nowych programów biologii jest właściwe potraktowanie zagadnień gospodarczych i praktycznych związanych z biologią. Znaczenie nauk biologicznych pod tym względem powinno być uwypuklone na wszystkich szczeblach nauczania.

Na poziomie propedeutycznym należy zwrócić uwagę na zwierzęta i rośliny hodowlane pod względem ich pochodzenia, przystosowania do wymagań człowieka, wyraźnie musi być uwydatniona możliwość wpływu człowieka na kształtowanie się organizmów, ich aklimatyzację, wytwarzanie i utrwalanie cech korzystnych, tworzenie nowych odmian drogą krzyżowania. Młodzież powinna się dowiedzieć o korzyściach płynących z hodowli zwierząt rasowych, zastosowań technicznych (inkubacja), selekcji nasion, szczepienia i oczkowania drzew owocowych, racjonalnego zwalczania pasożytów-roślin, powinna zrozumieć znaczenie prowadzenia planowej i racjonalnej gospodarki hodowlanej.

Na poziomie kursu systematycznego te same zagadnienia winny być przerabiane dokładniej i oparte na ćwiczeniach. Młodzież należy zapoznać z wynikami prac Bierbanka, Mieczurina, Łysienki, Cycyna, poznać w zakresie botaniki znaczenie chwastów i roślin lekarskich. W zakresie zoologii należy ją zapoznać z możliwościami, jakie ma przed sobą zootechnika, z problemami planowej hodowli i oswajania zwierząt dzikich, nowoczesnymi sposobami zwalczania pasożytów. W zakresie nauki o człowieku należy wprowadzić niektóre

wiadomości z eugeniki, całość fizjologii należy przedstawić pod kątem widzenia pracy zawodowej wykonywanej przez człowieka i związanych z tym wskazań higienicznych.

Na poziomie wyższym nadarza się okazja do ostatecznego sformułowania na tle genetyki najnowszych zdobyczy fito- i zootechniki.

Proponowana zmiana programów podniesie poziom nauki bez krzywdy dla młodzieży, całkowicie zdolnej do wysiłku umysłowego niezbędnego dla opanowania tak potraktowanej nauki biologii, a zarazem będzie odpowiadała istotnemu ciężarowi gatunkowemu nauk biologicznych w życiu współczesnym. Przyczyni się więc ona do zbliżenia szkoły do życia, a znane zainteresowanie młodzieży do przyrody i problemów logicznych racjonalnie skieruje i z korzyścią wyzyska.

ZYGMUNT MYŚLAKOWSKI

GŁOS W SPRAWIE STUDIÓW WYŻSZYCH *)

W przeciwieństwie do szkoły powszechnej, mającej kształcić ogół obywateli, szkoły wyższe mają za zadanie przygotować specjalistów. Tylko tacy powinni mieć możliwość studiowania, którzy są potrzebni, względnie którzy będą potrzebni ogółowi dla wykonywania określonych zadań, podyktowanych przez strukturę ekonomiczną, społeczną i kulturalną państwa, zarówno więc jako praktycy, jak i teoretycy. Szkoły wyższe mają więc nie tylko dostarczyć społeczności pewnej liczby (stosownie do zapotrzebowania) chemików, lekarzy, inżynierów i nauczycieli, ale także dbać o kadry teoretyków, którzy jako profesory, docenci i asystenci umożliwią ich własne dalsze istnienie. Obie te funkcje były wypełniane dotąd przez szkoły wyższe, z tym jednak, że każda z tych funkcji miała dawniej inne nieco znaczenie, niż ma dzisiaj.

Komplikujące się coraz bardziej życie społeczne wymaga coraz większej liczby coraz bardziej różniczkowanych kadr pracowników o wykształceniu wyższym i więcej teoretycznym. Podczas więc gdy średniowieczne społeczeństwo ograniczało swoje zapotrzebowanie w tym względzie do prawników, teologów i lekarzy, społeczeństwo dzisiejsze musi liczyć się ponadto z koniecznością kształcenia inżynierów, chemików, architektów, dziennikarzy, dyplomatów, bibliotekarzy, pracowników muzeów, nawigatorów, handlowców. Pewne z tych funkcji były wykonywane i dawniej, ale przygotowywano się do

*) Skrót większej pracy na ten temat, nadesłanej do Redakcji.

nich nie w szkołach, lecz na wół prywatnie u mistrzów danego zawodu, częściowo zaś są to funkcje całkiem nowe, wyrosłe na gruncie nowoczesnej struktury społecznej i techniki wytwarzania, nieznanej dawniej społeczności. Stąd dawniejszy, klasyczny czterowydziałowy uniwersytet przestał pokrywać całe zapotrzebowanie na pracowników i w miarę, jak trzymał się tradycyjalnych form i bronił swej sztywnej struktury, społeczność tworzyła obok niego coraz nowe typy szkół, z początku nawet nie o poziomie akademickim, które z czasem jednak zaczęły ten charakter wyraźnie przybierać. Tak więc poza uniwersytetem właściwym znalazły się wyższe szkoły agronomiczne, handlowe, politechniczne, technologiczne, sztuk pięknych itp.

Uniwersytety okazały się dość konserwatywne w swej strukturze i niechętnie dopuszczały jakieś nowe, niedość ukształtowane jeszcze dyscypliny. Pochodziło to po części z pewnego pojęcia o misji uniwersytetu. Ideą tradycyjnego uniwersytetu było pielęgnowanie jak najczystszej teorii; można to było z pewną słuszością twierdzić tylko o wydziałach „filozoficznych“, bo już istnienie prawa i medycyny nie było z tą ideą w zgodzie. Czego jednak konsekwencja nie może, tego dokonywa czas i przyzwyczajenie. Niekonsekwencja przestaje razić, gdy jest już dość dawna.

Jedynie w Stanach Zjednoczonych, gdzie nie liczono się tak bardzo z tradycją jak w Europie, powstały uniwersytety o idei plastyczniejszej i szerszej, dopuszczającej zatem takie herezje jak katedra dziennikarstwa. Ten typ uniwersytetu, lepiej dostosowujący się do potrzeb społecznych, rozwinie się prawdopodobnie i w Europie. Ostateczną bowiem racją bytu wszelkich szkół wyższych nie jest jakaś absolutna teoria, lecz służba społeczna. Przy samym zresztą zakładaniu uniwersytetu średniowiecznego działały te same względy na użyteczność państwową, co i dziś, z tą tylko różnicą, że ze zmienioną treścią życia społecznego zmieniać się także musiał rodzaj zapotrzebowań społecznych. Poza tym istnienie wydziału medycznego i prawa stanowiło od początku wyłom w idei uniwersytetu, jako miejsca poświęconego teorii pozbawionej cech utylitarnych. Pomiędzy jednak katedrą dziennikarstwa a jakkolwiek katedrą prawniczą nie ma istotnej różnicy. To samo odnosi się do wszystkich innych dyscyplin, jakie życie samo wysunęło i jakie wysunie jeszcze nieraz.

Uniwersytety i akademie wyobcowwały się stopniowo z kontaktu z życiem i zamknęły się w dostojnym i martwym

odosobnieniu. Dotyczy to zwłaszcza humanistyki, a na humanistyce — przede wszystkim historii.

Jakimi bowiem rezultatami mogą poszczycić się nasze dotychczasowe studia historyczne? Nie mamy dotąd odpowiedniego opracowania historii gospodarczej Polski, bardzo słabo opracowany ustrój, trudno byłoby wskazać nawet jakiś wybitniejszy podręcznik historii politycznej, mimo że ten właśnie rodzaj historii jako najłatwiejszy i najprymitywniejszy był najęśniej u nas uprawiany. Nie mamy historii ruchów społecznych, nawet historia reformacji i tak interesującego jej odłamu jak arianizm, mimo katedr, czasopism i stosów zadrukowanego papieru nie doczekała się syntetycznego a gruntownego opracowania. Historycy „kultury“ woleli tymczasem wydawać podręczniki dla seminariów naukowych.

Trzeba to sobie dobrze uświadomić, że państwo współczesne potrzebuje licznych zastępów pracowników społecznych — samorządowych, spółdzielczych, oświatowych, prasowych, ubezpieczeniowych itd. Uchyłać się od spełnienia postulatów życia, jak to czyniły na ogół dotąd uniwersytety w myśl zasady, że tylko dojrzałe do teorii dyscypliny mogą być dość godne czcigodnej, wiekowej Almae Matris, że tylko dostojne, przez wielkie N Nauki winny być tu reprezentowane — jest nieżyciowym, na niczym nieopartym i szkodliwym przesądem.

Ażeby odpowiedzieć tym nowym zadaniom, musiałyby uniwersytety zorganizować Wydziały Nauk Społecznych. Dotychczasowa praktyka wykazała, że przyszli pracownicy administracji, samorządu itd., o ile kształcą się na uniwersytetach, kończą wydział prawny. Zapewne, lepiej, niż gdyby mieli kończyć np. medycynę i specjalizować się w akuszerii lub zdobywać wstęp do znajomości życia współczesnego na teologii (nie należy uśmiechać się w tym miejscu — to nie żart — mieliśmy przecież akuszerza, weterynarza i teologa na najwyższych stanowiskach w Ministerstwie Oświaty) — w istocie jednak tylko nieznaną sobie współczesnego państwa i dyletantyzm, z jakim się jego agendy traktuje, mogą usprawiedliwiać pogląd, że właśnie studia prawnicze do tych stanowisk najlepiej przygotowują. Do czego to nie mają przygotowywać owe studia? Bo i dyrektor przedsiębiorstwa, i administrator dóbr, i dyrektor towarzystwa ubezpieczeń, i dyrektor tramwajów, i sędzia, i adwokat oczywiście, ale także

wojewoda i starosta... przepraszam, czy nie jest tu coś nie w porządku? Tak wielką rozpiętość „przygotowania do wszystkiego” może mieć chyba tylko jeszcze teologia, jako nauka obejmująca całość spraw boskich i ludzkich.

Porzućmy lepiej od razu ten anachronizm. Może w XV wieku studia prawa najmniej niestosownie przygotowywały pracowników państwa — dziś jednak można wskazać o wiele lepsze i właściwsze sposoby kształcenia w tym kierunku. Właśnie wydziały nauk społecznych powinny spełniać to zadanie.

W związku z organizacją powyższych wydziałów powinna być zniesiona odrębność wydziałów prawnych. Jest to pozostałość po organizacji średniowiecznego uniwersytetu, wówczas uzasadniona, ale dziś nie mająca za sobą właściwie żadnego uzasadnienia, poza tradycją i tzw. prawem zasiedziałości.

Państwo dzisiejsze niewątpliwie potrzebuje ludzi obeznanych z ustawami i procedurami, podobnie jak potrzebowało ich państwo średniowieczne, jednakże przygotowanie pracowników najbliżej z prawem się stykających musi być dzisiaj zupełnie inne. Bardziej niż znajomość kodeksów i procedur potrzebna jest tym ludziom znajomość socjologii, etyki, psychologii, historii gospodarczej. Nawet sędzia powinien być dziś bardziej socjologiem niż prawnikiem (żywię wątpliwości jedynie co do notariatu).

Prawo oglądane z dzisiejszego stanowiska nie jest żadną samoistną egzystencją w ponadspołecznym świecie metafizycznym, lecz po prostu jednym z bardzo licznych i różnorodnych przejawów życia społecznego. Podstawa jego tkwi w konkretnych stosunkach społecznych, które w pewnych warunkach znajdują się na drodze do stabilizacji i normalizacji i wtedy dają się ujmować dyskursywnie jako przepisy i normy. Poza tym jednak ciągle istnieje rzeczywistość społeczna całkowicie płynna, którą można opisywać i klasyfikować jako świat danych faktów, pozbawionych zarówno etycznego jak i prawnego znaczenia. Nie ma sztywnej granicy między tymi dwoma światami. Norma jest tylko rodzajem szczęśliwego zbiegu okoliczności w świecie zdarzeń, których istotny sens leży gdzie indziej. Socjolog usiłuje objąć możliwie kompletnie całość tego prądu zdarzeń społecznych, wśród których prawo jest tylko jedną drobną falą. To, że nauka prawa chce uporządkować swą treść w formę systemu zbliżonego do nauki dedukcyjnej, socjologia zaś walczy z masą materiału, nie dającego się tak łatwo sprowadzić do prostych

form jakiegóś logiki czy mechaniki teoretycznej — nie ma żadnego znaczenia z punktu widzenia użyteczności społecznej. Szkoły wyższe, jak wszystkie zresztą instytucje życia publicznego, służyć mają bezpośredniemu dobru społecznemu. Dla osiągnięcia pośrednich dóbr społecznych, jakimi są niektóre wyszukane sposoby zabaw intelektualnych, nie potrzeba instytutów ani fundacyj — wystarczy, jeśli państwo nie zabroni pewnym jednostkom mającym do tego szczególne skłonności oddawać się ulubionemu zajęciu. Będzie to jedną z przyszłych fundamentalnych wolności demokracji. Prawo powinno być organizacyjnie ujęte jako oddzielna grupa na wydziale nauk społecznych.

Wydziały nauk społecznych powinny obejmować inne jeszcze analogiczne grupy studiów. W przybliżeniu byłyby one następujące:

- administracji i prawa,
- samorządu i spółdzielczości,
- ekonomii społecznej,
- opieki społecznej i ubezpieczeń,
- szkolnictwa i oświaty,
- dyplomacji,
- prasy i propagandy.

Wychodząc z założenia, że nie tylko bezpośredni pracownik społeczny, jak sędzia czy inspektor pracy, lecz każdy specjalista, stykający się z masą z racji swego zawodu, jak np. inżynier lub agronom, powinien mieć rozbudzone zainteresowanie dla socjologii i znajomość dotychczasowych jej osiągnięć — należy utworzyć katedry socjologii także na innych wyższych uczelniach, a więc politechnikach, wyższych szkołach górniczych, rolniczych i handlowych. Lekarze poświęcający się medycynie społecznej mogliby korzystać z odpowiednich katedr na wydziałach nauk społecznych.

Wydziały współczesne rozrosły się i różnicowały wewnątrz tak dalece, że więź umysłowa pomiędzy przedstawicielami poszczególnych grup nauk zatraciła się prawie. Dotyczyło to zwłaszcza pierwotnego wydziału filozoficznego. Tutaj też pojawiły się najpierw dążenia odśrodkowe i na niektórych uniwersytetach doszło rzeczywiście do rozdzielenia na wydział humanistyczny i matematyczno-przyrodniczy. Było to zupełnie usprawiedliwione, ponieważ więcej było wspólnych zainteresowań pomiędzy humanistami niż pomiędzy nimi a przyrodnikami czy matematykami i zaprzatanie sobie czasu wysłuchiwa-

niem uciążliwych a nieinteresujących spraw obcej grupy sta-
wało się zupełnie niepotrzebne.

Czy nie należałoby jednak tej sprawy postawić ogólniej
i nie przeprowadzić tej zasady rozdziału poprzez wszystkie na-
turalne ugrupowania nauk?

Zachowując (lub nie zachowując — sprawa to dość pod-
rzędna) dotychczasowy porządek wydziałów, możnaby w obre-
bie wydziałów stworzyć wyodrębnione częściowo grupy orga-
nizacyjne studiów. A więc: matematyczna, przyrodnicza, filo-
logiczna, historyczna, farmaceutyczna, pedagogiczna, prawni-
cza, ekonomiczno-społeczna itd., stosownie do rozrostu danej
grupy i odczucia jej odrębnej łączności wewnątrz.

Każde z tych studiów ma swoje własne sprawy, potrzeby,
plany i stosownie do tego powinno otrzymać także zewnętrzną
strukturę samodzielną. Na czele każdego powinien stać dyrektor
bądź wybierany przez radę wydziału, bądź mianowany przez
ministra na wniosek senatu. Zadaniem jego i rady wykładow-
ców będzie układanie planów i projektów dotyczących toku stu-
diów, opracowywanie wniosków habilitacyjnych, nominacyj-
nych, powierzanie pewnych specjalnych wykładów zleconych
osobom spoza grona profesorów uniwersytetu, rozdział stypen-
diów, kontrola nad wynikami pracy studentów itd.

Uniwersytet nie jest odmianą wyższej szkoły powszech-
nej. Nauka na nim powinna być trudna. Ale to niedość. Wy-
niki nauczania nie zależą bowiem tylko od uczących i od do-
brej organizacji nauczania, ale także od materiału ludzkiego,
który na uniwersytet przychodzi ze szkoły średniej, względnie
od stopnia, w jakim student ma możliwość spożytkowania tego,
co uniwersytet dać mu ze swej strony może. Ta jego możliwość
wynika z dwu czynników: zdolności wrodzonych oraz material-
nych warunków egzystencji w czasie studiów. Inne rzeczy są
w związku z dobrą wolą studenta. Tu jednak mamy granice,
wobec których wszelka dobra wola jest bezsilna. Tylko w pew-
nych granicach można pokonać trudności pracowitością. Poza
tymi granicami występuje właśnie sprawa zdolności i warun-
ków egzystencji. Najpracowitszy i najzdolniejszy student mar-
nuje znaczną część swoich możliwości przy stałym niedojada-
niu, wadliwym odżywianiu się, niedosypianiu, braku własnego
kąta na mieszkanie, braku odpowiedniej bielizny, odzieży, obu-
wia i elementarnych warunków higieny. A są to właśnie wa-
runki, w jakich studiowała ogromna część naszej młodzieży.
Nie można by się wcale dziwić, gdyby zostało dokładnie stwier-
dzone, że także i przeważna część możliwości, jakie dawał teo-

retycznie uniwersytet, nie była w praktyce spożytkowana, czyli innymi słowy szła w dużej części na marne.

A tymczasem studia uniwersyteckie są zbyt kosztowne z punktu widzenia państwa, ażeby można je było trwonić bez kontroli. Zbyt cenne także dla tych innych, którzy z niezależnych od siebie powodów na uniwersytet nie zostali przypuszczeni, mimo, że byliby może i pracowitsi, i zdolniejsi od wielu z tych, którym drogę do studiów łaskawy los wbrew ich chęciom i możliwościom uTOROWAŁ i różami usypał.

Trzeba to jasno stwierdzić: studia wyższe są przywilejem i to przywilejem bardzo cennym. Dlatego sprawa, kto z tego przywileju korzysta faktycznie, a kto korzystać powinien, a nie może, jest sprawą nie pozbawioną znaczenia.

Ustrój społeczny, a w szczególności jego odzwierciedlenie w ustroju szkolnictwa, stanowił narzędzie selekcji nie ze względu na uzdolnienie studiującego do nauki, lecz ze względu na zamożność rodziców. Syn rodziców zamożnych miał na ogół zapewniony dostęp do studiów średnich i wyższych nie zawsze dlatego, że był zdolny, lecz nawet mimo braku zdolności, pracowitości i chęci. Syn rodziców niezamożnych ze środowiska robotniczego i wiejskiego miał najczęściej uniemożliwiony lub bardzo utrudniony ten dostęp, nawet wtedy, gdy do studiów średnich i wyższych przeznaczały go zdolności i pracowitość. Wskutek tego rodzaju wadliwej selekcji warstwy niezamożne były upośledzone, a szkoły wyższe i średnie otrzymywały mniej wartościowy materiał. Niesłuszność więc była podwójna.

Jeśli dopuszczenie do studiów wyższych jest samo w sobie przywilejem, to przywilejowi temu należy odjąć charakter polityczny. Studia wyższe, jak powiedzieliśmy, powinny być trudne, ale praktycznie będzie to można tylko wtedy zrealizować, gdy materiał ludzki będzie stał dość wysoko. Kluczem otwierającym drzwi do studiów wyższych muszą być zdolności i cechy charakteru, ale nigdy sama zamożność lub przynależność do warstwy uprzywilejowanej politycznie.

Przywilej polityczny, udzielany nota bene ze szkodą dla dobra społecznego i połączony z niecelową gospodarką w dziedzinie życia kulturalnego, musi zniknąć.

Samo jednak teoretyczne postawienie tej zasady — to mało. Ażeby praktycznie stało się jej zadość, trzeba wyrównać szanse dla wszystkich warstw, choćby państwo miało dużo do tego dopłacać. Mniejszą bowiem stratą jest dopłacanie w formie stypendiów i burs do każdej jednostki zdolnej, a niezamożnej, niż utrzymywanie miejsc w salach i laboratoriach dla jednostek niezdolnych, a zamożnych. Stypendia i bursy nie powinny

być jak dotąd wyjątkiem, lecz regułą, nie łaską pańską, lecz powinnością państwa, a prawem obywatela.

Dostarczaniem kontyngentu młodzieży wiejskiej i małomiasteczkowej szkołom wyższym powinny zająć się samorządy lokalne; ich to staraniem powinno być kierowanie odpowiedniego procentu młodzieży wiejskiej do szkół średnich na podstawie uzdolnień, dbanie o to, by młodzież ta otrzymywała nie tylko miejsce w szkole średniej, ale także odpowiednie warunki materialne w internatach, pomoc w książkach i wszelkich niezbędnych materiałach naukowych. Do trudnych studiów uniwersyteckich powinna się dostawać młodzież nie tylko zdolna i równomiernie rekrutowana ze wszystkich warstw społecznych, ale także zdrowa moralnie i fizycznie, należycie odżywiona i wysportowana. Nie należy dopomagać intelektowi głodem i nędzą. Jako kurator stowarzyszeń młodzieży ludowej autor miał możność widzieć z bliska te spustoszenia, jakie w młodych organizmach wywarły lata poniewierki. W tych warunkach hodzi się tylko psychopatów albo łamie się charaktery. Jedno i drugie zaś jest społeczną klęską.

Stowarzyszenia młodzieży wychowują ją. Tutaj wyrabiają się cenne walory osobowości: zdolność do współżycia, poczucie odpowiedzialności, zdolność posłuchu i rządzenia, poczucie wspólnoty. Więcej tu niż na wykładach, w pracowniach i seminariach, gdzie kształci się co najwyżej intelekt, ale nie charaktery. W okresie przedwojennego chaosu dawały się słyszeć głosy ze sfer oficjalnych, że uniwersytety mają nie tylko kształcić, ale i wychowywać — jednocześnie jednak te same czynniki zrobiły wszystko, ażeby ostatnie ślady tej właśnie funkcji wytrzebić. Stało się to głównie przez ograniczenie i zniekształcenie życia stowarzyszeń młodzieży.

W okresie zaborów młodzież akademicka, łącząc się w tajne częściowo związki, była jednym z najczynniejszych ognisk życia narodowego i polityczno-społecznego. Wspomnijmy choćby klasyczny przykład filomatów. To zresztą znaczenie zachowały związki młodzieży aż do ostatnich lat przed pierwszą wojną światową. I jeszcze żyły tym rozmachem przez pierwsze lata niepodległości. Dopiero sanacyjne próby uchwycenia młodzieży i wciśnięcia jej w z góry wyznaczone ramy — próby, które nie osiągnęły zresztą żadnego pozytywnego celu, ponieważ brak im było wszelkiej ideologicznej treści poza

plytkimi frazesami o wychowaniu państwowym, osiągnęły wynik negatywny: rozbiły w ogóle życie stowarzyszeń i wypaczyły ich sens w tym, co jeszcze pozostało.

Zarzut tzw. rozpolitykowania młodzieży, spotykany na łamach codziennej prasy w okresie, kiedy sanacja próbowała różnych dróg odpolitycznienia społeczeństwa, okazał się w świetle ostatnich wydarzeń wierutnym głupstwem. Sanacja odwracając w ogóle uwagę od polityki pragnęła ułatwić sobie rządzenie i monopol politycznego myślenia zagarnąć dla siebie. Rezultat wypadł dla społeczeństwa bardzo smutny — zostało ono wystawione na sztych najcięższych prób politycznych, jakie kiedykolwiek zostały narzucone jakiemuś narodowi, opuszczone przez polityczną elitę, która zawczasu przygotowała sobie warunki ucieczki, i niedość wyrobione politycznie, aby mogło wyłonić z siebie w formie improwizacji jakąś myśl polityczną. Trzeba stwierdzić, że społeczeństwo nasze przed wybuchem największych wydarzeń w dziejach świata było okłamane, nie poinformowane lub źle informowane i woła jego była politycznie dawno rozbita przez próby monopartii BBWR, która zresztą sama nie wiedziała, czego właściwie chce.

Tak zwane „rozpolitykowanie“ było takim samym bezkrytycznym frazesem jak np. „nadprodukcja inteligencji“ i inne podobne.

Nie „odpolitykować“ należało, ale wychować politycznie społeczeństwo, przyzwyczaić je do myślenia o swoich własnych sprawach, do obrony i do posiadania przekonań, nie do strachu przed utratą posady wskutek posiadania przekonań albo, co gorzej, strachu przed obozem koncentracyjnym. System pomajowy, zamiast wychowywać politycznie społeczeństwo, usypiał jego czujność i pacył charaktery.

Gdzie wytwarza się myśl polityczna mas? W samorządzie, w życiu partyjnym i w stowarzyszeniach młodzieży. Są one jakby przedszkolem politycznego zachowania się.

Polityka Ministerstwa Oświaty poszła podobnymi torami, jak i cała polityka rządu: odpolityczniania czynnika społecznego. Zakazane zostały stowarzyszenia międzyuczelniane, utracone stowarzyszenia polityczne. Życie organizacyjne młodzieży miało koncentrować się już tylko w stowarzyszeniach samopomocowych i naukowych. Było to o wiele za mało. Właśnie bowiem w stowarzyszeniach politycznych i społecznych młodzież rozwija w sobie myślenie polityczne i uczy się uspołecznionych form życia.

STAN I MOŻLIWOŚCI NASZYCH BIBLIOTEK W DOBIE OBECNEJ

Powoli zaczynamy sobie zdawać sprawę z naszego faktycznego stanu posiadania w dziedzinie książki. Przed kilku miesiącami zdawało się, że straciliśmy co najmniej 90 proc. naszych księgozbiorów. Obecnie wiemy już, że tak nie jest; wiemy, że straty są bardzo ciężkie, ale nie tak ciężkie, jak się tego obawiano, co prawda tylko w odniesieniu do całości, gdyż niektóre poszczególne dziedziny przestały prawie istnieć. Uświadomienie sobie, gdzie i jakie można znaleźć książki, jest niesłychanie ważne dla każdego pracownika umysłowego, a już szczególnie dla mieszkańca prowincji. Celem niniejszej pracy jest właśnie wskazanie źródeł bibliotecznych, z których można korzystać. Oczywiście obraz ten jest daleki od dokładności z kilku powodów. Przede wszystkim placówki już znane i czynne nawet od kilku miesięcy podlegają jeszcze nadal poważnym przemianom na skutek doprowadzania swoich zbiorów do stanu używalności, jak również z racji wcielania do nich nowych, nieraz masowych nabytków. O wielu bardzo placówkach wiemy tylko tyle, że ocalały, że istnieją. O bardzo wielu nie zupełnie nie wiemy. Obraz podany dziś na tym miejscu już za miesiąc może ulec poważnym zmianom, ale raczej w kierunku dodatnim niż ujemnym. Przystąpmy więc do zapoznania się z istniejącymi, choć może jeszcze nie zawsze uruchomionymi w pełni placówkami. Zastosujemy tu system regionalny oraz posuwania się ze wschodu ku zachodowi. W tej chwili najbardziej na wschód jest wysunięty Białystok. Duże to i przemysłowe miasto zostało w straszliwy sposób zniszczone przez wojnę. Zniszczeniu uległ również i jego dorobek kulturalny, z którego Białystok mógł być dumny; w dziedzinie zaopatrzenia ludności w książki miasto posiadało bardzo pięknie zorganizowaną i zasobną bibliotekę miejską. Wszystko należy do przeszłości, ale przyszłość wymaga również pomocy książki i to książki bardzo rozmaitej, na bardzo różnym poziomie — toteż z uratowanych resztek i z uratowanej przed zniszczeniem bepańskiej własności Białystok buduje już nową książnicę i można się spodziewać, że wkrótce powstanie tam ośrodek poważnej pracy umysłowej. Na drugim krańcu leży Przemyśl. Posiadał on przed wojną bardzo piękne, bogate i o bardzo różnorodnym zasięgu biblioteki. W tej chwili jednak nie jestem w stanie powiedzieć, jak się one przedstawiają, jaki jest ich stan, czy już

pracują. Należy przypuszczać, sądząc po innych miejscowościach, że jednak przetrwały i przystąpiły do pełnienia swych zadań. Wojewódzki Rzeszów powziął szlachetną ambicję stworzenia u siebie poważnej biblioteki powszechnej i prawdopodobnie realizuje to postanowienie.

Między tymi krańcowymi punktami leży Lubelszczyzna. Poniosła ona również wielkie straty w swoim bogatym stanie posiadania, który przed wojną służył przykładem innym połaciom naszego kraju. Ocalało jednak dużo, szczególnie w samym Lublinie. W tym grodzie króluje pod względem bogactwa jakościowego i ilościowego swych zbiorów biblioteka Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Bodaj że do kilkuset tysięcy tomów liczący jej księgozbiór zawiera zarówno przedstawicieli starych druków jak i literaturę najnowszą, potrzebną do studiów. Zawartość tego księgozbioru, przeznaczonego prawie wyłącznie dla młodzieży akademickiej, nie jest nawet dokładnie skatalogowana, a przede wszystkim księgozbiór ten jest prawie niedostępny dla osób postronnych, nie związanych z uniwersytetem i nie pełni wskutek tego swej służby społecznej. Inaczej zupełnie pracuje mniej od tamtej zasobna biblioteka im. H. Łopacińskiego. Podstawą jej księgozbioru stała się spuścizna po szlachetnym uczonym, którego imię nosi; uzupełniana przez długie lata dzięki opiece społeczeństwa, teraz znajduje się pod opieką bezpośrednią państwa. Pełni z powodzeniem rolę publicznej biblioteki naukowej, udostępniona przez cały dzień dla wszystkich potrzebujących. Wreszcie posiada Lublin jeszcze jedną specjalną bibliotekę — co prawda mocno zniszczoną przez wojnę, ale działa już ona normalnie, mianowicie Bibliotekę Pedagogiczną przy Kuratorium Szkolnym. W okresie tworzenia znajduje się Miejska Biblioteka Publiczna. Wreszcie posiada Lublin jeszcze jedną placówkę naukową również w stadium organizacji; jest to biblioteka uniwersytetu im. M. Curie-Skłodowskiej. Poza tymi placówkami w samym Lublinie na terenie województwa rozpoczynają powoli swoją działalność tak pięknie przed wojną postawione tu biblioteki powiatowe i gminne. W 1939 r. w każdym mieście powiatowym była tu biblioteka; w czasie wojny wiele z nich uległo zupełnej zagładzie, jak np. w Hrubieszowie, ale otoczone staranną opieką władz miejscowych i społeczeństwa odradzają się i zaczynają pracować, chociaż w zmniejszonym zakresie. Ocalała też wielka naukowa biblioteka Państwowego Naukowego Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego w Puławach.

W środkowym pasie, biorąc jednak południkowo, a nie równoleżnikowo, sprawa przedstawia się bardziej różnorodnie.

Przede wszystkim ocalał najstarszy ośrodek naszej kultury i sztuki — Kraków. Księgozbiory jego, chociaż naruszone przez okupanta, który zdołał to i owo wywieźć, są jednak nadal tak zasobne i w takim stanie, że mogą zadość uczynić wszelakiego rodzaju zapotrzebowaniom. Przede wszystkim Biblioteka Jagiellońska. Ocalała również Biblioteka Polskiej Akademii Umiejętności, Muzeum Fizjograficznego, Muzeum Przemysłowego, szeregu zakładów uniwersyteckich, Biblioteka Pedagogiczna i szereg innych. Nie ulega wątpliwości, że Kraków jest w chwili obecnej skarbnicą, która może i powinna udzielać swych skarbów wszystkim potrzebującym.

Starożytny Sandomierz jeszcze pod ostrzałem dział niemieckich uruchomił publiczną bibliotekę. Kielce, w których w czasie okupacji tak pięknie rozwijało się życie umysłowe, również energicznie i z zapałem tworzą swoją bibliotekę.

Warszawa — tego słowa przez długie lata nie będzie można napisać czy wymówić bez specjalnego wzruszenia, bez skurczu serca. Ale nawet i tutaj, w tej spalonej, zbombardowanej, całej w ruinach Warszawie ocalały pewne biblioteki.

Straty poniesione przez księgozbiory w Warszawie są specjalnie ciężkie w dziale książek specjalnych. Spłonęły prawie wszystkie istniejące w Warszawie pierwsze druki polskie oraz druki z XVI i XVII w., zgromadzone przez okupanta w bibliotece Krasieńskich, spłonęły bardzo liczne rękopisy — i jednych, i drugich nie da się już powrócić. Spłonęła biblioteka Zamoyskich, spłonęła Centralna Biblioteka Wojskowa, biblioteka Stowarzyszenia Techników, ze specjalną zajądłością, polewając benzyną książkę po książce, spalono bibliotekę Państwowego Instytutu Geologicznego, najbogatszą w tym dziale nauki bibliotekę w kraju, spłonęła biblioteka Politechniki, spalono celowo publiczną Bibliotekę Miejską i wiele, wiele innych społecznych i prywatnych. Ocalały jednak najzasobniejsze biblioteki: Uniwersytecka i Narodowa, oraz ze specjalnych nad wyraz cenna biblioteka Szkoły Głównej Handlowej. Nie zważając na ciężkie uszkodzenia gmachów, brak szyb, braki w personelu, placówki te przystąpiły już do pracy nad udostępnieniem swych zbiorów. Pierwsze miejsce należy się tu bibliotece miejskiej, która uruchomiła już szereg placówek, oraz bibliotece SGH, w której przez cały dzień można korzystać z jej bogatego księgozbioru. Ocalała też jeszcze, szczęśliwie dla historii naszej kultury, bogata w starodruki biblioteka diecezjalna, ale ten prawdziwy majątek „martwej ręki“ jest niedostępny dla ludzi świeckich. Jakżeż inaczej zupełnie ustosunkowały się do potrzeb społeczeństwa czynniki rządowe.

Wyrazem tego stosunku jest powołanie w Warszawie pierwszej tego rodzaju placówki w kraju — Publicznej Biblioteki Technicznej, współpracującej ściśle z Biurem Odbudowy Kraju.

Dalej ku zachodowi wkraczamy w teren, który był przez okupanta wcielony do Reichu. Myśleliśmy, że w tej części Polski nie znajdziemy nawet śladu polskiej książki. Tymczasem spotkał nas tu miły zawód. Oto wiemy już, że ocalała w Płocku poważna biblioteka Towarzystwa Naukowego. W Łodzi uchroniono znaczny księgozbiór naukowej Publicznej Biblioteki Miejskiej, która już prowadzi swą działalność. Oczywiście, że odżywająca w Łodzi Wolna Wszechnica Polska dopiero gromadzi księgozbiór, ale prawdopodobnie udostępni go wkrótce ogółowi, postępując w myśl zasad, które wpaja wychowankom swego studium bibliotekarskiego.

Częstochowa już uruchomiła bibliotekę miejską publiczną. Katowice też się ruszają, pracują. Poznań, broniony tak zaciekłe i zniszczony tak ciężko, wyszedł wcale obronną ręką — zniszczeniu uległa Biblioteka Raczyńskich, ale ocalała Biblioteka Uniwersytecka. Bydgoszcz, nie tylko że zachowała swoje zasoby, ale nawet mogła z nich wydzielić i ofiarować naszemu Sojusznikowi będący w jej posiadaniu księgozbiór Lenina. Toruń również utrzymał swoją Książnicę. Nic jeszcze nie wiemy o Grudziądzu oraz pozostałych miastach Pomorza i Poznańskiego. Nic też na razie o Wrocławiu i Gdańsku.

Tak oto w ogólnych zarysach przedstawia się sprawa zorganizowanych bibliotek. Nie mniejsze na pewno bogactwo znajduje się w naszym kraju w stanie rozproszonym. Myślę tu o prywatnych księgozbiorach, z tej czy innej przyczyny opuszczonych przez właścicieli, a będących przecież dobrem społecznym. Minister Oświaty zlecił podległym mu władzom szkolnym opiekę nad tym majątkiem narodowym. Do obowiązków kuratorów i inspektorów szkolnych należy czuwanie nad zabezpieczeniem tego mienia. Ale jak w innych dziedzinach tak i tu zaczynają się na plan pierwszy wysuwać rozmaite lokalne ambicje. Znaną jest rzeczą, że w wielu siedzibach magnackich zachowały się bezcenne nie tylko dla historii danej rodziny, ale dla historii naszego narodu i państwa archiwa. Materiały te powinny znaleźć się w którymś z centralnych archiwów i tam być udostępnione do opracowania. W tych samych siedzibach bardzo często znajdują się książki stare w językach obcych — wartość ich jest wielka dla księgozbiorów specjalnych, natomiast są to tylko zawałidrogi

w bibliotekach powszechnych, które powinny istnieć wszędzie na prowincji. Uniesieni lokalnym patriotyzmem obywatele często pragną te wydawnictwa zatrzymać dla swojej biblioteki powiatowej, a nieraz nawet tylko gminnej. Jakież niezrozumienie przeznaczenia książki! Nie jest ona ozdobą półki czy sali, ale ma być czynnikiem żywym, pełniącym swą służbę społeczną w dziedzinie kultury. Miejmy nadzieję, że takie objawy fałszywie pojętego patriotyzmu lokalnego ustąpią wkrótce cofając się przed wzbierającą falą uświadamiania obywatelskiego, jak również rozprzestrzeni się szacunek i zrozumienie wartości każdej książki wobec tych spustoszeń, jakie w tej dziedzinie dokonały działania wojenne, a przede wszystkim zła wola okupanta. Gdy ten stopień uświadamiania obywatelskiego zostanie osiągnięty, to kraj cały pokryje się wkrótce bibliotekami wszelkich stopni i każdy obywatel będzie mógł dzięki temu korzystać z każdej książki, której zapra-

Sprawy oświatowe na VII sesji Krajowej Rady Narodowej Z przemówienia Premiera ob. E. Osóbki-Morawskiego

W dziedzinie oświaty spustoszenia i zniszczenia dokonane przez okupanta są wyjątkowo ciężkie. Urządzenia szkolne, pracownice i pomoce naukowe zostały w 90 proc. zniszczone lub wywiezione. Ogromne straty poniosło nauczycielstwo.

Cała Polska objęta została siecią administracji szkolnej, zorganizowano 11 Kuratoriów, inspektoraty szkolne powołują do życia także szkoły na niedawno wyzwolonych ziemiach zachodnich.

Ministerstwo Oświaty opracowuje następny etap, którym będzie zasadnicza reforma ustroju szkolnego. Nowy ustrój szkolny winien zrealizować postulat demokratycznej szkoły polskiej.

Udostępnieniem nauki na wszystkich szczeblach masom ludowym, robotnikom, chłopom, inteligencji pracującej nowy ustrój szkolny musi znieść sztuczne przegrody, odcinające chłopom i robotnikom dostęp do szkół średnich i wyższych. Akcja pomocy i opieki nad młodzieżą, stypendia, bursy i stołówki winny doprowadzić już w krótkim czasie do zasilenia szeregów inteligencji masowym dopływem elementu robotniczego i chłopskiego.

Szkoła musi być zreformowana nie tylko pod względem ustrojowym, musi w niej zapanować nowy duch zgodny z demokratycznymi ideałami. Szkoła polska musi być wolna od faszystowskiej ideologii, którą zaszczerpił gorliwie reżim przedwrześniowy. Toteż w przyspieszonym tempie przygotowywane są nowe programy i podręczniki, nad którymi pracują najwybitniejsi specjaliści.

Dużą uwagę przykładają do sprawy szkół wyższych i nauki. Odzyskanie prastarych ziem polskich na zachodzie nakłada na Rząd obowiązek przywrócenia ich kulturze polskiej, wypłnienia śladów wielowiekowej germanizacji. Zadanie to m. in. spełniać będzie sieć szkół wyższych, która obejmie również ziemie odzyskane.

Rząd, realizując hasło nauki i badań naukowych, czyniąc wysiłki w kierunku zapewnienia wszystkim pracownikom nauki warunków umożliwiających im pracę, będzie zarazem konsekwentnie dążył do demokratyzacji szkół wyższych, udostępnienia ich wszystkim warstwom społeczeństwa. Odbudowa szkolnictwa napotyka na poważne trudności. Polska nigdy nie miała dość nauczycieli, aby objąć całą młodzież w wieku szkolnym. Dziś jeszcze dotkliwiej odczuwamy brak nauczycieli. W ciągu najbliższych lat musimy wyszkolić 30.000 nauczycieli, zbudować kilka tysięcy izb szkolnych.

Przedmiotem ciągłej troski Rządu jest sprawa położenia materialnego nauczycieli. Do poprawy położenia nauczycieli zmierza uchwalony przez Komitet Ekonomiczny przy Radzie Ministrów projekt dekretu o zaszerogowaniu nauczycieli. Projekt ten naprawia główne krzywdy, jakie wyrządziła nauczycielom ustawa sanacyjna. Opracowany jest projekt dekretu o weryfikacji pracy nauczycielskiej w okresie okupacji. Aby jednak już obecnie przyjąć z pomocą pracującym ofiarnie rzeszom nauczycielskim, potrzebne jest współdziałanie społeczeństwa, a przede wszystkim Rad Narodowych — gminnych, powiatowych, miejskich i wojewódzkich. Na te organy samorządu winna spaść część troski o losy szkoły i nauczyciela.

Wysiłek Rządu i całego społeczeństwa pójdzie po linii podniesienia społecznej pozycji nauczyciela.

Dużą rolę w tych wysiłkach Rządu odegrać winien zorganizowany, zawodowy ruch nauczycielski. Czynniki społeczny, reprezentowany w pierwszym rządzie przez organizacje nauczycielskie, winien być dopuszczony do współpracy w sprawach szkoły.

Z przemówienia przedstawiciela Z.N.P. posła S. Żółkiewskiego

W okresie sanacyjnym była przepaść między administracją szkolną a nauczycielstwem. Dzisiaj tego nie ma. Dlatego tym bardziej nie mogą występować podobne zjawiska, że nauczycielowi przed objęciem posady stawia się za warunek wstąpienie do partii politycznej. Tego rodzaju metody są żywcem przeniesione z okresu sanacyjnego. Mówię to nie tylko jako nauczyciel, ale jako członek klubu poselskiego, PPR.

W dalszym ciągu poseł nadmienia, że nauczycielstwo znajduje się w niesłychanie trudnej sytuacji materialnej. Wprawdzie w exposé ob. Premiera znajdowały się ustępy, które świadczą, iż Rząd odnosi się do tej sprawy ze zrozumieniem. Ale to jeszcze nie wszystko. Trzeba z całą stanowczością i z całym naciskiem podkreślić, iż ten stan rzeczy, który jest obecnie, dłużej tolerowany być nie może.

Posel Żółkiewski zgłosił trzy wnioski: 1) wezwania Rad Narodowych gminnych, wiejskich, powiatowych i wojewódzkich do uchwalenia specjalnych świadczeń rzeczowych i szarwarkowych na rzecz szkoły i nauczyciela, wstawiania do budżetów dostatecznych sum na budowę, remont, konserwację i uposażenie szkół, inicjowania i tworzenia stypendiów; 2) wezwania Ministerstwa Aproprowiacji do zaopatrywania nauczycielstwa w artykuły pierwszej potrzeby i 3) wezwania Rządu do bezzwłocznego opracowania nowej ustawy uposażeniowej dla nauczycieli.

Przemówienie Ministra Oświaty Ob. St. Skrzyszewskiego na zjeździe

„Wici“

Dnia 6 i 7 maja r.b. odbył się w Warszawie zjazd delegatów Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici“.

W kwestii oświatowej wygłosił obszerne programowe przemówienie przybyły na zjazd Min. Oświaty ob. Skrzeszewski. W przemówieniu, przerwany często oklaskami i owacjami, powiedział on m. in.:

„Przybyłem tu, aby przedstawić wam zamierzenia, które Min. Oświaty w najbliższej i dalszej przyszłości ma przeprowadzić. Wiadomo wszystkim, jaka krzywda działa się młodzieży wiejskiej w Polsce sanacyjnej. Mówią o tym najlepiej cyfry. Większość powszechnych szkół w Polsce, to były jedno i dwuklasówki, a to oznaczało odepchnięcie większości młodzieży w Polsce od możliwości dalszych studiów. Wiadomo, że do gimnazjum można się było dostać po 6-ciu klasach szkoły powszechnej, a szkoła I stopnia dawała tylko 4 klasy. Na 200 uczniów chłopskich zaledwie 6-ciu dostawało się na uniwersytet. Olbrzymi procent tej młodzieży wiejskiej, który już dostał się na uniwersytet, nie był w stanie dokończyć tych studiów. W tej chwili jednym z najważniejszych problemów jest dopuszczenie młodzieży wiejskiej do uniwersytetu. Chodzi tu o młodzież ideową, która swoją walką z okupantem, walką z reakcją w szkole wykazała, że potrafi walczyć o lepszą Polskę.

Jakie są plany Min. Oświaty?

Mogę wam zakomunikować, że pewne podstawowe tezy reformy szkolnictwa zostały już opracowane. Szkolnictwo w Polsce musi być w pierwszym rzędzie uczciwie bezpłatne. W tej chwili sprawa wygląda tak, że rząd rzucił w naród hasło bezpłatności nauki. Doskonale sobie zdajemy sprawę, że szkoły w Polsce przechodzą w tej chwili ciężki kryzys. Budynki są zdewastowane, sprzęt zniszczony, zniszczone pomoce naukowe. Nauczyciel niestety często przymiera głodem i usiłuje na wszelkie sposoby uratować się z tej sytuacji. To jest stan przejściowy i będziemy dążyć do jego poprawy.

Dalej nowa szkoła musi być szkołą jednolitą. Przez jednolitość rozumieć taki ustrój szkolnictwa, w którym nie będzie żadnych zaułków, w którym młodzież może przejść do innych typów i stopni szkół. Dawniej 4-klasówka zamykała przed młodzieżą drogę do szkoły średniej. Ze szkolnictwa zawodowego nie można było przejść do szkolnictwa ogólnokształcącego.

Następne postulaty to powszechność i państwowość szkoły.

Musimy też pomyśleć o przebudowie sieci szkolnej. Przynajmniej w każdej gminie na najbliższym etapie musi istnieć szkoła średnia. Przy wszystkich szkołach gminnych i szkołach w małych miasteczkach muszą powstać internaty.

Jak długo będzie trwała nauka?

Pierwszy kurs, zwany przez nas fachowców kursem propedeutycznym, będzie trwał 5 lat. Na tej szkole początkowej chcemy oprzeć 3-letnie powszechne gimnazjum. Podstawowe wykształcenie będzie więc 8-letnie. Dopiero na tym 8-letnim nauczaniu ma być oparta trzyletnia szkoła typu

licealnego. Tak więc zamiast dawnych 12 lat (6 lat szkoły powszechnej i 4 lata gimnazjum, 2 lata liceum), nauka trwać będzie lat 11 (5 lat szkoły powszechnej, 3 lata gimnazjum, 3 lata liceum). Trzeba zrozumieć, że programy szkolne były dawniej tak zbudowane, iż młodzież zwłaszcza w szkole powszechnej niepotrzebnie traciła dużo czasu. Im dłużej będzie trwała szkoła, tym bardziej będzie to odsuwało masy chłopskie i robotnicze od szkoły.

Musimy skrócić studium do rozsądnego minimum.

Chciałbym, aby podane przeze mnie zasady były przedyskutowane przez szerokie masy narodu, przez interesujące się tymi rzeczami związki zawodowe i związki młodzieżowe.

Muszę zaznaczyć, że bez budowy internatów szkolnych nie wyobrażam sobie demokratyzacji życia szkolnego w Polsce. Przed „Wiciami” stoi zadanie pomocy w urządzaniu internatów.

Sam system bezpłatności nie rozwiąże problemu bezpłatnego nauczania. Musi być rozbudowany system stypendiów. Państwowe stypendia nie wystarczą jednak i dlatego rady terenowe powinny ustalić dla najzdolniejszej młodzieży stypendia.

Nauczyciel musi być podniesiony w swej pozycji społecznej. Nauczyciel niejednokrotnie gładuje. Ministerstwo Oświaty opracowało już projekt nowych uposażeń dla nauczycieli, projekt ten przeszedł już przez Komitet Ekonomiczny przy Radzie Ministrów, przez Biuro Prawne przy Radzie Ministrów i w najbliższym czasie będzie przedmiotem obrad samej Rady Ministrów. Zostaje naprawiona krzywda, wyrządzona nauczycielowi przez sanację między innymi przez to, że zaczynał on pracę od stopnia służbowego poniżej granatowego policjanta. Oprócz reformy uposażeń konieczne są nauczycielowi deputaty. Trzeba zorganizować system zaopatrzenia go w produkty.

Zarzuca się często, że szkoła polska jest przepełniona duchem reakcyjnym, ja przypominę, że o szkołę polską rozbił się pierwszy atak faszyzmu polskiego. Było to wówczas, gdy po numerze „Piomyka”, zawierającym obiektywne dane o Związku Radzieckim, Składkowski ustanowił dla Związku Nauczycielstwa Polskiego przymusowego komisarza. Oczywiście, wśród nauczycieli istnieją jeszcze reakcyjne elementy. Dlatego też do nauczycielstwa muszą być wlane młode ideowe elementy. Na organizowane obecnie kursy nauczycielskie będziemy przyjmować nawet ludzi nie mających ukończonych formalnych studiów. Od was, działacze młodzieży wiejskiej, oczekujemy, byście nam przysłali najlepszych i najbardziej ideowych ludzi na kursy nauczycielskie.

Zamierzamy dokonać wyłomu na odcinku uniwersyteckim. Chcemy dopuścić i dopuścimy na uniwersytety nawet bez ukończonych formalnych studiów średnich. Przy kuratoriach szkolnych będą stworzone specjalne komisje, do których młodzież będzie mogła wносить podania o ustalenie

ogólnego rozwoju i inteligencji ogólnej, mimo że nie ma ukończonej szkoły średniej. Młodzież ta, o ile wykaże odpowiedni stopień rozwoju umysłowego, będzie dopuszczona na uniwersytet, choćby nawet nie znała pewnych dat historycznych. I tu są możliwe dwa warianty: albo młodzież dopuści się wprost na pierwszy rok studiów uniwersyteckich, albo na rok wstępny, przy czym młodzież będzie miała zagwarantowane pełne prawa akademickie. Muszę zaznaczyć, że uniwersytety godzą się na to. Senat akademicki Uniwersytetu Jagiellońskiego wyraził na to jednomyślną zgodę.

Reforma szkolnictwa byłaby niekompletna bez zmiany programów i podręczników. Niektóre programy są już na ukończeniu. Z podręcznikami sprawa wygląda gorzej.

Na oświatę trzeba pieniędzy.

Stoję na stanowisku, że jeśli wydatki na szkołę miałyby się przyczynić do inflacji w państwie, to raczej należy okroić nam budżet, a do inflacji nie dopuścić. Nie znaczy to, że Państwo chce krzywdzić oświatę. U władzy jest Rząd, którego jednym z naczelných hasel jest podniesienie oświaty i kultury szerokich mas ludowych w Polsce. Nigdy przed wojną Minister Oświaty nie przemawiał na zjazdach wiciowców, a obecnie nie będzie ani jednego zjazdu wiciowców, na którym by Minister Oświaty nie przemawiał.

Z kolei Minister Oświaty odpowiadał na pytania uczestników Zjazdu.

Z DZIAŁALNOŚCI ZWIĄZKU NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO

Współpraca Z.N.P. z Ministerstwem Oświaty

Minister Oświaty dr St. Skrzyszewski przyjął ostatnio delegację Prezydium Z.N.P. w składzie następującym: Cz. Wycech, K. Maj, dr T. Wojeński i W. Tułodziecki. Delegaci Z.N.P. poinformowali Ministra o tajnej działalności Związku w czasie okupacji i wyrazili gotowość Z.N.P. ścisłej współpracy z Rządem Tymczasowym nad odbudową i rozwojem oświaty i kultury. Delegacja powiadomiła również Ministra, że na skutek śmierci niektórych członków prezydium dokończono na czas do najbliższego zjazdu następujących członków Związku: ob. J. Baculewskiego, W. Ferenca, J. Kreczmara, H. Ładosza, W. Michniewicza, M. Jacórzyńskiego, J. Pawłowską, S. Żółkiewskiego, T. Szczechurę, St. Gałązkę. Minister w słowie końcowym podkreślił doniosłą rolę Z.N.P. w dziele budowy nowego demokratycznego systemu polityki oświatowej w Polsce.

Odezwa Zarządu Głównego Z.N.P.

W okresie pięciu lat okupacji niemieckiej, najstraszniejszych w dziejach naszego narodu, nie złożyliśmy broni, lecz prowadziliśmy pracę i walkę na polu oświatowo-kulturalnym i społecznym. W czasie tej walki padło tysiące nauczycieli; nie ma wśród nas wielu członków Zarządu Głównego z prezesem śp. Z. Nowickim na czele. Dlatego też uszczuplony przed-

wojenny Zarząd Główny dokooptował do Prezydium działaczy związkowych, wypróbowanych w walce o demokrację i postęp. W ten sposób powstałe tymczasowe władze Związku pełnić będą czynności do najbliższego Walnego Zjazdu Delegatów.

Koleżanki i Koledzy! Zaczynamy nowy, niezwykle doniosły etap w pracach Związku, nowy etap w rozwoju szkoły polskiej.

Głębokie przeobrażenia struktury gospodarczej i społecznej kraju, stworzenie trwałych fundamentów rzeczywistej demokracji w Polsce otwiera przed szkołą po raz pierwszy realne możliwości urzeczywistnienia postulatów reformy, o którą walczyły masy pracujące, a z nimi przede wszystkim postępowe nauczycielstwo.

Demokratyczne Państwo Polskie podejmuje idee i dzieło przebudowy szkolnictwa w duchu postępu, czemu dało wyraz w szeregu zapowiedzi. Związek Nauczycielstwa Polskiego w pierwszym rządzie stawia sobie za zadanie aktywizację mas nauczycielskich, powołanie ich do współdziału z władzami szkolnymi w dziele odbudowy i demokratyzacji oświaty i kultury.

Dążyć będziemy do upowszechnienia oświaty i kultury oraz wprowadzenia do twórczości kulturalnej możliwie największych mas społeczeństwa. W pierwszym rządzie współdziałać będziemy, ażeby rozbudować i na odpowiednim poziomie postawić szkolnictwo powszechne oraz system upowszechnienia kultury i oświaty.

Szkoła polska winna stać się istotnie powszechną; ani jedno dziecko nie może znaleźć się poza jej murami. Jako bezpłatna publiczna szkoła ma być na wszystkich szczeblach dostępna zdolnej młodzieży, bez względu na zamożność rodziców. Szkoła polska musi przestać być narzędziem klasowej selekcji społeczeństwa. Zdolna młodzież chłopska, robotnicza i inteligencka winna znaleźć możliwość ukończenia nie tylko szkoły powszechnej, lecz mieć naprawdę szeroko otwarty dostęp do studiów wyższych.

Do urzeczywistnienia tych celów w zakresie polityki kulturalnej chce Zarząd Główny Z.N.P. przygotować i pociągnąć całe nauczycielstwo polskie.

Jako równorzędne zadanie w tych trudnych warunkach wojennych stawia sobie Zarząd Główny Z.N.P. obronę interesów materialnych nauczycielstwa. Podejmujemy akcję u Tymczasowego Rządu Polskiego oraz w Radach Narodowych, zmierzającą do poprawienia nad wyraz trudnej doli mas nauczycielskich.

Bezpośrednim zadaniem organizacyjnym Zarządu Głównego będzie możliwie rychłe przygotowanie ogólnopolskiego Zjazdu Delegatów. Oto konkretne zadania, które Zarząd Główny stawia przed Wami Koleżanki i Koledzy:

1. Współdziałać i kierować społecznym wysiłkiem odbudowy szkoły ze zniszczeń wojennych, uczynić tę sprawę jedną z naczelných spraw odbudowy Kraju.

2. Współdziałać i kierować społecznym wysiłkiem poszerzenia tej szkoły, tak by objęła wszystkie dzieci polskie, by przystosowana została do potrzeb demokracji.

3. Dokonać dzieła odbudowy ducha wewnętrznego tej szkoły, stworzyć jej nowe postępowe formy i wypełnić je demokratyczną, ludową treścią nauczającą i wychowującą.

Akademia nauczycielska ku czci zwycięstwa

W dniu 14 b.m. w sali fabryki Wedla przy ul. Zamojskiego odbyła się akademie Z.N.P. dla uczczenia zwycięstwa.

Akademie zagaił ob. Kisielnicki, przewodniczący Oddziału Grodzkiego Z.N.P., który powitał nauczycielstwo stolicy oraz przybyłego Min. Oświaty ob. Skrzyszewskiego, podkreślając w swym przemówieniu polskość ziem Śląska, Pomorza i Mazurów.

Min. Oświaty Skrzyszewski w dłuższym przemówieniu omówił bieżące zagadnienia naszej polityki zagranicznej i wewnętrznej, nawołując nauczycielstwo polskie do czynnej postawy wobec nowej rzeczywistości.

Nauczycielstwo, które zdało egzamin w latach okupacji z narażeniem życia, składając liczne ofiary w obozach koncentracyjnych i więzieniach — prowadziło tajne nauczanie na zakonspirowanych kursach i kompletach — na pewno stanie teraz masowo do pracy przy odbudowie oświaty w odbudowywanym kraju.

Akademie zakończyło przemówienie ob. Cz. Wycecha, prezesa Z.N.P.

Część koncertową wypełniły: orkiestra symfoniczna m. st. Warszawy, chór mieszany pod kier. ob. Szymańskiego oraz recytacje Henryka Ładosza.

PROFESOROWIE OSKARŻENI O WSPÓŁPRACĘ Z HITLEROWSKIM OKUPANTEM — ZAWIESZENI W CZYNNOŚCIACH

Postanowieniem Ministra Oświaty zawieszeni zostali w obowiązkach profesorów wyższych uczelni prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego E. Chodźicki, M. Małcki, L. Piotrowicz i W. Semkowicz, prof. Uniw. Pozn. Ł. Kamiński, prof. Uniw. Lwowskiego J. Tokarski.

Przeciwko wymienionym profesorom wdrożone zostało postępowanie dyscyplinarne. Oskarżeni oni są o współpracę z hitlerowskim okupantem. M. in. prof. Tokarski miał wskazać Niemcom złoża manganu w górach Czynczyrskich.

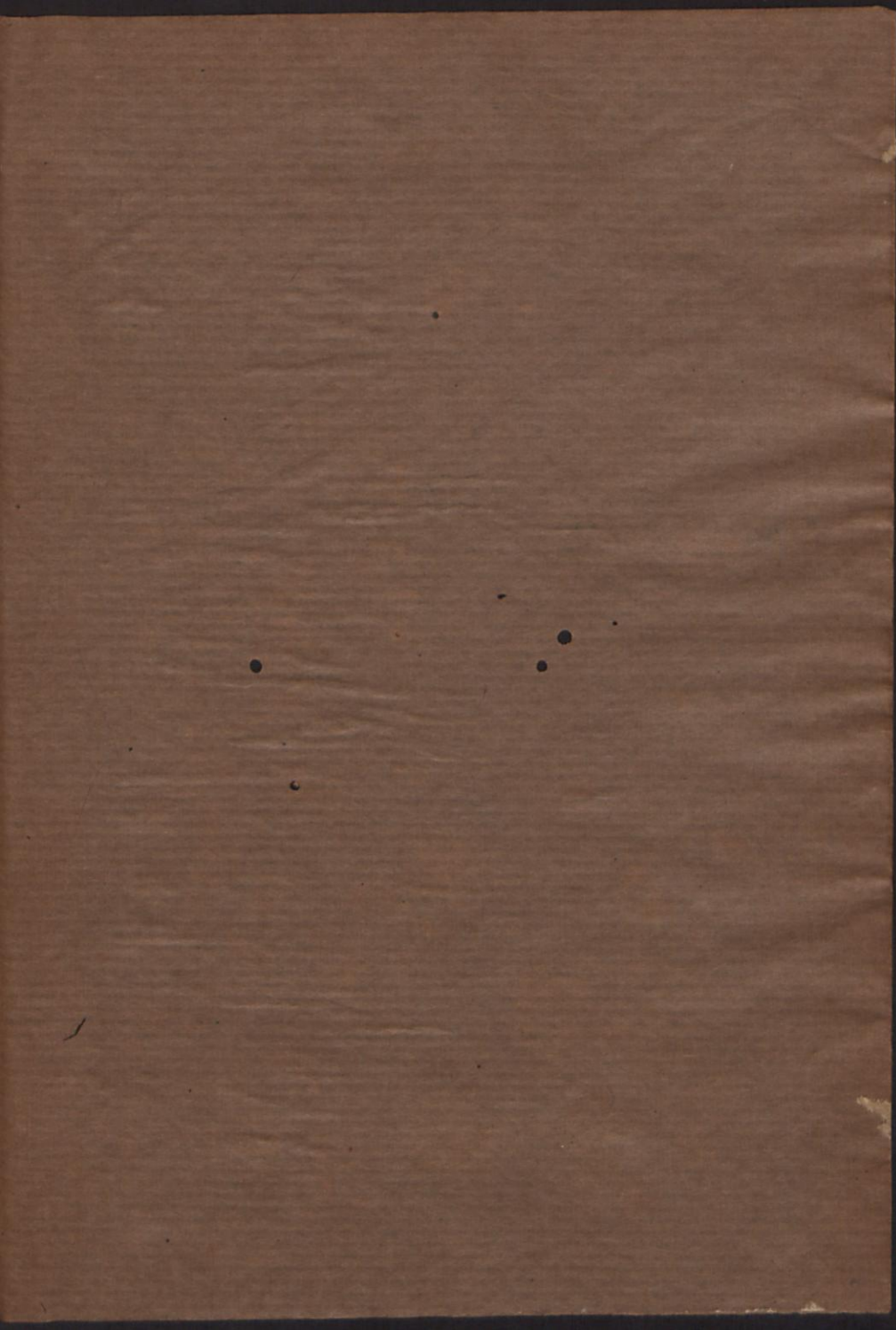
Sprawy profesorów będą przekazane do załatwienia specjalnej komisji dyscyplinarnej, powołanej przez Ministra Oświaty i złożonej z przedstawicieli Ministerstwa Oświaty, Ministerstwa Sprawiedliwości i przedstawicieli szkół akademickich. Ta sama komisja rozstrzygnie kwestię słuszności zarzutów podniesionych przeciwko prof. Uniw. Jag. W. Wolterowi.

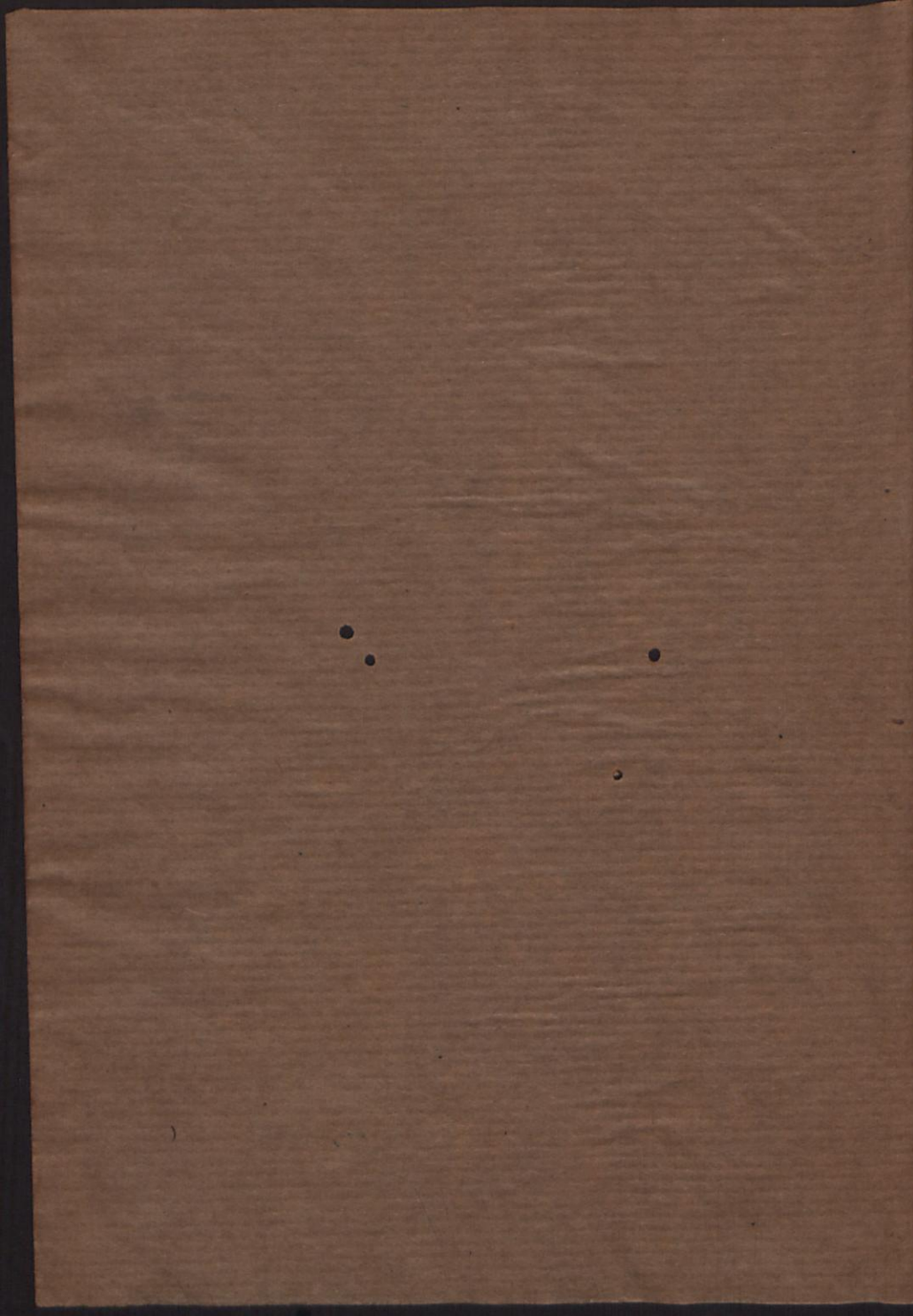
Spis treści:

	Str.
<i>Żanna Kormanowa</i> : Szkolnictwo polskie w latach 1918—1939	1
<i>Władysław Bienkowski</i> : O nowy ustrój szkolny	8
<i>Teofil Wojeński</i> : Światopoglądowe podstawy jędrzejewiczowskiej reformy programów szkolnych	14
<i>Włodzimierz Michajłow</i> : Programy nauczania biologii w nowej szkole	18
<i>Zygmunt Mysłakowski</i> : Głos w sprawie studiów wyższych	26
<i>Regina Fleszarowa</i> : Stan i możliwości naszych bibliotek w dobie obecnej ●	35
<i>Kronika</i> : Sprawy oświatowe na VII sesji KRN (z przemówienia Premiera ob. E. Osóbki-Morawskiego, z przemówienia przedstawiciela Z.N.P. posła S. Żółkiewskiego). — Przemówienie Ministra Oświaty ob. St. Skrzyszewskiego na zjeździe „Wici”. — Z działalności Związku Nauczycielstwa Polskiego (Współpraca Z.N.P. z Ministerstwem Oświaty. — Odezwa Zarządu Głównego Z.N.P. — Akademia nauczycielska ku czci zwycięstwa). — Profesorowie oskarżeni o współpracę z hitlerowskim okupantem — zawieszeni w czynnościach	41

Redaktor: Dr Teofil Wojeński

Odbito w Drukarni Nr 1
pod zarządem Państwowych Zakładów Wydawnictw Szkolnych
Pabianice, Pierackiego 3 — Łódź, Piotrkowska 123





Książnica Zamojska



10184559

ul. Kamienna 20

22 - 400 Zamość

